

# CAŁY ŚWIAT



WŁODZIMIERZ KOWALEWSKI  
JOANNA BATOR  
ZYGUNT MIŁOSZEWSKI  
JOANNA SZATRAWSKA  
JOANNA KIEWISZ-WOJCIECHOWSKA  
MAGDALENA LASZCZKA  
PATRYCJA PELICA  
PATRYCJA WYSOKIŃSKA  
TAMARA BIŃCZAK  
MALGORZATA CHOJNACKA  
PRZEMYSŁAW GRZEŚIŃSKI  
ZBIGNIEW MODRZYŃSKI  
SZYMON JACHIMEK

# TO ŚCIEMA

**CAŁY  
ŚWIAT**



**TO  
ŚCIEMA**

## **CAŁY ŚWIAT TO ŚCIEMA**

Zbiór tekstów literackich nawiązujących  
do Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie,  
powstałych z okazji setnych urodzin instytucji.

**O**ddajemy w Państwa ręce trwały ślad podwójnego jubileuszu olsztyńskiego Teatru: stu lat istnienia teatru, założonego w Allenstein w 1925 roku, i osiemdziesięciu lat działalności sceny polskiej w stolicy Warmii i Mazur.

W książce znajdują się teksty zamówione u Auterek i Autorów, których twórczość spłotła się z naszym Teatrem, Olsztynem, Warmią i Mazurami. Publikujemy w niej również reportaż napisany na setne urodziny Aleksandra Sewruka. I wreszcie swoje miejsce znalazły tu utwory nagrodzone i wyróżnione w Ogólnopolskim Konkursie Literackim SZPRAJSA na tekst nawiązujący do Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie.

Książkę zamyka scenariusz spektaklu „Setka Jaracza, czyli (prawie) sto sposobów na setne urodziny”.

Zapraszamy do świata literatury i teatru.

Publikacja wydana w ramach Programu Przestrzenie Sztuki Teatr. Program finansowany jest ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego oraz realizowany przez Instytut Teatralny im. Zbigniewa Raszewskiego. Dofinansowano przez Samorząd Województwa Warmińsko-Mazurskiego.



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego

:instytut+eatralny

Przestrzenie  
TEATR Sztuki



**TEATR**  
**WARMII**  
**I MAZUR**  
od 1925



Instytucja Samorządu  
Województwa  
Warmińsko-Mazurskiego



## *SPIS TREŚCI*

*WŁODZIMIERZ KOWALEWSKI*

**Siostra Tycjana 8**

*JOANNA BATOR*

**Łez na świecie jest zawsze tyle samo 52**

*ZYGMUNT MIŁOSZEWSKI*

**Cały świat to ściema 71**

*ISHBEL SZATRAWSKA*

**Rościch 84**

*JOANNA KIEWISZ-WOJCIECHOWSKA*

**Wywędrowałem 109**

*MAGDALENA LASZCZKA*

**Oswojenie 144**

*PATRYCJA PELICA*

**Sto lat Kurta Meissnera 163**

*PATRYCJA WYSOKIŃSKA*

**Możesz z tego wyjść, ale to nie wyjdzie z ciebie  
188**

*TAMARA BIŃCZAK*

**Der Treudank 220**

*MAŁGORZATA CHOJNACKA*

**Mój pamiętnik, Allenstein 1925 252**

*PRZEMYSŁAW GRZESIŃSKI*

**PanzerFaust 267**

*ZBIGNIEW MODRZYŃSKI*

**Premiera 284**

*SZYMON JACHIMEK*

**Setka Jaracza, czyli (prawie) sto sposobów na setne  
urodziny 299**

**Biogramy Autorów 377**

WŁODZIMIERZ KOWALEWSKI

# Siostra Tycjana

**R**uch nie ustaje tu nawet nocą. Samochody przyjeżdżają i odjeżdżają, reflektory tną ciemność, słysząc obce nawoływania, zmieniają się wartownicy. W parterowych komnatach urządzono szpital. W tych mniejszych, biegnących amfiladą – Anglicy i Amerykanie. Tam tylko szoruje posadzki i wynosi nocniki. Nie



wolno jej rozmawiać, dotykać strzykawek, lekarstw ani jedzenia. Zmarłych stamtąd wywożą sanitarki, nie wiadomo dokąd. W wielkim holu i dusznej salce pod wieżą – Niemcy, stłoczeni na łóżkach i siennikach na podłodze. Tu robi wszystko. Sprząta, bandażuje rany, karmi, asystuje chirurgowi, Żydowi ocalałemu z Dachau, pali w piecu krwawe odpady po operacjach. Ciała stąd układa się przy murze nad fosą, raz dziennie traktor zabiera je na miejscowy cmentarz.

Zamek Westerholt w północnej Nadrenii, teraz strefie brytyjskiej. Długie, jakby koszarowe skrzydło budynku, boki przylega obdrapany pałacyk, gdzie Anglicy ulokowali sztab, a w oknie wystawili portret Hitlera z domalowanym cygarem i melonikiem à la Chaplin. Zaraz za rozlewiskiem fosy nikłe światła miasteczka, którego nie dotknęły bomby. Tu wysiadła z pociągu razem z czterema innymi katarzynkami. Siostra przełożona miała list polecający, jej było wszystko jedno. Angielski komendant szpitala przydzielił im klitki na poddaszu. Siostry mówią: „cele”, ona na swoją twardo: „pokój”. Kiszka ze skośną ścianą, łóżko, taboret, kartony po amerykańskich konserwach zamiast szafy.

– Jutro wyjeżdżam do Münster – matka Arcadia stuka główką laski w otwarte drzwi. – Niedługo przyjadą inne siostry, tu będzie nowy dom generalny Zgromadzenia. Musi siostra w końcu podjąć decyzję, siostró Tycjano.

Wstaje, zaskoczona. Przełożona rzadko tu zagląda, z trudem pokonuje strome schody.

– Wiem. Ale ja przecież nie jestem siostrą Tycjaną, matko – szepce. – Ciągłe czuję, że ten habit jest na mnie za duży. Dokumenty nie moje.

– To twój drugi habit. Raz już odeszłaś i wróciłaś. Jeśli chodzisz o nowicjat, to Bóg postawił nas w warunkach, w których zakonną regułę pisze życie, a nie stare papierzyska. Przeszłaś już swój nowicjat w dwójnasób. Nie zwlekaj, dziecko.

– Nie mogę, dopóki tęsknię.

– Ja także tęsknię. Od sześćdziesięciu lat tęsknię. Żebyś ty wiedziała jak... Za nim. Dopóki jestem jeszcze tu, a On tam – całuje

krzyżyk szkaplerzny i wznosi oczy na popękany sufit, który szarzeje nad nimi zamiast nieba.

– Ja tęsknię, dopóki jestem tu, a on we Fryburgu – odpowiada cicho matce Arcadii i odwraca się do okna.

\*\*\*

Dziesięć lat wcześniej podpisała pierwszy angaż do Landestheater Südostpreussen<sup>1</sup> w Allenstein<sup>2</sup>. Przyszła prosto z dworca po całonocnej podróży.

– Jakież pani ma piękne, ogniste włosy, panno Klaro! – uniósł się zza biurka dyrektor Theiling. Wyświechtany komplement, każdy facet to mówił, ale akurat w jego grubych ustach zabrzmiał jak polecenie służbowe: – Wymarzona Elsa von Brabant! Płomień na scenie, nie trzeba peruki! Za dwa tygodnie wystawiamy „Lohengrina”. I do tego mezzosopran, świetnie!

– Alt, panie dyrektorze.

– Wspaniale! To jeszcze bardziej podniecające!

Zostawiła walizkę w teatrze, kazała wezwać taksówkę i pojechała obejrzeć mieszkania, jakie jej zaproponowano do wynajęcia, podobno w najlepszej dzielnicy. „Miasto bezguścia, miasto-kicz – myślała wtedy, patrząc przez szybę auta – niedzisiejsze, staromodne jak zakurzony kapelusz z pawimi piórami, mdłe jak kuch ze śmietaną. Wzdłuż ulic jeden obok drugiego rozsiadły się zamki śpiącej królowny obrosłe wieżyczkami, bałaganem daszków, iglic, ostrołucznych bram, natłokiem półkolistych okien, okienek, witraży, kolumn, ceglanych sztukaterii. Ani trochę światła, ani jednej prostej linii, ani jednej jasnej perspektywy”. Westchnęła, wspominając przestronne, słoneczne studio i taras wychodzący na park w białym, prostym budynku berlińskiego Weisse Stadt<sup>3</sup>.

---

1 Teatr Krajowy Południowych Prus Wschodnich.

2 Olsztyn.

3 Modernistyczne osiedle mieszkaniowe w północnym Berlinie.

Było, minęło. Jeśli wróci, to nieprędko. Nie wybrzydzała. Wprowadziła się od razu pod pierwszy adres, do umeblowanego mieszkania przy Schillerstrasse<sup>4</sup>, w domu ze śmieszną płaskorzeźbą brodatego stróża nocnego wspartego na kosturze i głowami dwojga kochanków w sieni. Przekonał ją sąsiad z dołu, samotny stary kawaler, od którego odbierała klucze. Był głuchy jak pień. Nie będzie mu przeszkadzało pianino ani jej próby głosu. Trzecie piętro, meble ciężkie, okropne, z ciemnego drewna. Ale niedaleko do teatru, duży balkon wiszący wysoko nad ulicą, z pnącym groszkiem pozostawionym przez poprzedników. I okolica dziwaczna – dwa kroki za rzędem bogatych, napuszonych kamienic puste pola po horyzont, jakieś gospodarstwo, piaszczysta droga ginąca między dwoma wzgórzami, letnimi wieczorami dalekie gęganie i kwakanie.

Zagrała Elżę w „Lohengrinie”, Wilmę w „Lekkiej kawalerii”, także Nelly Hopp w głupiej komedii Sellnicka „Hilde und Volkswagen”, parę ogonów w innych komediach i operetkach, tańczyła na „wieczorach rozrywki”. Role musiała przygotować w kilka dni. Bała się awantur z tutejszymi aktorkami, Margot, Almą, Charlotte, które Theiling przesunął gdzie indziej, obsadzając ją na ich miejsce, ale tylko obojętnie wzruszały ramionami – takie tu panowały stosunki.

Pierwsze złe wrażenie w końcu jakoś minęło. Wydawało się jej, że nawet polubiła to małe miasto bez tłumów na trotuarach – za jego spokój, wypiełgnowane skwery, mroczne sklepy kolonialne, zielony cień drzew, a zimą zwały śniegu, jakich nigdy nie widziała w Berlinie. Za żółte tramwaje, dostojnie sunące Kaiserstrasse<sup>5</sup>, leśne restauracje i za przystań nad Okullsee<sup>6</sup>. Nie miała jednak zbyt wiele czasu, by cieszyć się życiem. Teatr w potężnym gmachu z wykutym na fasadzie napisem *Der Treudank*<sup>7</sup>, pięciorgiem drzwi,

---

4 Ul. Mickiewicza.

5 Ul. Dąbrowszczaków.

6 Jezioro Ukiel (Krzywe).

7 Tu: „Za wierność”.

do których prosto z ulicy prowadziły szerokie, rewiowe schody – symbol otwarcia dla ludu – zabierał jej całe dnie od rana do późnej nocy. Pracował jak kombinat przemysłowy, gdzie zespoły aktorów, śpiewaków, muzyków i tancerzy wsparte przez krawców, elektryków, stolarzy seryjnie produkowały widowiska obliczone na przeciętność. Przeważał niemiecki repertuar popularny, wyjątki robiono tylko dla Szekspira, romantyków, kilku włoskich oper. Grało się sztampowo, tak jak autor zapisał w didaskaliach. Wszelkie pomysły, fantasmagorie i wizje nawiedzonych reżyserów, wszelkie abstrakty, formizmy i ekspresje, jakie znała z Berlina od Brechta, Reinhardta czy Piscatora, tu można było wyrzucić na śmietnik.

– Jesteśmy darem Rzeszy za wierność tej ziemi, misją narodu – powtarzał Theiling. – Teatrem dla każdego, gdzie można pójść prosto z piwiarni!

Mając czternaście lat zaczynała w szkole baletowej Olgi Desmond, podobno nawet urodzonej w tym mieście, słynnej skandalistki, „tancerki nagiego ciała” z berlińskiego Wintergarten. Na krótko trafiła też do grupy Rudolfa von Laban. Nie wytrzymała jednak grymasów i fochów wybitnego choreografa oraz natrętnych zalotów legendarnej divy o imieniu Mary. Tańczyła i śpiewała potem w kabaretach. „Salambo” w Tiergarten, „Schwarze Maus”, „Ping-pong” z Lale Andersen, aż zaczęli je zamykać po roku 1933. Szalony czas, szalony jazz, noce w „Kakadu” i klubach na Ku’dammie<sup>8</sup>, strumienie alkoholu, kaskady namiętności... Mark, Arno, Tobias i ten czarny perkusista z amerykańskiego big-bandu... Jak on miał na imię? Już za czasów Hitlera udało jej się znów zdobyć angaż na wielką scenę, do samego Metropol-Theater. Zagrała operetkową Lonę w „Lauf ins Glück”<sup>9</sup>, chwalili ją recenzenci. Dyrektor Storch jednak długo kręcił nosem nad następną obsadą, wstawał, siadał, drapał się po głowie. Wreszcie wystękał:

– Chodzi o pani nazwisko: „Bilitewski”. Nie mogę dać na afisz.

8 „Ku’damm” – Kurfürstendamm, reprezentacyjna ulica Berlina.

9 „Biegnij ku szczęściu”, operetka Freda Raymonda z 1934 r.

– Przecież używam pseudonimu! Wszyscy znają: „Maria Klara Carossas”.

– Tym gorzej. „Oni” pomyślą sobie, że ukrywa pani pochodzenie. Dyrektor generalny Gründgens wstąpił do partii, jest bardzo lojalny.

– *Scheisse!* Kto może się czepiać mojego pochodzenia? Ja się urodziłam w Eitorfie koło Siegburga!

– Każdy mógł się urodzić w Eitorfie. Niech się pani nie martwi. Załatwię pani dobry kontrakt tam, gdzie wszyscy mają podobne nazwiska. To tylko parę dłuższych godzin pociągiem.

Tak, mówił prawdę. Tu, w Allenstein, na co drugiej wizytówce widziała nazwisko zakończone na „-ski”. Nawet właściciel jej kamienicy nazywał się Swierzewski.

Życie toczyło się według dokładnie rozpisanego grafiku, odrobinnę oddechu dając jedynie podczas przerw obiadowych i krótkich *kaffeepausen*. Wolne dni zdarzały się rzadko, urlop – po zakończeniu sezonu, przed letnimi występami w kurortach nad Bałtykiem. Nie mogła nawet pojechać na pogrzeb matki, wysłała pieniądze. Od rana próby tekstowe, muzyczne i taneczne, zależnie od bieżącego repertuaru, przymiarki kostiumów, obowiązkowe ćwiczenia dykcji i rytmiki. Z braku odpowiedniejszej osoby powierzono jej również zespół baletowy, przygotowanie młodych adeptów w wielkiej sali z lśniąca posadzką i poręczami. Wieczorem spektakle, czasem podwójne, gdzie śpiewała operowe arie, a potem przebierała się i wcielała w nieszczęśliwe panny z naturalistycznych dramatów. Co kilka dni wyjazdy gościnne do bliższych i dalszych miejscowości, wypełnianie misji teatru. Występy w dusznych salkach i aulach szkolnych. Późne powroty pociągiem albo roztrzęsionym autobusem, pośpieszny marsz przez uśpione miasto. Na szczęście nie było zbyt wielu premier, bo wtedy dochodziły jeszcze noce zarwane na wkuwanie roli. Wiadomo, że w takich warunkach nikt nie miał siły na brewerie towarzyskie. Zresztą – bohema w Allenstein? Gdzie „porządny człowiek” gasi światło o dziewiątej, a potem wygląda, czy sąsiedzi także zgasił? Mogła sobie tylko powspominać Berlin,

który zresztą nie był już taki, jak kiedyś. Ale nie narzekała. Theiling dwukrotnie przedłużył jej angaż, za trzecim razem dał stały etat, cedząc basem z grubych ust: – Czas, moja droga, znaleźć sobie męża i budować willę za miastem.

Nawet nie zauważyła, kiedy wybuchła wojna. Nie czytała gazet, nie docierały do niej coraz częstsze hałaśliwe przemarsze wyrostków w krótkich majtkach i pocztów sztandarowych, capstrzyki z pochodniami, setki czerwonych flag z hakenkreuzem<sup>10</sup> łopocących przy byle okazji, którymi obwieszano także fronton teatralnego gmachu. Na wrześniowy początek sezonu przygotowywali aż cztery premiery: romantyczną sagę o Nibelungach, głupkowatą współczesną komedię, operetkę Künneke i propagandowy gniot „Andreas Hollmann”<sup>11</sup>, który zaraz spadł z afisza. Prawie nie wychodziła wtedy z teatru, biegła z próby na próbę, myliła postacie i role. Pierwszego września sam Theiling przegapił przemówienie Hitlera, inaczej pewnie spędziłby wszystkich do foyer i kazał słuchać radia na stojąco. Dopiero w południe ktoś przyniósł dodatek nadzwyczajny „Allensteiner Zeitung”. Ale w garderobach i tak więcej niż o wojnie z Polakami mówiono o otwarciu w mieście pierwszej linii trolejbusowej.

Engo Hagel pojawił się jakoś tak w drugim roku wojny, zaraz przed atakiem na Rosję. Znany z paru filmów na tyle, żeby wzbudzić w Allenstein małą sensację, przyszedł prosto z teatru w Duisburgu. Brunet o chłodnym spojrzeniu, niby zamknięty w sobie typ tajemniczego amanta, ale tak naprawdę nerwowy, chaotyczny, przewrażliwiony. Na Almę, Charlotte i inne, nawet na najmłodszą Lisabeth, w ogóle nie zwracał uwagi. Pociągały nosami, próbując odgadnąć markę jego wykwintych perfum, i plotkowały, że pewnie woli chłoptasiów z baletu albo tego grubasa Baldura, który aż mlaskał na jego widok. Zagrała z nim Rose i Christoppha w „Rose Bernd” Hauptmanna, razem śpiewali i tańczyli

10 Swastyką.

11 Dramat Hansa Christopha Kaergela, apologety nazizmu.

w „Wesołej wdówce”, w „Don Giovannim”, a potem w połowie wszystkich siedemdziesięciu tytułów tamtego sezonu. Rozmawiał z nią zupełnie inaczej niż ten narcyz Lothar, podziwiający wiecznie w lustrze swoje obydwie profile, niż zaśliniony Marco czy lalkowaty Heini, podobny do Marleny Dietrich, który, łaszcząc się do niej nachalnie, pomylił chyba płcie. Żadnych pieszczotliwych słówek, miodowych barytonów do ucha ani zagłądania w oczy. Żadnych dwuznacznych przytyków, czułości i zdrobnień, traktowania jak małe dziecko. Większość mężczyzn nie wie, że tego kobiety najbardziej nie znoszą, najwyżej udają, jeśli im zależy. Wyśmiewali zatem autorów marnych komedii, w których musieli pleść dyrdymały i stroić miny, opowiadali sobie historyjki z przeszłości, on – o kręceniu filmów, o roli z samą Zarah Leander i jej kaprysach, ona – o berlińskich kabaretach i kokainie ukrywanej w szmince.

– Gdy miną już te cholerne czasy, założymy taki kabaret tu, w Allenstein. Nazwiemy go „Allen-Widder” – powiedział przy okrągłym stoliku Schloss-Cafe<sup>12</sup>, dokąd wymykali się w przerwach na rogaliki z marcepanem i kawowy ersatz.

– Może „Allen-Fegefeuer”? Ale takie mam przeczucie, że te cholerne czasy już nigdy nie miną, przynajmniej dla nas. Może zresztą lepiej nie mieć przeczuc?

Paląc papierosy jeden po drugim, dyskutowali też o ruchu na scenie, o wpływie kąta padania światła na charakter postaci, spierali się o siłę głosu i intonacje w dialogach. W tym akurat był dobry, potrafił wykorzystać akustykę, wypełnić swoim głosem całą przestrzeń nad widownią. Poprosił też kiedyś, żeby pomogła mu wybrać gotowy garnitur w magazynie Dahma i Schliepa, potem poszli na kolację do hotelu Tannenberger Hof<sup>13</sup>, gdzie mieszkał. Poleciała mu swoją krawcową, świetnie szyjącą także męskie

12 Kawiarnia Zamkowa – znana kawiarnia w istniejącej do 1945 roku kamienicy u zbiegu dzisiejszych ulic 11 Listopada i F. Nowowiejskiego.

13 Nieistniejący od 1945 roku hotel na rogu dzisiejszych Al. Warszawskiej i ul. Mochnackiego.

koszule, on podarował jej kupon jedwabiu. Na kolacje zapraszał coraz częściej, po jednej z nich wpadli razem prosto na poranną próbę, mokrzy od deszczu, spóźnieni i zdyszani, zbierając wymowne spojrzenia. Wreszcie wprowadził się do niej na Schillerstrasse, wypadało to taniej niż hotel. Policjant, który po donosach sąsiadów przyszedł sprawdzić zameldowanie, machnął ręką i wpisał do karty: „Stiefbruder”<sup>14</sup>. Wychodząc, powiedział, że jest wielbicielem operetek.

Zanim nadeszła tamta straszliwa zima, była jesień piękna jak nigdy. Po dekrete Goebbelsa, zamykającym wszystkie teatry w Rzeszy, nie musieli od rana wychodzić z domu. Na swoim balkonie wysoko nad ulicą leniwie popijali cudem zdobytą prawdziwą mokkę, parzoną we włoskiej maszynie. Wiatr przynosił jeszcze zapach jabłek i świeży powiew znad lasów, a nie dym i smród spalonego mięsa, słońce nabierało wrześniowej bladeści, kwiaty nie miały zamiaru przekwitać. Nowy dyrektor, porywczy i krzykliwy Delius, którego mianowano po nagłej śmierci Theilinga, musiał przerwać przygotowania do sezonu. Mimo to zespołu nie rozwiązano, sporadycznie odbywały się próby, zarząd wypłacał jedną trzecią gaży. Nie mogła jednak przeżyć dnia bez teatru, chodziła tam codziennie około południa. Gdy nie jazgotały megafony umieszczone na samochodach, gdy rozeszły się do domów kolejki sprzed piekarń, miasto wydawało się jak nigdy przedtem spokojne i ciche, jakby otulone niewidzialną mgłą. Niewielki ruch, ludzie przemykający niczym duchy, zupełny brak młodszych mężczyzn, od dłuższego czasu nawet tych w mundurach. Jej fryzjerka, wojenna wdowa o bujnym temperamencie, śmiała się, że takie okazy można oglądać już tylko w teatrze; teraz i to było niemożliwe. Delektowała się zatem ciepłym, pachnącym powietrzem, kolorami pierwszych spadających liści. W letnim kostiumie i słomkowej panamie szła spacerem przez Schillerstrasse wzdłuż żelaznych ogrodzeń, zza których czerwieniły

---

14 Brat przyrodni.



się jarzębiny w ogródkach przed kamienicami. Mijała kościół Herz Jesu, dalej budynek gimnazjum, skwer i pomnik kajzera Wilhelma w pikielhaubie, z lornetką na piersi. Przecinała tonącą w cieniu Kaiserstrasse tuż obok delikatesów Hermanna, kiedyś bijących wonią czekolady i wanilii, teraz zastawionych piramidami konserw na kartki, butelkami „ludowego” wina i podrabianego koniaku. Potem był jeszcze żywoplot niewielkiego Friedrich-Wilhelm-Platz<sup>15</sup>, skąd zniknęły niańki z wózkami i bawiące się dzieci, za nim krótka uliczka, wychodząca prosto na gmach teatru, jego szerokie schody, oddzielone brukiem Hindenburgstrasse<sup>16</sup> i torami tramwajowymi. Wmawiała sobie, że nie wolno jej lękać się nieznanego i straszne-go, które przeczuwała, które czało się w każdym odprysku tego sielankowego obrazka, gniozło w żołądku, wyrывało serce, było jak czarny podkład pod blichtrzem kolorowej pocztówki. „Może lepiej nie mieć przeczuć” – powtarzała sobie jak zaklęcie.

Otwierał jej wyrwany z drzemki stary Margolla, kiedyś maszynista sceny, potem portier. Po pustych korytarzach hulał wiatr, za uchylonymi drzwiami straszyla czarna otchłań widowni. Nikogo nie zastawała w garderobach, perukarni, pracowni krawieckiej. Czasem jeszcze z głębi gmachu dochodziły dźwięki pianina i tanceczne komendy świrdrującym falsetem: „Aplomb!”, „Arabesque!”, „Battu!”. To ćwiczył z grupą Ivan Arkoff, zawodowy baletmistrz, który przejął od niej zespół i mimo wszystko urządzał próby, aby „zawsze być gotowym dla ojczyzny”, jak głosił naokoło. Margolla opowiadał, że tancerze muszą go oczekiwać w równym szeregu niczym oddział szturmowy na apelu. Wkraczał wtedy w trykocie, walił piętami baletek o parkiet, prężył się i wyrzucał w górę ramię z gromkim, piskliwym „Heil Hitler!”. Zespół musiał odpowiedzieć chórem, głośno i ostro jak wystrzał. „On się chyba okropnie boi, panno Klaro” – kiwał głową Margolla.

Biegła zatem na piętro, gdzie w pokojach służbowych mieszkało

---

15 Plac Konsulatu Polskiego.

16 Ul. 1 Maja.

kilkoro aktorów – Charlotte, Viktor, Lisabeth Rose, najmłodsza, rewelacyjna sopranistka, jeszcze tak niedawno wynoszona pod niebiosa za Leonorę w „Trubadurze” Verdiego. Tam słyszało się zupełnie co innego, niż krzyczały uliczne głośniki i pisały gazety. Co chwila ktoś wpadał i szeptał ponure wieści. Że Ruscy okrążają Prusy Wschodnie, zdobyli Kowno, Białystok, prą pod Tilsit<sup>17</sup>, pod Gumbinnen<sup>18</sup>, w stronę morza na północ od Königsbergu<sup>19</sup>, a na południu stoją nad Wisłą. Palą domy, niszczą wszystko po drodze, gwałcą, mordują, wywożą do Rosji. Że w Lyck<sup>20</sup>, w Lötzen<sup>21</sup> koczują tłumy uchodźców z Litwy, a pola tratują stada zdziczałych krów, tabuny gospodarskich zwierząt uciekających przed frontem. Z Allenstein wyjeżdża mnóstwo ludzi, chociaż gauleiter Koch zakazał ewakuacji pod groźbą rozstrzelania. Proszą o przepustkę na trzy dni do rodziny, a potem przepadają bez śladu gdzieś w Niemczech, cenniejsze rzeczy wysyłają pocztą. Albo uciekają bez przepustki, liczą na szczęście. Viktor chciał legalnie wyjechać do Flensburga, przecież ma angaż tylko na rok, siedzi tu kątem. Delius parsknął mu w twarz: „Możesz! Możesz w każdej chwili! Proszę uprzejmie – do Stutthof<sup>22</sup>!!!” – i udał, że łapie za słuchawkę telefonu. Do wojska biorą już kogo popadnie, najmłodsze roczniki, inwalidów, starych dziadów. Wzięli czterech od nas z baletu, nikogo nie obchodziło, że w kontraktach mieli wpisaną reklamację, jak wszyscy tutaj.

Zmrok zapadał coraz szybciej, dni były coraz krótsze. Nie świeciły latarnie, obowiązywało zaciemnienie – papierowe rolety zapuszczane w oknach – kontrolował to policjant. Domy i najbliższe ulice wyglądały z ich balkonu jak czarne kretowisko bez śladu życia, rozświetlane jedynie fioletowymi lampkami na rogach. Całymi

---

17 Tylża, ros. Sowieck.

18 Gąbin, ros. Gusiew.

19 Królewiec, ros. Kaliningrad.

20 Ełk.

21 Giżycko.

22 Obóz koncentracyjny na Mierzei Wiślanej.

wieczorami słuchała wtedy radia. Starego philipsa, a nie „patriotycznego” volksempfängera<sup>23</sup>, odbierającego tylko państwowy program. Ze słuchawkami na uszach, podłączonymi za kilka marek przez teatralnego elektryka tak, że cichł głośnik i żaden dźwięk nie mógł przedostać się do sąsiadów. Głuchy, stary kawaler z dołu umarł poprzedniej zimy, mieszkali tam teraz dwie mruklive kobiety, nie odpowiadające na jej „dzień dobry”. Bała się donosów. Dopiero w słuchawkach mogła bez strachu szukać na skali Londynu, Sztokholmu, nocnych koncertów zakazanej muzyki swingowej, chociaż policja sprawdzała także odbiorniki. Na każdym była umieszczona urzędowa tabliczka z napisem: „Zabrania się słuchania obcych stacji”, a samo zamontowanie słuchawkowego gniazdka rodziło podejrzenie o defetyzm! Otulała się pledem w fotelu, przymykała oczy i rozpływała w brzmieniach Dorsey’a, Mille’a, Goodmana. Czasem trafiała na „Lili Marleen”, tę przerażającą pieśń wojennej rozpacz, która powinna być śpiewana tylko po niemiecku, bo po angielsku staje się zwykłym kabaretowym numerem. Sama wykonywała ją w teatrze podczas „Bunter Abends”<sup>24</sup>, ale nie jak jurną, marszową przyśpiewkę. W wolnym tempie, niższej tonacji, przy akompaniamencie skrzypiec i na tle cienia latarni wyświeczonego z tyłu sceny. Jako skargę wysyłanego na front, niczemu niewinnego młodego chłopaka, którego przyszląść będzie zimny grób w obcej ziemi, a nie ramiona ukochanej. Natomiast Engo na kanapie obok całymi wieczorami czytał przy lampie w zielonym abażurze. Śmiać jej się chciało, gdy brała do rąk niewielkie książeczki wyszperane po antykwariatach albo wyrzucone z bibliotek, przeznaczone do spalenia, niektóre pożółkłe lub zmurszałe. Sama poezja, wyłącznie wiersze. Osobliwe upodobania. Niewiele mówiące, przebrzmiałe nazwiska: Trakl, Liliencron, Hofmannsthal, Dauthendey i jeszcze kilkunastu innych

23 „Radiodbiornik narodowy” zalecany lojalnym Niemcom, odbierający jedynie państwowy program.

24 „Kolorowe wieczory”, cykl programów rozrywkowych w olsztyńskim teatrze.

zapomnianych, dawno zmarłych wariatów, gruźlików, samobójców, mistrzów od urojeń sennych, psychozy płciowej i alkoholichnych delirii, tworzących swoje papierowe szaleństwa na przekór słonecznej epoce przed wielką wojną, w jakiej żyli, nie mając pojęcia, czym może być prawdziwe piekło na ziemi.

– Bo poezja uczy doznań – tłumaczył się jej. – Nawet ta najgorsza zawsze mówi prawdę, choćby tylko o człowieku, który ją napisał. Nie to, co zmyślane powieści czy wyssane z palca dramaty do odklepywania na scenie. Mam ich serdecznie dość. Śmierdzą.

Powtarzał też ciągle, że przyjazd do Allenstein dwukrotnie ocalał mu życie. W Duisburgu grał akurat Kaspara w „Der Freischütz”<sup>25</sup>. Po spektaklu wpadł do garderoby Fuss, kierownik artystyczny, strasznie zdenerwowany. Porządny człowiek, ale cały czas miotał się między tym, co musi, a tym, co powinien z przekonania. To piętno, wypalone już w naszych głowach przez tę władzę: kto jest lojalny, nie może być przyzwoity, i na odwrót. Fuss nawet zaczął nosić brudny mundur.

– Ty nic nie wiesz! – wrzeszczał. – W łóżu siedziała we własnej osobie ta kanalia Rainer Schlösser<sup>26</sup>! *Reichsdramaturg*! Ma fioła na punkcie Webera, objeżdża wszystkie teatry, gdzie go wystawiają. Wezwał mnie zaraz, chwalił sztukę, ale czeptał się ciebie. Że niby czoło i nos masz w porządku, ale kości policzkowe, podbródek i usta – niearyjskie! Żądał twojego „paszportu krwi”<sup>27</sup>. Skłamałem, że widziałem dokument i jest bez zastrzeżeń.

Fuss powiedział Engo od razu, że ma jedno wyjście, być może nawet bardziej korzystne: zniknąć, wyjechać na Wschód, tam gdzie teatry grają także dla Wehrmachtu, blisko linii frontu. „To zwalnia od wojska, o czym nie każdy wie” – szepnęła, rozglądając

25 „Wolny strzelec”, opera Carla Marii von Webera z 1821 r., uważana za niemiecką operę narodową.

26 R. Schlösser (1899–1945), wysoki urzędnik reżimu hitlerowskiego, Naczelny Dramaturg Rzeszy.

27 Wydawany w III Rzeszy dokument potwierdzający tzw. „czystość rasową”.

się po ścianach. A trzy lata później, dokładnie parę tygodni temu, potężne bombardowanie obróciło Duisburg w ruinę. Jednej nocy zginęło kilka tysięcy ludzi, z nimi kierownik Fuss i prawie cały zespół. Pisali przecież o tym oficjalnie w gazecie.

Jesień skończyła się nagle. W Allenstein powiało zimnem, wieczorem zaczęły wirować w powietrzu pierwsze płatki śniegu, temperatura spadła poniżej zera. Tamtej nocy długo tulili się do siebie pod ogromną pierzyną w burżuazyjnym łóżu, zajmującym pół sypialni. Rano było już białe i mroźnie. Wychodząc, nie wyjrzała za okno, musiała wrócić, by włożyć inne buty, lekki płaszcz zamienić na futro. Engo jak zwykle nie miał zamiaru ruszać się z domu. Jego starannie wygolone „niearyjskie” policzki pachniały wodą kolońską, robił sobie kawę z wojskowej kostki, rozkładał swoje książki.

– Niepotrzebnie tam łazisz – mówił do niej. – Liczysz na cud? Że nagle kurtyna w górę, ty na scenie, światła i wielkie brawa? Nic z tego nie będzie. Puste gmaszysko, gromadka frustratów, a nad nimi śmierć z kosą! Nawet już nie pamiętam, w czym i gdzie ostatnio grałem. Loube płacze mi się z Lehárem, Lehár z Schillerem, „Die Jungfrau von Orleans”<sup>28</sup> z „Das Fräulein mit dem Koffer”<sup>29</sup>! A wszystko to dzisiaj brudne gównol

– Chodzę tam, bo... inaczej nie potrafię żyć.

W teatrze z dnia na dzień zastawała coraz mniej osób. Ivan Arkoff gdzieś zniknął, stary Margolla opowiadał, że tancerki czekały na niego kilka godzin, w końcu same się rozbiegły i już nie wróciły, Delius tylko szpetnie zaklął pod nosem. Viktor uciekł bez przepustki, Charlotte zdobyła zaświadczenie, że jest w ciąży i musi wyjechać aż do Bielefeld na kurację, ale kto ją tam wie, romansowała przecież z lekarzem. Rannych przywożą teraz całe pociągi. Wehrmacht ma zajmować dla nich budynki miejskie, może i teatr, zajęli już pawilony szpitalne w Kortau<sup>30</sup>.

28 „Dziewica Orleańska”, dramat F. Schillera z 1801 r.

29 „Panienka z walizką”, komedia muzyczna K. Loube z 1941 r.

30 Kortowo, dzielnica uniwersytecka dzisiejszego Olsztyna, do 1945 r. szpital psychiatryczny.

– Wszystkich obłąkanych podobno prowadzili wcześniej rano na dworzec. W samych piżamach! Ja nie widziałem, Margolla widział – mówił Heini.

Nie słuchała dłużej. Poszła do sali prób ćwiczyć wprawki wokalne. Była umówiona z Taubertem, dyrygentem orkiestry, płaciła mu za to.

Gdy wracała do domu, śnieg już zasypywał miasto, zaczynała się zamieć. Brnęła prawie na oślep, po drodze bez kolejki kupiła chleb w zupełnie pustej piekarni Thiela. Jak zwykle przekreśliła parę razy dzwonkiem, ale Engo nie otworzył. Wyjęła z torebki klucz, drzwi jednak nie były zamknięte. Dziwne. Weszła na palcach. Klucze Engo zwyczajnie wisiały na haczyku przy lustrze. W piecach napalone, na gazówce garnek świeżo ugotowanej zupy, jeszcze ciepły. Ale szafa otwarta, brak jego eleganckiego trencza, burberry, oszczędzanego na największe okazje. Na podłodze tak samo otwarta walizka zapakowana do połowy, wokół rozrzucona bielizna, koszule, skarpetki. „Co się stało, u diabła? Zwariował, czy co? A może...”. Zakreśliło jej się w głowie, usiadła. „A więc... koniec. Koniec i tego. Dlaczego zawsze właśnie tak?! Znienacka! Jak pchnięcie nożem!!!”. Wszystkie jej miłości kończyły się podobnie. Może to i lepiej. Tragedii miała dość na scenie, po co jeszcze w życiu? Nawet nie umieliby rozmawiać o rozstaniu, odgrywaliby role. „Ale dlaczego tak nagle, dlaczego teraz, właśnie teraz, w tym czasie, w tym koszmarze...”. Przecież go kochała, naprawdę, jak nigdy nikogo. Bo nie lubił słów wielkich, czułych, namiętnych, te były ich codzienną robotą za pieniądze. Ważny był dotyk, spojrzenia, sama obecność.

Ukryła twarz w dłoniach. Dopiero kiedy się uspokoiła, dostrzegła papiery na stole. Podniosła je do oczu. Czarna, rozcapierzona wrona z hakenkreuzem w ogonie, pod nią jego pełne nazwisko: Engelbert Hagelstein, urodzony... Wezwanie do służby wojskowej z dzisiejszą datą, nakaz stawienia się w sobotę o szóstej rano na odwachu w koszarach przy Wadangerstrasse<sup>31</sup>. Za dwa dni. Obok

---

31 Ul. Jagiellońska.

kartka z notesu zapisana ołówkiem. Kilka pośpiesznych zdań:

*Chciałem uciec, ale nie mam dokąd. Postanowiłem skończyć ze sobą. Wojny, frontu, nie wytrzymam. Wolę zdechnąć świadomie, z własnej woli. Nie szukaj trupa, nie znajdziesz, o wszystkim pomyślałem. Nie miej za złe, zapomnij, żyj. Tej kartki nie wyrzucaj, pokaż policji, jeśli będzie trzeba. Engo.*

Nie wybuchła płaczem. Wyskoczyła z mieszkania, kilka stopni wyżej, przez półpiętro, od razu na strych, bo samobójstwo jakoś tak odruchowo skojarzyło się jej ze strychem. Służąca weterynarza Grommelta wieszala tam akurat pranie, spojrzała na nią jak na idiotkę. Zbiegła potem do piwnicy – pozamykane drzwi, rząd solidnych kłódek, oświetlony korytarz, prosty, bez zakamarków. Nie wiadomo po co wyszła przed dom. Mróz tężał, śnieg padał coraz gęściej w głębokiej ciszy, oblepiał żelazne parkany, bluszcz w ogródku. Nie warto było nawet się rozglądać. Biel i biel. Przez śnieżną zaćmę ledwo majaczyły sąsiednie domy i wylot ulicy. Wracając, zderzyła się w sieni z sąsiadką.

– Przepraszam, czy nie widziała pani mojego... brata? Czy może coś pani dzisiaj słyszała od nas z góry?

– Nie! – rzuciła tamta ostro i minęła ją, nie patrząc.

Skuliła się na łóżku, przeleżała w ubraniu całą noc. Na przemian trzęsła się z wściekłości i płakała z żalu, tęskniła i nienawidziła. „Zdolny do czegoś takiego! Jak mógł mi to zrobić?” – myślała w jednej chwili, a zaraz potem: „Zasrany świat! Co to za życie, dla którego jedynym logicznym rozwiązaniem staje się śmierć!”. I ta bezradność. Co dalej? Powiedzieć o tym w teatrze? Może zgłosić na policję, tak jak chciał? Albo iść do koszar i pokazać tę kartkę? Przecież jemu już nic nie zaszkodzi. Ale wyobraziła sobie śledztwo, wezwania na gestapo, przesłuchania, własny strach. A może, gdy będą pytać, zagra naiwną, zdradzoną, prostytutką: „Jakie powołanie do wojska? A ja nic nie wiem! Poszedł sobie do jakiejś zdziry, złapię, to kudły powyrywam, a jemu pysk obję na granatowo!

Łajdak i świnia jak każdy chłop!”. Zagrałaby z łatwością, to bardzo proste zadanie aktorskie.

Ocknęła się w południe zdrętwiała, z bólem głowy. Nawet nie pomyślała, by iść do teatru, choć czekał na nią Taubert. Jak automat zaczęła zbierać rozrzucone rzeczy Engo i pedantycznie układać je z powrotem w szafie, tak jak lubił. Na pokrywie pianina zostawił w równym rzędku swój kosztowny zegarek Cartiera, złotą papierośnicę, sygnety, wieczne pióro ze złotą skuwką i portfel z dokumentami.

Ten portfel zabił w niej nadzieję, że może jednak stchórzy, cofnie się, spróbuje uciec gdzieś daleko. W Niemczech nie można przecież zrobić kroku bez papierów ze zdjęciem! Mimo to czekała przez cały następny dzień, w nocy budziła się co chwilę, nasłuchiwała, czy nie idzie po schodach, nie puka do drzwi. W sobotę rano, tknięta głupim przeczuciem, postanowiła jechać do koszar. Wysiadła z trolejbusu koło remizy tramwajowej, prawie biegła pod górę Wadangerstrasse. Było ciemno, chrzęścił zmrożony śnieg. Pusto, tylko grupka cieni ze spuszczoneymi głowami wślizgujących się do kościoła St. Josephi<sup>32</sup> na raty. Przed koszarami latarnia jak w „Lili Marleen”, o dziwo – świecąca, pod nią kolejka starszych, marnie ubranych mężczyzn i żegnających ich przerażonych kobiet. Dwaj wartownicy flegmatycznie sprawdzali wezwania, wpuszczali pojedynczo, pokrzykując, by nie rzucać niedopałków na chodnik. Stała po drugiej stronie ulicy, ściskając w kieszeni kartkę z listem. Szósta dawno minęła. Engo tam nie było.

W niedzielę ze zdziwieniem usłyszała w radiu transmisję nabożeństwa z katedry w Königsbergu. „Musi być źle, skoro Goebbels pozwala na takie rzeczy” – pomyślała i w tej chwili ktoś zadzwonił do drzwi. Dwóch żandarmów, a z nimi po cywilnemu mały człowieczek w grubych okularach.

– Czy tu przebywa aktor Engelbert Hagelstein, syn Margarete i Teodora, lat trzydzieści cztery?

---

32 Kościół św. Józefa przy dzisiejszej ul. Jagiellońskiej.



Tłumaczyła bezmyślnie, że niedawno ją porzucił i wyprowadził się nie wiadomo dokąd. Może wyjechał. Ona nic nie wie o żadnym powołaniu na front i nie chce wiedzieć, ale dobrze mu tak, bo go nienawidzi. Na wszelki wypadek rozbeczała się scenicznie, do tego z kapiącymi łzami.

– Wyprowadził się? Proszę nie kłamać – człowieczek bez ceremonii rozwarł na całą szerokość drzwi szafy i wskazał rząd marynarek Engo, kamizelki, wieszak z krawatami, sterty męskiej bielizny.

– A to? Te gacie też pani? On musi się znaleźć dziś do wieczora. Dostanie tydzień karceru i koniec sprawy. Ale jeśli nie, to... – przesunął krawędzią dłoni po gardle. – A pani: *Konzentrationslager*. Co najmniej.

– Tutaj też go szukali, włązili nam do pokoi – powiedziała po południu w teatrze Margot. – Podobno rozstrzeliwują takich w lesie za Jakobsbergiem<sup>33</sup>... – dodała Lisabeth z pełnymi ustami. Jadły we trzy chleb ze smalcem z puszki opatrzonej etykietą *Wehrmacht-Packung* i popijały winem, podając sobie butelkę białego gunderlocha, znaną w szafce tancerki, która – wbrew rozporządzeniom władzy – rozpłynęła się w powietrzu.

– Jego nie rozstrzelają – pokazała im list.

– To nie może być prawda, to aż nierzeczywiste. Był... to znaczy jest zbyt dobrym aktorem – powątpiewały obydwie.

W środku nocy obudziło ją łomotanie do drzwi. Zerwała się, myśląc, że to on. Otworzyła wystraszona, ledwo zdążyła narzucić coś na siebie. Znowu żandarmi, tym razem z oficerem. Wysokim, postawnym, o rysach arystokraty.

– Ustalamy miejsce pobytu dezertera Engelberta Hagelsteina.

– Tu go nie ma. Nie wiedziałam o żadnej dezercji. Myślałam, że po prostu poszedł sobie ode mnie.

– Dlaczego pani nie zameldowała?

---

33 Jakubowo w Olsztynie.

– Miałam zawiadamiać policję, że kochanek mnie rzucił? – zagrała cyniczną i zniecierpliwioną. – Dopiero dziś znalazłam to – podała mu list Engo.

– Jak to dopiero dzisiaj? Gdzie pani znalazła?

– Na klawiaturze w pianinie. Była zamknięta.

– Dlaczego zamknięta?

– No bo nie otwierałam – wydeła usta jak na scenie.

Oficer wcisnął pod brew monokl i wziął kartkę do ręki.

– Zdrajca, najpodlejsza kanalia! – wybuchł po chwili oburzony.

– Cisnąłbym ten list pani w twarz, gdyby... nie była taka piękna! Znam panią, często bywałam w teatrze – zmienił ton, pochylił się, próbował uszczypnąć ją w policzek.

– Wszystkie aktorki to dla was kurwy. Chce pan ze mną spać?

– wypaliła, patrząc mu prosto w oczy. – Mam się położyć czy wypiąć tylek?

Żandarmi spojrzeli spod hełmów, oficer warknął coś do nich, wściekle rzucił list na podłogę i wyszedł bez słowa. Może dlatego, że nie zabrał go ze sobą jako dowodu rzeczowego, miała odtąd takie najścia codziennie, ostatnie o trzeciej w nocy, zakończone rewizją. Już nie tylko mrukliwe sąsiadki z dołu, ale wszyscy sąsiedzi przestali jej się kłaniać, nawet stuletni chyba dozorca Kreft odwracał się na jej widok.

Kilka dni później, gdy wchodziła do teatru, Margolla chwycił ją za rękaw i wciągnął do portierni. Bez słowa rozwiązał rzucony w kącie toboł z jakiejś kapy czy serwety. Zobaczyła pognieciony trencz Engo, brudne i zeszytywniałe ubranie, zimowe buty. Poznała od razu. Poczula ucisk w gardle, zasłoniła usta dłonią.

– Znalazłem to koło przerębli na Langsee<sup>34</sup>. Mieszkamy zaraz niedaleko. Właściwie nie ja, mój znajomy znalazł.

Margolla zgłosił to do Gestapo, chociaż nie chciała. Upierał się, że tak będzie najlepiej. Tajniak, który przyszedł spisać protokół dla wojska, wywracał kieszenie, szukał inicjałów na pasku, cholewkach, bieleźnie.

---

34 Jezioro Długie.

– Perfidny topielec. Takie sztyblety zostawić. Zupełnie nowe – oglądał podeszwy.

– Niech pan sobie weźmie. Jemu niepotrzebne.

– No, no!... Bo oskarżę o łapówkę! Ja to zabieram do depozytu!

Od tej pory skończyły się nocne najścia, ale nie mogła już wytrzymać w mieszkaniu pustym bez Engo. Skończył się też węgiel, nie miała głowy do załatwiania nowego przydziału, stania w kolejce po brykiety. Wieczorami nie słuchała radia, nawet nie zapalała światła. W lodowatej sypialni zagrzebywała się pod wszystkimi kocami i pierzynami. Mimo tego drętwiała z zimna, które nie pozwalało na sen. „Jak w kostnicy!” – mówiła sobie, leżąc w bezruchu. O świcie czym prędzej biegła mroźnymi ulicami do teatru. Spędzała tam całe dni. Było przynajmniej w miarę ciepło, bo na parterze urządzono ambulatorium wojskowe i Delius musiał ogrzewać cały budynek. Ćwiczyły z Lisabeth arie, akompaniując sobie wzajemnie, czasem szeptały nowiny przy stoliku czynnej jeszcze restauracji w przyziemiach, wydającej kartkowe obiady. Z Deliusem próbowała rozmawiać o repertuarze następnego sezonu, który kiedyś przecież nadejdzie, będzie musiał nadejść. – To bajki, strata czasu, Fräulein Bilitewski. Nie jestem fantastą! – zbywał ją i uciekał do gabinetu. Za każdym razem zabierała z domu trochę swoich rzeczy, wreszcie postanowiła przenieść się do teatru na stałe. „Rozdział życia” – pomyślała, zamykając drzwi przy Schillerstrasse, klucze bez pożegnania powiesiła na klamce dozorczy. Zamieszkała z Margot, smagłą brunetką obsadzaną w rolach tragicznych, wspaniałą Klärchen w „Egmoncie” Goethego, której poprzednia współlokatorka zniknęła podobnie jak wielu innych, a po miesiącu odezwała się pocztówką z Bad Ischl, podpisaną drukowanymi literami jako „wujaszek Ingolf”.

Tymczasem armia sowiecka przekroczyła dawne granice, polską i litewską. W gazetach pisano o tym półgębkiem, w państwowym radiu nie mówiono wcale. Zresztą nie słuchały Grossdeutscher Rundfunk, wieczorami bez żadnych obiekcji rozbrzmiewały na ich piętrze głosy i melodie z dalekich stolic innego, zakazanego

świata. Za to zza okna raz po raz dochodził megafonowy wrzask samochodu-szczekaczki, w kółko odtwarzającego odezwę nadburmistrza Schiedata o wierności niemieckiej krwi i o tym, że Prusy Wschodnie zostaną obronione. W mieście nie widać było paniki, bo ludzie zamykali się po domach. Coraz częściej też ogłaszano alarmy przeciwlotnicze, chociaż na razie nikt nie widział tu samolotu wroga. Wyły syreny, jedna tuż nad głowami, na dachu teatru. Początkowo wszyscy zbiegali ze służbowych pokoi w podziemia, najniżej, aż do największej zapadni pod dużą sceną, ale potem już im się nie chciało.

Nocami przewracała się na wąskim łóżku, zazdroszcząc Margot zdrowego snu. Nie mogła „zapomnieć i żyć”, jak jej nakazywał w liście Engo. On może by tak umiał. Pewnie powinna kogoś zawiadomić. Oczywiście nie była żoną. Kiedyś wspomniał o jej istnieniu, a ona więcej nie pytała. Na pewno siostrę i samotną matkę, od których nigdy nie dostawał listów. Gdzieś są zapisane adresy. Zwlekała z tym, nie czuła się na siłach, przynajmniej na razie nie. Wiedziała tylko, że musi czekać, aż stopnieje lód, odnaleźć go, pochować po ludzku. Zapominała, jak chciał, owszem, ale zapominała o wojnie i o tym, co może zdarzyć się w ciągu najbliższych dni. Czasem, gdy ocknęła się nad ranem, wydawało jej się, że jest obok. Jak kiedyś przy Schillerstrasse, gdy nagle obudziło ją światło nocnej lampki i zobaczyła, że leży oparty na łokciu i przypatruje się jej skupionym wzrokiem, jakby uważnie oglądał fotografię albo obraz.

– Lawa – wyszeptał.

– Zwariowałeś? Daj mi spać! – mruknęła sennie.

– Lawa – powtórzył i dotknął jej czerwonych włosów rozspanych na szarej poduszce.

W święta Bożego Narodzenia miasto zapadło w letarg. Wyludnione ulice zasypywał gęsty śnieg, stanęły tramwaje, tylko samotny samochód-szczekaczka buksował w koleinach. Alma, od zawsze zajmująca pokój służbowy w teatrze, przyniosła paryski żurnal z wykrojami. Któraś wpadła na pomysł, żeby cichcem zgarnąć

z portierni klucz do pracowni krawieckiej, od wielu miesięcy nieczynnej. Przez dwa świąteczne dni szyły sobie lekkie sukienki z leżących tam bel materiałów przeznaczonych na kostiumy.

– Czy będzie wiosna? Może już nigdy nie będzie? – pytała Lisabeth przez terkot maszyny.

– Oskarżać nas o złodziejstwo! Ale niby kto mógłby oskarżyć? – straszyla i jednocześnie uspokajała się Margot. Wieczorem upiły się weinbrandem z zapasów Heiniego. Tłusty Baldur w czerwonym sombrero grał na gitarze i śpiewał dyszkantem meksykańskie piosenki, one tańczyły rumbę, której nie wolno było pokazywać w niemieckich teatrach.

Wczesnie rano usłyszała pukanie. Z trudem podniosła głowę ciężką od alkoholu, chwiejnym krokiem dokuśtykała do drzwi, otworzyła. Stała tam Lisabeth w płaszczu narzuconym na koszulę nocną, z kawałkiem mydła, ręcznikiem i latarką na rzemyku, nie przestraszona, ale kompletnie zbaraniała.

– Klaro, nie mogłam spać, zesłam rano na dół, do kranu przy kotłowni, tam gdzie jest ciepła woda, i zobaczyłam... ducha twojego Engo!

– Co widziałaś? Co ty pleciesz, do cholery?

– Przysięgam! Widziałam ducha Engo! Przeszedł koło tego pomieszczenia z hydroforami, akurat zaświeciłam latarką. Błady, w jakimś czarnym kombinezonie. Popatrzył na mnie tylko, twarz miał taką gipsową, białą jak posąg...

– Pamiętaj, więcej tyle nie pij!

– Krzyczałam za nim. Nawet pobiegłam. Zniknął, wyparował, jakby go nie było.

– Ty w ogóle nie możesz pić! Idź, połóż się jeszcze. Weź aspirynę!

Zaraz po Nowym Roku nadeszła fala silnych mrozów, wiatr przywiewał swąd spalenizny, który czuło się w każdym łyku powietrza. Nocami słyszały coraz wyraźniejszy pomruk, podobny do dalekiej burzy. Niósł się aż do rana, słabł i nasilał. Z okienek najwyższej kondygnacji gmachu, przy pomostach technicznych nad sceną,

można było zobaczyć ciemnoczerwoną pręgę opasującą horyzont, od południa za sylwetą ratuszowej wieży, od zachodu za wiaduktami i nasypem kolejowym. Podobna do zorzy albo wczesnego świtu latem, tylko że co chwila rozbłyskała pomarańczowo i rosła z nocy na noc. Państwowe radio i gazety przechwalały się sukcesami „naszej bohaterskiej armii” oraz zapewnieniami o obronie *Provinz Ostpreussen*, ale wykrzykiwane histerycznym głosem komunikaty z megafonów otwarcie już groziły śmiercią za opuszczenie miasta. Nielegalnie wyjeżdżało jednak coraz więcej ludzi, nawet kolejki przed sklepami mocno się przerzedziły, mimo że ogłoszono brak pokrycia kartek i trzeba było polować na przydziały chleba, mięsa i margaryny. Nagle, bez zapowiedzi, zniknęli z teatru Baldur i Heini, potem Alma, która zostawiła wszystkie swoje klamoty i wyszła tylko z małą walizeczką, żeby nie budzić podejrzeń. Za nimi reszta tancerzy i muzyków orkiestry, pomieszkujących jeszcze dotąd w pokojach służbowych. W połowie stycznia uciekł sam Delius. Dyrektorski gabinet na pierwszym piętrze zastały opróżniony do cna, bez jednego papierka czy bibelotu, z kołyszącymi się na zawiasach otwartymi drzwiami szafy pancерnej; tak jakby nikt nigdy go nie zajmował. Zajrzały do komórki naprzeciw. Leżały tam w kurzu stosy zapasowych kopii tekstów scenicznych, a dalej jakieś malowidła, odwrócone i oparte o ścianę; dziesięć, może więcej. Zaczęły oglądać z ciekawości. Podobały im się, choć były dość staromodne. Prześwietlone słońcem pejzaże i portrety. Katedra, uliczki starego Allenstein, dzieci bawiące się na podwórku, damy w kunsztownych fryzurach. Inny, spokojny świat! Nic z nowoczesności Klee, Dix'a czy Grossa, za których wystawami szalał Berlin; jeszcze przed Hitlerem, rzecz jasna. Zabrały kilka do swoich pokoi. Potem Margolla powiedział im, że to obrazy niejakej Friedy Strohmborg, kiedyś bardzo cenionej, popularnej w mieście, gwiazdy towarzystwa. Przez wiele lat wisiały w foyer, chociaż dawno stąd wyjechała.

– Jeszcze Theiling kazał je zdjąć zaraz po wyborach w trzydziestym trzecim, bo była Żydówką. A przedtem sam urządzał jej

koktajle i wernisaże, dobrze pamiętam. To była szykowna młoda kobieta – opowiadał.

Margolla zwierzał się, że nie wie, co robić. Wszyscy szepcą po kątach o ucieczce, pakują się, wypłacają gotówkę z banków, na wsiach specjalnie przygotowują wozy albo sanie. Po znajomości załatwił wyjazd żony i wnuków niby w odwiedzinach do córki we Fryburgu. Ale tu ma dom przy Militär-Chaussee<sup>35</sup>, zbudowany własnymi rękami, meble, ogród i teatr zrośnięty z całym jego życiem, gdzie jeszcze jako chłopak przed tamtą wojną w sali Kornega w Deutsches Haus<sup>36</sup> ustawiał dekoracje, obsługiwał światła, nawet sprzedawał ciastka i programy, a w nowym gmachu znał każde urządzenie i każdy zakamarek. „I teraz co? Zostawić to wszystko? Tak sobie, w jednej chwili wstać, odejść, machając rękami, i zamknąć drzwi?”.

Niedziela 21 stycznia była pogodna i słoneczna, na termometrze dziesięć stopni mrozu. Poprzedniego dnia, gdy tylko wyszła rano z teatru, nad samymi dachami przeleciały z potwornym dudnieniem trzy samoloty, mignęły czerwone gwiazdy na skrzydłach. Nie ogłoszono alarmu, nie zawyła żadna syrena. Za chwilę po raz pierwszy od początku wojny usłyszała strzały – serie z karabinów maszynowych. Przerażeni przechodnie kryli się po bramach. Teraz, mimo niedzieli, na ulicach nagle zaroilo się od ludzi. Przechodziły jakieś oddziały wojska, także rannych z obwiązanymi głowami i rękami na temblakach, ale dźwigających karabiny, jedna za drugą sunęły ciężarówki wyładowane czymś pod plandekami. Przez szum silników przebiegał się charczący komunikat ze szczekaczki. Schiedat wreszcie zarządził natychmiastową ewakuację miasta w obliczu inwazji radzieckiej. Będzie porządek! Każdy ma spakować najniezbędniejsze rzeczy, podpisać nazwiskiem

---

35 Ul. Szarych Szeregów.

36 Sala w istniejącym do 1945 r. reprezentacyjnym hotelu, gdzie do roku 1925 wystawiano spektakle teatralne. Później zamieniona na kino, po wojnie kino Odrodzenie.

i adresem, wystawić przed drzwi domu, a samemu udać się na dworzec kolejowy. Bagaże zbiorą z miasta wojskowe samochody, pociąg towarowy zawiezie je do Gelsenkirchen w Westfalii, a na czterdzieści tysięcy mieszkańców mają czekać specjalne pociągi ewakuacyjne. Ludzie przestali bać się władzy, klęli, pomstowali głośno: „Sam pewnie już dawno siedzi na dupie w tym Gelsenkirchen z żoną, córkami i służącą!”.

Margot i Lisabeth zdecydowały się natychmiast, ona stanowczo zapowiedziała, że zostaje. Nie chciały jej pozwolić.

– Tani sentyment – perswadowały. – Ani go teraz nie wyciągniesz spod lodu, ani nie pochowasz. Antygona się znalazła! Życie to życie, nie bajdy na scenę. Ależ ty głupia jesteś!

Nie dała się przekonać. Jednak po ich walizki, wystawione przy tylnym wejściu do teatru, nikt nie przyjechał, chociaż czekały całe popołudnie. Zabrały je w końcu, przeklinając Kocha i Schiedata, i postanowiły same zanieść na dworzec. Pożegnała się z nimi, odprowadzając alejką do ulicy. Przed teatrem, w zapadającym zmroku, całą szerokością Hindenburgstrasse przelewał się już spanikowany tłum, rzeka głów z plecakami, pakunkami, wózkami dziecinnymi, roztrącana przez samochody bez świateł, skręcająca w Bahnhofstrasse<sup>37</sup>. Co jakiś czas widać było błyski i słyszać dalekie eksplozje. Jedni mówili, że to sowiecka artyleria, inni – że nasi wysadzają magazyny, by się nie dostały w ruskie łapy.

Po północy wróciła Margot, skostniała z zimna, wykończona i zrezygnowana. Cały plac dworcowy i przyległe ulice zapchane ludźmi, na środku olbrzymia piramida toreb, kufrów i waliz byle jak zwalonych z ciężarówek, bo wagonów towarowych wcale nie podstawiono. Ciemno, mróz spadający do dwudziestu stopni, ludzie tratujący się wzajemnie, przekleństwa i płacz. Pijani samani wpuszczali na dworzec tylko kobiety z dziećmi. Podobno odprawiono trzy pociągi, podobno dygnitarze w ostatniej chwili

---

37 Ul. Partyzantów.



wywozili skrzynie sreber i porcelany. Lisabeth przepadła gdzieś w tłumie. Może udało się jej odjechać albo chociaż dopchać na perony, może nie.

Ledwo zdążyły wypić ersatz-herbatę z resztką wódki, kiedy od strony miasta usłyszały odgłosy wybuchów, a potem wystrzały, chaotyczną kanonadę. Ktoś przeraźliwie krzyczał, tak że ten krzyk dochodził przez grube mury. Okno, niezasłonięte roletą, zajaśniało czerwonym blaskiem. Po żelaznych stopniach i pomostach pobiegły na górę, nad scenę, do okienka w dachu. Naprzeciw, przy Kreuzstrasse<sup>38</sup> i na Kleebergerstrasse<sup>39</sup>, dalej w okolicach Belian-Platz<sup>40</sup> paliły się już pojedyncze domy. Ogień barwił na różowo kłęby pary zmieszane z dymem, które zaczynały się wzbijać także w wielu innych miejscach zaciemnionego miasta. Na środek Hindenburgstrasse wyjechał czołg, opuścił lufę i strzelił wzdłuż ulicy, wzniciając kulę płomieni i kolejny pożar, zadrżały szyby. Z niewidocznych podwórek dochodziły odbite echem suche trzaski broni ręcznej, głośnie jęki, zawroźnienie, płacz dzieci i wrzask w obcym języku.

Nie mówiły nic do siebie, patrzyły, zagryzając usta.

Zostały zupełnie same w ogromnym, pustym gmachu. Ukryły się na najwyższym piętrze, w pomieszczeniu z widokiem na scenę przez wąski lufcik, służącym kiedyś technikowi od transmisji radiowych, rzadko używanym. Trzeba było przedrzeć się przez malarnię i ciasno upchnięte, sięgające pod sufit elementy dekoracji z ostatniego sezonu, przejść przez umywalnię dla pracowników, wspinać się po stromych schodkach. Zawlokły tam sienniki, trochę ubrań i to, co zostało do jedzenia. Spędzały całe dnie w półmroku, nocie bez snu, czasem tylko wymykały się do okienka w dachu. Prawie nie rozmawiały ze sobą, jeśli już, to tylko o tym, co teraz, co w tej chwili – że trzeba nazbierać wody do wiader,

38 Ul. B. Linki.

39 Al. J. Piłsudskiego.

40 Pl. Jedności Słowiańskiej.

dopóki jest w kranach, że trzeba jakoś sobie radzić i umywalnię potraktować jak ubikację. Dziwne, prąd i woda były w gmachu jeszcze przez wiele godzin, zanim ich zabrakło. Na początku też nikt nie wchodził do teatru. Dopiero później siedziały struchlałe pod ścianą i nasłuchiwały dochodzącego z dołu łomotu ciężkich buciorów, krzyków i śmiechów, odgłosów rzucania, rozbijania, demolowania, czego się dało. Widziały, co dzieje się w mieście. Przez okienko wdzierał się smród spalenizny, pożary jednak jakby przygasły. Z góry widać było chmary postaci w kufajkach i uszankach, wojskowe samochody, leżące na chodnikach trupy cywilów, których nikt nie uprzątał. Nocami znów słyszały strzały, tu i tam wybuchał ogień.

– To jest beznadzieja. Dłużej tak nie mogę. Wychodzę – powiedziała trzeciego dnia Margot.

– Głupstwo robisz. Opamiętaj się.

– *Scheisse!* Nie bój się o mnie, szczęście w życiu miałam tylko wtedy, gdy robiłam najgłupsze rzeczy. Chodź ze mną.

– Nie. Ja mam szczęście tylko w beznadziei.

Wieczorem Margot wtarała kilka kropel perfum, pomalowała usta i wyszła – w wytwornym futrze, z torebką i w butach z krokodylej skóry na wysokim obcasie.

Jej pozostało czekać i przetrwać. Całym wysiłkiem woli zamknęła się w twardej skorupie, nie czuła już nawet strachu, nie czuła głodu. Przecież te dzikie hordy muszą iść dalej z frontem, musi przyjść jakaś nowa władza, niemiecka, polska, bolszewicka, wszystko jedno. Siedzenie dniami i nocami w małym, ciemnym pokoiku, nasłuchiwanie... Jak skazaniec w celi śmierci, bez światła, sam na sam tylko ze swoimi myślami, ze wspomnieniami, które starała się odciąć, unieważnić, żeby nie zwariować. Nie ma teraz, nie ma przeszłości, liczy się tylko to, co może być, i dlatego trzyma się przy życiu. Którejś nocy kilkunastu z nich wpadło na scenę, do tej pory niewidoczną w ciemnościach. Patrzyła z wysoka, nie myśląc nawet, że mogą ją zauważyć. Świecili latarkami, zapalili kilka lamp stojących. Byli pijani, wrzeszczeli i śpiewali,

wywelekli jakąś otomanę, stół, pili z blaszanego kubka zanurzanego w bańce od mleka. Rozbili widocznie magazyn kostiumów, bo powkładali damskie peruki, okręcali się kolorowymi lachmanami, jeden przebrał się w strojną suknię Minny von Barnhelm ze sztuki Lessinga i uradowany skakał, tańczył i przymilał się do innych. Najstarszy, z siwym zarostem, wycinał skoczne kawałki na harmonii, przytupując walonkami. Szaleli tak kilka godzin, nad sceną latały rekwizyty ananasów z papier *mâché*, pojedynkowali się na szprajsy do podpierania dekoracji, aż w końcu jeden spuścił spodnie, wypiął się w stronę widowni i zdefekował, wzbudzając salwy basowego śmiechu. Wtedy, zatykając nosy, uciekli za kulisy, któryś rzucił lampę między rzędy pustych krzeseł. Rozlała się po nich płonąca nafta, uderzył dym, zrobiło się jasno.

Zerwała się, pobiegła pomostem w stronę wyjścia na dach. Przyśiadła w załomie muru. Zginie w pożarze, zginie w zgłiszczach teatru! Śmiercią aktorki! Pewnie tak musiało być, tyłu naokoło zginęło, każdy przecież o czymś myślał w ostatnich chwilach, więc może lepiej w ogóle nie myśleć? Siedziała tak długo, pewnie do rana, bo nie docierało tam światło dnia, i... nic się nie stało, pożar nie wybuchł. Wróciła do swojej kryjówki, ostrożnie wyjrzała przez podłużne okno. Widownia i scena znów były zatopione w ciemnościach, płomienie cudem jakimś zgasły, niósł się tylko swąd spalonych szmat, panowała cisza.

Przed wieczorem, przechodząc przez malarnię do otworu w dachu, lawirowała po omacku między spiętrzonymi na sobie ścianami z dykty, tekturowymi kolumnami, makietami kominków i gzymsów. Nagle koło wyjścia, w jaśniejszej smudze wpadającej przez świetlik, zobaczyła szarą, nieruchomą postać. Cofnęła się jak uderzona, zakreśliło jej się w głowie. Musi być chora! To omamy z głodu i ze strachu! Nie uwierzyła oczom – przed nią stał Engo!

– Jak to?... – wydusiła z siebie po dłuższej chwili.

– Nie bój się, żyję. Duchów nie ma – odpowiedział tak samo speoszony. Był wynędzniały, w zniszczonym ubraniu, ale na pewno on.

Nie miała zamiaru rzucać mu się na szyję, wiernie zaglądać w oczy, płakać i spazmować jak melodramatyczna kochanka.

– Jak mogłeś to zrobić?! Dlaczego mi, *verfluchte Scheisse*, nie powiedziałeś?!!

– List był po to, żeby cię uchronić. Poszłabyś do lagru, gdybym zwał ot tak sobie, bez słowa. Chciałem jeszcze napisać, że sram na Hitlera i na tę szajkę zwyrodnialców, ale oskarżyliby ciebie, że myślisz tak samo. Margolla mi pomagał, przynosił żarcie, kupił lewe papiery. Do końca wojny nazywam się Schulz. Ja cały czas byłem tutaj.

– Tu? W teatrze? Przez dwa miesiące?

– Teatr jest ogromny, można się schować. Ale teraz nie ma już czasu. Idę do portu w Pillau<sup>41</sup>, tam jeszcze Ruscy nie wleźli, płyną statki do Stralsundu. Idź ze mną.

– Oszalałeś? Piechotą do Pillau? Zabiją cię.

– To nie tamta wojna, nie ma linii frontu. Trzeba trochę sprytu, myśz się prześlizgnie.

– Nie pójdę. Nie mam siły.

Przekonywał, że w żadnym wypadku nie będzie mogła tu zostać.

– Jutro, pojutrze zajmą budynek. Znajdą cię. Chyba wiesz, co robią z kobietami. A potem zakłują bagnetem.

– To przecież sto kilometrów, więcej nawet! Zdechnę gdzieś po drodze... A ciebie zabiją ci albo tamci.

Powiedział jej twardo, że kiedy się ściemni, musi natychmiast wyjść i dostać się na plebanie katedry St. Jacobi<sup>42</sup>, do księdza Hanowskiego, powołać się na niego i na Margollę. Jeśli tylko tam dotrze, jeśli jej się uda, to ma pół szansy, że przeżyje. Tylko parę kroków przez miasto, ale teraz łatwiej chyba piechotą dojść do Pillau albo do Königsbergu.

– Ksiądz jest jedynym, z którym Ruscy tu rozmawiają. Pozna cię, na pewno pamięta z teatru.

---

41 Pilawa, ros. Bałtyjsk.

42 Bazylika konkatedralna św. Jakuba.

Wiedziała, że go nie zatrzyma, nawet nie próbowała. Podeszła z nim do drzwi. Dał jej jeszcze parę sucharów, puszkę skondensowanego mleka i pudełko odżywki dla dzieci.

– Zaczekaj... – chwyciła go za rękę. – Przecież mam twój zegarek, papierośnicę, sygnety.

– Przydadzą ci się. Żyj. Musimy, kiedy to się skończy... Musimy... – dotknął ustami jej czerwonych włosów i zrobił krok w ciemność.

Jak na złość noc była jasna, ścisnął ostry mróz. Spojrzała w dół oświetlonej księżycem Jacobstrasse<sup>43</sup> z gotycką bramą starego miasta na końcu. „Jak z obrazu tej Strohmberg...” – przemknęło jej przez myśl. Kamienice po obu stronach stały ciemne, z wybitymi szybami, z niektórych okien unosił się dym, w kilku błyskały mdłe światelka, dochodziły jakieś głosy. Na chodnikach leżały stosy połamanych mebli, potłuczonych naczyń, rozprutych kołder, nawet zrzuciona z wyższych pięter płyta kuchenna ze sterczącą rurą. Między nimi co parę kroków jakby kupy skotłowanych, brudnych łachów. Kiedy mijała najbliższą, okazało się, że to ludzkie ciało. Wiatr podrywał nad tym rumowiskiem chmury pierza. Szła jak w amoku, od bramy do bramy, nie myśląc, nie czując. U wylotu ulicy, pod murem drukarni Haricha, natknęła się na Margot. Obdarta prawie do naga, z rozrzuconymi nogami, zmasakrowaną połową twarzy, cała w czarnych grudach zamarzniętej krwi. Obok na śniegu podeptana torebka z krokodyla. Minęła ją, przyśpieszając kroku i nie oglądając się za siebie. „Zapomnij, żyj!” – powtarzała słowa Engo. Usłyszała skądś donośny, rosyjski śpiew, obeszła to miejsce przez ciemne podwórka. Po Zeppelinstrasse<sup>44</sup> jeździły wojskowe samochody, szczególnie nikt nie zauważył, jak przebiega ulicę i znika między domami.

Książd Hanowski zabronił jej wychodzić na zewnątrz. Kilkanaście osób sypiało u niego pokotem w kancelarii, salce parafialnej

43 Ul. M. Skłodowskiej-Curie.

44 Ul. 11 Listopada.

i jadalni. Wszyscy chowali się do piwnicy, gdy przychodzili sowieccy oficerowie. Widziała ich z daleka. Zupełnie inni niż ci na ulicach – ogoleni, w odprasowanych mundurach, przynosili koniak i kawior. Ksiądz kilka razy długo z nimi rozmawiał. Podobno uratował w ten sposób od zniszczenia kościoły Allenstein, wybłagał ewakuację dzieci z sanatorium Dorotheenhaus, załatwiał sowieckie przepustki i glejty. Po to, żeby czymkolwiek się zająć, pomagała w kuchni albo przy praniu. Raz, późnym wieczorem, rezydenci plebanii poprosili, by zaśpiewała. Miała drewniany, dawno niećwiczony głos, musiała akompaniować sobie z pamięci na rozstrojonym pianinie. Niechętnie słuchali „Ave Maria” Schuberta, chcieli czegoś do śmiechu, pogodnego, wesołego, arii Offenbacha, Straussa. Ale gdy je śpiewała – płakali.

Po kilku dniach ksiądz zawołał ją do siebie.

– Siostry katarzynki z Heilsbergu<sup>45</sup> zgodziły się przechować panią przez jakiś czas – pokazał małą karteczkę. – Przywiózł to jeden porządny, zaufany człowiek. Jutro tam wraca, ma ruską przepustkę dla dwóch osób, zabierze się pani z nim. Tu robi się jeszcze gorzej, frontowe oddziały wychodzą z miasta, wejdzie „czerezwyeczajka”. Może już się nie zobaczymy.

„Zaufanym człowiekiem” okazał się, ku jej radości, Margolla, który nazajutrz zajechał przed katedrę saniami zaprzężonymi w jednego konia.

– Wiem, wiem! – rzucił do niej z kozła zamiast przywitania. Załadowano beczkę kapusty i dwa worki mąki dla sióstr, okryła się grubym, szorstkim kozuchem, wyruszyli. Jadąc pod górę Hindenburgstrasse, minęli teatr. Engo miał rację. Kręciła się tam już chmara żołdatów, ciężarówki stały tyłem do otwartych szeroko pięciorga drzwi, po rewiowych schodach gęsiego znosili i wrzucali pod plandeki wszystko, co się dało. Poznała nawet żelazne łóżka z pokoiów służbowych. Za miastem, na drodze do Diwitten<sup>46</sup>, mi-

45 Lidzbark Warmiński.

46 Dywity.

nęli posterunek. Nie wiedzieli, jak ważne pieczętki postawiono na przepustce i co napisano rosyjskimi bukwami, ale musiała być mocna, bo żołnierz potraktował ją z wielką czcią, jak relikwię. Uroczyście zasalutował. Nie im, temu świstkowi papieru. Zaraz też skręcili w leśną przesiekę, potem w zawianą śniegiem, ledwie widoczną drogę między polami. – Ja jestem stąd, znam każdą wioskę. Pojedziemy bokiem, lasami. Niech się pani nie boi – pocieszał Margolla. Chwilami ogarniała ich wielka, biała cisza rozlana po horyzont, jakby nie było wojny. We wsiach straszyły jednak spalone domy, inne trwały w tej ciszy bez śladu życia.

Bała się o los Engo. Margolla słyszał w angielskim radiu, że Rosjanie zatopili kilka statków z uciekinierami, także tych płynących z Pillau, nawet jeden wielki transatlantyk z dziesięcioma tysiącami ludzi. Mówił też, że na placu przed dworcem, tam gdzie została Lisabeth, mordowali wszystkich jak popadło. Całe podziemne przejście jest po brzegi zavalone trupami.

Przed nocą zatrzymali się na kolonii za jakąś wsią. Spali w ubraniach przy kuchennym piecu, obok w dwóch izbach same kobiety – żona gospodarza, jego siostra i stara matka, córki i małe dziewczynki z sąsiedztwa. Gospodarz, krewniak Margolli o tym samym nazwisku, młody jeszcze człowiek bez ręki, siedział całą noc przy oknie, otwarta też była kłapa do piwnicy, przygotowane linoleum, ciężkie konwie, kredens do jej przykrycia i zastawienia. Margolla gadał z nim w tym dziwnym, szeleszczącym języku, jaki czasem słyszała na ulicach Allenstein.

– Żadne auto nie przejdzie przez zaspy, ale oni jeżdżą na koniach. Mogą wpaść do wsi w każdej chwili, tak jak tydzień temu – pokazał głową trzy kopczyki z krzyżami pod ścianą domu naprzeciw.

Gdy następnego dnia dojeżdżali już do Heilsbergu, zza budki przed przejazdem kolejowym wysunęło się dwóch z pepesami wymierzonymi z biodra, za nimi trzeci, widać starszy stopniem, w kozackiej papasze. Koń zarył w miejscu, ślizgając się kopytami. Pierwszy sprawdził papiery i oddał, ale drugi podszedł z innej strony, podniósł lufą szal, którym miała owiniętą głowę.

– *Wot, kakaja ryżaja krasawica! Nu, dawaj, da my pogulajem niemnożko...*

Margolla próbował coś powiedzieć, dostał kulakiem w kark.

– *A ty ruki w wierch, staryj pierdun! Ubju!...*

Podniósł ręce posłusznie, upuszczając bat.

– *Nu, krasotoczka...* – żołdat pchnął ją niecierpliwie. Nie namyślając się, wyciągnęła zegarek Engo i podała mu na otwartej dłoni. Ślepią rozbłysły, opuścił broń. Wtedy ten w papasze, pewnie dowódca patrolu, przyglądający się dotąd z boku, skoczył nagle, wyrwał podwładnemu złotego Cartiera z ręki i wrzucił sobie do kieszeni.

– *Wot proklatyj wor<sup>47</sup>, jebit’ twoju mat’!!* – ryknął mu w twarz, sięgając do kabury z pistoletem. – *A ty zjeżdżaj stąd, dziadu, że-bym was więcej nie widział!* – rozkazał po niemiecku Margolli.

Przez godzinę nie mogli wydobyć z siebie słowa.

– To Engo nas uratował – powiedziała, gdy otrząsnęli się z przeżenienia i wjeżdżali do Heilsbergu okrężną drogą. – Ale teraz jestem już pewna, że nie żyje.

Miasto było zniszczone, powietrze ciężkie od dymu i spalenizny, gdzieniegdzie dogasały jeszcze pożary. Nad ruinami kamieniczek przy rynku i zwalonym z cokołu pomnikiem jakiegoś jeźdźca górowały ocalałe, szerniały ze starości średniowieczny zamek. Bywała tu kiedyś, rok temu grali „Diablicę” Schönherr. Dom zakonny siostr katarzynek, stojący u stóp zamku, przy brzegu rzeki, również ocalał, ale kwaterowało tam sowieckie wojsko. Zakonnice znaleźli daleko na peryferiach, w baraku, gdzie urządziły coś w rodzaju małego szpitala albo przytułku z garkuchnią. Kierująca wszystkim siostra o imieniu Humilata obrzuciła wzrokiem jej włosy, po chwili zastanowienia wyciągnęła z dna wielkiego pudła dwie szare książeczki.

– Teraz nazywasz się siostra Tycjana. Nomen omen. To twój *Ausweis* zakonny, a to państwowy. Nazwisko – Brix. Przebieraj

---

47 Ros. złodziej.



się – rzuciła jej zwinięty habit. – Takich obłóczyn nikt tu jeszcze nie widział.

– Ale ja... Ja jestem ewangeliczką!

– Jesteś aktorką. Poza tym Pan Bóg nie jest małostkowy, wie chyba, co tu się wyprawia, że ten świat nie bardzo mu się udał. Szybko, nie marudź.

Wyświechtany habit okazał się za duży, na piersi trzeba było założyć biały, półkolisty, wykrochmalony szkaplerz. Sztywna, biała toka nie zmieściła bujnych włosów. W ręce siostry Humilaty błysnęły krawieckie nożyczki, czerwone loki spadły na podłogę. Na dopasowaną już tokę powędrował czarny welon.

Otworzyła obydwie książeczki. Z dwóch identycznych zdjęć spojrzała blada, oficjalnie upozowana twarz, ale jakby z cieniem delikatnego uśmieszku.

– Kim była? Co z nią?

– Nie pytaj. Zresztą o nic tu nie pytaj. Nie miała takich włosów.

Siostry również nie pytały jej o nic. Sypiały w dziesięć w dusznym pomieszczeniu na zbitych z desek pryzkach. Sypiały krótko, żyły w nieustannym strachu, który zabić można tylko pracą od świtu do nocy. Gotowały zupę z tego, co zdobyły, by potem wydawać ją przerażonym, obdartym ludziom. Doglądały chorych, nieustannie prały w ogromnym kotle brudne szmaty, zmieniały opatrunki, nawet same zakopywały zmarłych w płytkich grobach na przyległym pastwisku. Soweci przychodzili także w nocy, żądali dokumentów, rozgrzebywali legowiska, kilkunastu rannych wywlekli nie wiadomo dokąd. Za każdym razem drżały, że spotka je to, co tamte trzy, których martwe ciała leżały w styczniu przed domem zakonnym, albo że jak inne wywiozą je do Rosji.

Choć powtarzała sobie, że tylko gra rolę życia, to jednak wtapiała się powoli we wspólnotę sióstr. Podobała się jej ich powściągliwość, rzeczowość, niepisana zasada niewtrącania się w nieswoje sprawy. Nie było księży, nie odprawiano nabożeństw, ale rano i wieczorem brała ze wszystkimi udział w modlitwie. Deklamowała jednak tylko jej słowa jak poezję ze sceny, bez

głębszych uczuć, za to z troską o intonację, barwę, rozłożenie akcentów.

Pod koniec kwietnia przyjechał na rowerze pierwszy ksiądz, jakiego widziały od kilku miesięcy. Był to Polak ze Wschodu. Odprawił mszę, zamiast kazania zakomunikował, że Heilsberg niedługo będzie się nazywał Lidzbark, Ruscy już opuszczają miasto i obojętnie je polska władza, więc wkrótce przestaną bać się o siebie. Po paru dniach ten sam ksiądz przywiózł wiadomość od polskiego burmistrza: mogli już wrócić do swojego klasztoru nad rzeką.

Budynek był wewnątrz doszczętnie zdewastowany. Pchała taczki z zaprawą, nauczyła się murowania, szklenia okien, kładzenia tynków. Wraz z Polakiem o nazwisku Janus wyszukiwała w pobliskich ruinach przydatne jeszcze kawałki rur, a potem własnymi rękami zakładała instalację wodociągową, bo poprzednią wyrwano ze ścian wraz z kranami i zlewami. Tak płynął miesiąc za miesiącem aż do jesieni. Coraz częściej wydawało się jej, że rola, którą gra, stała się rzeczywistością, że pod tym życiem nie kryje się już żadne inne życie. Nikt przez ten czas nie rozmawiał z nią o jej dalszym losie. Jednak kiedyś w listopadzie siostra Humilata zaczęła taką rozmowę podczas zagniatania ciasta na chleb. Ma nastąpić reforma, powstanie polska prowincja Zgromadzenia. Jeśli chce, może tu zostać, na pewno przyjdą polskie siostry, jeśli nie, może przed końcem roku wyjechać z nią do Nadrenii, do nowego domu generalnego.

– Ależ!... – roześmiała się. – Przecież ja nie jestem zakonnicą! Nie jestem nawet katoliczką! Siostra zapomniała?

– Jesteś. Powołanie pochodzi od Boga, nie z namaszczenia biskupa. Twoje widać gołym okiem. Jest żarliwsze niż wielu innych, nawet tych najpobożniejszych. Obrzędów możesz dopełnić w każdej chwili, jeśli tylko zechcesz.

Ale akurat następnego dnia w strugach deszczu podjechała pod klasztor ciężarówka z drewnianą budą i głośnikami na dachu. Któraś z sióstr zawołała ją do „furty”, jak nazywały wejście od ulicy. Czekał tam drobny mężczyzna, pachnący dobrą wodą kolońską.

Zapach nie z tego świata, ożywczy powiew tlenu. Pocałował ją w rękę, przedstawił się jako Milski i zapytał, czy mówi po francusku.

– Kiedyś mówiłam – odparła niepewnie w tym języku.

Powiedział, że przyjeżdża specjalnie do niej z teatru w Allenstein, który teraz nazywa się Olsztyn. Jest tam kierownikiem artystycznym, przynajmniej na pierwszy sezon, rozpoczynający się już za kilka dni pierwszą premierą. Przywozi jej propozycję od dyrektora Wolickiego: Czy nie poprowadziłaby organizowanego właśnie zespołu baletowego? Zapewnia angaż, mieszkanie, gażę.

– To kompletni amatorzy – przyznawał. – Ludzie bez żadnych umiejętności, ale młodzi, z ogromną determinacją. Biorąc jednak pod uwagę pani zdolności, doświadczenie i fakt, że prowadziła już pani taki zespół w tym teatrze...

– Jak pan mnie znalazł? Skąd pan to wszystko wie?

– Zgłosił się do nas pewien Warmiak, bardzo solidny starszy gość. Jako pierwszy pracownik. Nie było nawet jeszcze aktorów.

– Margolla?

– Zgadza się.

– I ja mam was uczyć? Ja, Niemka?

– To przecież bez znaczenia.

Przebiegł po niej prąd. Teatr. Nie potrafiła wyobrazić sobie odmowy, nie pytała o nic więcej.

– Przyjadę – odparła bez zastanowienia. – Nie wiem tylko kiedy i jak. Pociągi stąd chodzą albo nie chodzą.

– Niech pani jedzie ze mną. Dali mi nawet wóz propagandowy z urzędu pełnomocnika.

– Teraz? Zaraz?

– Tak jest. Teraz, zaraz.

Ucieszył się, bo zobaczył błysk w jej oczach.

Siostra Humilata nie była zaskoczona.

– Widać Bóg chce prowadzić cię krętymi ścieżkami. Pamiętaj tylko – jesteś wpisana na listę *lazarettzug*<sup>48</sup> do Berlina, który od-

---

48 Pociąg sanitarny.

chodzi z Gdańska drugiego dnia Bożego Narodzenia. Twój wybór, zdecydujesz. I noś habit. Tu jest Polska, tu habit to polisa bezpieczeństwa – powiedziała, odprowadzając ją do auta i błogosławiąc.

Przez drogę Milski opowiadał, że dawno temu był tancerzem. Złamał jednak stopę w figurze *cabriole*, od tamtej pory gra tylko role dramatyczne i reżyseruje. Mówił o teatrach Lwowa, Krakowa, Wilna, świecie, o którym nie wiedziała zupełnie niczego. Mocno się zdziwiła, że mają swoje sztuki teatralne i swoje kino. Nigdy nie widziała żadnego polskiego filmu, nie знаła ani jednego polskiego aktora. Co prawda, bywała na przyjęciach Poli Negri w berlińskim Adlonie<sup>49</sup>, kiedyś nawet spacerowały razem po promenadzie Monbijou z lampartem na smyczy, ale koledzy z branży nie wspominali o jej polskim pochodzeniu, mówili: „rosyjska Żydówka”.

Olsztyn ją przeraził. Gdy uciekała stąd w lutym, na ulicach leżeli zabici ludzie, żołdaci plądrowali i niszczyli mieszkania, wybuchały pożary, mimo to domy, te kiczowate „zamki śpiącej królowny”, stały na swoim miejscu, strasząc tylko wybitymi oknami. Teraz zobaczyła upiorne cmentarzysko ruin, osmalonych ścian, sterczących w niebo ceglanych kikutów. To musiało się stać już później, może to ta „czerezwyczajka”, której bał się ksiądz Hanowski? Czy on przeżył? W środku miasta zachowało się zaledwie kilka fragmentów zabudowy, wśród nich róg Schillerstrasse, gdzie jeszcze rok temu mieszkała z Engo. Jechali tamtędy okrężną drogą, bo inne ulice były zawałone gruzem. Spojrzała w górę, uśmiechnęła się – pod daszkiem jej balkonu ktoś rozwiesił wyprane prześcieradła i dyndające na wietrze męskie spodnie.

– To była Schillerstrasse. Jak się teraz nazywa? – zapytała Milskiego.

– Ulica Mickiewicza.

– Nie słyszałam. Kto to?

– To jakby Schiller i Goethe w jednej osobie.

– Będziecie wystawiać jego dramaty.

---

49 Luksusowy hotel przy Unter den Linden.

- Na pewno.
- No tak... Role pozostają te same, tylko ludzie się zmieniają.

Na środku dawnej Hindenburgstrasse zobaczyła pryzmy gruzu, w parterowych pozostałościach kamienic otwarte jakieś sklepiki, obok cały rząd straganów czynnych do późnej nocy przy zapalonych świeczkach, handlujących wszystkim: od starych butów po olej z UNRRY<sup>50</sup>, rąbanek i amerykańskie papierosy. Kłębili się przy nich nowi mieszkańcy miasta w szarych, znoszonych ubraniach, mówiący językiem nieco innym niż gwara Margolli, lecz tak samo dla niej niezrozumiałym. Budynek teatru ocalał, podobnie jak sąsiadujący gmach ratusza. Resztki skutego napisu *Der Treudank* leżały na szczycie rewiowych schodów. Wnętrze rozszabrowano do cna. Oszczędzono tylko nadpalone pożarem krzesła na widowni, zniknęła kurtyna, wieszaki z szatni, nie darowano nawet klamkom ani zamkom w drzwiach. W podziemiach stała woda, nie było prądu ani gazu.

Wchodząc do foyer, natknęła się na dużą grupę pracowników, kobiet i mężczyzn wynoszących wiadrami błoto, szorujących posadzki, próbujących zmywać zapaskudzoną do połowy zieloną elewację ścian. Okazało się, że byli to aktorzy wraz z dyrektorem Wolickim. Milski przedstawiał ich kolejno: Hanna, Władysław, Gena, Wanda, Edmund, Artur, Mira... Niektórzy z respektem spoglądali na jej habit, szkaplerz i welon i wypowiadali zdziwione „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Zaraz też przywitał się z nią Margolla, zupełnie nie zdziwiony.

Połowę gazy wypłacono od razu, obiecane mieszkanie było garderobą, w której kiedyś rezydował tłusty Baldur. To i tak luksus w porównaniu z zatłoczonymi pokojami służbowymi; mogła mieszkać sama. Ktoś z nowych, gorliwych kolegów wstawił jej tam nawet znaleziony gdzieś klęcznik. Od razu zaczęła cenić ich

---

50 UNRRA (United Nations Relief and Rehabilitation Administration / Administracja Narodów Zjednoczonych do spraw Pomocy i Odbudowy) – Amerykańska agencja ds. odbudowy i pomocy po II wojnie światowej.

wszystkich za werwę, energię, jakąś niezwykłą świeżość, którą ze sobą nieśli, mimo że w większości byli rutynowanymi aktorami, dużo grającymi przed wojną, a potem tułaczami wyrzuconymi ze swoich teatrów, pięknych miast, wygodnych apartamentów. W takich warunkach wystawiali premierowy spektakl, mało tego – próby do niego trwały raptem trzy dni.

Zespół baletowy – sześć dziewczyn i sześciu młodzieńców. Postawni, z predyspozycjami i zapalem, który często przygasał. Spe-szeni na jej widok, sarkający coś do siebie – Niemka będzie ich uczyć i nimi dyrygować, gdy na ulicach niemieccy jeńcy w podartych łańchach wrzucają gruz na furmanki, pilnują ich polscy wartownicy, a przechodnie plują i wygrażają pięściami. Porozumiewać się musiała na migi, tylko niektórzy znali kilka niemieckich słów. Rytmika, *temps lié*, demonstracja kroku, od podstawowego *pas marché* od palców po *pas de basque*, powtarzanie przy akompaniamencie. Ćwiczyła z nimi do ostatnich potów, osiem godzin dziennie, tak jak kiedyś ona sama w szkole Olgi Desmond. Jak to musiało wyglądać! Zakonnica w habicie skacząca w tanecznych figurach i ostrym głosem strofująca po niemiecku baletnice na parkiecie!

Któregoś wieczoru do jej garderoby zapukała Gena, dystyngowana, o nienagannej dykcji i prezencji damy dworu. Rozmawiała po francusku, smakowicie wyokraglała samogłoski.

– Przyniosłam siostrze trykoty do prób i buty. Dwie pary, baletki i pointy, prawdziwe „freedy”. Może będą pasować. Nieużywane, choć przeleżały wiele lat. Z przyzwyczajenia wożę ze sobą. Siostra pewnie wszystko straciła.

– Dziękuję. Pani również tańczy?

– Tańczyłam. Ale siostra podobno...

– Klara. Mówmy do siebie jak wszyscy tutaj.

– Dobrze. Ale ty podobno grałaś tu jeszcze niedawno... czyli przedtem. Przepraszam, pytam z ciekawości – sumitowała się – my nic nie wiemy ani o przeszłości tego miejsca, ani nawet tego miasta.

– Przez całą wojnę i wcześniej.

– Powiedz mi, jak to jest grać w takim świecie, dla takich bestii.

Pracować dla nich, być ich kulturą, ich polityką, dla niektórych – ich twarzą. Tyle się teraz mówi o masowych mordach, komorach gazowych, robieniu mydła z ludzkiego tłuszczu.

– Grałam dla siebie. Teatr jest ogromny, można się schować – powtórzyła słowa Engo z ich ostatniej rozmowy.

Gena spoglądała na nią w milczeniu.

– Wiesz – odezwała się po chwili – powiedziałas bardzo ważne słowa. Nie wiem dlaczego, ale czuję, że mnie też będą niedługo potrzebne.

Pierwsza premiera była huczna, poprzedzona przemówieniami. Sala nabita po brzegi, prezydent Olsztyna, pełnomocnik rządu o nazwisku Prawin, mundury, z widocznym trudem skomponowane galowe stroje. Wszyscy, dyskretnie co prawda, ale zwracali uwagę na jej habit, nawet podnosili lornetki, jeśli mieli. Na scenie zbudowana w jeden dzień klasyczna dekoracja, nadająca się chyba do połowy dramatów napisanych w Europie na przełomie wieków: pstrokate tapety, lustro, kotary, kanapa i ładna konsolka. Tytuł sztuki ktoś przetłumaczył jej jako „Die Moral der Frau Dulski”. Autorki nie znała. Miłski, siedzący obok niej w łóży, szepnął, że była genialna i podobno nie napisała więcej niczego lepszego. Oczywiście akcji mogła się tylko domyślać – służąca w ciąży z głupawym synalkiem niby bogobojnej i moralnej właścicielki kamienicy, która usiłuje to ukryć przy pomocy wystrojonej jak paw kuzynki, ale służąca jest silna, walczy, zwycięża, wymusza duże pieniądze. Świetny pomysł z zaszczytnym małżonkiem – snuje się i milczy jak kukła, dopiero pod koniec drugiego aktu wali pięścią w stół i krzyczy coś, po czym wszyscy rozpierzchają się po kątach. „Czy to możliwe, że ludzi po przeżytych piekle mogą jeszcze poruszać takie sprawy?” – myślała, ale śmiała się z całą widownią. Gena rewelacyjna w głównej roli – twarz, gest, ton; przyćmiewała inne postacie, obłudą „Frau Dulski” aż rozsadzała czarne ramy sceny. Dostała owacje na stojąco, jak nie tak dawno ona w tym samym miejscu, po arii Flory w „Traviacie”.

– Na następnej premierze niech pani patrzy na Władka – szeptał Milski, skinąwszy głową w stronę aktora siedzącego parę krzeseł dalej. – Dziesięć lat temu w Ateneum grał rolę Parysa zupełnie nago, cała Warszawa się zbiegła... Ach, przepraszam... O czym ja gadam siostrze zakonnej!

Pochyliła się do niego ze śmiechem:

– Proszę nie przesadzać. „Siostrze” również nieobce są zawodowe doświadczenia podobnego rodzaju.

Już całkiem poważnie Milski zapowiedział jej, że na koniec roku przygotowuje coś naprawdę bardzo lekkiego, komedię „Gwiazdor i kinomanki” w konwencji wodewilu. – Ludzie chcą się bawić, odebrać! – dodał. I dlatego prosił o zgranie kilku epizodów tanecznych takich jak w kabarecie, w dawnych rewiach. Dlatego na sali prób pojawił się gramofon i zdobyte skądś płyty swingowe „In the Mood” i „Chattanooga Choo Choo” orkiestry Glenna Millera. Obawiała się pokazać swoim tancerzom w trykocie, długo obracała się przed lustrem, zanim nabrała odwagi. Wprowadziła ich w osłupienie, szczególnie włosami, które po raz pierwszy wybuchły przed nimi jak płomień spod toki i czarnego welonu. Nazywali ją potem „Karota”, od „marchewki” po niemiecku i po trosze od pseudonimu Carrosas, bo ten pewnie też gdzieś odkryli.

Właśnie podczas układania rewiowych *tours* i szeregów dyrektor Wolicki wywołał ją z próby. Na ostatnim piętrze budynku, pod samym dachem, znaleziono coś dziwnego. Przez tygodnie swojej pracy nie śmiała tam zaglądać, poszła jednak razem z innymi. Zajrzała do swojej niedawnej kryjówki, teraz pomieszczenia technicznego przeznaczonego na jakieś instalacje, z szeregiem nowych gniazdek elektrycznych. Nikt by nie pomyślał... Malarnię do połowy oczyszczono, przez kilka dni robotnicy wynosili tony teatralnego śmiecia, nieprzydatnego już do niczego, i tak spłodowanego przedtem przez Sowietów. Wciąż zalegały tam góry sprzętu, którego jeszcze nie wywieziono: rozbitych biurków, zdezelowanych stolików i szafek, fragmenty jakichś maszyn, propellerów, statywów. Dopiero za tym rumowiskiem wznosił się wysoki



na chyba trzy metry podest, a na nim ogromna ciemna wnęka, zastawiona parawanami, imitacjami murów, słupów, sztucznymi pniami drzew. Do tego jeszcze zwoje lin, stosy desek, połamane sztankiety do zawieszania scenografii i nawet wciągnięta prawdziwa łódź z parą wiosł.

Weszli kolejno po drabinie, dyrektor Wolicki na końcu, zaświecili latarkami. W czymś w rodzaju niszy, ukryta za tą graciarnią, stała trumna, chyba rekwizyt z jakiejś sztuki Hauptmanna, tak przynajmniej stwierdził Margolla. Wysłana była starymi kołdrami i poduszkami, przykryta wylenią, pluszową draperią. Dalej odwrócone trumienne wieko, w nim jak w korycie spleśniałe skórki od chleba, puszki po konserwach i mleku skondensowanym, ogrodnicza konewka. Obok jeszcze ogarki świeczek, kilka sfatygowanych książek. Rilke, „Die Sonette an Orpheus” głosił tytuł leżącej na wierzchu. A nad trumną, na ścianie, napis wystylizowany wielkimi, czarnymi literami:

„DER HIMMEL MÖGE EUCH VERGEBEN, WAS IHR AN UNS ARMEN TUT”

Na rozłożonej gazecie słój z resztką skamieniałej farby, zeschnięty pędzel. W samym kształcie liter poznała rękę Engo. „A więc to tu. To jego przesłanie? Jego testament? Przekręcony cytat ze staroświeckiej opery buffo von Flotowa, napuszonej arii Lionela? Przecież nie cierpiał wielkich słów, pretensjonalnych gestów. Był tak blisko, po drugiej stronie budynku, przez dwa miesiące. Wiedział o mnie wtedy czy nie wiedział? Nie będę się domyślać. Nie będę jątrzyć ran. »Zapomnij, żyj!« – to jedyne wyjście”. Spojrzała na Margollę – tylko pokiwał głową. Oboje niczego nikomu nie tłumaczyli, zachowali dla siebie. Któryś z aktorów próbował przełożyć napis na polski:

– „Niech niebo wam wybaczy to, co czynicie nam ubogim”. Chyba tak? Jakieś to pokręcone. Jeżeli cytat, to z kogo? – zastanawiali się.

– Tu pracowali stolarze i tapicerzy. Byłam jeden, może dwa razy. Nigdy nie widziałam tego napisu. Nie znam tych słów, nie pamiętam z żadnej roli – skłamała, odpowiadając później na pytanie Milskiego.

- No to trzeba zatynkować i spokój. A trumna się przyda.
- Ma pan rację. Trzeba zatynkować.

Zbliżały się święta. Olsztyn znów zasypał śnieg, jak ubiegłej zimy, przez tydzień miasto było odcięte od świata, zanikł nawet sygnał radiowy, ale nie trwało to długo. W foyer ustawiono choinkę, od „Moralności pani Dulskiej” przeszły cztery premiery. Próby do „Gwiazdora i kinomanek” odbywały się na dużej scenie, premierę zapowiedziano na 31 grudnia, drukowano afisze. Wszyscy przyzwyczaili się już do siostry w habicie, od rana do nocy widywanej w ferworze teatralnej roboty.

Margolla zaczął ją za kulisami:

– Pani wie, że moja żona jest u córki we Fryburgu. Dostałem wczoraj list, a w liście to – podał jej wycinek z gazety, jeszcze z datą październikową. Fryburg Stadttheater wystawiał sztukę Lessinga „Nathan der Weise”<sup>51</sup>, zakazaną za Hitlera, bo główny bohater był Żydem. Obojętnie spojrzała na obsadę: Nathan... Saladin... Recha... Daja... i w roli młodego templariusza Curda von Stauffen – Engo Hagel! Nazwisko podkreślone zieloną kredką!

Zgniotła papier w dłoni, odwróciła się, wybiegła do swojej garderoby. Przez chwilę siedziała nieprzytomna. Usłyszała głos siostry Humilaty: „Pamiętaj tylko – *lazarettzug* do Berlina odchodzi z Gdańska drugiego dnia Bożego Narodzenia”.

Nie namyślając się, spakowała tekturową walizkę, którą dostała od zakonnic, wyjeżdżając z Lidzbarka.

\*\*\*

Podobno Bóg wciąż daje jej znaki, ale nareszcie przyszedł list od Engo, adresowany: „Siostra Tycjana Brix”. Czyj to jest znak?

Nie było takich znaków, gdy zimą wraz z siostrą Humilatą wysiały w Berlinie z sanitarnego pociągu. Chciała wracać do Olsztyna, do teatru, kiedy później zobaczyła, co czeka ją tutaj, na zamku

---

51 „Natan mędrzec”, dramat G.E. Lessinga z 1779 r.

Westerholt. Rany i bandaże, trupi odór, harówka bez przyszłości i tęsknota.

Matka Arcadia każe jej się zdecydować. Tak, zdecyduje o sobie sama, a nie okoliczności, w których się znalazła, nie inni ludzie. Choć może naprawdę o wszystkim stanowi Ten, któremu się służy w szarych fartuchach, do ostatka sił, do urobienia rąk, oddając swoje pragnienia i całe życie. Z zamku Westerholt do Fryburga jest sześćset kilometrów, wystarczy tylko dojść do dworca w Recklinghausen, zdobyć przepustkę do francuskiej strefy. Jeśli trzeba, z pomocą złotej papierošnicy Engo. Jako kto? Klara Bilitewski, rudowłosa aktorka Maria Klara Carossas czy siostra Tycjana Brix ze Zgromadzenia Św. Katarzyny?

\*\*\*

– „Der Himmel möge Euch vergeben, was Ihr an uns Armen tut”. Co to ma znaczyć? Co to jest? – pyta Przełożona Generalna Matka Arcadia, patrząc na wielkie czerwone litery wypisane nad łóżkiem w pustej celi siostry Tycjany.

– To jest szminka – odpowiada siostra Humilata, dotykając napisu opuszką palca. – Wróci. Przecież zabrała ze sobą habit. Na pewno wróci.

– Albo napisze scenariusz filmowy.

# Łez na świecie jest zawsze tyle samo

**T**amtego lata, kiedy się poznaliśmy, mieszkałam na wsi pod Olsztynem u ciotki. Czułam, jakby wrzuciła mnie tam siła, na którą nie miałam żadnego wpływu, bo od paru lat toczyłam się coraz szybciej zwinięta w środku śnieżnej kuli. Po drodze wbijały się w nią różne rzeczy, a ja trwałam w środku jak embrion obcego.

W czasie choroby matki byłam w ciągłym ruchu, coś załatwiałam, biegałam zygzakiem między szkołą, szpitalem, apteką, bankiem, urzędami, ale mój umysł pozostawał w ciemnym stuporze, zdolny tylko do ograniczonego funkcjonowania. Często kręciło mi się w głowie, ale nie miałam czasu odpocząć czy choćby przystanąć. Nie robiłam planów, nie myślałam o przyszłości, bo wiadomo było, że śmierć przyjdzie, pytanie tylko, kiedy zostanę sama. Kostucha pojawiła się akurat w przeddzień matur, więc nie podeszłam do egzaminów, a potem było po wszystkich i ciotka Granda zabrała mnie do siebie. Chociaż nawet nie była prawdziwą ciotką, tylko kimś, kto przyjaźnił się od dawna z moją matką, bo żadna z nas nie miała szczęścia do rodziny z krwi. W ogóle jak dotąd nie miałyśmy tego, co powszechnie nazywa się szczęściem. Zresztą dotyczyło to także ciotki Grandy, która wylądowała w mazurskiej chałupie po babci z powodu niefortunnego ulokowania pieniędzy i uczuć.

Śnieżna kula ze mną w środku walnęła więc w ścianę wiekowego domu ciotki Grandy, a ja wysypałam się w grządkę aksamitek, gdzie przez pierwsze dwa miesiące leżałam niemal tak nieżywa jak moja matka. Pamiętam smak koziego mleka, którym mnie poila ciotka, zapach jaskrawopomarańczowych kwiatów, jarzających się jak szalone słoneczka, i dotyk sierści tego, co wchodziło mi pod rękę, a więc kozy albo kilku kotów, dla uproszczenia występujących pod jednym imieniem Mruczka. I mogłabym tak leżeć, gdyby któregoś dnia ciotka nie kazała mi się umyć i ubrać, oświadczając, że jedziemy do teatru do Olsztyna, Genio nas zawiezie. Ona sama wystroiła się w kostium z poprzedniego życia, jak to nazywała, mając na myśli czasy, w których dorobiła się ksywy Granda i mieszkała jeszcze w Warszawie. Było to spodnium z połyskliwej tkaniny w kolorze bzu, z mnóstwem złotych guzików, watowanymi ramionami i portkami tak szerokimi, że zmieściłaby swoją kożę w jednej z baloniastych nogawek. Stała nade mną, a jej kostium furkotał na wietrze, żagiel, pod którym miałam wstać z półżywych i ruszyć do teatru. Chciała mi pożyczyć jedną z kreacji królowej bohemy późnej komuny, ale pozwoliłam jej tylko założyć sobie

złote klipsy, które zatrzasnęły się na moich uszach jak dwa żarłoczne pyszczki.

Gienia kojarzyłam z poprzednich pobytów u ciotki Grandy. Był wielkim facetem o krzaczastych brwiach i smutnych oczach. Nie miał rodziny i traktowano go we wsi inaczej w sposób wyczuwalny, ale trudny do zdefiniowania. Dziwny stary kawaler, nieszkodliwy, ale raczej nie zapraszany zbyt często do domów. Zarabiał, wożąc ludzi i towary, a kiedy usiadłam koło niego w sfoferce, z powagą uścisnął mi dłoń. „Gienek”. „Wera”. Uśmiechnął się, ludzie, a zwłaszcza mężczyźni, często uśmiechali się, gdy czuli mój silny uścisk, niepasujący do niewielkiej osoby, jaką jestem.

Pojechaliśmy na premierę „Nory” Ibsena do Teatru im. Jaracza w Olsztynie. Nie powiem, że często bywałam w teatrze. W sumie to dwa razy ze szkołą na Mickiewiczu i Fredrze, więc czułam się trochę nieswojo w towarzystwie wypindrzonej ciotki Grandy. Wołała teatr od kina, bo uważała, że jest jak życie. Jak coś się spieprzy, to musisz improwizować albo po tobie. Widownia czerwona jak wnętrze bombonierki była już prawie wypełniona, gdy jakiś chłopak zaczął się przepychać wzdłuż naszego rzędu. To wtedy, jak to piszą w romansach, ujrzałam go po raz pierwszy. Kolejni widzowie podnosili się niechętnie. Nieznajomy zatrzymał się tu przy mnie, więc odchyliłam się, unikając niezręcznej bliskości z wysokim i kościstym ciałem. „To piąty?”, zapytał i poczułam zapach, tytoń i guma miętowna. „Szósty”, prychnęła za mnie ciotka Granda i chłopak wycofał się, przepaszając. Usiadł dokładnie przede mną i najpierw miałam widok na jego kark, a dopiero potem na scenę. Na karku kręciły się jasne, lekko spocone włosy, na scenie Nora przeżywała katusze, które wydawały mi się jakieś niedzisiejsze, ale w sumie sztuka mnie wciągnęła. Może trudno mi było wyobrazić sobie, że utknęłam z takim dwulicowym nudziarzem, jak jej mąż, ale w sumie od paru miesięcy pozostawałam w stanie podobnej nieruchomości jak Nora. Poczułam radość, ulgę, ciekawość co dalej, gdy opuściła swój dom.

W drodze powrotnej byłam niespokojna, w mojej głowie nakładały się obrazy ze sceny, wspomnienia ostatnich miesięcy z matką

i twarz nieznajomego chłopaka, który pomylił rzędy. Nieznośny stan, który wyczuł Gienio, spoglądając, jak się kręcę nerwowo w sioferce. „Umiesz prowadzić?“, zapytał nagle. Nie umiałam. „A chcesz się nauczyć?“. Zanim odpowiedziałam, przytaknęła za mnie ciotka Granda. Już następnego dnia zaczęłam jeździć z Gieniem, bo nie miałam nic innego w planach, a w domu ciotka Granda marudziła, że powinnam zrobić wszystkie te rzeczy, jakie dorosłym wydają się ważne, czyli maturę, potem może studia, w każdym razie coś. A nic oprócz jeżdżenia z Gieniem nie wydawało mi się warte wysiłku. Zbierałam pieniądze od pasażerów, wydawałam resztę, czasem nawet pomagałam mu ładować towary, a wtedy bardzo się starałam, by wyglądać na silniejszą i większą niż byłam. Lubiłam obserwować, jak prowadzi, płynnie i pewnie zmienia biegi w starym busie, zawsze czystym i pachnącym goździkami, które żuł zamiast gumy. Zaczęliśmy od szutrowej leśnej drogi. Sprzęgło, gaz, ciach, jedyńka, dwójka. Teraz wsteczny. Parkowanie. Jego pasją było parkowanie tyłem w możliwie najwęższych przestrzeniach. Mnie też się spodobało, choć nie wiedziałam, jak bardzo mi się kiedyś to przyda. Chyba nigdy nie łapałam tak szybko tego, czego ktoś inny próbował mnie nauczyć. W szkole byłam średniaczką, w busie Gienia jakąś geniuszką. Pierwszy raz w życiu poczułam, że mam do czegoś talent i kiedy siedziałam za kierownicą samochodu Gienia, czułam się dorosła i sprawcza. Nora po nawianiu od męża też powinna spotkać kogoś takiego. I mówić do niego za każdym razem: „Poznałam pana po dzwonku“. Kwestia, która rozśmieszyła ciotkę Grandę tak, że dostała czkawki i do końca tej poważnej sztuki się trzęsła.

To ja prowadziłam, gdy, jak to mówią, ujrzałam go po raz drugi. Chłopaka z teatru, na którego kark patrzyłam, śledząc losy Nory i jej paskudnego męża. A może „po raz wtóry“ brzmiałoby jeszcze lepiej? Szedł drogą przez wieś Glaznoty z plecakiem, ubrany we flanelową koszulę z podwiniętymi rękawami i dżinsy. Był boso, a buty, schodzone trapery, dyndały przywiązane do plecaka. Jego kręcone jasne włosy lśniły jak słoneczko Teletubisiów, które

wtedy jeszcze nawet nie przyszły na świat. Zamachał do nas i zatrzymałam się, nie czekając nawet na znak od Gienia. „Mogę się z wami zabrać?”. „Dokąd?”. „Nieważne, może być tam, dokąd zmierzacie”. Jego słowa wydały mi się tak bardzo odważne, pełne wolności, jakiej nawet nie potrafiłam sobie wtedy wyobrazić. Cały tył był zajęty, więc Gienio kazał autostopowiczowi zająć miejsce w sfozerce między nami tak, że kiedy zmieniałam biegi, dotykałam ramienia nieznanomego.

Po latach pamiętam tamtą chwilę tak wyraźnie, jakby była pieczątką przybitą w moim umyśle, dzielącą życie na przedtem i potem. Byłam Norą, która dała nogę z domu, i moje prawdziwe życie dopiero się zaczynało, wszystko było świeże, wybłyszczone po deszczu, pełne sensu. Pamiętam więc obity łokieć Marcina z suchą, łuszczącą się skórą, którą zapragnęłam posmarować oliwką dla niemowląt, profil jeszcze chłopięcy, ale zapowiadający dużym nosem i kanciastym podbródkiem męskość nieco westernową. Zapach jego potu i waniliowego tytoniu o nazwie Amphora, który, jak wkrótce miałam się przekonać, palił w fajce, chcąc obniżyć tembr swojego głosu. Kępki złotych włosów na dużych palcach bosych jego stóp, którymi przytupywał w rytm jakiejś melodii.

Miał na imię Marcin, pochodził spod białoruskiej granicy i zdawał do szkoły teatralnej w Warszawie, pełen nadziei czekał na wyniki. Jego twarz w otoczeniu słonecznych włosów jaśniała pewnością, zaglądała już w przyszłość. Podróżował stopem po Polsce, nie miał ani grosza, jego oczy błyszczały, kiedy na mnie patrzył. Wysiadł w naszej wsi, pod domem ciotki Grandy, którą oczarował w pięć minut i wynajęła mu pokój na strychu w zamian za pomoc w ogrodzie. Jeśli ta pomoc miała polegać na zjadaniu jabłek i okadzaniu dymem fajki wierzby, pod którą stała ławka, to spisywał się świetnie. Umiał także grać na gitarze, którą pożyczyla mu gospodyni, i kiedy patrzę na obraz zatrzymany w moim umyśle jak mucha w bursztynie, wiem, że mimo wszystko Marcin był wtedy darem i że przyjechałam go, jak umiałam najlepiej. Śpiewał „Ty i ja – teatry to są dwa”, a ja wpadałam w tę miłość na łeb,



na szyję. Były plany, on gra w teatrze w Olsztynie, ja prowadzę agroturystykę, były kąpiele w chłodnym już jeziorze, był zapach pierwszych wrześnieowych ognisk i wiadomość z Warszawy, na którą czekał najbardziej, choć to na mnie ponoć całe życie. Nie dostał się i nie było już planów. Jego ładna twarz, którą miałam podziwiać zawsze z szóstego rzędu, bo tam się poznaliśmy, zapadła się w sobie, zszarzała. Powiedział, że musi się skupić na przygotowaniach do egzaminów za rok. Powinniśmy dać sobie czas, może wszystko poszło za szybko.

Wróciłam więc do Warszawy, do mieszkania na Woli, które kiedyś dzieliłam z matką, a teraz z nikim, bogatsza o umiejętność prowadzenia auta i ból złamanego serca. Zrobiłam prawo jazdy i jakoś z rozpędu zaczęłam pracować na taksówce, którą dał mi w agencję kolega z liceum. Waldi był dwie klasy wyżej i zawsze coś sprzedawał albo kupował, już jako gówniarz nosił przy pasie nerkę z kasą. Spotkaliśmy się z Waldim przypadkiem w Lolku na Polach Mokotowskich i tak od słowa do słowa. „W agencję” to w sumie za dużo powiedziane, ale podobało mi się to kapitalistyczne brzmienie, jakbym była rekinicą biznesu na ruinach niedawno upadłej komuny. Tymczasem po prostu jeździłam za Waldiego, grając przed pasażerami profesjonalną taksówkę, a on udawał przed żoną, że wychodzi do pracy na taksówce. Żona nie lubiła ryzyka, tyle mi wytłumaczył. Nie wnikałam. Imponowało mi, że ktoś tak młody ma już auto i żonę. Po trzech latach okazało się, że Waldi robił interesy i to z przytupem, bo w ramach rewanżu za przykrywkę podarował mi to dwunastoletnie audi, na którym zarabiałam na skromne życie. Sam odpłynął w świat niedostępnych dla mnie domów na przedmieściach, zagranicznych wakacji i firm z o.o. Wozila ludzi do i z warszawskich teatrów, ale do żadnego nie poszłam.

I wtedy odezwał się Marcin. Po trzech latach. Dokładnie po trzech latach i półtora miesiąca. Myślałam, że dzwoni klient, a w słuchawce zabrzmiał jego aktorski głos amanta. „Co u Ciebie?”. „Po staremu”. „A u Ciebie?”. „Dzieje się!”, odpowiedział

i zapytał, czy bym nie wpadła do Olsztyna na premierę „Panny Julii”, bo on przy niej pracował i w ogóle jakoś tak wyszło, że został w okolicy. Stęsknił się. Bardzo by chciał, żebym tam była. Cały czas o mnie myślał i tak dalej. Pojechałam. Ciotkę Grandę wywiałło aż do Szczecina za nową miłością, a jej dom stał pusty i jakoś przypominał mi mnie samą. Niby wszystko na swoim miejscu i w miarę działa, ale zimno, pusto i ponuro. Chciałam wrócić do tamtego września, kiedy Nora ruszała w świat, a ja miałam prowadzić pod Olsztynem agroturystykę z chłopakiem-aktorem, podziwiać go z szóstego rzędu.

Marcin przyjechał starym dużym fiatem i widziałam przez okno, jak przygląda się mojemu wypucowanemu audi. Jego piękna twarz nie postarzała się, ale wyglądała jak posypana popiołem, zatrzymana w tamtej chwili, gdy dostał wiadomość ze szkoły teatralnej. Ale tego dziwnego grymasu, który zrobił, oglądając moje auto, nie znałam. Napaliłam w piecu i przez tę jedną noc i pół następnego dnia było po prostu ciepło, tyle można było powiedzieć o spotkaniu kochanków po latach, bo czegoś brakowało naszym gestom, pieśzcotom, pocałunkom. On został inspicjentem, właściwie pomocnikiem pani inspicjent, ale, jak powtórzył kilka razy, sam reżyser liczy się z jego zdaniem. Jeszcze dwa razy nie dostał się do szkoły teatralnej, ale może w sumie lepiej się stało, mówił, bo zaczęła go pociągać reżyseria. Wynajmował jakąś norę z koleżanką, Kryską. Mnie nic nowego nie pociągało. „Jeszcze znajdziesz swoje przeznaczenie”, rzucił protekcyjnie, pijąc wiśniową nalewkę ciotki Grandy, ale odpowiedziałam tylko, że być może. Pytał się o moje warszawskie życie, ciekaw był, ile wyciągam, jak to ujął, jeżdżąc na taksówce, i coraz bardziej czułam, że nie mam ochoty udzielać prawdziwych odpowiedzi. Słowa „może ucieknemy razem” zabrzmiały fałszywie.

Pojechaliśmy do teatru moim autem, ale nie mieliśmy miejsca w szóstym rzędzie i zdziwiła mnie przykrość, jaką poczułam z tego błahego powodu. Panna Julia hulała na scenie i wiedziałam, że to wszystko źle się skończy, choć nie znałam treści sztuki.

Wysłałam niby do toalety i rzeczywiście tam się udałam, choć nie chciało mi się siku. W lustrze moja twarz z beznadziejnym makiżażem, którego nigdy nie robię, wyglądała jak oblicze małej smutnej pandy. Wysłałam z teatru, rzuciłam ostatnie spojrzenie na jego szarą fasadę, wsiaadłam do auta i wróciłam do Warszawy.

Wozilałam trzeźwych i pijanych, mądrych i głupich, starych i młodych, kochanków i kłócące się pary. Często miałam kursy z aktorką, która pachniała oszałamiającą mieszanką perfum i alkoholu, przetrawionego nocnego i porannej małpki cytrynowej, którą walała w moim audi. Kiedy zabrali jej prawko, wozilałam ją już wszędzie, dobrze płaciła, czasem nie pamiętała, że już to zrobiła i pod domem znów wciskała mi pomięte banknoty. Z taksówkarki zostałam prywatną szoferą. Chyba pisane były mi zawody, od których dopiero trzeba stworzyć żeńską formę. Bycie prywatną szoferą znaczyło, że musiałam całe godziny czekać na panią aktorkę w coraz okropniejszych miejscach, bo kiedy wyleciała z serialu, robiła już tylko chałtury na coraz większej bani. Poza wszystkim było mi jej zwyczajnie żal i bałam się, że jeśli odmówię, akurat tej nocy welezie pod tramwaj albo ktoś ją obrabuje i utopi w Wiśle. Nocą czekałam więc na nią pod klubami i prywatnymi domami, skąd wytaczała się nad ranem. Odwoziłam ją wtedy na Mokotów i kimałam w aucie pod jej apartamentowcem, by ją obudzić o ósmej do roboty. Zwierzała mi się, nazywała kochanym misiaczkiem, moją szoferunią, ale chyba nie poznałaby mnie na ulicy.

Próby reklamy proszku do prania ciągnęły się od kilku dni, ale moja klientka nie była w stanie zapamiętać tej cholernej kwestii i wszyscy chodzili już na rzesach ze zmęczenia. Grała sąsiadkę, która wchodzi, zadziwia się durnowato białą gaci i mówi: „Nie jestem może rewolucjonistką, ale tego proszku spróbuję na pewno!”. Może bym nie wściekła się tak bardzo, gdyby nie to, że poprzedniego wieczoru zadzwonił Marcin i powiedział, że może nie spotykajmy się na razie, bo Krysia ze współlokatorki stała się współspaczką. Od premiery „Panny Julii” widzieliśmy się jeszcze dwa razy, ale od ostatniego minęło sporo czasu. Jakoś się nie kleiło.

„Ale między nami jest coś wyjątkowego”, dodał. „To się nigdy nie zmieni. To jeszcze nie koniec, przecież oboje to wiemy”. „Acha”, powiedziałam i rozłączyłam się. Do tego ta pijaczka zaczęła dzień od pawia na tylnym siedzeniu mojego audi. I kiedy po raz enty się zacięła, wtargnęłam na plan i wypowiedziałam jej żalosalną kwestię tak wyraźnie i głośno, jakbym znów deklamowała „Inwokację” na lekcji polskiego. Wszyscy najpierw zdębieli, a potem reżyser, mały nerwowy facecik, poprosił, bym zrobiła to jeszcze raz. I jeszcze raz. Zostałam gwiazdą reklamy proszku i oprócz gaży, całkiem przyzwoitej, obdarowano mnie zapasem środków do prania na rok. Ale oczywiście straciłam klientkę i wróciłam do normalnego jeżdżenia. Nie wiem czemu, ale najbardziej tęskniłam za olsztyńskim teatrem, bardziej niż za matką, która zostawiła mnie tak szybko. Może bardziej nawet niż za Marcinem i naszą miłością z tamtego lata minionego na zawsze. Za Norą, która ruszała w świat możliwości jak scena tuż po podniesieniu kurtyny.

Piłam trzecią kawę w Amatorskiej, czekając na nocny kurs, gdy do kawiarni wtoczył się Waldi. Lekko pijany i mocno przeczołgany przez życie. Ostatnio córka pokazała mi mema, na którym był ktoś podobny do Daniela Craiga, ale mocno zużytego. Jechał moskiewskim metrem. „Daniel Craig po roku w Rosji”, było napisane i potwornie mnie to rozśmieszyło, aż młoda popatrzyła na mnie z tym swoim „no weź mama”. „Rewolucjonistką to ja nie jestem”, zaczął Waldi tamtej nocy sprzed lat i wybuchliśmy śmiechem. Do spotkania w Amatorskiej nie zauważyłam, jakie miał piękne dłonie, delikatne, ale duże, ciepłe. Jego interes diabli wzięli, a żona zamknęła mu przed nosem drzwi willi w Konstancinie, co pozostawiło go w marnej sytuacji, bo z powodów dla mnie nie do końca zrozumiałych prawie wszystko przepisał na ślubną. Gadaliśmy do rana, a potem przenieśliśmy się do mojego mieszkania na Woli. Gadaliśmy przez najbliższy rok i osiem miesięcy, a kiedy nasza młoda miała pół roku, Waldi wyszedł po raz ostatni i padł na zawał pod rotundą pko. Po jego śmierci żona nie do końca rozwiedziona którejś nocy zabrała sprzed bramy moje, już

dwudziestoletnie, audi. Jedyną osobą, do której mogłam zadzwonić, była ciotka Granda. Powiedziała, że mogę się u niej zatrzymać z córką, dopóki czegoś nie wymyślimy. „Się poczeka, się zobaczy”. Miłość ze Szczecina dawno się skończyła i znów mieszkała w wiejskim domu, sama. Warszawskie mieszkanie nie należało do mnie, a nad całą kamienicą wisiało widmo wysiedlenia. Coraz częściej właściciel wyłączał nam wodę i prąd. Sprzedałam telewizor i wideo, dumę Waldiego, i jeszcze parę cenniejszych rzeczy, z którymi pojechałam na giełdę. Resztę zostawiłam i wsiałam z młodą do pociągu na północ. Nie byłam pewna, czy dom opuszczam, czy wracam do domu. Pomyślałam, że zastanowię się nad tym potem.

Ciotka Granda ciągle mieściła się w swój kostium na wielkie wyjścia i w lodowaty grudniowy wieczór stała odpicowana w liliowym spodniem. Wiedziała, że Gienio będzie punktualny, ale i tak wygoniła nas przed dom dziesięć minut przed czasem. Młoda kiwała w chuście na mojej piersi. Była spokojnym, niekłopotliwym dzieckiem, ale to bezdzietna Granda nauczyła mnie, że małego człowieka można i trzeba zabierać wszędzie, również do teatru na sztukę, której nie rozumie większość dorosłych. I mówić jak do człowieka, bez durnego piciupiciu i zdrabniania. Ciotka Granda była pierwszą osobą, która do mojej córki powiedziała „witaj, Noro”. Drugi był Gienio.

Zawiózł nas i kilka osób po drodze na premierę „Czekając na Godotą”. „Co, jak zacznie płakać?”, martwiłam się. „Dasz jej cycka albo wyjdiesz na chwilę”, powiedziała Granda, poprawiając zwiśające kolczyki, przypominające kościelne kandelabry. „Dziecko też człowiek!”. Ale młoda była cicho przez cały ten dziwaczny spektakl, podczas którego myślałam o jej ojcu Waldim i o Marcinie, niewidzianym od kilku lat. Ciotka Granda powiedziała mi, że wyjechał do Niemiec. Krysia gdzieś znikła, chyba ma kogoś nowego. Znów nie siedziałam w szóstym rzędzie, tylko na dostawce, gdzie były tańsze bilety, ale to nie miało znaczenia. Marcin nie pracował już w teatrze, arbajtował gdzieś w Dojczlandzie jak inni, którym nie spełniły się marzenia. Nie miałam pojęcia, co

wygadują te przedziwne postaci na scenie, ale wiedziałam, że coś mnie z nimi łączy. Dwójkę bezdomnych świrów grały kobiety, tego trzeciego też aktorka. I biedna postać na sznurku, ni to człowiek, ni to pies, była kobietą. Uświadomiłam sobie, że podobnie jak bohaterki tkwię pod drzewem, czekając na Godota, i to nie sama, bo z ciotką Grandą i dzieckiem, za które jestem odpowiedzialna. Kiedy ze sceny padły słowa: „Łez na świecie jest zawsze tyle samo. Gdy jeden przestaje płakać, drugi gdzie indziej zaczyna. Tak samo ze śmiechem. Nie narzekajmy więc na nasze czasy, nie ma w nich więcej nieszczęścia niż dawniej”, rozryczałam się jak głupia i łzy kapąły na głowę mojego dziecka jak woda święcona. „W końcu ją ochrzciłaś”, szepnęła ciotka Granda, która, jak sama mówiła, dzięki bogu była ateistką, i już nie wiem, czy bardziej ryczałam, czy się śmiałam, aż trzęsła się młoda przyssana do mojej piersi. Potem mi powie, że wysłała teatr z mlekiem matki.

Tej nocy po teatrze siedziałyśmy koło kominka w domu ciotki Grandy zmęczone, nadal raczej biedne i bez perspektyw, ale przedziwnie szczęśliwe. Przypominały nam się różne kwestie z „Czekając na Godota” i dostawałyśmy głupawki. „To co, idziemy?”, pytałam. „Chodźmy”, odpowiadała ciotka Granda i nie ruszałyśmy się z miejsca. Ale nad ranem ton naszej rozmowy zmienił się. „Będziemy chodzić na premiery”, powiedziała ciotka Granda. „Znajdziemy robotę”, powiedziałam ja. „I psa”. „Co psa?”, zapytałam. „Znajdziemy sobie psa. Jest dom, dziecko, musi być pies”, stanowczo oświadczyła ciotka Granda. Ona zaczęła szyć, przerabiać i sprzedawać ciuchy, a ja, ja oczywiście zaczęłam jeździć. I to znów dzięki Gieniowi, który umówił mnie z żoną męża.

Tak o niej powiedział: „To jest żona męża”. Mąż był bogaty i zajęty, żona bogata i pozbawiona zajęcia, do tego nie miała prawa jazdy. Mercedes miał skórzaną tapicerkę i bajery, których musiałam się nauczyć. Cacko! Szczerze mówiąc, na początku bardziej zwracałam uwagę na to piękne auto niż na moją klientkę, która zawsze siadała z tyłu i oprócz tego, że mówiła, dokąd mam jechać, nie odzywała się wiele. Miała na imię Ilona i mimo drogich ubrań,

markowych okularów i torebek, wyglądała na kogoś, kto jest jakoś biedny, żyjący w ukryciu, w małym ciemnym miejscu. Tak o niej myślałam, biedna Ilona, zwłaszcza gdy nawet najmocniejszy makijaż i największe okulary nie były w stanie zasłonić śladów łez na jej twarzy. Wozilałam ją do sklepu, do fryzjera, do kina i teatru, albo po prostu dookoła. Mówiła, dziś sobie pojeździmy dookoła i ruszałam tym pięknym autem przed siebie, zataczając coraz szersze kręgi wokół Olsztyna. Lubiłam wąskie leśne warmińskie i mazurskie drogi, na których prowadziłam ostrożnie, bo co jakiś czas stawałyśmy oko w oko z łosiem, lisem albo dzikiem. Lubiłam nagle błyski wody wśród zieleni, a nazwy jezior i wiosek stawały się nazwami mojego świata. Moja córka Nora rosła i widziałam, że dla niej tu jest dom, a fakt, że na spacer po zmierzchu chodzimy z petardą w razie spotkania z wilkami, to oczywistość. Pamiętam ją z tamtych lat, jak idzie koło Precla, naszego psa, pewna siebie, piękna. I moje poczucie winy, że ciągle ją zostawiam, by zarabiać, by jakoś to wszystko pospinać.

Kiedy Ilona szła do kina albo teatru, pytała, czy chcę iść z nią, czy mam coś do zrobienia. Na ogół miałam, pędziłam do domu do córki, ale poszłam z nią na tę premierę na początku nowego wieku, bo poprosiła mnie o to. Sztuka miała tytuł „Miłość i gniew”, ale nie miałam jej zobaczyć. Ilona zachowywała się dziwnie, była głośna, witała się przesadnie ze znajomymi, śmiała teatralnie, przesadnie i tak też wyglądała w czerwonej sukience. Gdy rozległ się trzeci dzwonek, wciągnęła mnie do toalety i szepnęła, że wiejemy. Kazała mi jechać do portu w Gdyni. Czekał tam na nią mężczyzna, który nie był mężem. „Dotrzymasz tajemnicy?”, zapytała. „Czy kiedyś cię zawiodłam?”, odpowiedziałam pytaniem. „Jakby co, odwiozłaś mnie po spektaklu pod dom, okej? Że niby wysiadłam, poszłam w stronę bramy, a tobie kazałam jechać na myjnię. Rano zadzwonił i poprosił mnie do telefonu. Że niby nie odzywam się i nie wiesz, co robić”. Przytaknęłam, a ona zasalutowała zabawnie, jakby odmeldowywała się z dotychczasowego życia. Widziałam, jak odchodzi, i czuła mój wzrok, bo podniosła rękę i mi pomachała. Już

nie wyglądała jak biedna Ilonka, bardziej jak Nora, zostawiająca wszystko za sobą. Dopiero pod domem zauważyłam, że zostawiła mi prezent w różowej kopercie i książkę pod tytułem „Miłość i gniew”. Przeczytałam i nie żałowałam, że nie widziałam tego akurat spektaklu w Olsztynie, bo wszyscy bohaterowie, zwłaszcza mężczyźni, byli jacyś nieudani i zbyt gadatliwi.

Oczywiście straciłam pracę i musiałam pożegnać się z mercem, ale wszystko jakoś przyszło i mąż Ilonki znalazł nową Ilonkę, która ponoć już wcześniej gościła w jego sypialni. Niestety miała prawo jazdy. Na wsi nie było pracy, a ja nie umiałam nic oprócz jeżdżenia, więc zrobiłam kolejne uprawnienia dzięki prezentowi z różowej koperty i ku zaskoczeniu wszystkich dość szybko znalazłam robotę. „To kim ty teraz jesteś?”, zastanawiała się ciotka Granda. „Tirówka to inna robota. Tirowiec to chłop. Może kierownicą tira jesteś? Tirownicą?”. Tak, zaczęłam jeździć na tirach, byłam jedną z pierwszych dziewczyn w tym zawodzie. Gość, który w ogóle chciał ze mną gadać, poddał mnie testowi. Chyba każdemu to robił, bo kilku jego pracowników zbiegło się na spektakl. Chodziło o zaparkowanie tira tyłem do wyładunku między dwoma już tam stojącymi. To akurat była łatwizna, więc brawa i gwizdy wydały mi się przesadą. Przyjął mnie. Skróciłam włosy i wsoczyłam w robocze ciuchy, zaczęłam przeklinać, by się wpasować, ale wśród innych kierowców byli nie tylko chłopcy po zawodówce. Spotkałam byłego księdza, biznesmena-bankruta, biologa, kulturoznawcę, polonistę i dwóch filozofów. Jeździłam głównie do Niemiec. Parę dni w drodze, parę wolnego w domu z Norą i ciotką Grandą. Od pierwszego dnia kochałam swoje dziecko bez pamięci, ale te godziny za kółkiem, gadki przez radio z kumplami i krótkie noce na postojach, ogniki papierosów w ciemności, smak kanapek z paprykarzem zapijanych bardzo mocną herbatą i wygłupy z chłopakami to była cierpka, dobra wolność.

To była jakaś dziura pod Berlinem. Pobudowano koło niej ostatnio duże magazyny, gdzie się rozładowaliśmy, ale trzeba było czekać do jutra, bo ktoś nawalił z dostawą. Była nas trójka. Ja, Edi



i Gutek. Edi koło pięćdziesiątki, doświadczony i flegmatyczny, z dużym brzuszkiem i chudymi kończynami, umiał w dwadzieścia minut przygotować wykwinny posiłek na parkingu. Gutek miał ze dwa metry i cały czas targał nim wewnętrzny niepokój, który mijał tylko, kiedy prowadził. Bez kierownicy w rękach wyglądał, jakby co chwilę próbował strząsać oblażące go mrówki, więc zawsze obracałam w żart jego próby podrywu. W sumie może i chciałam kogoś poznać, ale przy Gutku bym nawet nie zasnęła, nie mówiąc już o innych rzeczach. Niedaleko bazy była wiejska gospoda, taka typowa enerdowska mordownia, choć nie było już Enerde. Waliło piwem, olejem i smażonym mięchem, zapach wspaniały dla każdego kierowcy w stanie chwilowego spoczynku. Kobieta za barem pokazała nam stolik pod oknem i nie po raz pierwszy wzięto mnie za faceta. „Stolik dla trzech panów z Polski!”. W czapce z daszkiem i roboczych ciuchach wyglądałam jak konusowaty chudy facecik, mogłabym mieć na imię na przykład Julek albo Kajetan. Edi z powagą studiował zatłuszczone menu, a Gutek jak zwykle opowiadał jakiś film w taki sposób, że każdy brzmiał jak streszczenie „Czekając na Godota” w suahili. Z radia leciał niemiecki szlagier o zranionych sercach, latach rozłąki i tęsknocie. Dobrze się czułam z Edim i Gutkiem, ale nagle ogarnęła mnie samotność. To mi się czasem zdarzało. Odłączałam się na chwilę i dryfowałam w szarej pustce.

I wtedy go zobaczyłam. A właściwie najpierw palce jego stóp w sandałach. Złote kępki włosów, zakurzone jak wtedy. Siedział dwa stoliki dalej bokiem do mnie, jego głowa wsparta na dłoni, przymknięte oczy. Od naszego pierwszego spotkania minęło ponad dziesięć lat, od ostatniego pięć. Czy więcej? Starłam się nie liczyć i nie pamiętać. Marcin potarł palcami czoło zmęczonym, niedbałym gestem, uniósł głowę i popatrzył gdzieś poza zakurzony drewniany sufit. Jego piękne włosy przerzedziły się, kąciki ust opadły jak u ciotki Grandy. Nos wydawał się większy i dziwnie nie pasował do wychudłej twarzy. Poczuł moje spojrzenie i odwrócił się w stronę naszego stolika. Zauważyłam nową asymetrię jego

twarży, coś nie tak było z lewym okiem. Nie poznał mnie. Lekko wzruszył ramionami i poprosił o następne piwo. Wydał mi się kruchy, trochę jak biedna Ilona sprzed ucieczki, jednocześnie daleki, obcy i bliski. Minęło tyle lat, tyle się wydarzyło, a ja ciągle pamiętałam go w ten osobliwy sposób, w jaki zapada w głowę i ciało pierwsza miłość. Bez sensu. Podano nam nasze dania, dla mnie sałatka ziemniaczana i frytki, dla chłopaków to samo z parówkami. Mogę wciągać ziemniaki w każdej postaci i na okrągło, ale pod wpływem Nory przestałam jeść mięso. Mała załapała w wieku pięciu lat, że zwierzęta, które widzi na wsi, i kotlet mają oczywisty związek i dostała napadu hysterii, odmawiając raz na zawsze zwierzęcych pokarmów. Wbiłam widelec w kopiec sałatki i uśmiechnęłam się do chłopaków. Nie będę smęcić jak głupia lala.

Widziałam, jak Marcin wychodzi i chciałam go zawołać, ale nie zrobiłam tego. Zostałam tam, w swoim życiu, żartując z Edim i Gutkiem. Marcin mnie nie poznał, to trochę zabolalo, ale trzeba było załadować tira i ruszać w drogę. Na miłosne dramy mogą sobie pozwolić żony mężów. Jechałam więc, skupiona na drodze, spokojna, jednocześnie smutna i pełna oczekiwania, bo na końcu mojej podróży były Nora i ciotka Granda, która wysłała mi na telefon zdjęcie biletów do teatru dla naszej trójki. „Dzień Walentego!” i trzy serduszka. Pomyślałam, że to będzie wesoły spektakl i dobrze, bo czasem miałam wątpliwości, czy moja młoda córka powinna oglądać te wszystkie smutne i dziwaczne przedstawienia uwielbiane przez ciotkę Grandę.

Zatrzymałam się pod Poznaniem na parkingu, który lubiłam, bo miał dobrą łazienkę, a to była rzadkość. Akurat i u nas, i za zachodnią granicą nikt nie przywiązywał wagi do tego, że kierowcy chcieliby się wykąpać w czystym pomieszczeniu. O tym, że są wśród nich kobiety, nikt w ogóle nie pomyślał. Wymyłam włosy i przebrałam się w czyste ciuchy, a w sfoferce zrobiłam sobie mocną kawę bez cukru i pomyślałam o Norze. Jak szybko rośnie, jak dużo ma w sobie oryginalnych pomysłów, talentów, które zapalają się jeden po drugim jak robaczki świętojańskie. Byłam przy

niej taka zwyczajna, już prędzej mogłaby być córką ciotki Grandy. Nora miała jej zmysł artystyczny i energię Waldiego. To głupie, ale tę swoją oczywistą blond urodę odziedziczyła chyba po Marcinie, bo nie przypominała żadnego z biologicznych rodziców. Pukanie do szoferki wyrwało mnie z rozmyślań, ale nie było niczym wyjątkowym. Jakiś kumpel pewnie chce coś pożyczyć albo lokalna tirówka zarobić i ostatecznie zeżre mi wszystkie słodczyce i opowie krwawą historię swojego życia, jak ostatnio na tym samym parkingu. Otworzyłam z miną „no i co tym razem”, ale to był Marcin. Stał tam z plecakiem i bładziwną torbą w kratę przy nodze. Ciekawe, czy umiałby zagrać tak doskonale zdziwienie, gdyby jednak udało mu się zostać aktorem? „Wera? Wera!”, wykrztusił, a ja zapytałam, czy chce kawy.

Ostatnie lata nie były dla niego łaskawe. Pracował fizycznie i ciągle miał jakieś wypadki, bo chyba po prostu niezbyt nadawał się do budowlanki. Uszkodził sobie oko, dwa razy złamał rękę i rozharatał plecy. Nie wiem czemu, ale taki poturbowany znów wydał mi się podobny do tamtego chłopaka, który pomylił rzędy w olsztyńskim teatrze na premierze „Nory” kilkanaście lat temu. Po tych wszystkich katastrofach wylądował w ogrodnictwie gdzieś pod Freiburgiem i okazało się, że do tego ma rękę, choćby i obolałą po dwóch skomplikowanych złamaniach. Ale tęsknił. Nie umiał żyć za granicą. Zalażł pracę u dawnych znajomych, którzy w Lipowie, godzinę od Olsztyna, założyli ekologiczną agroturystykę nad jeziorem Majcz. Nigdy nie chciał wracać w rodzinne strony, powiedział, że Mazury kojarzą mu się ze wszystkim, co najlepsze i najgorsze w jego życiu, a to chyba znaczy, że to jego miejsce. Zgodziłam się. Agroturystyka jego znajomych to był inny świat, zachwycał się. Wielki sad, warzywnik, własna linia brzegowa. „O czymś takim kiedyś marzyliśmy, pamiętasz?”, uśmiechnął się do mnie zmęczonym uśmiechem. Znałam to jezioro, było piękne i spokojne jak oko matki Ziemi, Nora kochała w nim pływać i nagle wszystko wydało mi się realne, prawdziwe jak zniszczona pracą męska dłoń trzymająca moją. Marcin wracał stopem, bo nie chciał wydawać

kasy na podróż i chciał ostatni raz poczuć się młody, a może to było przeznaczenie? Bo przecież na parkingu stało kilka innych tirów, a on zapukał do mojego. Brzmiało to szczerze. Zabrałam go ze sobą jak kiedyś ciotka Granda Precla, kulawego szczeniaka porzuconego na śmierć w lesie. Precel wyrósł na silnego psa o złotym charakterze i silnym instynkcie stadnym. Mogłam mieć tylko nadzieję, że z Marcinem będzie jakoś podobnie.

Oglądałam blizny Marcina, wodziłam po nich opuszkami palców, niczego nie chciałam przyspieszać, niczego oczekiwać. Niech będzie, że to przeznaczenie, ale ono też potrzebuje czasu i troski. Na drugi dzień Marcin pojechał do Lipowa i zaczął pracę, w której miał pozostać przez dziesięć lat. Byliśmy teraz blisko, ale nie pod jednym dachem, dzielił nas las i parę jezior. Zaczęliśmy się spotykać od nowa, dwoje ludzi grubo po trzydziestce, obciążonych przeszłością wspólną i osobną. Tej osobnej było więcej, ale przecież każdy jakąś ma, mówiła ciotka Granda i wzruszała ramionami znad kolejnej sukienki szytej na starej maszynie. Kiedy nas odwiedzał, wołała z daleka „poznałam pana po dzwonce!” i na twarzy Marcina coraz częściej pojawiał się uśmiech.

Marcin nie chciał już chodzić do teatru, choć ciotka Granda na samym początku zaproponowała mu własny bilet na „Dzień Walentego” Wyrypajewa. W końcu poszliśmy we trzy, a sztuka okazała się bardzo smutna, raniąca duszę, choć moje dziecko uznało ze szczerym zachwytem, że aktorka poruszająca się po scenie na wózku ze złamaną nogą to coś „bardzo cool”. „Czy dorośli muszą być tacy pokręceni? Tacy wyrypajeni?”, wyglupiała się pod wrażeniem osobliwego nazwiska autora sztuki o nieszczęśliwej miłości. Czułam, że i ją dotknął smutek bohaterów. Nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć, ale moje słoneczne dziecko szybko zajęło się tym, co lubiło najbardziej – odgrywaniem scenek w ogrodzie w towarzystwie psa, kota i kur.

Od razu złapali dobry kontakt, naturalny. Polubiła go jak kumpła raczej niż zastępczego ojca, bo Nora chyba nigdy nie miała poczucia, że pochodzi z wybrakowanej, niepełnej rodziny. Miała

mnie, ciotkę Grandę i dom pełen zwierząt. Ciagle ktoś do nas przychodził, drzwi otwierały się i zamykały, kobiety mierzyły sukienki i przynosiły domowe ciasta, stary kuchenny stół pełen był plamek po niezliczonych herbatkach, kawach, lepkich kompotach i nalewkach. Ale z Marcinem moja córka dzieliła coś, czego nie miałam ani ja, ani ciotka Granda. Wystarczyło, że usłyszeli melodię i potrafili ją powtórzyć. Zobaczyli układ taneczny i już przytupywali, przesadnie, z komiczną powagą. Oboje wysocy, jaśni, o mocnych kościach i twardych ciałach. Smutny mężczyzna i dziewczynka na progu wszystkiego, córka matki jeżdżącej na tirach i ojca, który nie dożył, by zobaczyć, jaka jest wspaniała.

Oczywiście, że się tego spodziewałam. Całe liceum kręciła się koło sceny, coraz lepsza, coraz bardziej świadoma tego, kim chce być, w czym jest dobra. Jeśli w ogóle odniosłam sukces jako matka, to wtedy, gdy na wieść, że pójdzie do studium teatralnego przy olsztyńskim teatrze, nie powiedziałam żadnej z tych rzeczy, których nie chciała usłyszeć. Wiedziałam, że chce grać i że chce tu zostać, że nie może żyć ani bez teatru, ani bez lasu i jezior. Pływała od maja do października, morsowała w jadownicy różowej czapce, którą zrobiła jej ciotka Granda. Ona nas, dorosłych, uczyła zbierać dziwne piękne grzyby, które przyrządzała według przepisów z internetu. Żółciak siarkowy z woka, siedzuń sosnowy na maśle. Nie chciała świata większego niż Warmia i Mazury, choć ten był w jej zasięgu. Podnosiła się z młodzieńczych kłesk i dramatów jak wańka-wstańka, otrzepywała spodnie i szła dalej na swoich długich nogach zwieńczonych stopami w rozmiarze 41, ozutymi w stare Martensy. Przygotowywała się do egzaminów z Marcinem bardziej chyba dla jego przyjemności, bo wiedziała już o teatrze więcej niż my wszyscy.

Na premierę „Wroga ludu”, dyplomowego spektaklu Nory, pojechaliśmy wszyscy. Miała grać męską rolę i śmiała się, że ma to po mnie, córka tirownicy zagra faceta w dziewiętnastowiecznym stroju. Do niemłodej, ale żwawej terenowej Toyoty, z której byłam bardzo dumna, wpakowałam ciotkę Grandę, która w ostatnich

latach podwoiła swoją wagę, Marcina i dwie sąsiadki, a wiekowy Gienio zabrał swoim busikiem więcej zainteresowanych osób z okolicznych wsi. Jako rodzina aktorki siedzieliśmy w pierwszym rzędzie. Było mi tam lepiej niż w szóstym.

# Cały świat to ściema

*Widzisz? Nie tylko nas nieszczęście trapi.  
Rozległy teatr tego, co istnieje,  
Zna widowiska smutniejsze niż dramat,  
W którym my gramy.<sup>52</sup>*

**J**ak osiągnąć sukces w sztuce? Serio, to jest pytanie, które mi pan zadaje? Z akademickiej ciekawości? No niech będzie.

A więc pytacie mnie, kochani, jak osiągnąć sukces w sztuce. Otóż nie mam, kurwa, pojęcia. Wszyscy mamy mniej więcej tyle samo talentu, mniej więcej tak samo się staramy, mniej więcej

---

52 Fragment „Jak wam się podoba” Williama Szekspira w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka.

robimy podobne rzeczy, nie ma co ściemniać, że polski showbiz to jest najbardziej lśniąca innowacją branża świata. I jedni wskazują na szczyt, a reszta gdzieś tam siedzi w medianie zarobków dwa koła miesięcznie i ssie swoją frustrację, żeby oszukać głód. Ja odniosłem sukces. Za duży, za niewspółmierny do wysiłku i talentu oraz niestety o wiele za wcześnie. Są autorzy jednej książki i gwiazdy jednej piosenki, co to zabłysnęli, potem się zestarzelili i teraz są takimi typami i typiarami w średnim wieku, kiedyś wielka sława, a co dokładnie, no matko nie pamiętam, ale ostatnio szło w złotych przebojach. Kojarzy pan, mniejsza o nazwiska.

Ja jestem gwiazdą jednego dramatu. „Kundelek”. Może pan słyszał. Film też zrobili. „O wojnie, która jeździła koleją”. Proszę nie oceniać, nie ja robiłem adaptację, nie ja też oczywiście ten zgrabny tytuł wymyśliłem.

To był początek lat dwutysięcznych, zaraz po „Sąsiadach” Grosa, wszyscy się rzucili na temat, w Akademii Teatralnej żeśmy endemiczny, wyssany z mlekiem matki polski antysemityzm tropili jak owczarki niemieckie uciekinierów z obozów. Wszyscy oczywiście chcieli dekonstruować „Kupca weneckiego” i opowiadać à rebours jak Shylock jest biedną ofiarą systemu, osadzając akcję a to w przedwojniu, a to w getcie, a to w 1968, a to we współczesnej małomiasteczkowej Polsce. W takiej atmosferze szukałem pomysłu na dyplom i po jakiejś marihuanowej nocy – mogę tak mówić? To się przedawniło, prawda? – olśnienie: mały żydowski chłopiec razem ze swoim psem przemierzają okupowaną Polskę. I chłopiec zachowuje życie tylko dlatego, że ludzie litują się nad biednym stworzeniem, więcej mają bowiem litości dla wyliniałego kundla, niż dla małego Żydka. Już dobre, co nie? Ale proszę słuchać dalej: wszystko opowiedziane z punktu widzenia psa, który z psią prostodusznością i ufnością zauważa i komentuje świat.

Minimalna obsada, w roli psa przekornie Michał Żebrowski (taki piękny, a cały spektakl w kostiumie), do tego żydowski chłopiec, dwie osoby w zmieniających się rolach Polaków, którzy endemiczny antysemityzm wyssali z mlekiem matki. Rozdzierające



sceny z totalnym odwróceniem ról, kiedy chłopiec patrzy na psa, wzrokiem prosząc o podzielenie się jedzeniem. Polskie dzieci, które błagają rodziców, żeby przepędzili małego Żydka albo przynajmniej na gestapo donieśli do miasteczka, bo chcą sobie zatrzymać słodkiego kundelka. Warszawska publiczność oszalała, „Gazeta Wyborcza” – a wtedy prasa coś znaczyła – nie tyle jadła mi z ręki, co lasła się, mrucząc i ocierając o moje postrzępione czarne dżinsy studenta Akademii Teatralnej. Dyplom wystawiłem w Rozmaitościach. Pojechałem na Fringe do Edynburga. We Francji i Stanach nosili mnie na rękach jak mesjasza, który niesie dobrą nowinę, że to gdzie indziej, w dalekiej pochmurnej Polsce są prawdziwi antysemici, a nie w ich cywilizowanych światach. W Niemczech wystawili „Kundelka” w każdym, kurwa, domu kultury, z wielkim trudem chowając triumfalne uśmiechy za poważnymi minami i pierdololo, że „Europa zasługuje na szczerą rozmowę o historii”. Jeździłem tam wszędzie, zgarniałem walutę, żarłem za frajer, chlałem jak polski artysta, próbowałem się prześpać z każdym, nawet drugą parę czarnych dżinsów sobie kupiłem. Byłem królem.

Film szybko zrobili, miał być kandydat do Oscara, nowa „Lista Schindlera”, a wyszło polskie gówno po taniości, jeszcze kanty poobcinali, żeby nikogo nie urazić i żeby dofinansowanie z PISF dostać, więc Polacy byli dobrzy, Żydzi byli dobrzy, Niemcy raczej przyzwoici, kukła psa wyglądała gorzej niż smok z „Wiedźmina”, a że *voice-over* robił Żebrowski też świeżo po „Wiedźminie”, to wszyscy mieli bekę, że to powinni sprzedawać w pakietach. Nieważne.

Na swoją obronę powiem, że to było na długo przez zagładopolo, przed stand-uperami z Auschwitz, makijażystkami z Treblinki i całym tym żenującym syfem, jakby każdy, kto potrafi zestawić podmiot i orzeczenie, musiał się upaść na Zagładzie. Pamiętam, w jednym wywiadzie postawiłem tezę, że nie ma polskiego artysty ani artystki, ani osoby artystycznej, której w jakimś momencie kariery żydowskie zwłoki by nie zapłaciły rachunków za... no powiedzmy, że za wodę, bo jednak bez przesady. Oburz był straszny,

że to przecież nie jest tak, że z tragedii sobie paśnik zrobiliśmy, że my rozliczamy, dyskurs prowadzimy z pamięcią, transgeneracyjną traumę przerabiamy, no umierałem ze śmiechu. Ale wiadomo, sztuka, nie oceniam, na tę falę wskakujemy, co akurat jest modna. Przerabiałem już Żydów, homoseksualistów (tak długo żyję, że pamiętam, jak byli kontrowersyjni), osobiszczą, które opuściły opresję płci, aby paść się na żyznych łąkach niebinarności, znajdowanie pedofilii w każdym kącie sceny, regularne jak oceaniczne pływy naburmuszone fale feminizmu, a ostatnio histeryczne poszukiwanie przez wszystkich chłopskich korzeni, najlepiej takich, co to wždy słońca nie widziały, jeno wzrastały w bagnistym gruncie nędzy, głodu i przemocy seksualnej.

Na swój sposób ma to sens terapeutyczny – naprawdę serdecznie polecam polski teatr – człowiek posiedzi dwie godziny na widowni, to potem do domu na kolanach wraca, szepcząc modlitwy dziękczynne, że takie ma życie pogodne, szczęśliwe i spełnione. Że nikt go w tym tygodniu nie zabił ani nawet nie zmolestował, a przecież przez tysiąclecia była to codzienność polskich chłopów, z których wszyscy się wywodzimy. Amen.

Do rzeczy. Jak słusznie wszyscy podejrzewamy, patrząc na przypadki osób mniejsza o jakich nazwiskach, żadna sława nie trwa wiecznie, zwłaszcza kiedy się nie pisze, nie śpiewa i nie reżyseruje. Próbowałem coś pisać, ale niestety nie były to rzeczy dobre. Co gorsza, okazało się, że reżyserem też jestem przeciętnym. Moja dusza to dusza była pisarska, wsobna, introwertyczna – tyle że talentu starczyło mi na jedną opowieść. Reżyseria z koniecznością zarządzania, empatii, otwarcia się na innego człowieka, cóż. Zazdrościłem tym, którzy na scenie tworzyli jakąś taką drużynę, która dąży do wspólnego celu, jeden za wszystkich i wszyscy za jednego. Ja raczej reżyserowałem w taki sposób, w jaki przeciętny menadżer prowadzi dział w korporacji. Świata nie zmienię, ludzie znudzeni się rozglądają za nową robotą, ale cele na koniec kwartału zrobione.

Bolało. Naprawdę bolało. Bo jak ktoś raz poczuje, jak to jest być gwiazdą rocka, to bardzo, ale to bardzo wyraźnie czuć, kiedy

to traci. Więc zaliczyłem klasyczne artystowskie dramy, toksyczne związki, rozwody, romanse, depresje, uzależnienia, odwyki, nowe uzależnienia, nerwice, banal jak bohema długa i szeroka. Był gwiazdą, został szpakowatym creepem, no taka wyjątkowa historia, nigdy takiej nie słyszeliśmy. Pocięzałem się, że ja przynajmniej przez chwilę miałem to, co w tym zawodzie chcą mieć wszyscy. Pół Polski mnie kochało, pół nienawidziło, ale każdy musiał mieć o mnie zdanie i to było, kurwa, piękne.

Oczywiście teraz, jak to panu opowiadam, to myślę, że luk dramatyczny od cudownego dziecka polskiej sceny do przesłuchiwanego w nędznym pokoiku prokuratury rejonowej ma w sobie pewien potencjał. Bo przecież do niedawna byłem tylko przebrzmiałym autorem jednej sztuki, która w innej epoce utrafiła w swój czas – na szczęście nie ma na to paragrafów w kodeksie karnym.

Dużo jeździłem po Polsce ze swoją przebrzmiałością, reżyserowałem ogony w teatrach trzy dni drogi końmi od Warszawy, tak trafiłem do Olsztyna – i to był chyba w moim życiu moment kluczowy. Po czterdziestce, samotny, podwójnie rozwiedziony, serio, ja już nie szukałem sensu życia ani twórczego spełnienia, szukałem etatu w domu kultury na prowincji. Łatwo powiedzieć, zapotrzebowanie na etaty w domach kultury na prowincji jest takie, że gdyby nabór w formie igrzysk śmierci ogłosili, to i tak ludzie dwie noce by na zimnie stali, żeby w terminie złożyć aplikację. Więc zapomnij człowieku o etacie, damy ci z łachy coś zrobić, bo kiedyś byłeś sławny.

To robiłem swoje specjalności, wywalałem na scenie bebechy polskich traum i patologii w ramach kolejnego festiwalu DE/generacja:RE/generacja albo Konstrukcja//Rekonstrukcja//Destrukcyja.

Miła odmiana, że na Ziemiach Odzyskanych (inaczej teraz się chyba mówi, ale historyczna poprawność to moje ostatnie zmartwienie) nie mają takiego ciśnienia na Zagładę. Oczywiście to nie jest tak, że jak nie mieli Żydów, to grają komedie, po prostu zapotrzebowanie na mrok, traumę, smutek i tragedię zaspokaja germanizacja, wypędzenia i ruskie gwałty. W Lublinie zawodzą, że nie ma Żydów, tutaj zawodzą, że nie ma Warmiaków i Mazurów. Może

nie jest to wesoła, ale zawsze jakaś odmiana. Poza tym podobała mi się okolica, fajnie było mieszkać wśród lasów. Ludzie też spoko, słodko przewrażliwieni na punkcie swojej małej ojczyzny, uwielbiałem ich po pijaku podpuszczać, gdzie ta Warmia, gdzie te Mazury, zaraz mi bełkocząc pokazywali mapy na telefonie, na którym bagnie przebiega granica. Taki potencjał kabaretowy, a oni ciągle te ruskie gwałty, no szkoda, naprawdę.

Tak bardzo chciałem zrobić coś wesołego. Tak bardzo chciałem zrobić coś prawdziwego. Tak bardzo chciałem zobaczyć w ich oczach, że tak wspaniały wieczór, warto było przyjść! Tylko artysta wie, jaki to jest niesamowity narkotyczny haj. I tylko przebrzmiały artysta wie, jaki to jest zjazd i rozpacz, kiedy się to traci.

Słyszę siebie i się w duchu śmieję, że to brzmi jak wstęp do opowieści o szaleństwie. O tym, jak żądny poklasku szmirus więzi ludzi w piwnicy w Stawigudzie i ich zmusza, żeby go podziwiali. Ale chcę, żeby pan zrozumiał, jak do tego wszystkiego doszło, jaka była moja motywacja.

Zrobiłem premierę na Dużej Scenie, zrobiłem na Kameralnej, zrobiłem na Marginesie i u Sewruka, z miejsc w tym teatrze do reżyserowania nie wykorzystałem tylko parkingu i kibla. Wpadało się zbierać, smutno było i żal, zwłaszcza że miałem jakiś taki wyjątkowo jak na mnie nienerwowy i spokojnie rokujący romans z koleżanką z administracji – bo od aktorek i artystek wszelakich to ja się będę trzymał z daleka cztery następne wcielenia, osobna historia. Nawet myślałem, czy może jednak w regionie jakiejś po prostu roboty nie poszukać, wykształcenie kierunkowe jest, dorobek też, może by dali pół etatu w bibliotece albo tym przysłowiowym domu kultury. Boże, pół etatu, pierwszy raz w życiu bym pieniądze co miesiąc dostawał. Tak sobie siedziałem i fantazjowałem, że konsolę na raty kupuję na jeden świstek, jak možny pan, trzeba być artystą, żeby docenić, że pół etatu to świetliste wrota do świata wielkich możliwości.

I wtedy przychodzi zakochany typ. Zakochany, co ciekawe, w swojej żonie. Proszę słuchać dalej: po dziesięciu latach

małżeństwa. To w przyrodzie nie występuje, można być zakochanym w żonie rok po ślubie albo trzydzieści lat po ślubie. Po pierwszej dyszce to łajdactwa, dramy i krwawe rozwody. Tymczasem typ zakochany jak szczeniaczek. I ma taki pomysł na dziesiątą rocznicę, żeby tej żonie odtworzyć, jak mieli pierwszą randkę, bo tam się tyle działo i to był taki dzień ważny i magiczny i on chętnie za wszystko zapłaci, bo ma kasę, bo jest architektem oprogramowania i nie płaci podatków, bo ma IP Box. To tak tylko mówię à propos tego, że ciągle słyszę, że artyści święte krowy, państwo nikogo nie wspiera, to czemu ma was wspierać, darmożjady, weźcie się do prawdziwej pracy. IP, kurwa jego mać, Box, no nieważne.

Namówilem dyrektora, parę osób z zespołu, w sumie czemu nie. O matko, ale nam to wyszło. Odtworzyliśmy wszystkie ich wspomnienia. Zagraniczni turyści, co chcieli, żeby im zrobić zdjęcie pod Kopernikiem. Szalony rowerzysta w różowym trykocie, co to w ostatniej chwili ledwo uskoczyli. Barman, który się upierał, że są spokrewnieni. A kiedy wyszli z kawiarni na rynek, to znienacka spadła na nich z deszczownicy majowa ulewa. Ludzie klaskali i płakali, bohaterowie najszczęśliwsi na świecie, my mieliśmy wrażenie, że zrobiliśmy coś, co naprawdę miało sens, a ja – cholera, wstyd to powiedzieć, ale niech będzie – a ja pierwszy raz czułem się reżyserem teatralnym. Wiedziałem, co robimy, z kim i dla kogo. I czułem tę energię, i ta energia do mnie wróciła od wszystkich spotęgowana, wspaniałe uczucie. Najwspanialsze.

Aha, jak zobaczyłem szanowną panią żonę, wszystko zrozumiałem. Zołza z bezlitosnym seksapilem. Architekt oprogramowania musiał być bezradny.

Żeby nie przedłużać: sprawa w Olsztynie zrobiła się głośna, też zrozumiałe, wszyscy lubimy romantyczne historie. Media pokazały, społeczności sypnęły serduszkami, po starej znajomości jedna moja była nawet zaprosiła do telewizji śniadaniowej. I pojawiły się nowe zlecenia, dyrektor uznał, że jest to zabawny sposób promocji teatru wśród lokalnej społeczności – co brzmi jak coś, za co ma

się punkty w ratuszu – i dał mi etat jako jednoosobowej komórce do spraw wydarzeń społecznościowych.

ETAT!!!

Oczywiście, że kupiłem konsolę. Tego samego dnia, którego podpisałem umowę i mogłem wziąć kwitek o zatrudnieniu. Do dziś nie wyjąłem z pudełka, uważam, że to naprawdę kretyńska rozrywka, żeby w telewizorze na niby komuś strzelać w głowę i tak tysiąc razy. Ale mogłem! Ani jednego pytania mi w sklepie nie zadali! Ani razu dziwnie nie spojrzeli! Ziewnęli, zdjęli z półki i dali. Chwała etatowi na wysokościach, Alleluja.

Interes się kręcił, zlecenia były lepsze i gorsze, w zespole niektórym się te chałtury podobały, niektórym nie, ale po kilku miesiącach miałem już swoją drużynę i razem naprawdę chcieliśmy to robić. Dlaczego? Dużo rozmawialiśmy, ale odpowiem za siebie: ponieważ to było prawdziwe. To znaczy wiem, że nie było, ale było. Ja i tak cenię teatr za to, że trzeba go przeżyć na żywo. Ruszyć dupę, usiąść obok innego żywego człowieka i spróbować się dostroić, żeby żywi ludzie na scenie mogli zagrać na naszych uczuciach. To jest wspaniała rzecz, magiczna. Ale jednak siedzimy nieruchomo w ciemności, a tam ktoś się wije i wali w nas, że byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna, w całej swojej prawdzie to jednak sytuacja cokolwiek wypreparowana. Tymczasem my wchodziliśmy w czyjeś prawdziwe życie i dodawaliśmy koloru, głębi, przygody, niesamowitości – tego, o czym przecież wszyscy fantazjujemy.

Najbardziej lubiliśmy prywatne zlecenia, firmowe trzaskaliśmy dla kasy, politycznych nie ruszaliśmy, nieważne z jakiej strony przychodziły – a jak się możecie domyślać, młodzieżowi pięćdziesięciolatkowie z Platformy pięknie prosili, żeby im Campus uatrakcyjnić. Pomysł był taki, że wśród uśmiechniętej Polski pojawiają się nagle potwory – krzyżówka pisowców i stworów z Dzikiego Gonu, mieli licencję z CD Projektu nawet – a Rafał Trzaskowski

zamienia się w Wiedźmina, który sięga po dwa miecze i z pomocą swojej wesołej kompanii (Barbara Nowacka jako Triss, Sławomir Nitras jako Jaskier, Jerzy Buzek jako Vesemir) ratują Królestwa Północy przed odwiecznym złem.

Dobrze pan zgaduje, odmówiliśmy. Chociaż, nie powiem, w perwersyjny sposób wydawała się ta propozycja kusząca.

Zamiast tego zrobiliśmy Wesele. Z dużej litery. Z dużej nie dlatego, że Wyspiański, tylko dlatego, że to naprawdę była wielka rzecz.

Para siedemdziesięciolatek poprosiła, żebyśmy im urządzili wesele. Pamiętam to spotkanie, czerwiec, gorąco jak cholera, siedziałem z nimi na kawie w ogródku w House i po raz milionowy przeklinałem, że jako reżyser teatralny muszę chodzić cały na czarno, pocilem się w czarnych spodniach i czarnej koszuli jak czarna świnia. Oni piękni i srebrni, w zwiewnych lnianych strojach, zazdrościłem. Naprawdę piękni, typ starszy ode mnie o ćwierć wieku, a w barze każda dziewczyna wołałaby jego. Opalony, barczysty, dorobił się na termostatach czy czymś w tym stylu. Ona z ironicznym poczuciem humoru i wyglądem nauczycielki jogi, prowadziła prywatne przedszkole na Zatorzu. Mieli w sobie taki radosny spokój, że nieomalże poprosiłem, żeby mnie przytulili, że może trochę na mnie tego spokoju spłynie.

Spędzili ze sobą trzydzieści lat lepszych i gorszych, ale koniec końców wyszły z tego trzy dekady zajebistej miłości. A nigdy nie mieli wesela. Kiedy ich trafiło to zakochanie, byli już po czterdziestce. Ustawione życia, rodziny, dzieci, cały ten początek w dramie, łzach i sprawach sądowych, do usc nie tyle szli, co przemykali się pod ścianami. Zrobili butelkę wina z tymi przyjaciółmi, co się akurat na nich nie obrazili, to im musiało wystarczyć za wesele.

„Mówią, że to nie ma znaczenia, że to tylko durna impreza dla nie lubianych wujów i obrażonych ciotek. I zapewne mają rację. Ale wiesz, patrzymy wstecz na swoje życie i tak bardzo nam tego brakuje. To głupie, ale chcielibyśmy mieć takie przaśne wesele z lat dziewięćdziesiątych, idiotycznie głośne, plastikowe, tandetne, z fałszującą orkiestrą, ciepłą wódką i – pamiętam zawahanie,

jak to mówiła, ten jednocześnie figlarny i smutny błysk w jej oku – i takim poczuciem, że żyjemy, że wszyscy są z nami, że wypijmy za to, że jeszcze się nasze spełnią piękne sny, marzenia, plany, no to hop, po maluchu”.

Dziwnie na mnie zagrała ta prośba. Na strunie przemijania, bo wiem, jak to jest, gdy się niby tyle ma i tak człowieka jednocześnie szarpie w duszy, że ten czas upływa, że aż chce się wić z bólu. Na strunie tęsknoty za taką miłością, co trwa i nawet jak człowieka wkurwi, to jednak ma się z kim oglądać świat, to takie proste – tak, dobrze tutaj w tych frazach słyszeć soundtrack do naszego Wesela. Na strunie życia – bo ja zawsze byłem reżyserem od śmierci, bólu, straty, pustki i jeszcze musiałem udawać, że się w tym odnajduję i stroić poważne miny. A ja kocham życie, śmiech, głupie żarty i żeby słuchać Bon Jovi w samochodzie z podkręconymi basami. No i też trochę na strunie poczucia winy. Byłem w ogólniaku, gdy moja matka się zakochała jak nastolatka. Zostawiła starego dla – nie uwierzy pan – instruktora żeglarstwa. Cierpiałem strasznie, na tym cierpieniu i odrzuceniu zbudowałem swoje jestestwo, karałem ją ostracyzmem przez lata, odrzucałem miłość, odrzucałem zainteresowanie, na ślubie i weselu oczywiście się nie pojawiłem. Kiedy sobie w końcu w głowie poukładałem, że miała prawo do szczęścia jak każdy – to już nie żyła, zawinęła się na raka w trzy tygodnie, nie miałem nawet komu, kurwa, powiedzieć, że spoko i że nie mam żalu w sumie. Gryzie mnie to regularnie do dziś.

I jak mi na tych strunach prośba staruszków szarpnęła, to zagrałem najpiękniejszą muzykę. Była kapela z fryzurami na żel, co grała „Białego misia” i „Budzikom śmierć”, i wszystkie szlagiery najntisowe, i obowiązkowe „Jeszcze w zielone gramy”, i „Z tobą chcę oglądać świat”. Były zabawy w przeciąganie jajka przez nogawkę, pociąg i tańce na składanej coraz ciasniej gazecie. Był rubaszny wuj od nieśmiertelnego „no przecież z ciebie, Bożenko, to już prawdziwa kobieta, zaokrągliłaś się tu i ówdzie, no chodź do wujcia na kolanka”. Byli dorośli aktorzy jako weselne dzieci, co dało wszystkiemu rys kempowego performansu. Książdz,



rodzice i „Cudownych rodziców mam”, i napisałem tym rodzicom tak wspaniałe toasty, że ludzie łkali i się tego łkania nie wstydzili. Byli też prawdziwi siwiutcy przyjaciele państwa młodych i ich prawdziwe dzieci w średnim wieku, które być może, jak ja kiedyś ostentacyjnie olały szczęście swoich starych.

Patrzyłem, jak wszyscy tańczą do tamtych hitów, do „kocham cię najpiękniej, bo przez zapatrzenie”, błyskała kula dyskotekowa, wirowały marynarki z poduszkami na ramionach, fryzury na Rejczel z „Przyjaciół” i niebieski cień do powiek, spocony Fahrenheit mieszał się ze spoconym Exclamation, no szaleństwo. Patrzyłem i dostałem śmiechawki, bo nie mogło mi to „pachnieć krzyyyyyyykiem z wykrzyknikiem” wyjść z głowy, poza tym – przyznaję – byłem lekko upalony, bo smak nabitej lufy jak z lat dziewięćdziesiątych, oczywiście tylko CBD, wszystko legalne, a nawet jakby, to mam receptę, tak zaznaczam na wszelki wypadek.

Podszedł pan młody. Trzeźwy, wzruszony, niezmiennie atrakcyjny i piękny, jakby całe życie spędzał w marinach Morza Śródziemnego. Podziękował za toast, jaki napisałem dla jego ojca, którego Marian naprawdę brawurowo zagrał.

„Wie pan, powiem wprost, mój ojciec to był straszny chuj. Wychowywał mnie na zmianę przemocą i obojętnością, jak w końcu parę lat temu umarł – a skurwiel dożył prawie setki – to nie poszedłem na pogrzeb, bo jednak się trochę wstydziłem, że rodzina dostrzeże, jaką promienieję radością i satysfakcją. Nawet nie marzyłem nigdy, że mógłbym od niego usłyszeć takie słowa. A teraz, kiedy je usłyszałem, to chociaż wiem, że to wszystko na niby – nagle rozpuścił się kawałek lodu na dnie mojej duszy. Bardzo dziękuję”.

Cóż było robić, ukloniłem się skromnie, myśląc, że yeah baby, tak, kurwa, działa wielka sztuka, klękajcie i zanoście modły dziękczynne. Czegoś dotknęliśmy tej nocy, jakiejś prastarej magii sztuki, która nam towarzyszy od czasu jaskiń. Tak, to była zabawa, ale też głębokie doświadczenie, dziwny halun, który pozwolił nam zajrzeć w naprawdę rzadko odwiedzane miejsca. Miejsca, co to

zazwyczaj zerkamy przez szparę i się wycofujemy – a tym razem kopniakiem otworzyliśmy drzwi. Śmialiśmy się, płakaliśmy, tańczyliśmy, kiedy mówię, że to Wesele z wielkiej litery, to naprawdę wiem, co mówię.

Świtało, kiedy jeszcze raz poleciał Młynarski w wykonaniu Machalicy.

„W najróżniejszych sztukach gramy,  
lecz w tej, co się skończy źle,  
jeszcze nie! Długo nie!”

Wyszliśmy do okłasków. Raz, dwa, trzy. Niemłodzi młodzi nam podziękowali ze sceny. Wzniesli ostatni toast, niezmiennie srebrni i piękni, jakby nic ich ta noc nie zmęczyła. Uśmiechnęli się, pocałowali namiętnie i padli na ziemię. Jak się po chwili okazało martwim, kurwa, Romeo i Julia w wersji emeryckiej.

– I nie wiedział pan o tym wcześniej?

– Nie, słowo daję.

– Przypominam, że został pan uprzedzony o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań. Na pewno nie miał pan pojęcia, że reżyseruje nie wesele, tylko stypę?

– A nawet jeśli, to co? Stypy nie można wyreżyserować? Na pewno by to tym uroczystościom dobrze zrobiło na dramaturgię, a nie że od początku wiadomo, kto umarł i potem nuda.

– Proszę nie kpić. Są na to paragrafy. Kto zabija człowieka na jego żądanie i pod wpływem współczucia dla niego – od trzech miesięcy do pięciu lat.

– Ale ja nikogo nie zabiłem!

– Odpowiada za pomocnictwo, kto swoim zachowaniem ułatwia popełnienie czynu zabronionego. Oraz: sąd wymierza karę za pomocnictwo w granicach zagrożenia przewidzianego za sprawstwo.

– Panie prokuratorze, skąd ja miałem wiedzieć, że ten typ jest chory i że sobie wymyśliły siwe gołąbki taki sposób na pożegnanie ze wszystkimi. I tak szczerze: nawet gdyby mi powiedzieli, pewnie i tak bym to zrobił, może nawet bym się postarał lepiej, bo, kurwa

mać, mamy chyba przynajmniej tyle wolności, żeby odejść na swoich warunkach. Szczęśliwi, z dziećmi, z przyjaciółmi, upalemi i w rytm dobrej muzyki. W ramionach ukochanej osoby. Kto wie, może nasz umierający mózg zostaje w tej ostatniej chwili, to niech ta chwila będzie miłością w cudzych oczach, a nie strachem, bólem i nieświadomością.

– Powinienem zapisać w tym protokole, że w tym momencie wdycham ciężko. Pan artysta podpisze tutaj. Tak, tutaj. Jest pan wolny, proszę się nie martwić, nic się więcej w tej sprawie nie zadzieje. Swoją drogą wyguglałem sobie pana, strasznie smutne rzeczy pan w tych teatrach robi.

– Na szczęście to wszystko na niby. Prawdziwe życie sobie reżyseruję na wesoło.

– I nie tylko sobie.

– To znaczy...

– Spokojnie, proszę się nie martwić, wszystko już tutaj zamknęliśmy. Oraz dziękuję panu za tę historię, może niekonieczna w protokole, ale cóż, życiowo interesująca. Rozległy teatr tego, co istnieje, zna widowiska smutniejsze niż dramat, w którym my gramy.

– Pan prokurator widzę odczytany.

– Spędziłem wiele lat w więzieniu, miałem czas nadrobić klasykę.

– Że co proszę? Prokurator w więzieniu? To jest coś, czego bym chętnie posłuchał.

– Może przy innej okazji.

*ISHBEL SZATRAWSKA*

# Rościch

**O Teatrze im. Stefana Jaracza w Olsztynie  
za czasów Krzysztofa Rościszewskiego**

**K**rzysztof Rościszewski (1940–2016) był dyrektorem Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie od 1975 do 1984 roku – z krótką przerwą w sezonie 1977/1978. Właśnie ta niecała dekada jest nie tylko jednym z najciekawszych rozdziałów w historii „Jaracza”, ale być może jednocześnie najbarwniejszym. To wtedy

kształtował się charakter zespołu artystycznego, zawiązywały się wieloletnie i trwałe przyjaźnie, a także działy się osobiste dramaty, będące wynikiem nacisku władz w czasie stanu wojennego. I to właśnie wtedy olsztynianie po raz pierwszy mieli okazję zetknąć się z przedstawieniami Rościszewskiego, które reżyser z powodzeniem wystawiał w „Jaraczu” do 2008 roku. W pamięci widzów zachowały się zwłaszcza te jego spektakle, które powstały w oparciu o klasyczną literaturę rosyjską i współczesną dramaturgię polską: *Zbrodnia i kara* Fiodora Dostojewskiego, *Trzy siostry* Antona Czechowa, *Na dnie* Maksyma Gorkiego, *Pułapka* Tadeusza Różewicza, *Bulhakow* Macieja Wojtyszki. „Krzysztof Rościszewski robił tytuły, które go interesowały” – mówi Grażyna Czarkowska<sup>53</sup>, inspicjentka i suflerka. „Więc na pewno miał do tego osobisty stosunek i to na pewno też wpływało na to, jaki był efekt końcowy”.

Rościszewski miał też w dorobku m.in. Szekspirowskiego *Hamleta*, *Rozmowy przy wycinaniu lasu* Stanisława Tyma, *Antygone* według Helmuta Kajzara, dwa spektakle dyplomowe studentów Studium Aktorskiego im. Aleksandra Sewruka, a nawet bajki. Za jego dyrektury w „Jaraczu” reżyserowali m.in. Jerzy Walden, Henryk Baranowski, Bohdan Korzeniewski, Bogdan Augustyniak, Jan Maciejowski, Janusz Kozłowski, Jan Błęszyński czy Jerzy Wróblewski. Ten czas często wspominany jest przez widzów jako złoty okres olsztyńskiego teatru.

### **Od śrubki po monolog Hamleta**

Na fotografiach dokumentujących spektakle Krzysztofa Rościszewskiego uwagę zwraca przede wszystkim wyeksponowanie aktorów. To oni, a zatem także słowo wypowiedane przez aktora, są w centrum uwagi. Scenografia jest często bardzo prosta, niemal umowna, za to przemyślana koncepcyjnie i znakomicie wykorzystująca warunki sceny i jej techniki. W *Zbrodni i karze* jest to podest zbudowany na planie krzyża, symbolizujący wewnętrzną

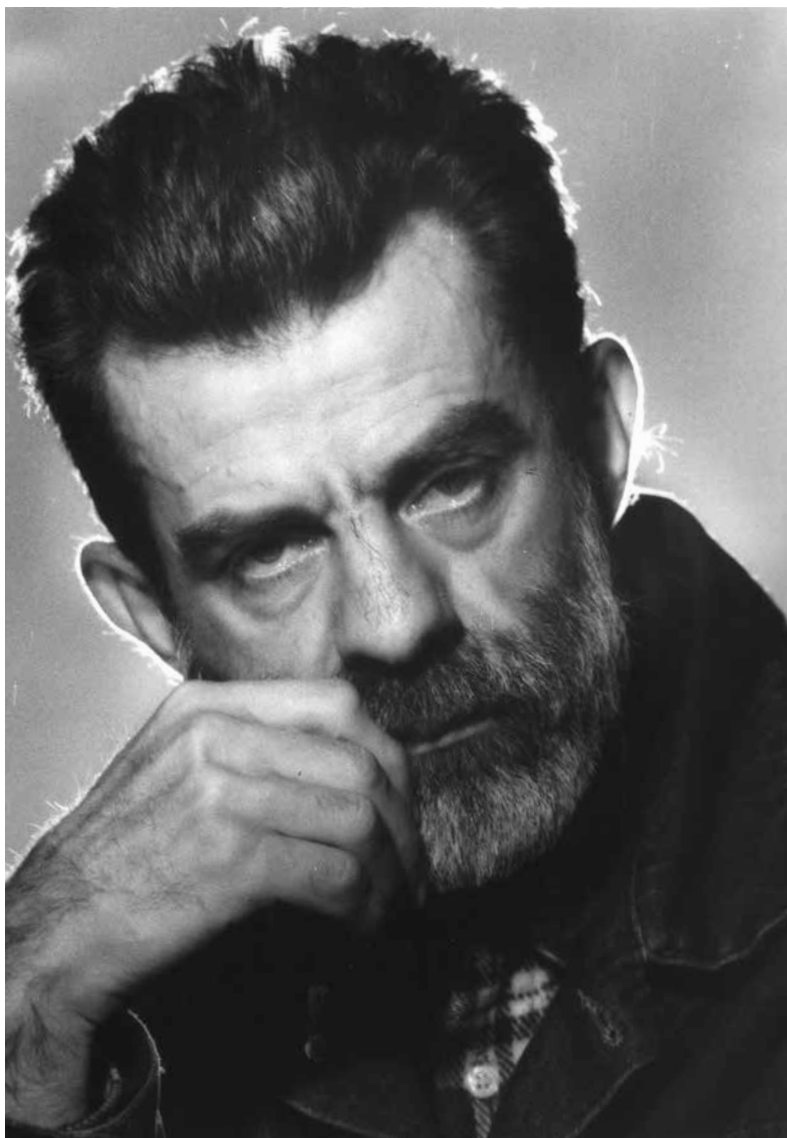
---

53 Znana wówczas pod nazwiskiem Nowak.

walkę Raskolnikowa i dążenie do odkupienia zbrodni. W *Antygonie* użyto tzw. żelaznej kurtyny, czyli przesłony przeciwpożarowej oddzielającej widownię od sceny, by w odpowiednim momencie unaocznić zamurowanie głównej bohaterki. *Hamlet* rozgrywa się w szkielecie zamku przypominającym rusztowanie – to wymowny znak, który można interpretować jako symbol fasadowych rządów uzurpatora Klaudiusza. Sylwetki aktorów zdają się bardziej wyraziste, jakby reżyser chciał podkreślić je na tle ascetycznego tła. Nie jest to zaskakujący wybór. Na początku swej drogi artystycznej Rościszewski był asystentem Adama Hanuszkiewicza czy Kazimierza Dejmka przy słynnych i brzemiennych w skutki polityczne i społeczne *Dziadach*. Podobnie jak jego mistrzowie – oraz jak inni reżyserzy jego pokolenia – Rościszewski akcentował aktora i jego rolę. Centralnym punktem spektaklu była psychologia postaci i jej relacje z innymi bohaterami dramatu. Ale Rościszewski nie stronił też od takich rozwiązań formalnych, które poszerzają tekst o dodatkowe znaczenia. W pamięci widzów zachowała się w szczególności *Pułapka* Tadeusza Różewicza. Ten spektakl, pochodzący już z późnego okresu pracy twórczej Rościszewskiego, dotyczył trudnego, a w zasadzie toksycznego związku Franza Kafki z ojcem. Tematem były żydowska tożsamość pisarza, jego relacje z rodzicami i z kobietami. W kluczowej scenie z końca spektaklu w głębi sceny przejeżdżał wózek z powykręcanyymi nagimi ciałami: wizja nadchodzącego czasu Zagłady, jasne nawiązanie do obozów koncentracyjnych. Widok trupów jadących do krematorium był dla publiczności szokujący. Widzowie, zderzeni nagle z brutalnym obrazem przemysłowej śmierci, zamierali w bezruchu. „*Pułapka* była wybitnym przedstawieniem, absolutnie wybitnym” – mówi Joanna Fertacz. „Ja w nim nie grałam, ale je oglądałam, będąc w bardzo wysokiej ciąży, bo rodziłam dosłownie za dwa dni. Spektakl wywarł na mnie tak duże wrażenie, że, można powiedzieć, przestałam czuć wszelkie niewygody związane z ciążą. Byłam maksymalnie skupiona”. Z tą sceną wiąże się też kultowa teatralna anegdota. Splątane i wepchnięte do wózka

ciała grali studenci Studium Aktorskiego. Wielu z nich wstydziło się rozebrać. Rościszewski wyjaśnił im, dlaczego scena jest ważna, że nikt nie będzie się im przyglądał i nie będą paradować nago przed widownią. „To tylko ciało” – powiedział. „Ciało jest narzędziem. Nie można nim niepotrzebnie epatować na scenie, ale jeśli jest potrzebne, trzeba go użyć”. Po czym sam się rozebrał. I tak ich ośmielił, że i studenci się rozebrali. Joanna Fertacz dodaje do tej historii także humorystyczny akcent. W tej chwili do sali prób miał wejść kierownik techniczny i ujrzawszy dyrektora i studentów nago, podobno wpadł w panikę i uciekł.

Rościszewski miał nie tylko solidny warsztat, ale potrafił też utrzymać koncentrację widza dzięki żelaznej wewnętrznej logice sceny. Był bardzo czuły na punkcie tego, by działaniami aktorskimi i całym spektaklem rządziła bezwzględna konsekwencja. Tyczyło się to zwłaszcza postaci. W *Bułhakowie* Macieja Wojtyszki Ewa Pałuska-Szozda grała Helenę Siergiejewnę Bułhakow, żonę pisarza. Jak sama mówi: „Wszyscy graliśmy ten spektakl w totalnym skupieniu. Nie było aktora, który by sobie pozwolił na to, co bufetowe, luźne, lekkie. Mieliśmy ciała zmobilizowane na tu i teraz, na to konkretne zdarzenie sceniczne. Pan Krzysztof przychodził na każdy spektakl, może raz nie przyszedł, chyba był chory, ale poza tym jednym razem był obecny na każdym spektaklu”. Podobnie postępował Tadeusz Kantor, do dziś robi tak Krystian Lupa. „To nas trzymało w bardzo dużej gotowości” – wyjaśnia Pałuska-Szozda. „Graliśmy w niebywałym skupieniu. Nieważne, czy graliśmy rano, dla szkół, czy graliśmy wieczorem. A jeśli chodzi o moją Helenę... Po każdym spektaklu bolało mnie całe ciało. Byłam jedną napiętą struną, która doszła do jakiegoś granicznego punktu, i cały czas ta myśl: żeby to przetrwać, żeby on przeżył, bo przecież wiadomo, jak ta sztuka się kończy. Myślę, że panu Krzysztofowi chodziło przede wszystkim o zachowanie ducha literatury i o pamięć”. Irena Telesz-Burczyk wspomina z kolei nie tylko swoje role w olsztyńskim teatrze, ale także jej doświadczenia w Teatrze Ziemi Pomorskiej w Grudziądzu. Wprawdzie знаła Rościszewskiego jeszcze



Krzysztof Rościszewski



z przełomu lat 1959/1960, czyli czasów teatru studenckiego, który reżyser prowadził w cechu rzemiosł na rogu ulicy Piwnej w Gdańsku, ale to w Grudziądzu po raz pierwszy pracowała z Rościszewskim na profesjonalnej scenie i to właśnie ona wykonała pierwszy striptiz w historii polskiego teatru jako Sekretarka w *Kartotece* Róźwiczka. „Robiłam pierwszy striptiz w teatrze” – wspomina. „Bardzo się bałam, bo to był pierwszy striptiz w teatrze, nie w filmie. Krzysztof powiedział: »Gównu mnie obchodzi, czy ty się wstydzisz, czy nie, masz się rozebrać i kopulować z Jurkiem Zassem« – a Zass wtedy wygłaszał monolog. Bardzo się bałam. Ale on nie robił efektu dla efektu. To był uzasadniony i głęboko przemyślany zabieg”. I dodaje zaraz o scenie z *Pułapki*: „To było wstrząsające. Rościszewski wierzył w prawdę, zawsze chciał pokazać prawdziwy obraz rzeczywistości. Nie zawsze możesz człowieka poruszyć, a on poruszał do głębi. Najwyższym wyrazem artystycznym jest człowiek. A człowiek nagi, bezbronny, odarty z ubrania, z czegoś, co go chroni, jest sto tysięcy razy bardziej wstrząsający niż człowiek ubrany”.

Nagość nie była jednak częsta w spektaklach Rościszewskiego, choć z pewnością jest pamiętana przez aktorów i widzów – przełamywała także pewne tabu. Rościszewski był w swej pracy reżyserskiej przede wszystkim oddany literze tekstu. Prawda psychologiczna i konsekwencja były dla niego wyznacznikami całego spektaklu i potrafił im się oddać z niezwykłą drobiazgowością. „Krzysztof był po prostu artystą” – mówi Artur Steranko. „Miałem z nim też ciężkie chwile. Pamiętam pierwszą sztukę, którą razem robiliśmy. Był to *Hamlet*. Grałem Laertesa, miałem pojedynek z Hamletem i Krzysztof przeciwiczył nas równo. Przy pierwszym wejściu kazał mi chyba z piętnaście razy wychodzić na scenę, więc moje pierwsze doświadczenia nie były zbyt przyjemne. Ale byłem wtedy młodym aktorem i składałem to na karb swojego małego doświadczenia. A on był rzeczywiście perfekcjonistą i dość upartym człowiekiem. Zresztą bardzo go za to ceniłem”.

Pracował Stanisławskim. I był w tym niezwykle precyzyjny. Zarówno aktorzy, jak i Elżbieta Lenkiewicz, wieloletnia kierowniczka

literacka Teatru Jaracza, oraz Grażyna Czarkowska, inspicjentka przy wielu spektaklach Rościszewskiego, podkreślają, że w pracy był niemal pedantyczny. Aktor nie mógł grać. Musiał być, poczuć emocje. „Muszę powiedzieć, że był niezwykle precyzyjny i bardzo logiczny” – wspomina Joanna Fertacz. „Pilnował, żeby jedno z drugiego wynikało, żeby aktorzy dialogowali, to było dla niego ważne. Wskazówki reżyserskie służyły temu, żeby tę logikę osiągnąć w działaniach i myśleniu aktora. Przychodził też na inne spektakle, które ktoś inny reżyserował, a myśmy w nich grali – i wyciągał wszystkie nielogiczności, od razu je punktował”.

Jako dyrektor i reżyser zarządzał teatrem nierzadko twardą ręką. Czuwał nad wszystkim, łącznie z tym, by w toaletach dla widzów zawsze był papier toaletowy. Nawet na emeryturze, jak wspomina jego wnuczka, Marta Wróblewska, posyłał ją, by sprawdziła, czy w toaletach jest papier. Jego żona, Dorota Rościszewska, mówi o nim, że znał Teatr Jaracza od śrubki w scenografii po monolog Hamleta – tę frazę z pełnym przekonaniem powtarza też Irena Telesz-Burczyk. Jak mówi Marta Wróblewska, zdawał sobie sprawę z tego, że teatr jest dobrze naoliwioną maszyną i niesprawność któregoś z elementów może doprowadzić do tego, że spektakl zwyczajnie się nie uda. Jednak najbardziej zależało mu na logice spektaklu. Elżbieta Lenkiewicz zaznacza, że na próbach Rościszewski poświęcał dużo czasu drobiazgowej analizie tekstu, co natychmiast przekładał na zadania aktorskie. „Dla niego wszystko musiało być podłożone” – mówi Agnieszka Giza. „Tematy aktorskie, motywy. Wszystko musiało wynikać z czegoś. Jeżeli nie rozumiał historii danej postaci, motywu, nie odczuwał tego, zupełnie się gubił i przychodził na spektakle dopóty, dopóki czegoś nie zauważył: danej postaci, jej historii, jej przebiegu w danym spektaklu”. Faktycznie, Rościszewski – i to nie tylko w czasach swojej dyktury, ale także i w najpóźniejszym okresie swojej pracy – miał zwyczaj przychodzić na spektakle innych reżyserów, i to wielokrotnie. Jednak nie było w tym żadnej złośliwości i nie wytykał kolegom po fachu błędów czy niedociągnięć.

Jako reżyser nieustannie poszukiwał logiki rządzącej spektaklem i jeśli jej nie widział, dzielił się z aktorami swoimi wątpliwościami. Z pozycji widza nieustannie analizował spektakle w „Jaraczu”, aktorskie role, decyzje reżyserskie. W pewnym sensie nowy typ teatru ostatecznie doprowadził go do świadomej kapitulacji. Maria Rybarczyk, którą Rościszewski dostrzegł już jako studentkę krakowskiej Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej (dziś Akademii Sztuk Teatralnych) i którą ściągnął najpierw do Teatru Śląskiego w Katowicach, a następnie do olsztyńskiego „Jaracza”, opisuje ich ostatnią rozmowę, krótko przed jego śmiercią: „Zadzwoił do mnie, nie pamiętam już, w jakiej sprawie. Pytam go: »Co ty robisz?«. A on na to: »Wiesz co? Ja już mało co robię, ja już tego teatru nie rozumiem«. Ale nie mówił, że teatr jest do kitu, tylko że on z niego wyrósł, że to jest inne pokolenie, inny język. Był tego świadomy. I nie wartościował, czy to złe czy dobre. Rozumiał, że taka jest kolej rzeczy”.

### **Szał twórczy**

Co ciekawe, Rościszewski zupełnie inaczej pracował z aktorami profesjonalnymi, inaczej ze studentami i adeptami. W starszych pokoleniach miał opinię furiata, choć wiele osób zastrzega, że wszelkie konflikty w trakcie prób dotyczyły wyłącznie spraw zawodowych i nigdy nie były atakami personalnymi. Rzucił w kogoś popielnicą. „Tak, tak było!” – potwierdza Dorota Rościszewska, żona reżysera. „Czy popielniczką, to nie pamiętam, ale czymś na pewno rzucił. Oczywiście celował tak, żeby trafiło obok, ale to było sporadyczne”. Irena Telesz-Burczyk wspomina: „Mój mąż opowiadał, że walnął w niego tacą”, a o Rościszewskim dodaje: „To była jedna z form dyskusji. Jeśli chodziło o rzeczy ważne, był bardzo impulsywny. Ale to jest praca na żywym organizmie, trzeba to postrzegać z różnych perspektyw i chwilami, by do nas – aktorów-szmirusów – dotrzeć, trzeba było czymś walnąć”. Elżbieta Lenkiewicz potwierdza, że „potrafił sprowadzić adwersarza do poziomu podłogi”, czego doświadczyła na własnej skórze, ale

jednocześnie czyni wiele zastrzeżeń: „Potrafił być złośliwym, niby dowcipnie, ale ściągnąć mnie na ziemię i wytknąć mi publicznie jakiś błąd. Na próbach był ostry, rzeczywiście ostry. W sztuce Gorkiego *Na dnie* występował nasz aktor, już nieżyjący. Miał niewielką rolę: wchodził, coś mówił i wychodził. Na próbach za każdym razem wchodził i wychodził tak samo. A tu trzeba dodać, że ten aktor był szefem POP, Podstawowej Organizacji Partyjnej; każdy teatr miał taką osobę i ludzie z tą funkcją czuli się ważni, mogli robić donosy do Komitetu. Krzysztof w ogóle się go nie bał. Za czwartym razem, gdy aktor wszedł tak samo i tak samo wypowiedział swoją kwestię, reżyser wpadł w szal: »Ja panu, kurwa, nogi z dupy powyrywam, gwoździe panu wsadzę w dupę, żeby pan wreszcie zaczął normalnie grać, żeby pan się zaczął ruszać, bo pan wchodzi jak kłoda drewna!«. Zamarłam. Takie wulgaryzmy, a tutaj szef POP. Jezu! Wszyscy zamarli. Aktor wyszedł, cały czerwony, padły mocne słowa. Ale jednak na Krzysztofa nie doniósł. On w ogóle się tego nie obawiał. Potrafił mocno, ostro powiedzieć, ale było coś takiego w jego osobowości, że mimo tego, iż potrafił przy kolegach aktorach robić tak dosadne uwagi, oni go za to szanowali i nikt się nie obrażał. Ten aktor w gruncie rzeczy też się nie obraził. Miał wielkie możliwości, żeby gdzieś donieść, powiedzieć, że władze powinny przyjrzeć się pracy Krzysztofa, ale tego nie zrobił. Aktorzy zazwyczaj patrzyli na to bardzo trzeźwo, bo wiedzieli, że on po prostu miał rację. To nie był nieuzasadniony wybuch. Widziałam tytuły reżyserów przy pracy, którym się wydawało, że im więcej wulgaryzmów, tym będzie fajniej na próbie, epatowali dosadnymi słowami. Te Krzysztofa wychodziły w taki emocjonalny, naturalny sposób. Nie były efekciarskie. Wynikały tylko z jego niezgody na to, co działo się na próbie”. Argument o uzasadnionych wybuchach powtarza się często w wypowiedziach członków zespołu „Jara-cza”, którzy mieli do czynienia z Rościszewskim. „Rzeczywiście był ostry” – mówi Artur Steranko. „W swoich sądach, opiniach, w swoim działaniu. Mnie to niespecjalnie przeszkadzało, bo uważałem i dziś uważam, że w teatrze jest tak: jak ktoś się na to pisze,

to musi być przygotowany na różne scenariusze. A dużo się od niego nauczyłem: dbałości o warsztat, o to, co się chce przekazać, jak się chce przekazać, szacunku do zawodu. To może górnolotne słowa, ale naprawdę mnie tego nauczył”.

Wobec młodych aktorów z czasów swojej dyrektury z przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych był zupełnie inny niż w stosunku do aktorów profesjonalnych. Tak różne podejście do aktora Irena Telesz-Burczyk podsumowuje krótko: „Młodzież jest delikatna i wrażliwa” i dodaje, że Rościszewski zawsze miał w sobie żyłkę pedagogiczną, przez co młodych aktorów otaczał opieką.

Maria Meyer jest od wielu lat gwiazdą Teatru Rozrywki w Chorzowie. Maria Rybarczyk – znakomitą aktorką zespołu Teatru Nowego w Poznaniu. Obie rozpoczynały swoją karierę w „Jaraczu” i obie postrzegają Rościszewskiego zupełnie inaczej: jako kogoś wymagającego, czasem ostrego, ale nigdy nie poniżającego aktorów. Jeszcze młodsze pokolenie zna impulsywność Rościszewskiego już tylko z anegdot. „Ja już trafiłam na taki jego okres, który był bardzo czuły” – wspomina Ewa Pałuska-Szozda. „Nie był furia-tem. Zgłaszał, jeżeli nie reagowałyśmy z Joanną na jego polecenia. Nie doświadczyłam surowości i srogości pana Krzysztofa. To było bardzo delikatne i czułe. Ale też muszę przyznać, że darzyłam pana Krzysztofa jako reżysera i twórcę wielkim podziwem. Kiedy zobaczyłam jego *Pułapkę*, wiedziałam już, że to jest człowiek, który jest bardzo rzetelny w swoim podejściu do pracy i do ludzi”. Joanna Fertacz także zna Rościszewskiego-furiata tylko z opowieści: „Słyszałam, że bywał bezwzględny, bardzo apodyktyczny. Nie można było zrobić kroku w bok, jeśli mu to nie pasowało. Ale ja nigdy się z tym nie zetknęłam. Natomiast byłam świadkiem jego bardzo złośliwego i sarkastycznego humoru, którego używał wobec aktorów niestosujących się do jego poleceń. Był niebywałym złośliwcem i, co tu dużo kryć, jednocześnie człowiekiem niezwykle dowcipnym”.

Agnieszka Giza grała główną rolę w *Kopciuchu* Janusza Głowackiego. Był to spektakl dyplomowy studentów Studium Aktorskiego

z 2008 roku, a więc jeden z ostatnich w dorobku reżyserskim Krzysztofa Rościszewskiego. Giza miała to szczęście, że nie tylko zagrała tytułową rolę, ale też została asystentką reżysera. Poczuła się bardzo wyróżniona, ale przy okazji zaznacza, że poznała Rościszewskiego od strony prywatnych rozmów, które prowadzili przy pracy czy przy układaniu planu prób. „Wiem, że był w przeszłości bardzo brutalny w swoich metodach pracy” – mówi. „Znam je z jego opowieści. Opowiadał nam, studentom, o dawnych czasach i zawsze morał tych historii był taki, że kiedyś taki był, że tak się zachowywał i że dziś się tego wstydzi. Te historie, które mówią o jego pracy, to historie człowieka, który jest w afekcie twórczym. Nie znam osoby, która doświadczyła tego na własnej skórze, ale wiem o tym z opowieści samego pana Krzysztofa, który w późnym wieku dokonywał autoanalizy samego siebie, swoich metod reżyserskich i pracy z człowiekiem. Bardzo się za to krytykował. Nie potrafił też sobie wybaczyć wielu konfliktów, które sprowokował. Faktem też jest, że kładł bardzo duży nacisk na przygotowanie i dyscyplinę pracy. Nieprzygotowany aktor natychmiast wprowadzał go w stan irytacji. Muszę jednak dodać – mówi Giza o jej pokoleniu aktorów – że nam dał się poznać z zupełnie innej strony i znaleźmy tylko tę jedną wersję Krzysztofa Rościszewskiego, czyli: dobrego, opiekuńczego, wspaniałego ojca teatru. Bo dla mnie pan Krzysztof był zdecydowanie teatralnym ojcem”. Nigdy nie przeszli na ty. Dla młodych aktorów Rościszewski był przede wszystkim ich mistrzem i opiekunem.

### **Łowca młodych talentów**

Jako dyrektor Rościszewski nieustannie zabiegał o to, by stworzyć jak najlepszy zespół aktorski wspierany przez kompetencje pracowników innych pionów Teatru Jaracza. Elżbieta Lenkiewicz studiowała polonistykę na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu i filmoznawstwo z teatrologią na Uniwersytecie Jagiellońskim. Marzyła o pracy w telewizji, ale jej życie potoczyło się tak, że trafiła właśnie do „Jaracza”. Rościszewski postawił sobie

za punkt honoru, że zrobi z niej ekspertkę najwyższej klasy. „Byłam teatralnie kompletnie nieprzygotowana” – przyznaje Lenkiewicz. „Krzysztof mnie uczył zawodu. Byłam bardzo skromna. Onieśmielała mnie ta sytuacja i sądziłam, że nie mogę się nazywać kierownikiem literackim. Roman Bratny, Brandstaetter – to byli kierownicy literaccy. Tak się w dobrej wierze uskromniłam, że samowwano nazwałam się w programie sekretarzem literackim. Wezwał mnie do gabinetu i najzwyczajniej w świecie mnie za to ochrzanił. Ale fakt, byłam wtedy tak nieopierzona, że z moich sugestii właściwie nie skorzystał. Sam dobierał repertuar. Niemniej to jemu zawdzięczam, że dla moich kolejnych dyrektorów byłam już partnerem w rozmowach *stricte* merytorycznych. Nauczyłam się teatru od środka”. Rościszewski okazał się wybitnym pedagogiem. Postanowił wysłać Lenkiewicz w delegacje: na festiwale teatralne i do konkurencyjnych teatrów w całej Polsce. Lenkiewicz była stałą bywalczynią Festiwalu Teatrów Polski Północnej w Toruniu i Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych we Wrocławiu: oglądała spektakle, chadzała na wódkę z aktorami i reżyserami, uczyła się teatru i języka teatru z rozmów profesjonalistów, a ich rozważania mogła łatwo zestawiać ze świeżo obejrzanym spektaklem. „Dzięki temu nauczyłam się teatru” – mówi. „Zawsze do-  
stawiałam delegacje. Zawsze! Byłam tylko tak skromna, że nie korzystałam z drogich hoteli, żeby nie nadwyręzać finansów teatru, ale gdziekolwiek chciałam jechać, ze strony dyrektora nigdy nie było żadnego sprzeciwu”. Rościszewski zresztą złożył podobną propozycję aktorom, ale plan spalił na panewce. Nikt nie był chętny do tego, by w innych miastach podglądać swoich kolegów po fachu. Elżbieta Lenkiewicz przyznaje jednak, że być może taka jest specyfika tego zawodu. Na widowni Festiwalu Teatrów Polski Północnej także nie widywała zbyt wielu toruńskich aktorów.

Ale historia Elżbiety Lenkiewicz to nie wszystko. Krzysztof Rościszewski także regularnie uczęszczał na festiwale, szczególnie takie, na których mógł wypatrzeć młode talenty. Regularnie jeździł na Festiwal Szkół Teatralnych w Łodzi, w spektaklu dyplomowym

warszawskiej PWST dostrzegł talent Jana Czechowicza, bywał także w innych miastach. Trafił nawet do Oświęcimia, w którym znajdował się zakład pracy współpracujący z krakowską PWST, dzięki czemu studenci wyjeżdżali tam na warsztaty i zimowiska, a także prezentowali swoje spektakle dyplomowe. I właśnie w Oświęcimiu Rościszewski wypatrzył Marię Rybarczyk. „Wyglądało to tak” – mówi Lenkiewicz. „Oglądał przedstawienia, wybierał sobie tych, którzy mu się podobali, podchodził do nich i mówił: »Proponuję panu / pani etat w Teatrze Jaracza. Zagra pan...«. I od razu wiedział, co zagrają. Jaśkowi Czechowiczowi powiedział, że zagra Hamleta i Raskolnikowa. Marysi Rybarczyk, że zagra Ofeilię. I oni przyszli, od razu wiedząc, co zagrają. Krzysztof potrafił to robić, potrafił wyłowić talent”. W latach osiemdziesiątych na Festiwalu Szkół Teatralnych w Łodzi istniał podobno nieoficjalny ranking teatrów. Studenci zastanawiali się, gdzie warto się zatrudnić. Olsztyński Teatr Jaracza był w pierwszej piątce. Dlaczego? Studenci dowiadywali się pocztą pantoflową, że dyrektor proponuje ciekawe role, że można się rozwinąć. W tamtym czasie aktorzy podpisywali tylko umowy sezonowe, ale z tym wiązało się mieszkanie służbowe i konkretna obietnica nabrania scenicznego doświadczenia. Dla młodych ludzi była to niezwykła szansa. Olsztyn dawał im możliwość pracy w zawodzie, nauki od starszego pokolenia aktorów, w końcu zdobycia bezcennych kompetencji. W tamtym czasie w Polsce istniały tylko trzy szkoły teatralne: warszawska, krakowska i łódzka. Nie było nadprodukcji absolwentów aktorstwa, więc siłą rzeczy dyrektorzy teatrów walczyli o narybek. Ale nie zawsze ich próby zjednywały im zwolenników wśród świeżo upieczonych absolwentów.

Marię Rybarczyk Rościszewski przekonał do „Jaracza” nie tylko kuszącymi propozycjami zagrania konkretnych ról, ale przede wszystkim swoją rzeczowością. Innych dyrektorów Rybarczyk traktowała z rezerwą. Raziły ją próby spoufalania się i podejrzane kokietowanie młodych aktorów oraz komplementy, które uważała za nieprofesjonalne i nietaktowne. „W Oświęcimiu graliśmy *Tango*



Mroźka, ja grałam babcię. Ktoś mi powiedział, że Rościszewski chce ze mną pogadać. Powiedziałam: ok. I poszłam. I już właściwie od progu wiedziałam, że to jest kompletnie inna klasa człowieka. Ci wszyscy dyrektorzy, którzy przyjeżdżali do szkoły i gdzieś tam nas bardzo dziwnie kokietowali na korytarzu... Nie. Rościszewski, który zresztą zawsze kojarzył mi się z wyglądu z Norwidem, siedział ponury, bez żadnej kokieterii, palił sześćdziesiąt osiem papierosów na minutę i powiedział bardzo krótko i rzeczowo, że interesuje go współpraca ze mną, że jest dyrektorem teatru katowickiego, że mi proponuje na wejście Ofelię w *Hamlecie* i jeżeli mam ochotę przyjechać i zobaczyć, jak oni pracują, to on mnie serdecznie zaprasza". Rybarczyk odpowiedziała, że jeśli ma się gdzieś przemieszczać, to tylko ze swoim chłopakiem, który też jest aktorem. Rościszewski spytał, kogo grał jej partner w *Tangu*, i od razu się zgodził. Musiał naprawdę odstawać od innych dyrektorów swoich czasów, bo jeszcze zanim zaczął się nowy sezon, sam wrócił do Olsztyna, a Rybarczyk podążyła za nim. Ponieważ podpisała umowę z Teatrem Śląskim, musiała spędzić sezon w Katowicach, ale od początku wiedziała, że jak tylko kontrakt się skończy, pojedzie za Rościszewskim do „Jaracza”. W ciągu czterech lat zagrała tu czternaście dużych ról. Pod okiem Rościszewskiego zdobywała doświadczenie i bez przerwy uczyła się od starszych aktorów. Jak sama mówi, wiedziała, że wielu aktorów starszej daty szczególnie ceniło Aleksandra Sewruka i dodaje: „Moim Sewrukiem był Rościszewski”. Gdy broniła pracy magisterskiej na krakowskiej PWST, jeszcze zanim trafiła do Katowic, Rościch, jak go pieszczotliwie nazywa wielu aktorów, przyjechał do Krakowa, by ją wesprzeć: „Było to dla mnie nieprawdopodobnie wzruszające i jakoś szokujące. Bo właśnie: bez umizgów, głupich uśmieszków, żarcików... Przyjechał facet poważny, zmęczony i przyjechał tylko po to, żeby zobaczyć, jak mi idzie egzamin magisterski. Siedział ze mną na korytarzu”. Ale to nie wszystko. Rościszewski rozumiał, że droga młodego aktora nie musi się zakończyć na Teatrze Jaracza. Rybarczyk była ambitna. Po którejś z prób jedna z nesterek teatru podeszła do niej: „Jak mi poszło?”

– spytała. „Marysiu, widziałaś? Co sądzisz?”. Była to znakomita artystka i wielki autorytet młodej aktorki. Pytanie zbiło Rybarczyk z tropu, ale dało jej też do myślenia. „Zrozumiałam, że jeśli chcę się nauczyć więcej, muszę iść dalej” – wspomina. Ponieważ zależało jej na teatrze, w którym główny nacisk byłby położony na grę zespołową, zdecydowała się na Teatr Nowy w Poznaniu. Rościszewski nie tylko pochwalił jej wybór, nie tylko pozwolił jej na dzień wolny od pracy, by mogła pojechać do Poznania, ale też zadzwonił do Izabelli Cywińskiej, ówczesnej dyrektorki „Nowego”, i wystawił Rybarczyk taką laurkę, że Cywińska nie miała żadnych wątpliwości i natychmiast wzięła Rybarczyk do zespołu. Sama aktorka dowiedziała się o tym dopiero po jakimś czasie.

Droga Marii Meyer wydaje się jeszcze bardziej nieprawdopodobna. Meyer nie ukończyła szkoły, a w „Jaraczu” pojawiła się jako adeptka. Tam szlifowała swój warsztat pod kierunkiem aktorów starszego pokolenia. Zostawali z nią po godzinach, obserwowali jej grę, dawali uwagi. Jak sama mówi, Teatr Jaracza był jej szkołą teatralną. Aby jednak zostać profesjonalną aktorką, Meyer musiała zdać egzamin eksternistyczny przed komisją złożoną z samych sław: „Egzamin u profesora Bardiniego. W komisji Aleksandra Ślaska, Zofia Mrozowska, Bronisław Pawlik – same nazwiska zwalają z nóg! A dyrektor Rościszewski za kulisami. I kiedy profesor Bardin przeczytał, że witamy koleżankę w gronie aktorów i tak dalej – ponieważ ja jestem łatwo płacziwa – dostałam wtedy totalnej hysterii, wpadłam w płacz tak straszny – z tego spięcia egzaminacyjnego, z tych pięciu lat pracy, z tego marzenia. No i wylazłam za kulisy i ryczę. Ale ryk jest nieopanowany! Właściwie to nie ryk, tylko spazmy! Wpadłam w objęcia mojego dyrektora. Wtedy nie było takich dobrych kosmetyków, które się nie rozmazują. Więc ja tymi łzami zalana i nic nie mówię, tylko ryczę i się cała rozmazuję. A on mnie zaczyna głaskać po głowie i mówi: »Marysia, no, nie przejmuj się, Boże, będziesz grała, za parę lat znowu podejdziesz do egzaminu, przestań płakać, no naprawdę, będzie moment, że zdasz«. I ja z tymi zamazanymi oczami i cała we łzach:

»Ale ja zdałam, panie dyrektorze!«. »To czemu ryczysz?«. »Ze szczęścia!«. Nigdy tego nie zapomnę. On miał jakiś taki wełniany sweter, on mnie tak strasznie gryzł, ja pamiętam, ten sweter obcierał mi policzki. I wypłakałam Rościchowi, dyrektorowi, całe to moje teatralne szczęście w mankiet!». Maria Meyer była najpierw adeptką Teatru Jaracza, a następnie jego aktorką. W „Jaraczu” spędziła w sumie pięć lat, a za piosenki ze spektaklu *Pieśń o drodze* w reżyserii Rościszewskiego zdobyła pierwszą nagrodę na IV Festiwalu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu. Potem urodziła dziecko, była na zwolnieniu, ale gdy tylko wróciła do teatru, „Rościch wezwał mnie do gabinetu i powiedział: »I teraz, Marysiu, ja muszę cię zwolnić...«. Miałam dwadzieścia parę lat, świeżo urodzone dziecko, świeżo zdany egzamin, byłam uskrzydłona, właśnie zaczęły mi się otwierać wszystkie drzwi, a mój ukochany dyrektor... »Ja muszę cię teraz zwolnić...«. Wielka konsternacja, żal, płacze. A on twardo: »Musisz sobie znaleźć inny teatr«. »Dlaczego? Dlaczego?«. »Jeśli tu zostaniesz, to będziesz dalej Marysią, a ja chcę, żebyś w innym teatrze była Marią Meyer«”. Z powodu związków rodzinnych męża Meyer przeniosła się na Śląsk. Tam przez pięć lat była aktorką w Teatrze Śląskim w Katowicach, a następnie trafiła do Teatru Rozrywki w Chorzowie, gdzie jest do dziś i pozostaje największą gwiazdą swojej trupy. „Rościszewski miał rację” – mówi. „Zrobił najlepszą rzecz, jaką mógł zrobić. Nikt mnie już nie poklepywał po plecach i nie mówił: Marysienko. Stałam się dorosłą, dojrzałą aktorką. Przeszłość została w Olsztynie”. Rościszewski przyjechał później parę razy na Śląsk, przychodził na przedstawienia, w których grała Meyer, zaglądał do niej po spektaklu, dopytywał, jak się jej pracuje. „Był bardzo dumny. I widział moją wdzięczność w oczach. Tak mu się dziecko wychowało”.

Opieka Rościszewskiego nad młodym pokoleniem aktorów zdecydowanie sięgała poza wspólną pracę czy to w Teatrze Jaracza, czy w Studium Aktorskim. W zasadzie obejmowała całość drogi zawodowej i twórczej początkującego aktora. Jeśli spojrzeć tylko na legendę Rościszewskiego jako impulsywnego i apodyktycznego

reżysera, może się to wydać nieprawdopodobne, ale Rościszewski faktycznie stał się mentorem wielu aktorów, a do tego był im także niemalym wsparciem psychologicznym. „Budował moje poczucie własnej wartości na scenie” – mówi Agnieszka Giza. „I mówił: jak nie drzwiami, to oknem. Mówił, żeby walczyć, żeby nie dać sobie wmówić, że coś jest ze mną nie tak ze względu na szkołę, którą skończyłam, czyli Studium Aktorskie. Wierzył we mnie tak bardzo, że pisał listy do teatrów polecające mnie jako aktorkę. Robił to z własnej nieprzymuszonej woli, nie prosiłam go o to. Wiem, że pisał też takie listy moim koleżankom i kolegom. Bardzo chciał, żeby nam się udało, wspierał nas w karierze zawodowej. Chodził też do Janusza Kijowskiego, ówczesnego dyrektora »Jarcza«, i męczył go, żeby mnie zatrudnił. Mówił mu, że nie mogę się zmarnować gdzieś tam w Polsce i że dyrektor musi mnie zatrzymać w Olsztynie... To było dla mnie na maksa wzruszające i motywujące”. Giza mówi też, że Rościszewski dodał jej siłę, by zawałczyć o siebie jako aktorkę.

Relacja z młodymi, dla których Rościszewski był nauczycielem i mentorem, nie była jednostronna. Aktorzy z olsztyńskiego Studium, w tym Agnieszka Giza czy znany dziś głównie z filmu Dawid Dziarkowski, regularnie odwiedzali Rościszewskiego w jego prywatnym domu. W trakcie odwiedzin rozmawiano głównie o spektaklach, o tym, jak się obecnie gra, jak nie gra, kto widział jakie przedstawienie i co może o nim opowiedzieć pozostałym. Jak mówi Agnieszka Giza, Rościszewski lubił oglądać młodych ludzi, wyłapywał młode talenty i robił to z pełną wiarą, że dana osoba zagra to, co jej zaproponuje. „On to widział i miał już tę wizję w głowie” – mówi Giza. „Dla młodych ludzi to jest nieprawdopodobne wyróżnienie: kurczę, przychodzi do ciebie dyrektor teatru i już ma dla ciebie rolę, chce cię w teatrze lub idzie do dyrektora innego teatru i mówi: weź ją, weź, weź, nie zawiedziesz się. To jest rzadka cecha. Większość dyrektorów lubi siedzieć na stołku i dyrektorować, może od czasu do czasu coś wyreżyserują. Panu Krzysztofowi zależało. Za to jestem mu bardzo wdzięczna”.

## Donosy i dupa

Czy Krzysztof Rościszewski był reżyserem odważnym? Jak reagował na wydarzenia polityczne swoich czasów? Jego spektakl *Pieśń o drodze* (1981) do tekstu Jerzego Ignaciuka z muzyką Stefana Brzozowskiego był w zasadzie musicaliem o budzącej się nadziei związanej z Solidarnością i o bieżących zmianach zachodzących w polskim społeczeństwie. Elżbieta Lenkiewicz nie upatruje w tym spektaklu szczególnej odwagi Rościszewskiego. Jak mówi, „trwał wtedy karnawał Solidarności i teatry rzucały się na różne sztuki, które były na indeksie”. Lenkiewicz zaznacza jednak, że Rościszewski ma na koncie kilka decyzji, które ostatecznie przypłacił swoją dyrekturą.

Jedną z nich było zatrudnienie Jerzego Markuszewskiego jako reżysera spektaklu na podstawie tekstu Jacka Janczarskiego, który był wówczas wykluczony jako pisarz. Sztukę *Umrzeć ze śmiechu* próbowano najpierw w Warszawie. Główne role grały Emilia Krakowska i Barbara Wrzesińska. Rościszewski zaangażował Markuszewskiego do wystawienia spektaklu w Olsztynie, ale ponieważ nazwisko Markuszewskiego, który był wtedy na indeksie, nie mogło pojawić się na afiszu, podpisano sztukę jako powstałą pod opieką reżyserską Rościszewskiego. Spektakl zrobił furorę i tajemnicą poliszynela było, kto tak naprawdę był jej reżyserem.

Tuż przed stanem wojennym w „Jaraczu” wystawiono też *Strajk w domu wariatów*. Ponownie z duetem Markuszewski / Janczarski, choć wtedy nazwiska obu twórców pełnoprawnie figurowały na teatralnym afiszu (premiera miała miejsce 25 kwietnia 1981). Chwilę później w Olsztyńskich Zakładach Graficznych im. Seweryna Pieniężnego rozpoczął się strajk okupacyjny zorganizowany przez Solidarność. Był to najdłuższy strajk Solidarności, trwał od 19 sierpnia do 3 września 1981. Rościszewski podjął decyzję, by wysłać aktorów do zakładów graficznych z tym właśnie spektaklem. Wprawdzie sztuka była satyrą i faktycznie dotyczyła strajku w domu wariatów, ale aluzje, szczególnie w tak dramatycznym kontekście, były aż nadto jasne.

Z tego czasu Elżbieta Lenkiewicz i Irena Telesz-Burczyk, która grała w spektaklu, pamiętają przede wszystkim niesamowite poczucie wspólnoty. Lenkiewicz знаła wielu pracowników zakładów graficznych, ponieważ redagowała programy teatralne i towarzyszyła ich produkcji na każdym etapie. „Byli zaskoczeni, że teatr do nich, a oni na materacach” – wspomina. „Nawet podestu nie było, aktorzy grali na płaskiej przestrzeni”. Irena Telesz-Burczyk zaznacza, że była w tym czasie wiceprzewodniczącą Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ Solidarność na województwo. Oprócz niej był tam także Jan Dondalski, pierwszy skrzypek olsztyńskiej filharmonii. „W tym była nasza siła” – mówi Telesz-Burczyk. „W 1968 roku – *Dziady* i inteligencja. W 1970 sami robotnicy, w 1976 w Radomiu robotnicy i dopiero w 1980 roku połączyła się tzw. inteligencja pracująca, w tym twórcy, z robotnikami. Hasło bojkotu telewizji w stanie wojennym poszło wcześniej, w czasie zjazdu we wrześniu, drugi zjazd był w październiku. Ale to na pierwszym zjeździe powstała idea bojkotu. A więc kultura i artyści też podnieśli głowy”.

Z pewnością całą sytuację zespołu nie poprawiał fakt, że Rościszewski, tuż po powstaniu Solidarności, złożył legitymację partyjną, a aktorzy Teatru Jaracza: Irena Telesz-Burczyk, Artur Steranko i Barbara Baryżewska prowadzili programy kulturalne w kościołach, o, jak to nazywa Irena Telesz-Burczyk, „dziwnej treści”. Wszystko zostało odnotowane, i to bez trudu. Poczynaniom Rościszewskiego i jego zespołu przyglądała się osoba niepracująca w teatrze, za to związana z kulturą, która w dodatku była w Olsztynie powszechnie znana. Donosy przypieczętowały los Rościszewskiego jako dyrektora. Irena Telesz-Burczyk dostała zakaz pracy w zawodzie i wyniosła się na wieś, gdzie spędziła siedem lat. Artur Steranko został oddelegowany do wojska.

Zanim do tego doszło, ekipa Jaracza imprezowała w Domu Środowisk Twórczych. Wbrew pozorom nastroje nie były minorowe, wszyscy spodziewali się reperkusji. „Chyba Lech Gwit mi opowiadał – mówi Marta Wróblewska – że była impreza. Oni się z Gwitem rozebrali i pokazali tyłki ulicy. Dziadek stwierdził, że jeśli mają go

zdejmować, to za sprawy obyczajowe. Irena Telesz-Burczyk też mi potwierdziła, że Rościszewski pokazał dupę światu”. Dorota Rościszewska wspomina, że na pierwszym piętrze DŚT odbywało się tej nocy wesele. Rościszewski i Gwit chcieli zaprezentować performans o swoim stosunku do Polski Ludowej właśnie tam, w gronie weselników, aby uświetnić przyjęcie obrazowo przedstawioną wielką ideą. Na szczęście ktoś ich odwiódł od tego pomysłu.

Skądinąd Marta Wróblewska pamięta spotkanie Rościszewskiego z jego donosicielem. Już mocno po 1989 roku Wróblewska, będąca wtedy dziewczynką, wybrała się z dziadkiem do olsztyńskiej filharmonii. Tam też spotkali donosiciela, który podszedł do Rościszewskiego i powiedział krótko: „przepraszam”. Rościszewski tylko skinął głową i się uśmiechnął.

## Rodzina

Dom Środowisk Twórczych był w tamtych czasach miejscem niezwykłym. Mieścił się zaledwie kilka kroków od Teatru Jaracza, przy ul. Mickiewicza. Spotykali się w nim muzycy, plastycy i oczywiście aktorzy i reżyserzy teatralni. Jak wspominają aktorzy „Jaracza”, DŚT był fantastycznym miejscem, które nie tylko umożliwiało artystom wymianę myśli i doświadczeń i nierzadko było świadkiem nawiązania kreatywnej współpracy, ale przede wszystkim spełniało swoją rolę w integracji środowiska. W pamięci wielu uczestników tamtych wydarzeń zachowały się nie tylko huczne imprezy, ale przede wszystkim fakt, że wszyscy się znali.

Szaleństwa teatralnej braci także zostały zapamiętane, a Krzysztof Rościszewski poza teatrem z surowego dyrektora i wymagającego reżysera przeistaczał się w duszę towarzystwa. „Piliśmy wódkę, paliliśmy papierochy, a Krzysiek biegał po ścianach” – mówi Maria Rybarczyk. „No po prostu napił się i zostawił ślady na ścianie. Chyba z kimś się założył, że to zrobi: wziął rozbieg i chodził po ścianach. I tak zostawił w DŚT ślady butów”. „O tym nie słyszałam, ale to brzmi jak dziadek” – kwituje ze śmiechem Marta Wróblewska.

Poza teatrem i DŚT pracownicy „Jaracza” byli także bardzo życzliwi na stopie prywatnej. „Mieszkaliśmy przez chwilę w Domu Aktora” – wspomina Maria Meyer. „A potem w bloku, wtedy ta ulica nazywała się Kaliningradzka. Na dole byli Burczykowie, na górze my z Jurkiem”. W tym samym bloku mieszkała także Maria Rybarczyk. Gdy po trudnej ciąży i porodzie Maria Meyer była zmuszona wyjechać nad morze dla podreperowania zdrowia, powierzyła opiekę nad niemowlęciem właśnie Marii Rybarczyk. „Marysia w moich oczach była z jednej strony kompletną wariatką” – opowiada Meyer. „Ale w teatrze potrzebni są wariaci. A z drugiej strony osobą tak pedantyczną, tak aptekarsko dokładną. Moje dziecko cztery razy dziennie musiało być karmione garścią lekarstw. To duża odpowiedzialność. I gdy ją spytałam: »Czy zaopiekujesz się moim dzieckiem?«, Marysia powiedziała: »Tak«. I ja miałam w sobie taki spokój. Wiedziałam, że Marysia da sobie radę, że to wszystko zrobi. Do dziś czuję wielką wdzięczność”.

W Domu Aktora znajdowało się sześć mieszkań. Ze swoimi rodzinami mieszkali tam m.in. Maria Meyer, Jan Pęczek i Ilona Dynerman. „Pamiętam, że byliśmy w próbach, zajęci, nie mieliśmy czasu na gotowanie” – wspomina Meyer. „I ustaliliśmy, że co drugi dzień w Domu Aktora gotuje inna rodzina. I gotuje dla wszystkich. Stąd wiem, że Ilonka Dynerman świetnie gotowała”.

W wakacje trupa regularnie spotykała się nad jeziorem Dadaj. „Mąż kupił tam domki campingowe” – opowiada Dorota Rościszewska. „Nie było tam prądu, więc oświetlaliśmy domki lampami naftowymi lub świeczkami. I tam właśnie ludzie z teatru przyjeżdżali na wakacje”. Maria Meyer wspomina, że Rościszewski i jej mąż urządzali zawody wędkarskie. Nad Dadajem regularnie bywała także inspicjentka Grażyna Czarkowska.

Relacje prywatne rzutowały oczywiście także na pracę w teatrze. We wspomnieniach rozmówców regularnie powraca wątek zespołu jako jednej wielkiej rodziny. Dużo w nich tęsknoty, a może nawet żalu. Irena Telesz-Burczyk wspomina wspólnie organizowane bankiety, do których robiła dekoracje, a aktorzy przynosili



na nie własne jedzenie: „To była rodzina” – mówi. „Myśmy się spotykali w domach”. Dorota Rościszewska wspomina, że aktorzy regularnie bywali w domu Rościszewskich: „Zbierała się cała hurma ludzi, alkohol, jedzenie, muzyka”.

Relacje w teatrze cechowały się jednak także swoistą hierarchią. Adept musiał nauczyć się fachu i zdać egzamin eksternistyczny. Początkujący aktor musiał wrosnąć w zespół i uczyć się od starszych kolegów. Istniała szczególna dyscyplina, a wyjątkowym szacunkiem otaczało się teatralnych nestorów. Gdy do bufetu wchodziła Eugenia Śnieżko-Szafnagłowa, aktorka, która debiutowała w 1917 roku, wszyscy zebrani wstawali. Maria Meyer mówi, że brakuje jej ówczesnej dyscypliny i szacunku dla starszych aktorów, a jednocześnie wspomina niezwykle opiekę, jaką otoczyła ją trupa: „Ja tam trafiłam na przedwojenne garderobiane, przedwojenne fryzjerki, a do tego Eugenia Śnieżko-Szafnagłowa, Wandzia Bajerówna, Józek Czerniawski, czy z późniejszych pokoleń państwo Burczykowie, Wacio Rybczyński – wielki przedwojenny aktor w typie Freda Astaire’a. On przecież zostawał ze mną po godzinach i przerabiał ze mną egzemplarz. Mówił: tu masz zrobić to, tu masz zrobić tamto. Potem na premierę kupił mi całe pudło czekoladek i cukierków. Od suflerki dostałam pierwszy kuferek na szminki. Ja go mam do dzisiaj, ja go nie wyrzucę! Jest niemodny, stary, trochę się pruje, w połowie życia chciałam go wyrzucić, ale tego nie zrobiłam, a jak przekroczyłam te pół życia teatralnego, stwierdziłam: nie, teraz to ja już cię w ogóle nie wywalę, teraz to zostaniesz ze mną do końca życia”. Z takim samym wzruszeniem mówi o „Jaraczu” Maria Rybarczyk: „To, co dostałam w Olsztynie od wszystkich: od reżyserów, od kolegów, z którymi pracowałam – bo to naprawdę był wtedy wybitny zespół, naprawdę! Tylu fantastycznych aktorów! – i to, co dostałam... Miałam potem w Poznaniu gorsze okresy, nie mogłam się za bardzo dogadać z Eugeniuszem Korinem. Z różnych względów. I jak miałam te gorsze momenty, to gdyby nie Olsztyn, który w sobie nosiłam i wiedziałam, co umiem i jak bardzo dużo

się tam nauczyłam, to może byłoby mi ciężko i może bym tego okresu nie przetrwała”.

Artur Steranko także wspomina te czasy z rozrzewnieniem: „Poświęcało się swoje prywatne życie dla dobra teatru, dla dobra spektaklu. Nikt nie patrzył na czas, na pieniądze czy na męczące próby, a były naprawdę męczące, bo Rościszewski wysoko stawiał poprzeczkę. Trzeba było się starać. Nie wiem, z czego to wynikało. Czy człowiek był młodszy i zależało mu na tym zawodzie? Czy wynikało to z tego, że Rościszewski wprowadził do teatru strukturę, że była hierarchia?”. Irena Telesz-Burczyk mówi, że teatr dla Rościszewskiego nie był tylko sceną i widownią: „Nawet budynek stawał się stworzeniem, żywym organizmem, cały”. Wspomina też wysiłek. Gdy olsztyńska trupa wizytowała Elbląg ze spektaklem *Gorzkie żale w dozorcówce* Istvána Csurki w reżyserii Rościszewskiego, za które Telesz-Burczyk otrzymała nagrodę za najlepszą rolę na Festiwalu Teatrów Polski Północnej, za kulisami techniczni dojrzeli wagę dziesiątą. Zaproponowali jej, że zważą ją przed i po spektaklu. „I okazało się, że straciłam czterdzieści deko. Czyli jak bokser po meczu, po dobrej walce. Tyle się z siebie dawało, żeby być na scenie i Krzysztof potrafił to z nas wyciągnąć. To był reżyser nie tylko dla aktora, ale dla człowieka i to jest chyba najważniejsze”.

„Wiem, że nie był aniołem” – mówi Marta Wróblewska. „Był dla nich surowym i wymagającym ojcem, ale kochał ten zespół i kochał teatr. Nauczył mnie szacunku do każdego pracownika w zespole. Zawsze witał się najpierw z paniami sprzątającymi, obsługą widowni, technicznymi. Każdy był ważny”. O młodych Rościszewski mówił: „moje dzieci”. „Tylko w takiej atmosferze może się narodzić coś dobrego” – mówi Maria Meyer. „Nie wierzę w castingowane przedstawienia. Wiem, że one są dziś modne. Ale jak jest zespół, który jest rodziną, to się widzi na scenie, że tych ludzi łączy coś więcej oprócz sztuki. Dlatego tak cenne są zespoły i powinny być hołubione przez dyrektorów, nawet jeśli są małe. To jest ta wartość, która potem jest widoczna na scenie. My byliśmy jedną teatralną rodziną”.

Dziękuję wszystkim rozmówcom i rozmówczyniom za podzielenie się ze mną wspomnieniami o Krzysztofie Rościszewskim i Teatrze im. Stefana Jaracza w Olsztynie. Są to:

Grażyna Czarkowska (Nowak), inspicjentka i suflerka Teatru Jaracza od 1976 roku;

Joanna Fertacz, aktorka Teatru Jaracza;

Agnieszka Giza, absolwentka Studium Aktorskiego im. Aleksandra Sewruka i aktorka Teatru Jaracza;

Elżbieta Lenkiewicz, kierowniczka literacka Teatru Jaracza w latach 1978–2009;

Maria Meyer, adeptyka i aktorka Teatru Jaracza, pracująca w nim w latach 1977–1983, później aktorka Teatru Śląskiego im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach w latach 1983–1988, od 1988 roku aktorka Teatru Rozrywki w Chorzowie;

Ewa Pałuska-Szozda, aktorka Teatru Jaracza;

Dorota Rościszewska, żona Krzysztofa Rościszewskiego;

Maria Rybarczyk, aktorka Teatru Jaracza w latach 1979–1983, później aktorka Teatru Nowego im. Tadeusza Łomnickiego w Poznaniu (dziś: Teatr Nowy im. Izabelli Cywińskiej);

Artur Steranko, aktor Teatru Jaracza w latach 1981–2025, od września 2025 występuje gościnnie;

Irena Telesz-Burczyk, aktorka Teatru Jaracza współpracująca z Krzysztofem Rościszewskim od 1959/1960 roku kolejno w Gdańsku, Grudziądzu i w Olsztynie;

Marta Wróblewska, wnuczka Krzysztofa Rościszewskiego.

Szczególne podziękowania należą się:

Ewie Jarzębowskiej, kierowniczce literackiej Teatru Jaracza,

Marzenie Zielińskiej-Miączyńskiej, asystentce dyrektora  
i szefowej archiwum Teatru Jaracza,

oraz Pawłowi Dobrowolskiemu, dyrektorowi Teatru Jaracza.

Powstanie tego tekstu nie byłoby możliwe bez ich wiedzy  
i wsparcia.

Zdjęcie Krzysztofa Rościszewskiego z archiwum prywatnego  
Marty Wróblewskiej.

JOANNA KIEWISZ-WOJCIECHOWSKA

# Wywędrowałem

Reportaż o Aleksandrze Sewruku<sup>54</sup>

**O** Teatrze Jaracza w Olsztynie mówił obrazowo: ma charakter omnibusa. Takiego lekarza w prowincjonalnym miasteczku, który musi być i laryngologiem, i ginekologiem, i internistą, i tak dalej, i tak dalej... Kim był Aleksander Sewruk?

---

54 Tekst powstał na setne urodziny Aleksandra Sewruka, w cyklu *Studium Reportażu*. Działanie sfinansowano z programu Przestrzenie Sztuki.

To było porządne służbowe mieszkanie na pierwszym piętrze pod numerem 1. Ponad siedemdziesiąt metrów, łazienka z ciepłą wodą, wysokie sufity, podłączony telefon. Sąsiedzi porządni, klatka schodowa zadbana. Stropy grube, sąsiad nie słyszał sąsiada. Jak przez duże okna wyglądało się w prawo, widać było Wysoką Bramę. Jak się spojrzało prawie na wprost, można było zobaczyć, kto zasiadał przy stoliku w Staromiejskiej. Bywało tam wyborowe towarzystwo, ale akurat nie artyści. Oni od 1966 roku spotykali się w Domu Środowisk Twórczych, zwanym w skrócie dśt, przy Mickiewicza 2. Dziś w tym miejscu jest powiatowy inspektorat budowlany i popularny szmateks. Wtedy było to miejsce spotkań olsztyńskich dziennikarzy, literatów, malarzy, aktorów i partyjniaków nadzorujących kulturę. Oficjalnie wchodził tylko ci z legitymacjami stowarzyszeń artystycznych. Ale ci z legitymacjami wprowadzali znajomych, a znajomi znajomych. Wódka była tańsza niż w innych lokalach, dym papierosowy szczypał w oczy, dyskusje trwały do rana, tematy zmieniały się od ławych po zapalczywe, od premier w teatrze po prozę, poezję i wydarzenia sportowe. W dśt załatwiano się też dobrą robotę rodzinie i znajomym, poznawało albo wymieniało kochanki, szeptało temu i owemu to, co trzeba było donieść, ułatwić albo ustalić. Kto czuł się lub chciał się czuć częścią artystycznego Olsztyna przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych dwudziestego wieku, do dśt musiał chodzić. A tych, którzy nie byli w stanie dojść, przywoziły służbowe wozy – korespondenci PAP mieli służbową Warszawę, teatr swojego dyrektora woził zieloną wołgą. Jej kierowca, Czesiu Paszko, mieszkał niedaleko teatru, przy Curie-Skłodowskiej, miał w domu telefon i zawsze był w gotowości. Dojazd pod kamienicę przy Staromiejskiej 2/5 zajmował mu chwilę, bo – jak to się mówiło – miał ciężką nogę. Trasę z Olsztyna do Elbląga po krętej szosie przez Łukę potrafił machnąć w nieco ponad godzinę. Nawet dziś to jest spory wyczyn. Czesiu Paszko lubił wozić dyrektora, wycekiwał na brzęczenie telefonu, ale rzadko miał to szczęście. Pan Aleksander wołał chodzić pieszo. Starannie ogolony, w eleganckim

plaszczu i wypastowanych butach ruszał do miasta. Sąsiedzi, którzy do dziś mieszkają w kamienicy przy Staromiejskiej, pamiętają, że gdy wychodził ze swojego mieszkania, po klatce schodowej roznosił się zapach wody kolońskiej, a czasem wytwornych perfum. Pamiętają, że wytworny sąsiad uchylał wszystkim kapelusza.

### **Olek stoi na środku w ostatnim rzędzie w szerokim białym kołnierzyku pod szyją, waltorni widać tylko kawatek.**

O domu, w którym urodził się Aleksander Sewruk, nie wiadomo prawie nic. Z dokumentów wynika, że przyszedł na świat 17 stycznia 1912 roku w Korninie pod Kijowem, a pięć dni później rodzice zanieśli go do świątyni, gdzie został ochrzczony. Czy była to cerkiew, czy kościół – nie wiemy. Te same dokumenty wskazują, że miał starszą o dwa lata siostrę Helenę i młodszego o pięć lat brata Stanisława. Rodzeństwo Olka dojechało z rodzicami do Polski. I to tyle pewnych wieści. Może więcej wie wnuczka Aleksandra Sewruka i jej kuzyn. Oboje mieszkają w Warszawie, ale nie odpowiedzieli na prośby o kontakt.

Spędzone w dzisiejszej Ukrainie lata dzieciństwa Sewruka nie są opisane. Nie wiadomo nawet, dlaczego małżeństwo z trójką dzieci zdecydowało się na opuszczenie Kornina. Można jednak przypuszczać, że uciekali w pośpiechu. Albo po drodze spotkało ich jakieś nieszczęście. Odkrył to Zbigniew Romaniuk, nauczyciel historii z Brańska, miasteczka na Podlasiu, na trasie z Warszawy do Białowieży. Romaniuk czterdzieści lat zbierał materiały do monografii Brańska. – Znalazłem dokumenty świadczące o tym, że Sewrukowie tu, w Brańsku, odtwarzali akty urodzenia, a potem się nimi posługiwali. Więc na pewno oryginały przepadły po drodze albo ich nie zabrali – mówi Romaniuk, który zauważył w archiwach, że w 1920 roku na Podlasie z rodzinnych stron Sewruków przyjechało więcej polskich rodzin.

Sewrukowie nie od razu trafili do Brańska, najpierw zamieszkali w Ciechanowcu. Romaniuk ustalił też, że z Brańska Sewrukowie przenieśli się do Bielska Podlaskiego. Tu Aleksander trafił

do Gimnazjum im. Tadeusza Kościuszki. Ponieważ szkoła dokumentuje losy swoich dawnych uczniów, możemy stwierdzić, że to właśnie w Bielsku Podlaskim Sewruk zadebiutował na scenie. Pierwszych braw nie słuchał jednak jako aktor, ale jako muzyk.

Nastoletni Olek był waltornistą w szkolnej orkiestrze prowadzonej przez Bolesława Mieszalskiego, który doświadczenia orkiestrowego nabywał w carskim wojsku podczas I wojny światowej. Pieniądze na zakup instrumentów zebrał komitet rodzicielski. Po zimowych feriach 1924 roku Mieszalski wyłuskał uzdolnionych muzycznie uczniów, rozdał instrumenty i rozpoczął próby. Podobno poziom szkolnej orkiestry „znacząco wykraczał ponad przeciętny”. W szkolnych kronikach zachowało się zdjęcie z 1927 roku, w którym piętnastoletni Aleksander stoi wśród kolegów z orkiestry. Do zdjęcia ustawiono go na środku w ostatnim rzędzie, tuż za prof. Mieszalskim i dyrektorem Hipolitem Bułatem. Każdy z członków orkiestry pozował z instrumentem, ale waltorni Sewruka widać tylko kawałek. Za to wzrok przyciąga jego wyłożony pod szyją szeroki biały kołnierzyk i bujna, lekko falowana fryzura (większość kolegów ma włosy ścięte na zapalę). Postać młodego waltornisty, lekko uśmiechniętego, zdecydowanie wybija się dziś z tej prawie stuletniej fotografii.

Szkolne kroniki informują, że w 1929 roku zespół z Bielska Podlaskiego pojechał do odległego Poznania. Tam odbywała się Powszechna Wystawa Krajowa, a jednym z wydarzeń towarzyszących był ogólnopolski konkurs orkiestr dętych szkół średnich. Orkiestra z Sewrukiem-waltornistą zajęła drugie miejsce. Rok później w tej szkole zdał maturę.

### **Nikt mnie nie zna, czyli jak Łapka się przeziębił, a Olek wykazał znaczne uzdolnienia aktorskie.**

W tej samej szkole w marcu 1928 roku Sewruk zadebiutował też jako aktor. „A było to tak: postać Łapki miał grać Emil Koszade. Na parę dni przed premierą na ślizgawce załamał się cienki lód i niedoszły aktor wpadł po kolana w wodę. Porządnie przemoczony





Aleksander Sewruk w spektaklu „Trzeba było iskry” – 1951 r.



od lewej: Bronisław Surmiak, Aleksander Sewruk w spektaklu „Kopernik” – 1966 r.

poszedł na umówioną wcześniej randkę i przesiedział z koleżanką na zwalonym pniu drzewa parę godzin (...). Efekt końcowy – ciężkie przeziębienie i niemożność wystąpienia w sztuce. Zastępstwa podjął się Olek. Dotychczas nie interesował się teatrem (...). Szybko opanował rolę i podczas przedstawienia wykazał znaczne uzdolnienia aktorskie”. Tak to opisuje kronika szkolna. Dodaje, że chodzi o rolę Łapki w komedii Aleksandra Fredry *Nikt mnie nie zna*.

Dziś w Bielsku Podlaskim stawiają Sewrukowi ławeczkę przed domem kultury. Pielęgnują pamięć o słynnych obywatelach miasta. Oprócz Sewruka to Józef Tokarzewicz, pisarz i przyjaciel Sienkiewicza, oraz słynny okulista Emilian Adamiuk. Burmistrz Jarosław Borowski szacuje, że dziś na stu mieszkańców Bielska tylko pięciu by wiedziało, kim był Aleksander Sewruk. Ale jak już stanie ławeczka, to więcej się dowie. I może ktoś jakiś film z nim zobaczy.

Po maturze w Bielsku Podlaskim Sewruk poszedł na studia na Wydział Matematyczno-Przyrodniczy Uniwersytetu Warszawskiego. Nie wiemy, dlaczego rzucił je po roku i wrócił do Brańska, by w miejscowym urzędzie gminy objąć obowiązki sekretarza. Zbigniew Romaniuk dokopał się też do dokumentów, wedle których w 1932 roku Sewruk miał działać w Ochotniczych Drużynach Robotniczych, a potem w Junackich Hufcach Pracy. Lokalne kroniki milczą o tym, czy pracując w urzędzie, udzielał się artystycznie, czy to grając na waltorni, czy będąc aktorem. W istniejących dokumentach jego postać pojawia się dopiero w 1938 roku, kiedy to „Sewruk Aleksander syn Konstantego i Stanisławy z domu Szabrańskiej” uczestniczy w kursie informacyjno-wywiadowczym dla oficerów rezerwy Oddziału II Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Czym był ten kurs, tłumaczy pracownik naukowy IPN w Olsztynie, który wertując stosy teczek, znalazł w archiwach tej instytucji tylko tę jedną wzmiankę o Aleksandrze Sewruku.

– Po takim kursie, w razie mobilizacji, był przewidziany do kierowania placówką oficerską wywiadu i kontrwywiadu.

– Ale gdy wybuchła wojna, zdaje się, był zwykłym żołnierzem, walczył o twierdzę Modlin, więc jak to się ma do tego wywiadu i kontrwywiadu?

– Ano tak, droga pani, że plany i szkolenia to jedno, a jak wybuchła wojna, to jest często drugie – odpowiada historyk IPN.

W aktach IPN Aleksander Sewruk jest określony jako „biuralista-aktor”. Tak go nazwano na dokumencie z 1960 roku, na którym zapisano informację o owym kursie wywiadowczym.

### **Uszyliśmy kurtynę z koszul, kalesonów, ręczników i starych spodni.**

Wojenne doświadczenia Sewruka to kolejna zagadka. Nie wiemy, na czym polegała jego rola w obronie twierdzy Modlin, nie znamy jego wspomnień z września 1939 roku. Wiadomo, że trafił do oflagu Arnswalde, czyli do dzisiejszego Choszczna, leżącego między Szczecinem a Gorzowem Wielkopolskim.

„Oflag II B urządzono tu w ostatnich dniach października 1939 roku. Mieścił się w koszarach, które przed wojną zajmował niemiecki 14. Pomorski Pułk Piechoty. (...) Cztery dwupiętrowe bloki koszarowe, dwa budynki administracyjne, cztery garaże i plac kwadratowy o powierzchni 1 hektara” – tak opisał to miejsce Stanisław Piekarski w dwutomowym opracowaniu *Polskie teatry jenieckie w Niemczech 1939-1945*. Dodał, że trafiło tu dwa i pół tysiąca polskich jeńców. Latem 1940 roku dołączyło do nich kilkuset żołnierzy francuskich.

Polscy jeńcy wojenni organizowali teatry obozowe, powołując się na Konwencję Genewską z 1929 roku. Stwierdzała, że strony walczące będą popierały „rozrywki umysłowe i sportowe organizowane przez jeńców”. Po wojnie Marian Brandys w książce *Wyprawa do oflagu*, opierając się na własnych doświadczeniach, doskonale wytłumaczył, dlaczego zmęczeni pracą i głodni jeńcy walczyli o swoje teatry: „Bo w oflagu nie było najgorsze, że mieliśmy wśród siebie kilkudziesięciu psychicznie chorych kolegów. Najgorsze było to, że z małymi wyjątkami my wszyscy, siedem tysięcy włącznie

młodych i względnie zdrowych mężczyzn, nosiliśmy w sobie nieustanny lęk przed szaleństwem. Otaczające obóz druty napierały na nas jak w Makbecie, czuliśmy na mózgu ich stalowy ucisk”<sup>55</sup>.

Władze obozów nie tylko wiedziały o działalności jenieckich teatrów, ale też pokazywały ich spektakle delegacjom Czerwonego Krzyża. Często taka wizyta skutkowała wysłaniem obozowym teatrom książek, dzięki którym reżyserzy mieli bazę do nowych spektakli. Jeńcy-aktorzy dostawali też czasem kosmetyki do charakteryzacji (szminki, pudry) czy materiały dekoracyjne, z których robili scenografie. Bez tych podarunków dysponowali tylko pustymi workami, z których szyli kostiumy, i kawałkami papieru, które sklejali w dekoracje. Kluczowe jednak były książki. Bez nich obozowe teatry bazowały tylko na tekstach, które albo ktoś pamiętał z czasów wolności, albo tych napisanych w obozie.

To, że Niemcy wiedzieli o obozowych teatrach, wcale nie znaczy, że byli im przychylni. Jedną z typowych złośliwości był nakaz odnoszenia na każdą noc do strzeżonych i zamykanych miejsc wszystkich kostiumów ze spektaklu. Uważano je za niebezpieczne, bo stwarzające więźniom możliwość ucieczki. W oflagu Arnswalde, do którego trafił Aleksander Sewruk, jesienią 1941 roku przygotowywano „koncert muzyki lekkiej”, zatytułowany *Melodią zdobywamy świat*, a od razu po koncercie był spektakl komedii Włodzimierza Perzyńskiego *Uśmiech losu*. Ponieważ w obu przedstawieniach pojawiały się śmiało antyniemieckie aluzje i podteksty, władze obozowe zabroniły wieczornych prób. Gdy jeńcy stanęli w obronie teatru, władze obozu skonfiskowały teatrowi kurtynę. Reżyser *Uśmiechu losu* Józef Słotwiński po wojnie

---

55 Historyk dr Kamil Weber, adiunkt w Dziale Naukowym Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Opolu – placówki badającej m.in. działalność teatrów jenieckich w czasie II wojny światowej i mającej na swym koncie wystawę poświęconą temu zagadnieniu, którą pokazywano w kilku miastach – mówi na ten temat: „Działalność teatrów w obozach jest rzeczą mało znaną. Ludziom wszelakie obozy kojarzą się z głodem, ciężką pracą, walką o przetrwanie”. Dr Weber na potrzeby tego tekstu zeskanował kilkadziesiąt stron naukowych opracowań, z których wiele spisano przed laty i nigdy nie wydano drukiem.

wspominał: „W ciągu kilku dni zebrano kilkaset par rękowników i »kolorów« i powstała w ten sposób jedyna – i chyba bez precedensu w historii teatru – kurtyna, na którą ten i ów widz spoglądał z rzewną dumą, objaśniając koledze: ten rękownik ze szlaczkiem zielonym – to od ciotki na imieniny dostałem w ostatniej paczce”.

Ponieważ trudno było o zgodę na szycie, ppor. Kazimierz Mazurek wystarał się o maszynę do szycia na jedną noc. Razem ze sztabem ludzi zaangażowanych w przygotowanie kostiumów o godzinie osiemnastej zaczęli szyc kurtynę z koszul, kalesonów, rękowników i starych spodni. Skończyli o ósmej rano. Na koniec scenograf wymalował na niej 125 razy napis „Teatr Symbolów”. To właśnie w tym teatrze badacze twórczej drogi Sewruka widzą jego debiut.

### **Teatr Symbolów, czyli Słowacki w piwnicy. Publiczność wchodzi na hasło „Winkelried”.**

Według Stanisława Piekarskiego pierwszy spektakl polskiego teatru jenieckiego w czasie II wojny światowej odbył się 31 października w Oflagu II A w Prenzlau, siedemdziesiąt kilometrów od Szczecina. Jego inicjatorem był zawodowy aktor Stanisław Wolicki. Przedstawienie odbyło się w piwnicy obozowego baraku, a wejść na nie mogli tylko ci, którzy wiedzieli, że biletem jest hasło „Winkelried”. Opierając się na swojej pamięci, Wolicki odegrał scenę z *Kordiana* Słowackiego, która rozgrywa się w podziemiach katedry św. Jana. Zamiast przy ołtarzu Wolicki stał przy nakrytym stole, za całe oświetlenie starczała owinięta w bibułkę żarówka, a akordeon imitował organy. Widz Kazimierz Rusinek napisał potem: „To była bomba, psychiczny i psychologiczny wstrząs, którym żył cały obóz”. Ów widz po wojnie został ministrem pracy i polityki socjalnej (w latach 1947–1952), a Stanisław Wolicki został pierwszym po wojnie dyrektorem Teatru Jaracza w Olsztynie. Zanim jednak przyjechał na Warmię, spotkali się z Aleksandrem Sewrukiem w tym samym oflagu Arnswalde. Mieszkali we wspólnym baraku, a Sewruk zwracał się do Wolickiego per „tatuńciu”.

Powstanie teatru jenieckiego w oflagu Arnswalde nie było proste. I to nie z powodu władz obozowych, ale przez część osadzonych w nim oficerów, którzy uważali, że „nastał czas żałoby, a nie rozrywek artystycznych”. Przeważała jednak opinia legendarnego legionisty i uczestnika wydarzeń pod Rarańczą (1918 r.), generała brygady Bruna Olbrychta, oraz komendanta polskiego obozu, pułkownika Rudolfa Kaleńskiego, który przekazał na rzecz tworzącego się teatru pięćset marek. Był listopad 1939 roku. Tworzenia teatru podjął się przedwojenny pedagog i miłośnik teatru Witold Korzeniowski. Pierwszy spektakl wystawiono 23 grudnia w sali jadalnej obozu, gdzie złączono stoły tak, by wyszła z nich scena. Sala mieściła dwieście osób. Wystawiono rewię *Czym chata bogata*, na którą złożyły się kolędy, recytacje wierszy i „wiązanka melodii na gitarę hawajską w wykonaniu Karola Radomińskiego”.

Dyrektor teatru Witold Korzeniowski zapowiadał w rewii kolejne punkty programu. Obozowy kronikarz napisał o nim: „Zjawił się na stole wysoki, chudy, z zapadniętymi policzkami z głodu, ale z ogniem zapału i entuzjazmu w oczach i kilku słowami udowodnił, że scena być musi”.

Kolejna premiera odbyła się już dwa tygodnie później, a program tak się podobał, że na kilka spektakli przyszło w sumie półtora tysiąca widzów. Potrzebna była większa sala. Niemcy zgodzili się, by jeńcy urządzili ją w garażu, mógł pomieścić pięćset osób. Korzeniowski zdecydował, że teatralna trupa przyjmie nazwę „Teatr Symbolów”. Powołano też kronikarza teatralnego, dlatego znamy wszystkie obozowe spektakle i ich obsady, a nawet kto się z kim kłócił i o co; wiemy, jak spektakle oceniali widzowie; jak wyglądały teatralne afisze; wiemy, że w obozowej prasie (albo na gazetkach ściennych) drukowano wywiady z reżyserami i wreszcie ogłaszano nabory na nowych autorów skeczy, piosenek czy wierszy, a także szukano aktorów. Takie nabory nazywano wówczas „konkursami”. Ponieważ przy Teatrze Symbolów działało Studium Aktorskie kierowane przez Józefa Słotwińskiego, nie bano się sięgania po amatorów, nawet takich, którzy przed wojną nie mieli z teatrem nic wspólnego.

### **Z taką cienką smugą wdzięku jeden z dziewięciu Papkinów.**

Wiemy, że Aleksander Sewruk jesienią 1940 roku zgłosił się do konkursu na Papkina w *Zemście* Fredry, którą reżyserował właśnie Józef Słotwiński. Wcześniej w obozowym teatrze Sewruk wystąpił w epizodycznej roli w dziesiątej premierze Teatru Symbolów, którą była komedia muzyczna *Jedyneczka Klubu Arnswaldczyków* Karola Rypienia. Rolą Papkina miał Sewruk wejść w świat prawdziwego teatru, choć nie za bardzo w to wierzył ówczesny dyrektor TS Leon Kruczkowski. „Wystawienie *Zemsty* to wielkie ryzyko” – mówił Kruczkowski w obozowej gazecie. Trudności widział dwie: zbyt mała scena i względy aktorskie. „Aktorzy spotykają się z wierszem po raz pierwszy. Wiersz narzuca zharmonizowanie ruchów i dykcji. Obie te rzeczy wymagają studiów aktorskich, a są dla amatora prawie nieosiągalne, nie darmo na obsadę sztuk fredrowskich dawano najlepsze siły” – argumentował Kruczkowski. Wspólnie ze Słotwińskim zdecydował, że inżynier-leśnik Bolesław Płotnicki zagra Rejenta, zawodowy porucznik Zdzisław Ożarowski – Cześnika, a Adam „Lusia” Bukowski – Podstolinę. Ponieważ brakowało aktora do Papkina, Słotwiński namówił Kruczkowskiego na ogłoszenie konkursu. „Spojrzał na mnie nieufnie: Konkurs na Papkina? Mamy co prawda kilka tysięcy kolegów, i zapewne ukryte talenty, ale na Papkinie kładli się namaszczeni... Zresztą, ty będziesz reżyserował, nie ja. Założył nieco za wielką i stale na uszy spadającą czapkę i opuścił garaż” – wspominał Słotwiński. Zapamiętał, że do konkursu stanęło dziewięciu Papkinów. Ich przesłuchania odbywały się na strychu trzeciego bloku w niedzielne popołudnie.

„Pierwszym ryzykantem był chyba Berson, syn warszawskiego właściciela stajni wyścigowej. Nie wiem, gdzie go losy rzuciły, ale wiem, że konie jego ojca lepiej dochodziły do mety, niż Papkin zaproponowany przez syna. Odpadł. Drugim był ppor. Aleksander Sewruk, w cywilu student matematyki na Uniwersytecie Warszawskim. Matematyk-Papkin nie miał dotąd nic z teatrem wspólnego i nie wiemy, co go popchnęło do tego ryzykownego



skoku w teatralną przepaść” – wspominał Słotwiński w 1975 roku. Napisał, że Sewruk „był niepozorny, chudy, spokojny, uprzejmy, skupiony i z taką cienką smugą wdzięku, której nie stracił nawet jako dyrektor teatru”.

Premiera obozowej *Zemsty* odbyła się 11 listopada 1940 roku na garażowej scenie, która była porządnie oświetlona, bo miesiąc wcześniej z Arnswalde wyjeżdżali jeńcy francuscy. Zostawili polskim kolegom rampę teatralną z dwudziestu jeden punktami świetlnymi, osiem reflektorów oraz dwieście pięćdziesiąt żarówek. Plakat narysowany na niewielkiej kartce przedstawiał wąsatego szlachcica w kontuszu, z szabelką u boku i uniesioną ręką. Nazwiska aktorów są dziś nieczytelne<sup>56</sup>.

W pamięci reżysera Sewruk stworzył Papkina „barokowego, giętkiego, niemal baletowego... jak z komedii stanisławowskiej”. Obozowy recenzent Feliks Przyłubski napisał, że „debiut kolegi Sewruka w bardzo trudnej roli Papkina określić trzeba jako udany. Ustrzegł się Papkin szarży i błazeństwa, a przecież wypełniał całą scenę, skupiał uwagę widzów na grze. Czasem zawodzi głosowo, czasem ruch i gest był sztywny”.

W czasie gdy Teatr Symbolów wystawiał *Zemstę* z Sewrukiem-Papkinem, do Arnswalde przeniesiono jeńców z oflagu Prenzlau, tego, w którym Stanisław Wolicki przy świetle jednej żarówki wystawił obozowego *Kordiana*. Z kronik wiemy, że Wolicki zaangażował się też w Teatr Symbolów, który wystawiał nowe spektakle czasem nawet co dwa–trzy tygodnie. Słotwiński po wojnie tłumaczył, że taka intensywność pracy teatru wynikała m.in. z prośby „jednego z doskonałych polskich psychiatrów”, który zwrócił się do Leona Kruczkowskiego z żądaniem, aby w ten sposób „ratować psychiczną awitaminozę jeniecką”.

---

56 Tadeusz Gąsztold, *Życie kulturalne w obozach polskich jeńców wojennych na Pomorzu Zachodnim w latach 1939-1945*.

## **Olkowi Sewrukowi z okazji 100. występu na scenie Teatru Symbolów.**

Teatr Symbolów w oflagu Arnswalde działał do maja 1942 roku. 14 i 16 maja 2,6 tys. jeńców przeniesiono do oflagu Gross Born, czyli Kłomina niedaleko Bornego Sulinowa. Dziś to zawalone gruzem odludzie. Wówczas stały tam drewniane baraki, które podzielono na obóz górny i dolny. Całemu obozowi nadano sygnaturę II D.

„W ciągu kilku pierwszych miesięcy pobytu w Kłominie miały miejsce wydarzenia, które bezpośrednio lub pośrednio wpłynęły na funkcjonowanie teatru. Pierwsze to wykrycie przez władze niemieckie podkopu, wykonanego przez jeńców planujących ucieczkę. W konsekwencji ograniczona została możliwość swobodnego kontaktowania się jeńców z poszczególnych baraków, co utrudniało odbywanie prób teatralnych. Kilka tygodni później, w nocy z 18 na 19 sierpnia 1942 roku samoloty alianckie omyłkowo zbombardowały obóz. Zginęło 18 jeńców, a kilkudziesięciu zostało rannych” – pisze Stanisław Piekarski w *Polskich teatrach jenieckich...*

W Kłominie Teatr Symbolów grał w baraku zaadaptowanym przez więźniów. W zespole wybuchały różne spory. Bo na przykład Stanisław Wolicki, który mieszkał z Sewrukiem w tym samym baraku, zapowiadając spektakl zbyt śmiało, zdaniem części zespołu, „przedstawił problemy społeczne zobrazowane w sztuce Lucjana Rydla *Zaczarowane koło*”.

Z relacji kronikarzy obozowych z Gross Born wynika, że Aleksander Sewruk często grał w Teatrze Symbolów. Nie znamy jego wszystkich ról. Musiało być ich jednak sporo, bo 20 lutego 1943 roku, czyli nieco po ponad dwóch latach grania, podczas ostatniego przedstawienia *Kawalera z księżycą* świętował swój setny występ na scenie. „Olkowi Sewrukowi z okazji 100. występu na scenie Teatru Symbolów”<sup>57</sup>. Całą laurkę pokrywały podpisy jeńców. Wspólnie z Sewrukiem jubileusz świętował Józef

---

57 Tadeusz Gasztold w swojej książce zamieścił fotografię laurki, którą Sewruk otrzymał od kolegów.

Słotwiński (200. przedstawienie i 15. reżyserowane) oraz Józef Walewski (162. przedstawienie).

Aleksander Sewruk musiał się w obozowym teatrze wiele nauczyć, bo nie tylko był aktorem, ale i reżyserował. We wrześniu 1944 roku wystawiano reżyserowany przez niego *Koncert-Rewię* z muzyką Zygmunta Karolaka. Spektakl cieszył się dużym powodzeniem, mimo że jeńców z każdym dniem bardziej niż spektakle interesowały kolumny maszerujących na zachód wojsk. Do premiery kolejnego spektaklu Teatru Symbolów już nie doszło, bo na początku stycznia 1945 roku zapadła decyzja o ewakuacji obozu w głąb Niemiec. Jeńcom dano kilkanaście godzin na spakowanie się, a że nie mogli wiele ze sobą zabrać, zaczęli palić rękopisy sztuk, elementy scenografii. „Kilkanaście godzin przed ewakuacją chodziliśmy po małej i dużej scenie, po widowniach, garderobach (...). Po raz ostatni oglądaliśmy malowidła ściennie, płaskorzeźby z masy papierowej, kasetony ze znakami zodiaku, kryte światła ozdobne, lampiony – wynik fantastycznej pracy, która z ordynarnego ceglanego baraku uczyniła najpiękniejsze miejsce obozu: teatr. Żegnaliśmy się z nim” – opisał po wojnie Wiesław Mirecki.

Ewakuacja pięciu tysięcy jeńców oflagu Gross Born rozpoczęła się wczesnym rankiem 28 stycznia 1945 roku. Aleksander Sewruk, tak jak i inni, ruszył w trwający dwa i pół miesiąca marsz. Dotarli do Sandbostel, skąd wyzwolili ich Brytyjczycy. Nie wiemy, jak doszło do tego, że Sewruk zaczął występować w teatrze obwoźnym, który działał przy I Polskiej Dywizji Pancernej w Niemczech. Bohdan Dzitko, wieloletni przyjaciel Sewruka, dziś emerytowany adwokat, który przez pewien czas był kierownikiem literackim w olsztyńskim Teatrze Jaracza, mówi, że chyba podczas tych występów Sewruk dotarł do Hamburga i tam poznał swoją żonę. Potem oboje przyjechali z Hamburga do Olsztyna.

– Jest pan pewny tego wspomnienia?

– W moim wieku to ja nawet swoich personaliów pewien nie jestem – odpowiada Dzitko. Wie za to, że państwo Sewrukowie mieli jednego syna, Jeremiego. Został prawnikiem, pracował

w Warszawie. Zginął tragicznie podczas wakacji nad Bałtykiem – utopił się blisko brzegu, chyba wciągnął go wir czy poniósł prąd morski. Jego rodzice już wówczas nie żyli.

### **Olsztyn, Elbląg. Scena niska, mała, prawie bez zaplecza.**

#### **Ot – ubożuchna świetlica przyzakładowa.**

Jak, z kim i kiedy Aleksander Sewruk powrócił po wojnie do Polski – nie wiemy. Być może najpierw przyjechał do Warszawy. W Olsztynie pojawił się wiosną 1947 roku. Wtedy do teatru przyjechała grupa aktorów skupionych wokół Janusza Strachockiego. Strachocki był bardzo ważną postacią świata teatru. Oprócz tego, że był wybitnym aktorem i reżyserem, kierował powołaną w październiku 1944 roku na warszawskiej Pradze Miejską Szkołą Dramatyczną, która w 1947 roku została przemianowana na Państwową Wyższą Szkołę Aktorską. Gdy Szkołą Państwową zaczął kierować Aleksander Zelwerowicz, Ministerstwo Kultury proponowało Strachockiemu objęcie teatru w Olsztynie. Strachocki zapewne wiedział, że jedzie do miasta wciąż pozostającego w wojennych zgłiszczach, do teatru, w którym brakowało aktorów, pieniędzy na ich pensje, mieszkań, maszyn do szycia kostiumów i tworzenia scenografii, czasami brakowało nawet wody.

To, że Strachocki przyjechał do Olsztyna z grupą „swoich” aktorów, było w tamtych czasach normą – gdy reżyser lub dyrektor zmieniał teatr, zabierał żyty zespół ze sobą. Po wojnie sytuacja aktorów wyglądała zgoła inaczej niż dziś: to teatry zabiegały, by miał w nich kto grać. Jeszcze kilkanaście lat po wojnie to dyrektorzy teatrów jeździli do szkół aktorskich i namawiali absolwentów, by przyjęli posady w kierowanych przez nich instytucjach. W 1958 roku Aleksander Sewruk, jako dyrektor teatru w Olsztynie, taką rozmowę odbył z Hanną Wolicką i kolegami z jej roku, którzy dopiero co zeszli ze sceny po spektaklu dyplomowym. „Wygłądał niesłychanie godnie i niezwykle poważnie. Mówił, że teatr, że Olsztyn, że ma mieszkania i oferuje porządne gaże, że będzie dużo grania, bo ma dwie sceny. Ale wśród nas, szczeniaków takich, nikt

za bardzo nie wiedział, kto to jest. Ktoś jeden powiedział chyba, że to Sewruk. Ja nie wiedziałam nawet, gdzie ten Olsztyn... ” – wspominała po latach Hanna Wolicka w wywiadzie udzielonym Agnieszce Lipczyńskiej z Radia Olsztyn.

Zanim Sewruk został dyrektorem, do 1952 roku pracował w Olsztynie jako aktor. Na scenie w „Jaraczu” pierwszą jego rolą był Rzecznicki w *Fantazym* Juliusza Słowackiego. Było to 4 października 1947 roku.

Dyrektor Strachocki, z którym rozpoczął pracę, zrezygnował z niej po roku, a kolejny dyrektor, Władysław Surzyński, zdecydował, że wystawi w „Jaraczu” *Odwety* Leona Kruczkowskiego. Kruczkowski był wtedy nie tylko byłym więźniem oflagu i tzw. literatem, ale też wiceministrem kultury. W *Odwetach* Kruczkowski przedstawił walkę podziemia z budowniczymi Polski Ludowej. Sewrukowi, który przecież pod okiem Kruczkowskiego zdobywał w oflagu aktorskie szlify, przypadła rola byłego pułkownika kawalerii, za okupacji działacza AK, Okulicza. Kruczkowski przyjechał na olsztyńską premierę. Z całą pewnością musiał z Sewrukiem rozmawiać i o roli, i o oflagu, i zapewne o wspólnych znajomych. *Odwety* zagrano w Olsztynie i regionie sto trzydzieści dwa razy, do tego teatr jeździł z nimi po kraju. Jednym z miast, w którym Sewruk grał Okulicza, był Poznań, do którego aktor miał się wkrótce przeprowadzić.

Wcześniej jednak poznał Elbląg. Tam w 1949 roku jesienią utworzono scenę podlegającą pod Teatr Jaracza w Olsztynie i obsługiwaną przez jego zespół aktorski. Otwarcie sceny było wielkim wydarzeniem, wystawiono *Pana Jowialskiego* Fredry, tytułową rolę zagrała gwiazda największego wówczas formatu – Ludwik Solski. Reżyserował Władysław Stoma. Sewruk podczas świętowania 20-lecia elbląskiej sceny wspominał tamto wydarzenie jako „triumfalny występ Ludwika Solskiego” i dodawał, że wiosną, kilka miesięcy później, przyjechał do Elbląga z olsztyńskim zespołem, wystawili *Klub kawalerów*. „Dzień ponury, mokry. Pierwsze wrażenia nie najlepsze. Miasto jakieś smutne, okaleczone bardzo

przez wojnę, zabiedzone. (...) Salka teatralna skromniutka, z byle jakimi krzeselkami. Scena niska i mała, prawie bez zaplecza. Ot – ubożuchna świetlica przyzakładowa” – tak zapamiętał Elbląg, w którym potem podlegli mu aktorzy bardzo chcieli grać. Za wyjazd na Żuławy dostawali delegacje, których wysokość czasami przewyższała ich pensje.

### **Sewruk odbiera w Moskwie medal za rolę komandora ORP Orzeł.**

W 1949 roku Aleksandrowi Sewrukowi powierzono w Olsztynie rolę Łomowa w *Oświadczeniach* Czechowa. Spektakl był ilustrowany muzycznie *Polką* Szostakowicza. Z przedstawieniem tym olsztyński zespół pojechał do Warszawy na I Festiwal Sztuk Rosyjskich i Radzieckich. Sewruk dostał na nim nagrodę, pierwszą w swojej aktorskiej karierze. Kolejna bardzo znacząca nagroda w jego dorobku artystycznym także wiązała się z Rosją. Na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Moskwie w 1959 roku otrzymał srebrny medal za rolę komandora Kozłowskiego w filmie *Orzeł* w reżyserii Leonarda Buczkowskiego.

Festiwal w Moskwie to był drugi najstarszy przegląd filmowy (po festiwalu w Wenecji) i jedna z najważniejszych tego typu imprez na świecie. Film *Orzeł* to opowieść inspirowana historią podwodnego okrętu wojennego ORP Orzeł, który na początku II wojny światowej zawiązał do Tallina, by tam przekazać do szpitala chorego dowódcę, w którego wcielał się właśnie Aleksander Sewruk. Nie wiemy, jak to się stało, że powierzono mu tę rolę, kroniki teatralne nie odnotowują też fetowania moskiewskiego medalu przez Sewruka czy kierowany już przez niego teatr.

### **Aktorzy mieli tak dość, że postanowili sami działać. Delegacja jedzie po Sewruka do Poznania.**

Przełom lat czterdziestych i pięćdziesiątych dwudziestego wieku to w olsztyńskim teatrze czas wielkiego chaosu organizacyjnego i repertuarowego. Zapewne z tego powodu w 1952 roku Aleksander

Sewruk przeprowadził się do Poznania. „Wywędrowałem” – opowie o tym po latach jednym słowem. Poznańskie lata Sewruka są zagadką. Wiadomo jednak, że to właśnie grając w Wielkopolsce, zetknął się z filmem. Pierwszą rolę, naczelnika policji o nazwisku Wajszyc, dostał w filmie Jerzego Kawalerowicza *Celuloza*, który był ekranizacją powieści Igora Newerlego *Pamiętka z Celulozy*, rok później zagrał w kontynuacji – *Pod gwiazdą frygijską*. Nie wiemy, dlaczego Sewruk wszedł do obsady filmu, wiemy, że grał w nim ze Stanisławem Miłskim, który wspólnie z „tatuńciem” Stanisławem Wolickim tworzył po wojnie olsztyński teatr. To właśnie on reżyserował *Odwety* z Sewrukiem. Miłski w *Celulozie* grał jedną z głównych ról.

Pracując w Poznaniu, Aleksander Sewruk zagrał też epizodyczną rolę górnika Dosiada w dramacie wojennym Jana Rybkowskiego *Godziny nadziei* (1955 r.) i także mniej istotną rolę mechanika Wanickiego w dramacie obyczajowym Silika Sternfelda o drużynie kolarskiej *Zaczarowany rower*.

Gdy Sewruk stawiał pierwsze kroki w filmie, w teatrze w Olsztynie z miesiąca na miesiąc działo się coraz gorzej. Pogłębiał się chaos, dyrektorzy zmieniali się co kilka miesięcy, nikt nie pannał nad repertuarem. Aktorzy mieli tak dość, że postanowili sami działać. Pomyśleli o Sewruku.

„Widocznie Aleksander Sewruk potrafił uprzednio zaskarbić sobie względy kolegów-aktorów, skoro oni właśnie kreowali Go na stanowisko dyrektora i kierownika artystycznego. Do Poznania, specjalnie w tym celu, wyjechała delegacja z Jerzym Żułkwą na czele” – tak opisała po latach powrót Sewruka do Olsztyna redakcja czasopisma kulturalno-społecznego „Warmia i Mazury”.

**Nie było widzów, bo nie było aktorów, dobrych spektakli, zachwycających widowisk. Nie było obsługi, bo nie było kogo obsługiwać.**

Sewruk wrócił do Olsztyna w podwójnej roli: dyrektora teatru i aktora, bo z grania ani na scenie, ani w filmie nie zamierzał

rezygnować. Ludzie, którzy z nim pracowali, zgodnie przyznają, że Sewruk-aktor był kimś innym niż Sewruk-dyrektor.

Sewruk-dyrektor musiał zacząć pracę w Olsztynie od porządków. Chaos był wielowymiarowy, zapętlony do granic możliwości. Teatr miał do obsłużenia trzy sceny: w Olsztynie, objazdową i w Elblągu, ale nie miał dość licznego zespołu. Zespołu nie było, bo aktorzy nie mieli gdzie mieszkać, nie było gdzie ich lokować, jak krążyli między Olsztynem a Elblągiem. Nie było widzów, bo nie było aktorów, dobrych spektakli, zachwycających widowisk. Nie było obsługi, bo nie było kogo obsługiwać.

Dyrektorowanie w „Jaraczu” rozpoczął 1 sierpnia 1957 roku. „Zespół liczył ok. 60 osób, zaś w tym aktorów tylko 45. Nie było też możliwe zakwaterowanie wszystkich w Olsztynie z powodu braku mieszkań. Ten stan rzeczy, ogromnie komplikujący pracę i podnoszący koszty związane z delegowaniem pracowników, rzutował zasadniczo zarówno na gospodarkę finansową teatru, jak i na decyzje repertuarowe. Znacznie częściej niż w innych teatrach o doborze sztuki do realizacji decydował czynnik ekonomiczno-finansowy i organizacyjny, tj. wzgląd na część zespołu aktorskiego, którą przypadkowo można rozporządzać w ramach ustawicznie zmieniającego się układu i podziału obsad” – napisał Ryszard Tomczyk, który naukowo analizował powojenne losy „Jaracza”. Jego trzypięciotomowa praca o olsztyńskim teatrze wciąż nie jest wydana drukiem.

Tomczyk stwierdził, że „podstawowym zadaniem organizacyjnym, którego realizację uznał A. Sewruk w 1957 roku za rzecz najważniejszą, była przede wszystkim stabilizacja zespołu, tj. opanowanie zjawiska nadmiernej fluktuacji aktorów, spowodowanego brakiem mieszkań i sytuacjami kryzysowymi w teatrze”.

Sprawę mieszkań dla aktorów Sewruk załatwił w cztery lata. Pomogło mu też zarządzenie prezesa Rady Ministrów z października 1956 roku. Bezpośrednią władzę nad teatrem Ministerstwo Kultury i Sztuki przekazało Wojewódzkiej Radzie Narodowej w Olsztynie. „Od 1 stycznia 1959 roku teatr został zobowiązany do rozliczania się



z budżetu państwa poprzez budżet terenowy” – napisał Tomczyk. Sewruk-dyrektor musiał uzgadniać i załatwiać sprawy z przedstawicielami władzy terenowej. Ci w wielu kwestiach mogli pomóc znacznie szybciej i sprawniej niż władza centralna.

Objęcie dyrekcji teatru w Olsztynie zbiegło się w czasie z rolą w *Popiele i diamentach* Andrzeja Wajdy. Film wszedł na ekrany w 1958 roku. Sewruk zagrał u Wajdy postać Święckiego, prezydenta Ostrowca Świętokrzyskiego, którego partia awansuje właśnie na ministra w Warszawie.

### **Bardzo porządny człowiek, aktorzy nie wchodzą mu na głowę, a on nie wchodzi im z butami do duszy.**

O ile władza lokalna pomagała załatwiać sprawy bieżące, o tyle sytuację w teatrze Sewruk musiał uzdrowić sam. „Takiego dyrektora to ja nigdy, w całym zawodowym życiu nie miałam” – zapewnia dziś, z perspektywy lat spędzonych na wielu scenach, aktorka Urszula Lorenz-Błazewicz. „Dbał o ludzi, szanował, był człowiekiem wielkiej klasy” – mówi, zapytana, co się jej kojarzy z Sewrukiem-dyrektorem.

Dziennikarka Radia Olsztyn Anna Kochanowska wspominała na antenie, że ponieważ „był bardzo porządnym człowiekiem, aktorzy szanowali go i nie wchodzili mu na głowę, a on nie wchodził im z butami do duszy”.

Pilnował za to aktorskich portfeli: za wyjazdy do Elbląga aktorzy oprócz pensji dostawali diety, to samo wiązało się z wyjazdami sceny objazdowej, która docierała do najodleglejszych mazurskich miasteczek i publiczności, która nigdy wcześniej nie widziała teatru.

Ponieważ w Elblągu była tylko scena, a scenografia i kostiumy do granych tam spektakli powstawały w Olsztynie i były tam wozzone, Sewruk-dyrektor załatwił z władzą terenową autobus dla aktorów i auto bagażowe do przewozu potrzebnych do spektaklu rzeczy. Były teatralny oświetleniowiec, dziś emeryt, Przemysław Bartnikowski pamięta, że ciężarówką jeździł Janek Szczerbut,

a autobusem jego brat Edzio, zwany częściej Mateuszem. „Nie pamiętam, żeby dyrektor występował na objeździe, żeby jeździł autobusem. Jak musiał do Elbląga na próbę generalną, czy premierę, to Czesiu go w godzinę przez Łukę zawoził. Grzał jak burza tą zieloną wołgą” – wspomina.

Za dyrekcji Aleksandra Sewruka teatr wypłacał aktorom gaże w terminie i były one godne, co wielu aktorów pamiętało przez lata. Gdy przy angażu Hanna Wolicka zauważyła, że ma w Olsztynie przyznaną pensję o dwie grupy zaszeregowania wyższą niż w poprzednim teatrze, chwyciła za telefon i zadzwoniła do Sewruka, martwiąc się, że zaszła pomyłka. „Co się pani martwi?! To ja się będę martwił, to moje zmartwienie, a nie pani” – odpowiedział.

Podobnie wysoką pensję zaproponował Bohdanowi Dzitce, który w 1967 roku przejął po poecie Stanisławie Grochowiaku stanowisko kierownika literackiego w „Jaraczu”. Dzitko był wówczas po debiucie książkowym i pracował jako adiunkt na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Zarabiał osiemset złotych. „Sewruk dał mi w Olsztynie 2,4 tys. zł i kawalerkę. No wiadomo było, że nie odmówiłem!” – wspomina.

Wysokie gaże, mieszkania i wiele pracy scenicznej przyciągały do Olsztyna za czasów Sewruka młodych aktorów, którzy przyjeżdżali na Warmię od razu po skończeniu szkół aktorskich. Tak trafili do Olsztyna m.in. Andrzej Kopiczyński, Ilona Kuśmierska (znana już z roli Jadźki Pawlakowej w *Samych Swoich*) czy Maria Chwalibóg. „Szkół wysyłały Sewrukowi całe roczniki młodych, bardzo zdolnych aktorów, to był fenomen” – oceniła po latach Anna Kochanowska.

Sewruk, dyktując, co rusz grał w kolejnych filmach i serialach. Wcielił się m.in. w rolę radzieckiego generała w *Czterech pancernych i psie*. W siódmym odcinku *Stawki większej niż życie* kreowany przez niego bohater był łącznikiem Klossa – ubrany w kapelusz i płaszcz rozmawiał z kapitanem na dworcu. Sewruk nie blokował nikomu grania w filmach i serialach, tak układał grafiki swoim aktorom, by mogli wyjechać na zdjęcia.

Ze wspomnień Hanny Wolickiej wyłania się też obraz Sewruka-dyrektora po ojcowsku troskliwego. Wolicka była w ciąży, gdy wypadł jej wyjazd do Poznania, gdzie miała grać w spektaklu transmitowanym dla telewizji. „Wezwał mnie i dał bilety kolejowe na ekspres w pierwszej klasie. Do tego też powiedział, że da mi kolegę do tej podróży, żebym miała opiekę. Ja go o to nie prosiłam, on sam pomyślał, że nie powinnam się tłuc autobusem, że może mi to zaszkodzić” – wspominała Hanna Wolicka w rozmowie z Agnieszką Lipczyńską.

**Jak szedł korytarzem, to my niemal na baczność staliśmy. I dawał drobne na żyłетки, jak się ktoś nie ogolił.**

Ludzie, którzy pracowali z Sewrukiem w Olsztynie, pamiętają, że dyrektor nie krzyczał, traktował teatr po gospodarsku, a pracowników z wyrozumiałością. Ale miała ona swoje granice. Sam zawsze ogolony i wypchniony, nie znosił, gdy ktoś stawiał się w pracy „wczorajszy”. Przekonał się o tym brygadier sceny Kazimierz Jurkin, który pewnego dnia przyszedł do pracy nieogolony. Sewruk, wolno cedząc słowa, stanowczo, ale bez podnoszenia głosu, zapytał: „Panie Kazimierzu, dlaczego pan jest nieogolony?”. Jurkin burknął coś pod nosem, na co Sewruk bez słowa sięgnął do kieszeni, wyjął drobne i polecił iść do kiosku, kupić żyłетkę i „doprowadzić się do porządku”. Tego typu sceny przeżywali też inni panowie, i z obsługi, i aktorzy. Czasem Sewruk pytał, czy zmieniają wizerunek, czasem od razu dawał drobne i wysyłał do kiosku.

„Czuliśmy przed nim mores. Jak szedł korytarzem, to my niemal na baczność staliśmy, choć nic do nas nie mówił” – pamięta oświetleniowiec Przemysław Bartnikowski, który przepracował w teatrze pięćdziesiąt lat i uważa, że takiego drugiego dyrektora jak Sewruk teatr nie miał. Praca w „Jaraczu” była pierwszą i jedyną pracą Bartnikowskiego, choć dostał ją na skutek rozmów prowadzonych w zadymionych salach Domu Środowisk Twórczych. „Tata był dziennikarzem, znali się z Sewrukiem, może nawet przyjaźnili. Był 1968 rok, ja po szkole zawodowej szukałem

pracy, chodziłem za nią to tu, to tam, aż pewnego dnia ojciec powiedział, że praca na mnie czeka. W teatrze. Najpierw nie chciałem, ale potem pomyślałem: A czort! – I poszedłem. Zostałem w teatrze na pięćdziesiąt lat i poznałem mnóstwo ludzi: aktorów, reżyserów. I wiem po tych latach jedno: Sewruk to był Człowiek”.

Bohdan Dzitko pamięta burę, jaką dostał od Sewruka za to, że podczas wygłaszania przed spektaklem dla młodzieży pogadanki o teatrze antycznym (grano sztukę według Ajschylosa, reżyserowaną przez Bohdana Głuszcza) oparł się o kulisę i nie stał prosto, lecz skrzyżował nogi. „Ja te pogadanki wygłaszałem, ale miałem za każdym razem ogromną treść, nie czuję się dobrze w publicznych wystąpieniach” – tłumaczył się Dzitko w rozmowie z Radiem Olsztyn. Sewruk, który siedział na widowni, wezwał Dzitkę do gabinetu na pierwszym piętrze, niedaleko Sali Malinowej i bufetu pani Krysi Kowalskiej, która oferowała widzom nie tylko prawdziwą kawę, ale i śliwki w czekoladzie, przed świętami pomarańcze, a czasem nawet piwo w małych butelkach. W gabinecie, za zamkniętymi drzwiami i bez świadków, Sewruk zadał Dzitce tylko jedno pytanie: „Dlaczego pan śmie lekceważyć publiczność?!”. Gdy usłyszał o tremie, kierownik literacki dostał polecenie spisania pogadanki, którą od tamtej pory wygłaszał aktor.

Reporterka Małgorzata Szejnert krótką scenę z Sewrukiem zanotowała w reportażu *Wież jak ziarenko* z 1976 roku. „Widownia brzęczała jak klasa; wypełniały ją wycieczki uczniowskie. Nim podniesiono kurtynę, między rzędy krzeseł wszedł Aleksander Sewruk. Powiedział, że to przedstawienie niezwykle. Każde słowo, które pada ze sceny, jest prawdą. Wszyscy bohaterowie żyją lub żyli niedaleko stąd”. Sewruk zapowiadał wtedy spektakl *Moja droga do Polski*, oparty na pamiętnikach młodej Mazurki Hejdy Stank-Macoch. „Ale niewielu dotąd ludzi starszych i dojrzałych umiało spojrzeć na powojenne sprawy Mazurów z taką szczerością i odwagą” – mówił Sewruk zapamiętany przez Szejnert.

**Na frontonie pyszni się dumnie cyfra skromna, a wielka: sto siedemdziesiąt premier, prawie dziesięć tysięcy przedstawień i przeszło trzy i pół miliona widzów.**

Do zadań Sewruka-dyrektora należały też kontakty z władzą. „Umiał! Oczywiście, że umiał z partyjniakami rozmawiać! Musiał umieć, takie czasy były!” – mówi stanowczo Bohdan Dzitko.

Zachowane archiwalne nagrania Radia Olsztyn pokazują, że w sytuacjach publicznych Sewruk zgrabnie radził sobie z partią i jej przedstawicielami. Zachowały się jego przemówienia z jubileuszy piętnastolecia Teatru Jaracza w Olsztynie i dziesięciolecia Teatru w Elblągu. Mimo że oba wystąpienia dzieliły cztery lata, Aleksander Sewruk przemawiał wedle tego samego schematu: „Wielce szanowni obywatele, drodzy koledzy! Na frontonie naszego teatru pyszni się dzisiaj dumnie skromna cyfra „15”. Pyszni się nie bez powodu, bo treść tej skromnej cyfry jest wielka: sto siedemdziesiąt premier, prawie dziesięć tysięcy przedstawień i przeszło trzy i pół miliona widzów. Oto jest treść tej skromnej piętnastki. To zdołaliśmy obliczyć. Nie potrafiliśmy natomiast zamienić w cyfry, w liczby, spraw innych, niewymiernych: spraw życzliwości i serdeczności ogromnej, jakimi darzyło nas w ciągu piętnastolecia, i nadal darzy, społeczeństwo Warmii i Mazur. To chyba ta życzliwość i serdeczność przywiodła dziś do nas władze i zawsze najmiłszą nam publiczność” – mówił w Olsztynie i po tych słowach personalnie witał przybyłych gości z wiceministrem kultury i sztuki Tadeuszem Zaorskim na czele.

W Elblągu mówił, że „tak jak w listopadzie 1955 w Olsztynie, tak teraz w Elblągu nad Teatrem Jaracza złoci się cyfra „10”. Skromna i prosta, ale przecież tak pełna treści. Dziesięć lat pracy Teatru Jaracza w Elblągu to trudne, pionierskie początki, to ofiarność społeczeństwa elbląskiego, życzliwość władz miasta Elbląga. To chwile wzlotów i zwątpień. To dwa tysiące pięćset dziesięć przedstawień, siedemset dwadzieścia tysięcy widzów i zdobyte uznanie publiczności elbląskiej i moralny patent na obywatelstwo miasta Elbląga”. O partii i jej roli – ani słowa.

Mimo że w PRL każdy scenariusz czytała cenzura, a partia kontrolowała teatralne sceny, nie ma dokumentów, które mogłyby świadczyć o tym, że Sewruk donosił na swoich pracowników czy kolegów z filmowych planów.

### **Stworzył z teatru salon Olsztyna. Przerywa naradę, bo dzwoni żona, że odlewa ziemniaki.**

Jako dyrektor teatru Sewruk układał się nie tylko z władzą, która musiała mu zatwierdzać plany repertuarowe, ale i lokalną prasą, która wówczas znacznie baczniej niż dziś przyglądała się temu, co dzieje się w teatrze. „Często wojowaliśmy ze sobą. Zjawisko naturalne i prawidłowe w stosunkach między dyrektorem teatru i dziennikarzem pisującym o teatrze. Nigdy jednak potyczki te nie przynosiły szkody (...)” – przyznał po śmierci Sewruka krytyk teatralny „Gazety Olsztyńskiej” Janusz Segiet.

Mimo że w tamtych czasach nie było działów reklamy i PR, Sewruk świetnie rozumiał konieczność istnienia kierowanego przez niego teatru w mediach. Wiedział, że zapewni to jego teatrowi i jemu samemu rozpoznawalność, a w ludziach wyrobi przekonanie, że „w teatrze dużo się dzieje”. Anna Kochanowska pracowała najpierw w teatrze, potem w Radiu Olsztyn i jako dziennikarka przygotowała za dyrekcji Sewruka spektakl muzyczny – składankę piosenek *Jarzębina czerwona*. Wspominała na antenie, że dyrektor „dbał o współpracę z radiem”. „Przed każdą premierą w radiu szła audycja o tym, jaka to będzie premiera, o czym. Nagrywaliśmy każdą rolę, co Sewruk sobie bardzo cenił, i puszczaaliśmy na antenie te nagrane fragmenty” – wspominała Kochanowska i podkreślała, że jeszcze bardziej niż lokalne audycje Aleksander Sewruk doceniał nadawane przez nią raz w miesiącu w radiu ogólnopolskim *Listy z teatru*. Audycja w całości poświęcona była teatrowi w Olsztynie: informowano o sztukach, aktorach, reżyserach, nadawano oczywiście wywiady z dyrektorem, który mówił krótko i błyskotliwie, tak, by to, co chciał przekazać, łatwo wpadało radiosłuchaczowi w ucho. W jednej z takich audycji opisując kierowany przez siebie

teatr stwierdził, że „ma charakter omnibusa”. „Takiego lekarza w prowincjonalnym miasteczku, który musi być i laryngologiem, i ginekologiem, internistą i tak dalej, i tak dalej. Mamy w naszym repertuarze i wodewil, i komedię muzyczną, mamy dramat, mamy tragedię, mamy bajkę. Nie zapominając o naszej roli, dopasowujemy się do potrzeb społeczeństwa” – mówił obrazowo.

Szef sceny objazdowej w teatrze, Wojciech Lewandowski, w radiowych wspomnieniach stwierdził wprost, że Sewruk wyszedł poza ramy scenicznej działalności. „Stworzył z teatru salon Olsztyna. Jedyny salon w Olsztynie. Pamiętam te wielogodzinne narady przed premierami, kto obok kogo i w którym rządzie ma siedzieć na premierze. Żeby rozszerzyć krąg tych bywalców stałych, których zaszczytem jest, że są zapraszani, to wprowadził premiery prasowe z gośćmi. Ewenement. Wtedy na premierę można było zaprosić limitowaną przez ministerstwo ilość oficjeli. Dlatego była dodatkowa premiera prasowa i przez to zapraszana była większa liczba oficjeli, np. dyrektorów szkół się zapraszało” – wspominał w radiu Lewandowski.

Czasami wielogodzinne narady dotyczące usadzania gości na premierze albo innych ważnych spraw przerywał nagle telefon. Dyrektor podnosił słuchawkę, po czym natychmiast kończył spotkanie albo zarządzał przerwę. Ubierał się i szybko wychodził. „Dzwoniła żona, że odlewa ziemniaki. On w oflagu jadł tylko zimne ziemniaki z kotła, więc nawet po latach biegł na ciepły obiad do domu” – wspominał w audycji Agnieszki Lipczyńskiej Wojciech Lewandowski.

### **Sewruk do Kopernika: astrologowie wyczytali w gazetach oraz w gwiazdach.**

Będąc dyrektorem Jaracza, Sewruk zagrał ponad siedemdziesiąt ról. Ale nie pchał się do obejmowania tych głównych. Wolał błyszczeć w rolach drugoplanowych, a nawet epizodycznych. „Aleksander Sewruk równie dobrze znajdował się w repertuarze dramatu psychologicznego, co w komedii. W kreowaniu postaci w obu tych

nurtach gatunkowych sprzyjały przede wszystkim jego predyspozycje fizyczne i charakterystyczna, lekko pochyłona sylwetka, której walory bardzo zręcznie wykorzystywał w konstruowaniu figur charakterystycznych. Głos spokojny i sugestywny, o lekkim kresowym zabarwieniu, z łatwością zmieniający odcienie. Twarz raczej skupiona, o szerokiej mimice. Uderzającym i bardzo, bardzo współczesnym rysem jego stylu była powściągliwość w szafowaniu zewnętrznymi środkami wyrazu, kształtowana dzięki współpracy z filmem i telewizją” – tak Sewruka-aktora scharakteryzował Ryszard Tomczyk.

Gdy pojawiał się na scenie, publiczność skupiała na nim całą uwagę. „Często intryguje bardziej tym, czego na scenie nie robi, niż tym, co robi. A nie robi setek zbędnych rzeczy (...). Rysuje postaci delikatną kreską, nie wykańcza ich nieraz. Jest na pozór chłodny, a potrafi podnosić temperaturę przedstawienia. Dzięki tej dyskretności środków spektakle, w których Aleksander Sewruk uczestniczył, zyskiwały ton współczesny” – pisał Tomczyk, który oglądał Sewruka na scenie.

Aktorzy, którzy z nim grali, zapamiętali, że miewał problemy z opanowaniem roli. Gubił się, plątał mu się język, miewał zabawne wpadki. Wszyscy w „Jaraczu” wiedzieli, że dyrektor na scenie słucha namiętnie podszeptów suflera. „Ale to też jest sztuką z suflera korzystać” – mówiła w Radiu Olsztyn Wolicka i tłumaczyła, że aktor musi tak słuchać podpowiedzi, by nie zauważyła tego publiczność.

Raz zdarzyło się, że reżyserka Maria Kaniewska z powodu nieopanowania roli przez Sewruka zerwała próbę. Tak plątał się w dialogach do *Tragedii optymistycznej*, że reżyserka krzyknęła rozzłoszczona: „Pan nie umie roli, panie dyrektorze!”. Czyniła mu uwagi, których Sewruk w milczeniu i z pokorą słuchał. Potem przeprosił i obiecał, że na następną próbę opanuje rolę.

Niektóre z wpadek Sewruka, powtarzane latami, obrosły rodzinnymi legendami. Ojciec reporterki Katarzyny Surmiak-Domańskiej, Bronisław Surmiak, etatowy aktor „Jaracza”, grał



tytułową rolę w spektaklu *Kopernik* wg Romana Brandstaettera. Sewruk grał tam Kaspara von Schwalbacha i w jednej ze scen miał obwieścić Surmiakowi-Kopernikowi, że astrologowie wyczytali z gwiazd, że dokonują się niebezpieczne ruchy wojsk, że pewnie idzie wojna. Sewruk wszedł na scenę i wypalił w stronę Kopernika: „Astrologowie wyczytali w gazetach...”. Kopernik ledwo opanował śmiech, Sewruk się zorientował, co powiedział, więc szybko dodał: „oraz w gwiazdach”. Anegdotkę w rodzinie Surmiaków opowiadało się długo, ale nie kpiąco. Aleksander Sewruk, już jako dyrektor Teatru Ziemi Mazowieckiej, zapisał się w pamięci reporterki jako elegancki, wytworny pan, o którym nawet napisała w szkole wypracowanie, gdy miała opisać jakąś znaną postać.

To, że Sewruk miał kłopoty z opanowaniem roli i zaliczał zabawne wpadki, sprawiało, że był bardzo wyrozumiały dla aktorów. Urszula Lorenz-Błażewicz w czerwcu 1969 roku, w drugim z rzędu spektaklu *Krakowiaków i Górali*, reżyserowanych przez Bohdana Głuszcza, zapomniała słów piosenki, którą śpiewała grana przez nią Basia. Wiedziała, że dopadł ją pech drugiego przedstawienia. „Zapomniałam tak na amen, więc wyszłam na scenę i tańczyłam. Nie zaśpiewałam ani linijki” – wspomina dziś. Bała się, że dyrektor ją za to obsztoruje. „On tymczasem udał, że sytuacji nie było. Byłam mu za to bardzo wdzięczna”.

Grając i dyktując, Sewruk nie reżyserował. Zdarzało się, że jako dyrektor skracał zbyt długi spektakl (np. z trwającego pięć godzin *Hamleta* wyrzucił dwie godziny) czy wpływał na obsadę, wywołując przy tym animozje między aktorkami (dyskretne), ale nie reżyserował. Zdaniem Józefa Słotwińskiego „nie lubił tego. I słusznie”.

Znając możliwości swojego teatru, Sewruk stawiał na „swoich” sprawdzonych reżyserów: Jana Maciejowskiego, Stefanię Domańską, Tadeusza Żuchniewskiego, Jowitę Pieńkiewicz i kolegę z czasów oflagu – Józefa Słotwińskiego. Czasami zapraszał do reżyserowania w „Jaraczu” kolegów z filmowego planu: Marię Kaniewską, Bohdana Porębę, Juliana Dziedzinę i Andrzeja Konica. Za czasów

dyrekcji Sewruka sceny w Olsztynie i Elblągu grały tak dużo, że złośliwi nazywali teatr „fabryką przedstawień”, a w książce o „Jaraczu” Tadeusz Prusiński nazwał ten okres „teatralną fabryką”. W ciągu dwunastu lat dyrekcji Sewruka teatr dał sto siedemdziesiąt trzy premiery. Graną w 1958 roku *Balladynę* w reżyserii Aleksandra Długosza wystawiono na scenie czterdzieści dziewięć razy i obejrzały ją prawie trzydzieści dwa tysiące widzów. Przekładając to na statystyki, wychodziło, że co drugi dorosły obywatel Olsztyna widział ten spektakl. Takich wyników nie miał wówczas żaden polski teatr.

### **Brak Ionesco, brak Becketta, tylko teatr widowiskowy na awitaminozę psychiczną.**

W teatralnej fabryce Sewruka zgrzytało jedno z kół napędowych – repertuar. Sewruk-dyrektor uważał, że teatr musi odpowiadać gustom ludzi, dla których gra – w Olsztynie, Elblągu i w terenie. A ponieważ w regionie mieszkała zbieranina etniczna: przybylsze z Polski centralnej, Wileńszczyzny, Ukraińcy przesiedleni w ramach akcji „Wisła”, głównie tzw. chłoporobotnicy, Sewruk uznał, że ludziom należy się od teatru śmiech, dobra zabawa, piękne, malownicze widowiska. Teatr, jak mówił w jednym z wywiadów, miał zapewnić wypoczynek i robotnikom elbląskiego Zamechu, i dać rozrywkę urzędnikom, nauczycielom i rolnikom. Dlatego wystawiał klasykę polską i współczesną, realistyczną dramaturgię amerykańską, klasykę rosyjską, zawsze w repertuarze była bajka dla dzieci (reżyserowała je zwykle Eugenia Śnieżko-Szafnagłowa), była komedia i wodewil. Sztuki te były robione porządnie i doceniała je nie tylko publiczność, ale i jury słynnych w kraju festiwali teatralnych w Toruniu.

W ramach tzw. kształtowania postaw obywatelskich na deskach „Jaracza” pojawiły się też spektakle związane z regionem. Wspomnienia rolników i autochtonów osiadłych w województwie olsztyńskim (*Tu jest mój dom* Feliksa Walichnowskiego). Spektakle opowiadające jak w PRL żyje się Warmiakom i Mazurom

(*Moja droga do Polski*, opisana po latach przez Szejnert). *Pożegnanie z młodością* poruszało „problem funkcjonowania politycznej propagandy zachodnioniemieckiej wśród Warmiaków i Mazurów”.

Wielu krytyków i obserwatorów życia teatralnego w Olsztynie uważało, że Sewruk dobierał taki repertuar „pod publiczność” i spełniał oczekiwania partii, która chciała sojuszu świata kultury ze światem pracy. Trzeba jednak pamiętać o oflagowych doświadczeniach Sewruka. O tym, że teatr leczyć miał „awitaminozę psychiczną” i dawał jejcom nadzieję.

Przywołanie doświadczeń z oflagu jest o tyle istotne, że wszyscy opisujący repertuar Sewruka-dyrektora zgodnie wskazują, że „grupa sztuk szczególnie preferowanych to były utwory o wojnie, o jej skutkach fizycznych i moralnych, w niektórych przypadkach bezpośrednio odsłaniające mechanizm wojny, w innych zahaczające jedynie o tę problematykę (...). Problematyka wojenna powracała w każdym sezonie dwunastoletniej kadencji” – pisał po śmierci Sewruka w „Gazecie Olsztyńskiej” Janusz Segiet.

Teatr widowiskowy, często łatwy i przyjemny, trwał w Olsztynie nawet wtedy, gdy w innych teatrach grano już Ionesco, Becketta, Pintera czy Geneta. Na sceny wchodziły też dramaty Sławomira Mrożka, Tadeusza Różewicza, Stanisława Grochowiaka, Zbigniewa Herberta. Ale według Sewruka sztuki te nie nadawały się dla olsztyńskiej publiczności, bo były zbyt ciężkie i niezaangażowane. Ponieważ domagała się ich krytyka i aktorzy, Sewruk w październiku 1962 roku otworzył scenę „Eksperyment”. Tym samym teatr w Olsztynie miał już cztery sceny, na których przedstawienia szły prawie każdego dnia. Kierowanie „Eksperymentem” Sewruk powierzył Henryce Rodkiewicz. Sam zagrał tam w spektaklu *Pod drzwiami* Borcherta w jej reżyserii. Potem pokazano tam Mrożka (jednoaktówki *Karol* i *Na pełnym morzu*), Różewicza czy Korczaka. Na głównej scenie miejsca na eksperyment Sewruk nie widział. Bez problemu jednak pozwolił na spektakle pantomimy kierowanej przez Bohdana Głuszcza.

Zdarzało się coraz częściej, że z powodu eklektyczności repertuaru i podejścia do nowych teatralnych trendów Sewruk wchodził w spory z reżyserami. Ryszard Tomkiewicz przytacza wypowiedź reżyserki Krystyny Tyszkowskiej, która stwierdziła, że brak Becketta czy Pintera „to niesłychane zubożenie”. „Aktor, który nigdy się nie zetknął z nowoczesnymi formami, jest aktorem niepełnym, jest aktorem kaleką”.

Echa krytyki klasycznego repertuaru docierały i do partii. Repertuar na każdy sezon Sewruk-dyrektor zanosił do wydziału kultury Komitetu Wojewódzkiego PZPR, a ten mu go akceptował. Wojciech Lewandowski wspominał w Radiu Olsztyn: „Przyzwyczaił się, że plan repertuarowy, bez żadnej dyskusji, był zatwierdzany przez komisję kultury. I kiedyś wrócił trzymając się za serce.

– Co jest? Co się stało?

– Nie uwierzcie! Nie zatwierdzili mi planu repertuarowego!

Okazało się, że Henryk Panas, który był przewodniczącym komisji kultury w komitecie wojewódzkim, przeszedł na emeryturę. I tak jak zawsze analizował plan repertuarowy, chwalił, był delikatny, tak powiedział: jestem teraz emerytem, mogę mówić, co myślę. Nie podoba mi się ten plan repertuarowy!

No i tak to się stało, że Sewruk odszedł. Po pewnym czasie, dwa–trzy lata, nie natychmiast, jak syn maturę zrobił i na prawo do Warszawy poszedł. Tam, z tego, co wiem, nie wytrzymał. Tu był przyzwyczajony przez wiele lat do ciepłarnianych warunków Olsztyna, a tam tak nie było”.

Bohdan Dzitko też jest przekonany, że Sewruk odszedł z Olsztyna, by ułatwić synowi studiowanie prawa na Uniwersytecie Warszawskim. Był rok 1969, wiosna. Pożegnano go po spektaklu *Krakowiacy i Górale*. Dostał wiązankę goździków przybranych asparagusem, obraz w prezencie, a swojemu następcy, Janowi Błęszyńskiemu, przekazał na scenie symboliczne klucze do teatru. Pojechał do Warszawy objąć stanowisko dyrektora objazdowego Teatru Ziemi Mazowieckiej. Razem z nim pojechała grupa aktorów, m.in. Bronisław Surmiak.

## **Niech mi pan zdejmie z serca potworny ból. Ja chyba dzisiaj grać nie będę.**

Józef Słotwiński w jednym z tekstów napisał, że nie raz rozmawiał z Sewrukiem o Teatrze Ziemi Mazowieckiej. „Jest to chyba najtrudniejszy z teatrów warszawskich. Środki nie te, co mają sceny stołeczne (...). Potem problem kadr atakowanych stale atrakcyjnością przejścia do teatru nie objazdowego. Potem sprawa repertuaru. Ogromne zróżnicowanie widowni w terenie, a równocześnie konieczność powiększenia tego repertuaru przez wprowadzenie sztuk współczesnych, o nowej problematyce” – wspominał Słotwiński. Do tego – należy pamiętać – Sewruk stale grał w filmach i serialach. Po odejściu z Olsztyna zagrał w jedenastu filmach, m.in. dwóch odcinkach serialu *Czarne chmury* i w kultowym *Czterdziestolatku* (trener Michalak w piątym odcinku).

„Wszystko to jednak działo się kosztem zdrowia i kosztem serca. Lekarze co prawda ostrzegali, ale żywotność dyrektora zdała się przeczyć tym oskarżeniom” – wspominał dalej Słotwiński, który na kilka dni przed śmiercią odwiózł Sewruka z teatru do domu, bo ten komuś odstąpił swój służbowy wóz.

Była sobota 23 listopada 1974 roku. Zasnął w domu. Słotwiński zrelacjonował, że gdy żona docuciła Sewruka, ten „poprosił lekarza, aby zdjął mu z serca potworny ból”. Gestem przywołał ją i szepnął: „Weź z notesu numer telefonu kolegi Rogalskiego i poproś go, żeby zagrał dzisiejsze przedstawienie, bo ja chyba dzisiaj grać nie będę”. To były jego ostatnie słowa.

W tym samym czasie w olsztyńskim „Jaraczu” próbowano *Indyka* Mrożka. „Było smutno, smętnie, jesieninnie. Teatr przed kolejną zmianą warty przypominał ogołocone drzewo. Emerytury, wyjazdy, choroby zdziesiątkowały zespół. W kasie pustki. Żadnych perspektyw. (...) Próba szła niemrawo. Przedstawienie wymagało technicznych poprawek. Interpretacje aktorskie również. Reżyser spoglądał na nas spode łba, jak na szakali czyhających tylko na to, by rozszarpać jego dzieło. Z tyłu ktoś podszedł i szepnął nam do ucha: »Przed godziną zmarł w Warszawie

Sewruk». Byliśmy wstrząśnięci” – napisał Janusz Segiet. Próby nie przerwano.

## **BIBLIOGRAFIA**

### **Materiały radiowe**

Audycja Radia Olsztyn *Olsztyński tygodnik teatralny* autorstwa Agnieszki Lipczyńskiej z 5.05.2013 r.

*Jubileusz 15-lecia Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie* autorstwa Anny Kochanowskiej, realizator Witold Nowosz, sygn. AG 14.

Redakcja Literacka. Archiwum Teatralne, sygn. APL 906.

Wspomnienia o Aleksandrze Sewruku (Janusza Segieta i Bohdana Dzitko), 01-1984, sygn. APL 1493.

### **Materiały Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych**

Józef Bohatkiewicz, *Życie kulturalne i nauka w oflagu II c Wolenberg* (brak miejsca i roku wydania).

Renata Borucka, *Teatr w obozach jeńców polskich na terenie Niemiec w latach 1939–1945*, praca magisterska napisana w Zakładzie Historii Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Słupsku pod kierunkiem doc. dr. Tadeusza Gasztolda (maszynopis), Słupsk 1984.

Tadeusz Gasztold, *Życie kulturalne w obozach polskich jeńców wojennych na Pomorzu Zachodnim w latach 1939–1945*, Koszalin 1977.

Stanisław Piekarski, *Polskie teatry jeńieckie w Niemczech 1939–1945*, tom I.

Horst Więcek, *Działalność kulturalno-oświatowa jeńców wojennych w hitlerowskich obozach jako jedna z form oporu wobec wroga* (maszynopis), sygn. 21W/77.

## **Książki**

Tadeusz Prusiński, *Jest teatr w Olsztynie*, Olsztyn 2005.

Zbigniew Romaniuk, *Gimnazjum i Liceum im. Tadeusza Kościuszki w Bielsku Podlaskim w latach 1918–1944*”, Bielsk Podlaski 2013.

Ryszard Tomczyk, *Teatr na Mazurach i Warmii w latach 1945–1975*, maszynopis w zasobach Instytutu Północnego w Olsztynie.

*Wspomnieniem pisane. Pamiętnik Gimnazjum i Liceum im. Tadeusza Kościuszki w Bielsku Podlaskim*, Bielsk Podlaski 2003.

Zdjęcia Aleksandra Sewruka z archiwum Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie.

# Oswojenie<sup>58</sup>

**Z**erkam w stronę horyzontu. Wyciągam szyję, by ugościć na twarzy znajome światło. Ciepłe promienie muskają policzki, a podbródek zazdrośnie prosi o więcej. Mrużę oczy, które pod powiekami liczą czarne kształty. Chciałabym obudzić się na świeżo skoszonej trawie, jak wtedy, gdy leżeliśmy przy pomoście, z którego

---

58 Opowiadanie zdobyło pierwszą nagrodę w Ogólnopolskim Konkursie Literackim SZPRAJSA na tekst nawiązujący do Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie.



wypatrywaliśmy pływających łajb. Pragnę znów marszczyć nos ze złości, zasłaniając dłonią oczy, aby dojrzeć na niebie chmury w innych kształtach niż te spod powiek. W formach, które przyniosłyby coś nowego, ale jednocześnie nie zatraciły starego. Nie wybaczyla-bym sobie zapomnienia, nawet jeśli przyszyłoby samoistnie i zatarło moją pamięć gąbką starości. Wracam nad jezioro Ukiel, do ulic, przystanków i osiedli, które naznaczyliśmy swoją obecnością.

W zakurczonym mieszkaniu zatrzymuję wzrok na węglowym szkicu. Wciąż nosi rozmazane ślady, które powstały przypadkiem przez ocierający się o arkusz papieru rękaw białej koszuli. Pamiętam, jak bezwładnie opadał, nie poddając się zakasaniu i nieustannemu podwijaniu mankietu czystą dłonią. Ręka o ogorzałej skórze kreśliła czule kreski tworzące kształt przypominający bryłę gmachu. Pracowała nad rysunkiem, nie tracąc wiary w możliwość odtworzenia wyglądu budynku sprzed lat. Mężczyzna prowadził rękę sprawnie, lecz cierpliwie, nie pomijając żadnego szczegółu istotnego dla oddania tego, jak wyglądało to miejsce. Surowy w swym wyglądzie Teatr im. Stefana Jaracza o piramidalnym dachu, zwany również „darem wdzięczności”, został ofiarowany mieszkańcom Allenstein w 1925 roku. Wiele lat później obserwował nasze codzienne trajektorie, kiedy przemierzałyśmy przestrzenie miejskie Olsztyna. Stał się wtedy naszym prywatnym darem. Z teatru do domu, z domu do teatru, przez teatr do garderób. Stawiałam mały krok za dużym, depcząc po maminych piętach.

Ten poboczny aktor, lecz najistotniejszy z perspektywy naszej niewielkiej rodziny, zainterweniował w pewien listopadowy dzień. Antoni w granatowym mundurze kolejarskim jak co dzień kierował swoje kroki do Baru Rondo przy placu generała Józefa Bema. Nieopatrznie przeciął drogę jasnowłosej dziewczynie, która idąc ulicą Partyzantów, zmierzała szybkim krokiem w kierunku alei Gelsenkirchen. Chwilę wcześniej skończyła dyskutować na temat krojów i pospiesznie opuściła gmach teatralny, schodząc schodami rewiowymi. Pod pachą niosła pokaźnych rozmiarów teczkę wypełnioną szkicami i dwie wysłużone książki obleczone w szary

papier. O wiele niższa od mężczyzny, pod niespodziewanym naporem straciła równowagę i runęła wprost w kałużę wyrosłą jak grzyb po deszczu. Antek bez chwili zastanowienia uznał, że musi łapać teczkę, bo papier w wodzie się rozpuści, a dziewczyna nie. Znał wartość odręcznych szkiców. Wiele lat później była mu niezmiernie wdzięczna za ten wybór, choć zniszczyła wówczas swój ulubiony trencz Mody Polskiej. W błotnistej toni utonęła też jego nowa maciejówka od przedsiębiorstwa, ale nie śmiał jej tego nigdy wypomnieć.

Kalina od ponad roku pracowała w Teatrze im. Stefana Jaracza jako krawcowa. Ukończyła Zasadniczą Szkołę Zawodową w Żurominie i przystąpiła do egzaminu na mistrza krawiectwa. Miała jedną szansę na poprawne wykonanie zadania egzaminacyjnego, czyli skonstruowanie i uszycie wylosowanego rodzaju odzienia. Padło na mundur, co wiele lat później przyprowadziło ją o tajemniczy uśmiech. Pracowała ostrożnie, zwracając uwagę na defekty figur, perfekcyjne zbieranie miar, poprawną konstrukcję odzienia i ręczne wykończenie drobnych elementów. Już w szkole podstawowej wiedziała, że w przyszłości chciałaby projektować oraz szycić odzież. Podziwiała elegancko ubranych mężczyzn w dwurzędowych płaszczach i tweedowych garniturach z kwiatami w butonierkach. Zachwycała się garderobami szytymi na miarę z najwyższej jakości diagonalu, kingi i gabardyny z Bielskich Zakładów Przemysłu Wełnianego, kojarzących się jej z rytmicznym stukotem maszyn dziewiarskich. Będąc na wyuczanie, zawsze podążała wzrokiem za modnie ubranymi kobietami, szczególnie tymi, które przyciągały wzrok ekstrawaganckimi dodatkami – okularami w grubych oprawkach, futrzanymi kołnierzami czy jedwabnymi apaszkami zawiązanymi na głowach. Wybór nowo utworzonej w mieście zawodówki był dla niej czymś oczywistym. Zawód wyuczony: krawiectwo damskie lekkie. Taki oto zapis widniał na otrzymanym dyplomie, który opieczetowany i podpisany przez dyrektorstwo odebrała po kilku latach ciężkiej pracy, a ja nieopatrznie wygrzebałam spod sterty zapomnianych rachunków.

Papier stał się dla niej przepustką do nowego rozdziału w życiu. W Żurominie mieszkała od dziesiątego roku życia z ciotką Hanną, która była jej ostatnią bliską krewną. W pożarze gospodarstwa na Kresach spłonęli jej rodzice – Feliks i Helena. Jak drzazga trwał w niej charakterystyczny zaśpiew, którego próbowała się pozbyć. Gdy była zdenerwowana, marszczyła się i upierała, że kręci ją w nosie od woni spalenizny. Z biegiem lat sama zaczęłam czuć swąd, choć wcześniej nie pojmowałam, co kryje się za Kalinowymi słowami. Zapach unosił się wokół, jakby miał za zadanie alarmować otoczenie o wykluczającej nas inności. Odczytuję w pamiętniku, porzuconym na dnie szuflady, słowa kreślone zamaszystym piśmem pełnym ozdobników. W wieku nastoletnim Kalina została postawiona przez cioteczkę Hankę przed ultimum. Jeśli skończy szkołę, do tego czasu nie wyjdzie za mąż i nie daj Bóg nie urodzi dziecka, może przejąć cały spadek po rodzicach, który ciotka skrzętnie gromadziła w szkatułce. Dyplom zdobyła, więc postanowiła spakować manatki i wyjechać. Padło na Olsztyn. Niezbyt blisko, niezbyt daleko. Gdyby sobie nie poradziła, mogła pokajać się i wrócić do Żuromina, choć nie pragnęła tego całym sercem. Wiedziała, z czym chce związać swoją przyszłość i pewnie brnęła do przodu.

Znalazła lokum przy ulicy Kaliningradzkiej, na nowym olsztyńskim osiedlu. Dziś nosi miano Pojezierze i kojarzy się z zielenią rozległego Parku Kusocińskiego, przemianowanego kilkadziesiąt lat temu z nazwy Czynu Partyjnego. O pracę zaczęła się starać niemal od razu po porzuceniu w mieszkaniu torby i siatki z przyborami krawieckimi. Posadę w Teatrze Jaracza niespełna tydzień później otrzymała, lecz zupełnym przypadkiem. Wśród jej koleżanek poniosła się pogłoska, że jedna z teatralnych krawcowych złamała rękę i potrzebna jest nowa na wakat, bo w przygotowaniu są ważne sztuki Wyspiańskiego i Moliera, a szyć nie ma kto. Poszła od razu, tyle co zdążyła teczkę chwycić pod pachę i zawiązać pod szyją apaszkę. Choć wprawiona w krawiectwie damskim, w męskich krokach radziła sobie równie świetnie, co udowodniła

choćby na egzaminie mistrzowskim. Również wcześniej nie narzekała na brak możliwości zdobycia doświadczenia. Mieszkając z ciotką, brała krawieckie fuchy od wszystkich sąsiadów, byle odłożyć dodatkowy grosz. Cerowała, kroїła, szyła, szydełkowała i robiła na drutach. Uczyła się na własnych błędach, prując, dokładając oczek, zmieniając szwy i fastrygi.

Dyrektor postanowił przez rok obserwować pracę Kaliny i uczyć ją rozumienia języka teatru. Rzemiosło miała opanowane i interesowała się modą, lecz nie chodziła na spektakle, wybierając inne rozrywki, w tym wieczorki jazzowe oraz dancingi. Czytała wiele, co wiem ze skrzętnie sporządzonych list czytelniczych z konkretnych lat. Notowała tytuły i autorów lektur, gromadząc pojedyncze potwierdzenia swoich czytelniczych trudów. Nie lubiła zbierać egzemplarzy książek na zakurzonych regałach. Woląa wypożyczać książki z bibliotek, ograniczając liczbę posiadanych przedmiotów. Żuromin był dla niej synonimem tymczasowego przystanku, z którego zaraz wyruszy dalej. W wiecznej gotowości czekała na odpowiedni moment, aby rozpocząć przygotowania do przeprowadzki. Bała się nadmiaru, ciężących balastów i zapuszczania korzeni. Pod skórą czuła pulsującą pewność, że nie przynależy do ziem Pradoliny Raciąskiej, a swój prawdziwy dom musi dopiero stworzyć.

Wielokrotnie opowiadała pojedyncze anegdoty o wielkiej zmianie i nowym życiu. Stopniowo urządzała się na niewielkim metrażu. Inwestowała rozważnie, choć nie zawsze, lecz zgodnie z własnymi upodobaniami, to akurat zawsze. Kilukrotnie ochotczo przytaknęła swojemu szaleństwu, drżąc nieznacznie pod wpływem emocji. Zdecydowała się na zakup maszyny do szycia marki Singer w walizce podręcznej oraz meblościanki Rajmunda Hałasa, która podzieliła przestrzeń na sypialną i dzienną. Ustawiła na niej paprotkę i pelargonie, kilka ulubionych tomików poezji, otrzymanych w prezencie od dawnej przyjaciółki, a nawet dwa pikasiaki od ciotki. Chciała oddzielić miejsce odpoczynku od miejsca pracy, budując w sobie świeże nawyki. Kuchni nie poświęcała zbytnej

uwagi, bo gotować nie lubiła, a jadła niewiele. Twierdziła, że przy garach marnuje swój cenny czas, który mogłaby poświęcić na przyszycie nogawki lub rękawa. Spać musiała na rozkładanej kanapie produkcji czechosłowackiej, którą za pół ceny udało jej się odkupić od koleżanki poznanej w pracy.

Kupiła w tym czasie również toporny niciak, niezbędny do robót ręcznych i okazałych rozmiarów dywan w psychodeliczne wzory, który wyprodukowany został w Kowarach. Te przedmioty znalazły swoje miejsce w części dziennej. Wspólnie z sąsiadem Kazikiem wniosła po schodach dywan zwinięty w rulon, a na każdym napotkanym zakręcie zanosila się gromkim śmiechem. Kazimierz z sumiastym wąsem był jej pierwszą przelotną miłością, która zrodziła się z echa jej radości. Śmiech był jej znakiem rozpoznawczym. Pieprzykiem nad górną wargą, piegami znaczącymi nos, pasmem siwych włosów, tkwiących w czuprynie od dnia narodzin. Kazimierz zniknął jednak tak szybko, jak się pojawił. Pozostawił po sobie jedynie okazałej wielkości dębowy stół, wykonany w niszowej pracowni stolarskiej, i wspomnienia spacerów wieczorową porą wzdłuż ulicy 22 Lipca, która lśniła od neonowych świateł. Wspomnienia przerodziły się w opowieści o krajobrazie miasta i o tym, czego już w nim brak. Neony ciążyły na kamienicach w centrum Olsztyna. Były ogromne i przyciągały wzrok, zapraszając do licznych lokali usługowych. Dziś pozostało nam ich widmo.

Wtedy nie było już dawno śladu po Allenstein Hauptbahnhof, ale i po Antosiu, którego przywiał z Galicji z umiłowaniem do kajerek z suchą krakowską i grysiku na krowim mleku, gotowanym z nabożną czcią w rondelku na piecu kaflowym. Koleje państwowe działały prężnie, zatrudniały i uczyły, elektryfikowała się znaczna część kraju, budowano nowe dworce i ufano, że niebawem koleją dojedzie się wszędzie. I Antek zaufał, że może uciec z galicyjskiej wsi, definiowanej przez wartość pól pod regłami, przekazywanych z dziada pradziada, które wżarły się w rodziną dumę. Uciekł w upalne lato, suską koleją, prosto w nieznane, żeby pobrać nauki i poprzez tę samą kolej czerpać zysk na życie.

Ojcowizna ciążyła nad nim jak urok rzucony w trakcie guseł, bo nigdy do orki się nie rwał i zadbać o gospodarkę nie umiał. Chciał czegoś, czego ojciec i matka nigdy nie zaznali. Wolności. Ale czy rozumiał ją odpowiednio? Wtedy raczej nie, bo sięgnął po nią całkiem szybko i zachłysnął się nią przez butną natarczywość.

Zaszył się w małej kawalerce i wpadł w rutynę. Każdy dzień zaczynał o piątej rano goleniem brzytwą, czarną fusiastą kawą bez cukru i zdobycznym śniadaniem, przerywanym jedynie lekturą „Głosu Olsztyńskiego”. Bieg historii trwał, a Antek dał się porwać w jego wir. W 1970 roku „Głos” przemianowano w „Gazetę Olsztyńską”, zaś w 1981 roku w Olsztyńskich Zakładach Graficznych odbył się kilkunastodniowy strajk okupacyjny Solidarności, w trakcie którego pracownicy zaprzestali druku „Gazety Olsztyńskiej”. Chcieli utrzyć nosa PZPR, jak mawiał. Jednym ze strajkujących był dobry kolega Antoniego, który wcześniej bawił chwilę na kolei. Poprosił go wtedy o przysługę i właśnie akurat w trakcie planowanego strajku uznał, że chce odebrać dług. Okazało się, że z nawiązką. Wciągnął kolejjarza w strajk drukarzy przypadkiem, choć o przepustce od Komitetu pomyślał wcześniej, tak jak i zadaniu do wykonania. Był to jednak czas w historii, kiedy zmiany dotknęły nie tylko życia jednego Antka, ale i olsztynian jako zbiorowości.

Prasę wciąż kupował, choć przesiąknięty goryczą zmienił nieco gust. Udawał się zwykle do kiosku RUCH-u na rogu ulicy, wokół którego roznosiła się woń farby drukarskiej i mydła. Kupując gazety, nigdy nie zapomniwał o zapasie tytoniu – papierosach Popularnych lub Klubowych. Zaczął też nastrajać swoje poranki dźwiękami płynącymi z radioodbiornika tranzystorowego Giewont. Nie ograniczał się do lokalnych stacji. Majstrował przy pokrętle, żeby zbliżyć się do fal nadawania Radia Wolna Europa. Jednym z redaktorów tegoż radia był zresztą olsztynianin, więc od lokalnego patriotyzmu daleko Antoni nie uciekł, niemniej Nowakowski raportował głównie o poczynaniach papieża, a mężczyźnie coraz dalej było do kościoła, odkąd opuścił rodzinny dom. Słuchał i punktował w głośnie najważniejsze informacje, próbując poukładać sobie świat.

Z utartych przyzwyczajęń wyrwała Antoniego rezolutna dziewczyna wyciągnięta z kałuży, wnosząc do życia szeregowego masyzyny więcej barw i swoim zwyczajem promiennego uśmiechu. Ich ulubionym miejscem był Park Zamkowy, gdzie pod rzeźbą „Wiosna” autorstwa Balbiny Świtycz-Widackiej spijali ze swoich ust obietnice o wspólnym życiu. Łaknęli kryjówek przed czujnymi spojrzeniami przechodniów. Chadzali po dachach, szukali ustronnych zagajników, czmychali przez sąsiedzkie ogródki działkowe, do których prowadziło kilka wejść. Nie była im potrzebna mapa, choć oboje byli obcy warmińsko-mazurskiej ziemi. Z zamkniętymi oczami mogli rozrysować co, gdzie, którędy. Za starym drzewem, na skróty, obok chruśniaka, później za studnię i słoneczniki starowinki, które niedługo dadzą im nasiona do łuskania. Wspólne lata były beztrudne. Wypełnione po brzegi ściekającym po ustach i dłoniach sokiem z czereśni i śliw. Dziurawymi zębami wgryzali się w kradzione mirabelki, żółte śliwy, okrągłe jak księżyc w pełni, zlizując z palców oblepiającą je słodycz. Nozdrza uginały się od zapachów wżerających się w podeksycytowane twarze. Powstałam z uniesień i ukrytych pragnień. To pewne.

Mama pod teatralnym dachem wychowana przez Aleksandra Sewruka, dyrektora i aktora, czuła się w środowisku artystycznym jak u siebie. Sewruk, zgadzając się na jej pracę, być może wyczuł w niej bratnią, emigrancką duszę, którą zdradzał akcent, a może, nie mając lepszego wyboru w ostatnim roku swojej pracy w Olsztynie, wszystko mu było jedno. Starał się nauczyć ją jak najwięcej o teatralnym światku i artystycznym spojrzeniu. Później przyszedł Jan Bleszyński, który zwał Teatr kombinatem wielkim, bo sceny znajdowały się i w Olsztynie, i w Elblągu, dodatkowo była też scena objazdowa i eksperymentalna, zwana „Margines”. Premier w sezonie było kilkanaście, a pracujących wówczas aktorów było niemal czterdziestu pięciu. Praca paliła się w rękach, niezależnie od tego, kto w danym czasie sprawował władzę dyrektorską. Do 1989 roku zmian było jeszcze kilka. Byli: Janusz Kozłowski, Krzysztof Rościszewski, Andrzej Rozhin i Krzysztof Ziemiński,

ale łut szczęścia potrzebny już był mniej, bo pierwsze lata pracy wprawiły ją w rytm godny jedynie pochwał.

Ani moje przyjście na świat, ani trochę później stan wojenny nie pokrzyżowały planów pewnej siebie Kaliny, choć oba zdarzenia zaskoczyły ją jednakowo. Wypracowała swoje znaczenie pracą własnych rąk, i to nie byle jaką, lecz najdokładniejszą spośród wszystkich teatralnych krawcowych. Tych było coraz więcej, bo Teatr Jaracza był niebagatelnym monopolistą, stale zwiększającym swój potencjał. Kostiumy teatralne w dnie i noc, cierpliwie fragment po fragmencie, wychodziły spod jej czujnego spojrzenia i mechanicznych ruchów wyuczonych przez lata. Proste i szykowne, zdobne, tonące w koralikach, cekinadzie i tiulach. Ukradkiem podbierała połamane węgliki leżące przy dębowym biurku w nieładzie, licząc na to, że tato nie zwróci uwagi. Siadała przy parapecie okiennym i w naturalnym świetle nanosiła szkice wyobraźni na manekiny, sylwetki różnego typu, stojące w kolejce po odzienie niezbędne na deski teatralne. Wołała pracę w domu, w którym czuła się bezpieczna i spokojna. Do teatru chadzała na spotkania zespołu, gdy planowano, przymierzano, żądano, wymagano i trwano przy wizjach. Notowała, przytakiwała i zabierała się do pracy. To było jej wyobrażenie wysokiego krawiectwa, które na świecie było wówczas wypierane przez kolekcje mody seryjnej.

Aktorzy szepotali między sobą o złotych rączkach pani Kalinki i gołęmbim sercu. Rozpostartych skrzydłach utkanych własnoręcznie i miarach zbieranych perfekcyjnie, co do milimetra. Nigdy nie było otarć i wszystko zawsze na czas. Ukryta za kulisami wypatrywała swoich dzieł na scenie, spijając oczyma każdy ruch falbany i ułożenie plisów. Niejednokrotnie łza zakręciła się w kąciu oka. Nie odnosiła wrażenia, że jest pomijana, choć trwała w cieniu. Zawsze czuła, że jej praca jest częścią efektu, który nagradzany jest brawami na koniec spektaklu. Jej winy nigdy w niczym nie było, jedynie racja, zawsze i wszędzie. Tak jak i wtedy, gdy on chwalił jej pracę, a ona mówiła tylko, że dumą ją rozpiera nowy gmach dworca, którego próg co dzień Antoni przekracza jako



jeden z czołowych maszynistów. Nie lubiła bezpośrednich pochwał, woląc samodzielnie dostrzegać isierki zadowolenia z tego, co udało jej się wyczarować z metraży tkanin i kolorowych nici.

Podobnie miłość okazywała szczerze, lecz nie wylewnie, preferując małe gesty i subtelną wdzięczność. W uczuciach była stała, kochając ogromnie lub wcale. Pragnęła urodzić dziecko i ofiarować mu wszystko to, czego sama nie mogła doświadczyć w dzieciństwie. Jej cicha prośba została wysłuchana, choć niespodziewanie. Rodziłam się w pochmurny i gęsty od upału sierpniowy wieczór. Zanosilo się na burzę, którą zwiastowały poddmuchy zrywającego się wiatru. Okiennica ruszała się, skrzypiąc w takt oddechów. Dalia, Malwina, Hiacynta, Liliana, Jaśmina, a może by tak... , wyliczała, łudząc los. Trafiła do celu, ale z zawahaniem, które kwiat kosztowało kolce. Na imię mi Róża. Gdyby mogła mieć drugą córkę, też nadałaby jej imię z kwiecistym rodowodem. Mówiła to często, gdy spacerowałyśmy po ogrodzie wiosennym w Żurominie. Byłaby zawsze w pełnym rozkwicie, w obfitości, z zaróżowioną skórą na policzkach. Przywodziłaby na myśl żywotność, poranną rosę, skrapiającą zaspane i dzikie. Ożywcza siłę, nieposkromioną, lecz o promiennej naturze, innej od twojej, dodawała. Nie wyrzekłam się smutku, który zamieszkał we mnie z dniem narodzin. Znalazł dom pośród kłębowiska uczuć i marzeń.

Czuję, jak przez mgliste prześcieradło mamine ręce głaszczą mnie po głowie z troską. Stoimy przed lustrem i przymierzamy prototypy kostiumów scenicznych. Wędrujemy przez łąkę nad jezioro, gdzie niebawem nauczę się pływać, tak jak postawiłam pierwsze kroki, w zupełnej nagości. Ucieramy wspólnie kogel-mogel po lekcjach, dosypując cukier kryształ do lśniącego żółtka. Czytamy poźółkle strony książek przed snem – *Księgę tysiąca i jednej nocy*, *Baśnie braci Grimm*, legendy, mity. Tworzymy światy fantastyczne i nasze. Spoglądam w oczy matki spowite firanką rzęs. Rzucają cienie jak ażury podświetlone promieniami zaglądnącego do wnętrza światła. Przeciera skronie ze zmęczenia, uśmiechając się czule. Powietrze pachnie rumiankiem i przypalonym

mlekiem, którego resztki stygną na dnie rondelka oblepionego białym kozuchem. Jest ze mną, tu i teraz.

Przypominam sobie, jak stałam z nią w moim małym pokoiku. Tuż obok czechosłowackiej wersalki przeniesionej z części sypialnianej, w bładobłękitnej piżamie frotte, tuż przed snem. Wszystko było tuż, tuż. Nawet śmierć. Wkradła się niepostrzeżenie, dotykając gałki do drzwi. Kręciła, kręciła. Pokój zmalał do wielkości łupinki orzecha. Zastygło. Znieruchomiało. Każdy kiedyś umrze, powiedziała, ubierając pościel. Na wszystkich przyjdzie pora, dodała, strzepując poszewkę. Na mnie przyszła pora wtedy właśnie. Obraz zastygł w pamięci. Od tamtej pory śmierć tkwi we mnie jak odłamek. Myśl o niej przychodzi znienacka i otula, zaciskając palce.

Jak miniesz trzydziestkę, to zrozumiesz i się oswoisz, mówili. Wiele rzeczy powiedzieli, lejąc słowa w tłoki ust. Czasem się zapominali, przekleństwa stawiając zamiast przecinków. Z ich ust stworzyłam własne, pełne błędów, które dziś wybielam, ścieram, kreślę. Tak się nie mówi, co to w ogóle znaczy, kpią tamci. A dla tych to normalne. Oswojenie, dotarcie krawędzi, aby pasowały do wklęsłego kształtu, który mi przeznaczono. Tutaj, w miejscu, które ty uczyniłaś mi domem.

Teatr wyznaczał nasz rytm dobowy i roczny. Dzielił rok na sezon i poza sezonem. Bywał czas obfity i chudy. W dniu premier obiad był inny niż zwykle. Pozwalała sobie na odstępstwo i udawała się do kuchni, sycząc pod nosem jak niezadowolona kotka. Zajadałiśmy się przysmakami, które nauczyła się przyrządzać w domu ciotki Hanki, a przepisy na nie spisane miała wiecznym piórem w poplamionym tłuszczem zeszytce. Kuchenny rytuał przebiegał zwykle identycznie. Z butną miną losowała jeden przepis z przepiśnika, wcześniej przewiązując oczy apaszką. Pełnym dramaturgii gestem przechodziła do kartkowania zeszytu. Wybór mógł paść na przykład na pełną warzyw i aromatycznych przypraw karmuszkę, dzyndzałki z kaszą gryczaną, kartacze, chrupiące farszynki mazurskie albo plńce z pomoćką, czyli placki ziemniaczane z górką puszystej śmietany. Gdy lata były trudne, staliśmy w kolejkach

i wydzielaliśmy sobie wszystko. Dbała o nas również cioteczka Hanka, która przywoziła w koszu świeże jaja, ukwaszoną śmietanę, kielbasę z ubojni Marciniaków i warzywa prosto z grządki.

Dni bez wymówek spędzałam w szkole i na osiedlowym podwórku, bawiąc się z dziećmi wypuszczonymi jak gołębie z innych klatek. Zegarek tykał, choć nikt nie nosił go na spalonym od słońca nadgarstku. Uczylałam się żyć w zgodzie z innymi, do czego nie zawsze było mi po drodze. Odkąd pamiętam, szukałam olśnień, nie licząc się z konsekwencjami. Dziwienie się przychodziło mi łatwo, co najpewniej wyssałam z mlekiem matki. Świat był zagadką, do której nie szukałam rozwiązania, lecz czujnie grzebałam w trzewiach za jego usterkami. Świat był mną, a ja światem. Zasypiałam z ekscytacją na powiekach. Umieszczałam się pośrodku kolekcji zebranych wrażeń jak ptak łaknący schronienia. Bywałam wirem i tornadem, zgarniającym bez ostrzeżenia i brutalnie, choć na skrzydłach dziś noszę naręcza gałązek. Buduję dla mojej pamięci gniazdo. Gniazdo o cechach ludzkich. Łase na nowe i czujne na stare.

W mieszkaniu zawsze ktoś był. Od wejścia na klatkę schodową wyczuwałam zagarniającą obecność mamy. Nie musiałam nawet wsłuchiwać się w niesione echem odgłosy miarowego stukania, wydawane przez maszynę do szycia, nożyc odkładanych na ławę i jazzu rozbrzmiewającego z gramofonowych płyt. Miałam pewność, że czeka i czuwa. W salonie mogłam natknąć się na tatę i jego żywo zaabsorbowaną twarz. W tym czasie wrócił do czytania prasy, szczególnie gustując w „Przekroju”. Przeglądał stronę po stronie, mając w zanadrzu nożyk do rozcinania kartek. Wcisnął swoje obfite ciało w wysłużony fotel klubowy projektu Józefa Chierowskiego. Obity był musztardową tapicerką, przez co dodawał ciepła białym ścianom. Dziś znaczą go rdzawe plamy i wypalone dziurki, a ściany wplatają się między pajęczę sieci. Bywało i tak, że siadał na krześle przy biurku, na którym trzymał niezliczone ilości przyrządów kreślarskich, węgielków i papieru. Zapalał miłością do rysowania po wypadku. Spędził długi czas w domu, nie

mogąc sobie znaleźć zajęcie. Po pierwszych próbach powrotu do umiejętnego chwycenia ołówka przyszła fala ukojenia i łatwości w rzucaniu kresek na papier. Oddawał cześć budynkom i krajobrazom mijanym w trakcie licznych tras przemierzanych pociągami. Wtedy zaszczeplił we mnie miłość do architektury.

Wieczory wysnute miałam z opowieści o miejscu, do którego tato postanowił nie wracać. Karmił mnie wspomnieniami, aby nasycić ciekawość i rozbudzić żądzę poznania własnych korzeni. Tylko cichosza przy matce, mówił, bo wiedział, jak stanowczo odcięła się od przeszłości i nie chciała do niej wracać. Odpalał Klubowego i, zaciągając się dymem, snuł opowieść o tym, co mu ślina na język przyniosła. Co jakiś czas zerkał w stronę meblówścianki, ogarniając wzrokiem zbiór przedmiotów. My w twoim wieku, mawiał, chodziliśmy na ostrężyny hen na grape. Tam były najlepsze, soczyste, ciemne, wymieniał, unosząc dojrzałe ciało na obłoku z marzeń. Dla nas ten miesiąc w roku miał kolor agrestu zrywanego przy płotach, szczawiu szukanego wzdłuż okolicznych dróg i młodych ziemniaków z pola. Później owocowy raj. Kobiałka za kobiałką, cierpliwie zrywane szypułki, drylowane pestki, kilogramy owoców zmieszane z cukrem na dżem. Najlepsze to były powidła ze śliwek węgierek babki, pamiętam, mówił, jak stała i smażyła je godzinami. A jakie to było dobre, wystarczyły powidła, domowy chleb i mleko z kanki. Oblizywał się mięsistym językiem, zwilżając popękane, suche usta. Spoglądał spod grzywy w kolorze słomy. Dym tytoniowy unosił się wokół i wżerał w sploty tkanin.

Mama w tym czasie rozpoznawalnymi z daleka zamaszzystymi krokami i stukotem obcasów mierzyła odległość do teatralnych schodów. Roznosiła wokół siebie woń perfum o zapachu piwonii, wybieranych tylko na specjalne okazje. Przed wyjściem nakładała na twarz prasowany puder marki Celia, migdałowe oczy o zielonych tęczówkach podkreślała grafitową kredką, a usta pociągała karminową szminką. Ubierała sukienkę lub elegancki zestaw spodni z marynarką. Wciąż lubiła dobrze się ubrać i z zapartym tchem śledziła modowe nowinki. Ukochała spodnie lansowane

przez Barbarę Hoff, bawełniane sukienki i długie bananowe spódnice. Była wielką fanką kolekcji Mody Polskiej, Cory, ale i szmizjer z początków Dany Szczecin.

Rzadko, bo rzadko, ale zdarzało się Kalinie nabyć coś szalowego w Peweksie na ulicy Juliana Marchlewskiego. Udała się nawet na jego otwarcie w 1973 roku i często wracała oglądać gabloty. Pewnego razu niespodziewanie wróciła z siatką, w której miała dla mnie nowiutkie levisy i słodkie Toblerone. Tato złapał się za głowę, a ona po prostu nie mogła wyjść z zachwyty nad zakupami, od których aż zaświeciły jej się oczy. Zdobycz stała się jeszcze bardziej cenna po wprowadzeniu stanu wojennego. W latach osiemdziesiątych mama szła już nie tylko na potrzeby teatru, ale i nasze. Po pracy przerabiała stare rzeczy, sztukowała, zszywała, tworzyła patchworki z tkanin. Z lewisów wycięła kwadraty i przeszła na dżinsową spódniczkę. Urządzałyśmy też wycieczki na bazar na ulicę Kolejową, gdzie od kilku lat funkcjonował tak zwany Pewex Kolejowy, złożony z wielu budek handlowych, w których oferowano odzież. Przyglądałyśmy się rzeczom i ludziom, kolekcjonując inspiracje.

Zawsze była cierpliwa, taką ją pamiętam, nie dającą się pospieszać i wytrącać z równowagi. Raz tylko wybuchnęła sfrustrowana, gdy tata wspomniał nieopatrznie, że ponoć teść też był kolejarzem. Ponoć, bo o przeszłym się nie rozmawia. Przeszłe trzeba przemilczeć. Nie po to uciekaliśmy, żeby teraz do tego wracać, krzyknęła. Zresztą nie ma do czego wracać, ucięła oschle. Było, co było. Musimy żyć dzisiejszym, koniec i kropka. A my byśmy woleli jak ojciec i te duchy kresowe wskoczyć do starych wagonów, które toczą się głośno po wysłużonych szynach wzdłuż olsztyńskiego krajobrazu, nie myśląc o drodze, tylko o celu. We włosy wplatać swoje palce nawzajem i dzielić skórę. Patrzyliśmy z góry na sunące w świat tabory, a nogi powiewały jak chorągiewki między barierkami. Nie stać nas było na wiele. W ruchu dało się wyczuć możliwości, własną sprawczość. Dlatego tak bardzo chcieliśmy chować się na tylnych siedzeniach i ruszać przed siebie, nie mówiąc nikomu.

Włóczyliśmy się, w podmokłym śniegu gubiąc czubki skórzanych gланów. Taki zadziór młodości.

W szukaniu kryjówek niedościgniona była jednak Kalina. Wybierałyśmy się pod płaczącą wierzbę, której gałęzie z biegiem lat coraz niżej wisiały nad ziemią. Czemu się mówi, że to drzewo płacze, pytałam jej. Liście ma jak łzy, odpowiadała. Dalej rosły brzoźki, rytualnie malowane białą farbą, żeby strzec od choroby. Czy drzewo może umrzeć, pytałam jej. Człowiek może zabić, odpowiadała. Przy płocie fioletowy bez, którego zapach niósł się, niósł razem z wiatrem. Czy mogę zjednać się z bzem, pytałam jej. Ja mogłabym być tym wiatrem, byle pachnieć bzem cała. Możesz, będzie mi bliżej wachać go i nie ulotni się migiem. Tylko nie przekwitaj za szybko. A ja kwitnę i kwitnę, nie mogę się zatrzymać. W rozpędzie jestem życia. Rozpościeram pąki wiosną i tracę listki na jesień. Garściami lecą włosy i łuszczy się sucha skóra. Kolekcjonuję pieprzyki od słońca i blizny od upadków. Wspomnień po niej mam góry, choć leży na nizinach.

Było to w czasach jej okrągłych, czarnych kolczyków, które płasko przylegały do płatków uszu i złotej grzywki opadającej na jedno roześmiane oko. Kolczyk towarzyszył niezależnie od pory dnia. Poruszając się razem z każdym jej ruchem, obserwował moje gesty, słuchał wypowiedzianych słów, czuwał. Widział, jak ofiaruję jej ciepło i czułość, której zgromadziłam w sobie przez lata niespożyte ilości. Siostry z odległych planet, choć jedna z drugiej. Siostry połączone życiem i obliczem śmierci. Niedostatki cienkiej skóry stały się dostrzegalne gołym okiem. Niegdyś niewidzialne, wyłoniły się z cienia sieci żyłek, dziurki po krostkach i kurze łapki. Plecy poboлеwały, a niewyspanie dawało o sobie znać każdego dnia.

Wtedy też spośród rozpostartych gałęzi runęło kosie gniazdo. Pisk bezbronnego przeszył powietrze. Zaczęło się od upuszczonej igły, co zrzuciła na karb roztargnienia. Następnie pojawiły się drgania i trzęsące się ręce, pewnie z winy pitej w nadmiarze kawy. Dłonie o smukłych palcach zwieńczonych delikatnym manicurem, nie rozpraszaającym uwagi od ruchów czynionych przy pracy,

odbywały prywatne tańce śmierci. Szukała wymówek aż do dnia, w którym unosząc rękę w stronę pokrytego szczecina policzka Antoniego, napotkała blokadę i nie wyczuła pod opuszkami palców nic. Straciła czucie. Wiele nam zabrano, gdy przekroczyliśmy linię nowego roku.

Antoni godził się z tym i zaniechał godzenia, ile razy po św. Rochu coraz mocniej ubywało jutrzni. Oddać chciał wszystko, żeby cofnąć czas i móc inaczej spożytkować chwile, które im wówczas pozostały. Ogarnęła go bezsilność wobec nieuniknionego. Wiedział, że bez niej wiele już mu nie pozostanie, jakby ktoś wyrwał z niego połowę duszy i ciała. Stał się chudy jak ogryzek, który został z rumianego jabłka. Przetarte na kolanach sztruksy podtrzymywał skórzany pasek, a i tak nie omieszkiał co chwilę podciągać ich za tylne szlufki. Dopięty do przedniej kieszeni dyndał nerwowo pęk kluczy i scyzoryk, który pamiętał nauki, jakie kapelusze grzybów są dobre, a jakie złe. Wciąż nucił, parząc czarną kawę, lecz głos stracił dawną melodyjność, a płyn w kubku zmienił barwę na ziemistą. Łyzeczka nerwowo odbijała się od ścianek smukłej szklanki utopionej w koszyczku, jak głosy w jego głowie. Coraz więcej czasu poświęcał na szkice i produkcję dymu papierosowego. Unosił się pośród niego, jakby razem z Kaliną utracił wszelkie prawa fizyczne i metafizyczne. Musiał na nowo oswoić siebie w sobie i w świecie.

Różyczko, próbuję, ale samemu nie mam sił, mogłabyś zostać? Tak, tatusiu. Strącam duszę z jego ramienia, żeby nie dał się ranić innym. Zostaję, choć też jestem, jakby mnie nie było. Odcinam się od własnego dorosłego życia, które zaczęłam układać po studiach. Nie mam już wieku ani statusu. O, dziś już piątek, powiedział, stojąc przy kalendarzu z okienkiem zapomnianym od paru dni. Czas też się zatrzymał. Imieniny Rozalii, dodał. Chyba nie znam żadnej, duknął. I ja. Choć chciałabym poznać i żyć z nią jak z bliźniaczką powstałą z matczynego żebra, żarliwie dziękując, że ma w sobie tyle życia i jej myśli nie ubierają się w czerni. Dogasa światło jarzeniówki. W mieszkaniu unosi się zapach róż i lilii z bukietów.

Czarne buty umorusane cmentarnym błotem stoją w korytarzu, czekając na lepszy dzień. Stopy drgają nerwowo, stukają o kowarski dywan, objają się o kanty, dyndają bezwładnie. Pomódlmy się, rzuca.

Zabrał do komisu jej skrętnie zbierane wspomnienia z teatru, niciak, igielniki, starego Singera, na którym okrzepł już kurz. W najśmielszych myślach nie podejrzewał, że ktoś mógłby chcieć kupić te stare rupiecie, ale nie potrafił dalej z nimi obcować, ponieważ stanowiły nierozzerwalną częśćkę Kaliny. Z szafy dobiegały chichoty i drwiny. Jej wnętrze pękało od nieudaczników. Mama nazwała tak kiedyś prototypy kostiumów z wadami. Często wyliczała błędy, które niesforne materiały popełniły, ruszając się niezgrabnie, kiedy ona mierzyła, kroila, znaczyła szpilkami i zszywała. Zatrzymywała je jednak, tworząc kolekcję dziwadeł. I ja postanowiłam je zachować. Frędzle dyndały wprawione w niespokojny ruch, turkusowe tiule wylewały się falami zza drzwiczek, futra nastroszyły się pod włos. Prywatna kolekcja *haute couture* bez sygnowania, bez metek, bez marek. Piękna w swej dziwności. Wycinam prostokątne metki, opisuję, przyszywam przy kołnierzach złotą nicią. Igła pracuje gładko, lecz moja niewprawiona ręka drży przy każdym ruchu. Tworzę krzywe napisy: KALINA. Zamykam szafę na klucz.

Z barku wysypują się niedawno przeglądane fotografie. Na dnie biurka czekają listy, dokumenty i pamiętniki. Mama rozłożyła swoje tajemnice na czynniki pierwsze, wydrapała długopisem zięjące kratery, stworzyła dziury na palce splecione do modlitwy, rozrysowała myśli. Wyczuła grozę przyszłych dni i przygotowała się na nią. Pamiętnik tonie od czarnych skreśleń. Przypominają mi, jak raz wpadłam do beczki smoły, pokrywając się w niej od stóp do ud. Czarna maź oblepiła mnie całą i zawładnęła na długi czas, póki denaturat nie zmył części brudu. Żałoba jest jak smoła, która obleka i pozostawia niezmywalne plamy. Trzę skórę i strzepuję z siebie resztki obecności. Spoglądam na rozmazany szkic teatralnego gmachu, stojący pewnie mimo upływu czasu. Ile maleńkich



odprysków historii jeszcze ujrzy? Ile Kalin spędzi w nim najpiękniejsze lata swojego życia? Ile Róż wiązać z nim będzie swoje dziecinne wspomnienia? Wiry z atramentu kręcą mi się przed oczami.

Tata odszedł po cichu. Nie było słyhać najmniejszego szmeru, odgłosów choroby, świergotu ptaków zwiastujących rychłą zmianę. Nie pozostawił po sobie zapisków ani nagrań, tylko szkice i ostre zapachy przyklejone do ścian. Tytoń, woda po goleniu, ambra kaszalotów, pokruszony węgiel. Co chciał opowiedzieć, opowiedział wcześniej. Może udając, że nie spogląda, czytał przez ramię to, co mama zapisywała na kartkach i wiedział, że jego historia znajdzie się tam opisana dokładnie, a nawet z nawiązką. Jak na karuzeli kręcą się wokół mnie twarze w wielu wersjach. Gładko ogolony, z siwiejącą szczecina i wąsem pożółkłym od dymu, zmarszczki w kącikach oczu i siwa broda spleciona jak nasze losy. Waga w górę, waga w dół, lecz ciało równie znajome, mimo przeważającej się szali.

Tańczę pośród unoszącego się kurzu. Bosą stopę stawiam na wyblakłym dywanie, prawą rękę wyciągam przed siebie. Drobiniki okręcają się wokół niej i mienią złotem w promieniach popołudniowego słońca. Na ścianie wirują cienie i ja zaczynam wirować dookoła własnej osi, nie mogąc znieść statyki. Z namysłem wyrzucam drugą stopę przed siebie i skaczę w górę, odrzucając głowę do tyłu. Przechodzi mnie dreszcz, z którym odrzucam nagromadzone smutki. Ograniczam głowę do mikroświata, który należy tylko do mnie. Pył nie opada, uparcie unosząc się pod sufitem, drażni nos. Nie pamiętam, kiedy odkurzałam to mieszkanie. Zastygło przez brak obecności i pokryło się płachtą niechcianego. Odbijałam palce na blatach, a odciski uśmiechały się do mnie z daleka. Przestrzeń lubiła, gdy ktoś ją odwiedzał, choć ja coraz mniej lubiłam to, co ona ze mną robiła. W jej niewidocznych oczach wciąż byłam dzieckiem.

Bach, wprost w toń jeziora Ukiel i nie ma. Wynurzam głowę, łapiąc haust powietrza. Zerkam w stronę horyzontu. Wyciągam szyję, by ugościć na twarzy znajome światło. Dziś toń jeziora nie

jest już tak przejrzysta, jak wtedy, gdy skakałam w nią bez namysłu, uciekając przed wzrokiem rodziców. Stojąc nad brzegiem, nie wiem już, która opowieść jest o czym. W jedno zlewają się historie o powidłach, smolistych maziach i utracie. Nie mam już gdzie uciec przed ich czujnym spojrzeniem. Ugościłam się w nowym życiu jak należy, choć nadal drzę i boję się zranień od potłuczonego. Pragnę jednak dla siebie jak najlepiej, unikając wzroku w lustrze, przelotnych odbić w szybach wagonów i odgrywanych na scenie emocji.

# **Sto lat Kurta Meissnera<sup>59</sup>**

**1933**

– Nie wierć się!

Syk mamy tuż przy uchu zabrzmiał krótko i uszczypliwie. Zabolął prawie jak użądlenie dzikiej osy, na których gniazdo Kurt natknął się zeszłego lata. Na wszelki wypadek chwycił się za szyję tuż pod małżowiną uszną, w miejscu, gdzie skórę sparzył gorący oddech Mutti, a kiedy upewnił się, że nie ma tam bąbla, znów zaczął wiercić się, podnosić i rozglądać. I nie chodziło

---

59 Utwór zdobył drugą nagrodę w Ogólnopolskim Konkursie Literackim SZPRAJSA na tekst nawiązujący do Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie.

wcale o siedzenie, w którego miękki materiał z taką przyjemnością się zapadał, ani o to, by ktoś zasłaniał mu scenę – ze swojego miejsca Kurt widział wszystko idealnie. Gdy zabrzmi muzyka, uniesie się kurtyna, a na deskach sceny zadudnią pierwsze pary butów, chłopiec z pewnością zobaczy to wszystko i nic nie umknie jego czujnym błękitnym oczom. Ale Kurt nie czekał do pierwszej sceny i pierwszego aktu. Nie musiał. Dla niego magia zaczynała się już teraz: gdy tysiące świateł kłuły go w oczy, panie, strojne w kapelusze z pawimi piórami i długie do pasa sznury pereł, przypadkiem muskały go ramionami, a elegancy panowie, wchodzący przez każde z pięciu drzwi Treudanku, owiewali go chmurą tytoniowego dymu. Gdy wspinał się na palce, by odczytać z ogromnych afiszy nazwiska aktorów, a w palcach szeleściły mu cienkie stronicze repertuaru, pachnące jeszcze farbą drukarską, a może jeszcze wcześniej, gdy Mutti poleciła mu wyjąć z szafy najlepsze ubrania i sama przykłęka, by zapiąć mu guziki marynarskiego kołnierza. Jej perfumy pachniały kwiatami jak łąka i Kurt przez moment poczuł, jakby naprawdę tam był. Na łące w samym środku lata.

A przecież był środek zimy, uświadomił sobie, patrząc na gruby płaszcz Mutti.

– Idziemy do teatru – oświadczyła.

Nie byłoby w tym nic dziwnego, bo przecież chodziła tam dwa razy w miesiącu, trzymając tatę pod ramię, a wcześniej zaznaczała tytuły spektakli w dziennikach, rysując wokół obwódki pewnymi i zamaszystymi ruchami, jak wtedy, gdy obrysowywała usta szminką, gdyby nie decyzja, że tym razem nie pójdą sami. Dotąd syn wydawał im się za mały, by z nimi iść. Za głośny i za dziecinny. Kurt przypomniał sobie ich rozmowę, którą podsłuchiwał i na moment opadł na krzesło, uderzając plecami o wysokie oparcie. Nie chciał, by Mutti pożałowała decyzji, że zabrała go tutaj, a zarazem nie umiał zmusić się, by siedzieć w bezruchu dłużej niż kilka sekund. Chciał chłonąć atmosferę i każdy najmniejszy szczegół całym sobą. W końcu czekał na ten dzień całe życie.

W Allenstein nie brakowało miejsc, w których Kurt lubił spędzać czas. Uwielbiał spacerować pod Rathaus albo pomnik plebiscytowy, gdzie siedział zawsze między rodzicami, czepiając się ich rąk, a oni kołysali go jak na huśtawce. Choć zwykle przysypiał z nudów w Herz-Jesu-Kirche, słuchając księdza, to chodził tam bez sprzeciwu, wiedząc, że ledwo nabożeństwo się skończy, pójdą do kawiarni w rynku, a później może pojedą do Tannenberg-Denkmal. Tata opowiadał mu zawsze o bitwie, w której brał udział – i po której została mu blizna nad okiem i ciężki medal w szufladzie, i chociaż Kurt znał na pamięć jego opowieść, to i tak prosił o nią za każdym razem. Ta bitwa to odwet za porażkę pod Grunwaldem, kończył tata, a chłopiec daremnie próbował powtórzyć dziwne słowo „Grunwald”. „Tannenberg” było przecież o wiele łatwiejsze.

Spośród wszystkich zakamarków Allenstein to jednak teatr jawił się chłopcu jako miejsce zabronione i tajemnicze jak rajskie drzewo, o którym ksiądz mówił, że nie wolno było zrywać z niego owocu, bo przynosiło wiedzę – i śmierć. Kurt nieraz zastanawiał się, jaką wiedzę on by zdobył, wspinając się po szerokich schodach do pięciu skrzydeł drzwiowych, przez które przy każdym otwarciu wylewały się strumienie światła. Szczególnie w wieczory, gdy odbywały się przedstawienia, a do kasy biletowej ustawiały się kolejki tak długie jak do piekarni. Ten teatr ma tyle lat, co ty, powtarzała mama za każdym razem, gdy wyłaniała się przed nimi podłużna bryła budynku z napisem „Der Treudank” u szczytu. Wysokie i smukłe litery miały ostro zakończone brzegi, Kurtowi skojarzyły się natychmiast z grotami włóczni.

Naprzeciw teatru znajdował się Drei-Kreuze-Platz, upamiętniający ofiary dżumy sprzed dwóch wieków. Kurt zawsze czuł na plecach dreszcze, gdy musiał przejść obok.

– Treudank-Theater to więcej niż budynek. To nagroda za wierność – mówiła mama, wspominając, że mieszkańcy otrzymali go za to, że w plebiscycie opowiedzieli się za przyłączeniem tych ziem do Prus zamiast do Polski. Kurt zastanawiał się, czy to dobrze, czy źle, w końcu uznał, że wszystko jedno. Babcia Greta,

którą uwielbiał, mieszała przecież słowa polskie i niemieckie jakby nie słyszała w nich różnicy, chodziła w niedzielę raz do kościoła, raz do zboru, a gdy córka próbowała ją strofować, powtarzała, że dobremu Bogu wszystko jedno. W końcu *Herr Gott* ma poważniejsze sprawy jak choćby to, by zatroszczyć się o dusze wszystkich, których zabrała Wielka Wojna. A byli wśród nich dwaj synowie babci Grety. Obaj tak podobni do Ilse, matki Kurta. Obaj tacy młodzi, że przypominali raczej wyrośnięte dzieci bawiące się w wojnę niż dorosłych mężczyzn. Obaj tacy piękni na swoich zdjęciach, w swoich mundurach. Obaj martwi, podczas gdy babcia dźwigała na plecach już siódmy krzyżyk.

– Babciu, a byłaś kiedyś w teatrze? – zapytał, kiedy odwiedzili ją ostatniego lata.

– Hę? – babcia odstawiła wiadro, z którego sypała kurom pszenicę i odwróciła się do wnuka. Pasma siwych włosów, które wysunęły jej się z koka, tańczyły wokół twarzy jak nitki babiego lata, których coraz więcej wirowało w powietrzu – znak, że zbliżała się jesień.

– No teatr – chłopiec wczepił się w spracowane dłonie, sękatę i twarde jak gałęzie drzewa. – Treudank. Siedzi się na widowni, patrzy na scenę i ogląda cuda.

Babcia roześmiała się.

– Ja mam cuda tutaj – zatoczyła dłonią koło od parterowego domu z gankiem obrośniętym winoroślą, przez sad, gdzie pierwsze jabłka zaczynały uderzać o ziemię z cichym plaśnięciem, po widziane w oddali jezioro. Na srebrnej tafli unosiła się samotna łódka, która z tej odległości wydawała się miniaturowa jak łupina orzecha. – Wystarczy patrzeć. Nie trzeba mi żadnego miasta ani żadnego teatru.

– Ale babciu! – z jednej strony Kurt przyznawał jej rację, bo Warmia o każdej porze roku, czy to znikająca pod pierzyną śniegu, czy mieniająca się złotem w październikowym słońcu, w oczach chłopca uchodziła za najpiękniejsze miejsce na świecie. Z drugiej strony jednak Treudank przy Hindenburg-Strasse, wabiący go wieczorem dziesiątkami świateł jak lampa émé, miał w sobie

coś, co zmuszało, by wejść i chłonąć jego piękno. Pewnie nie na darmo tata nazywał teatr świątynią sztuki, Kurt nie zdążył jednak powtórzyć tego babci, bo od strony jeziora nadeszła mama. Z rozwianymi włosami i bez kapelusza nie przypominała miastowej damy, która na pozdrowienia *Guten Morgen, Frau Meissner* odpowiadała uprzejmym skinieniem głowy.

Greta przebiegła wzrokiem po jej bladej twarzy, tak innej od śniadych, spalonych słońcem policzków matki, i zatrzymała go na rozpiętym żakiecie i białej bluzce, na której Ilse położyła dłoń. Spojrzała tylko raz – i już wiedziała.

– Kiedy się urodzi? – zapytała.

– Zimą – Kurt patrzył, jak Mutti z czułością gładzi lekko zaokrąglony brzuch. Wcześniej go nie dostrzegał. Wcześniej nie przyszło mu do głowy, że mógłby być ktoś jeszcze poza nim i rodzicami. I babcią, która po tym, jak wsunęła niesforne pasmo za ucho, wróciła do pracy.

– Chłopak – rzuciła, idąc do studni. Już po chwili do uszu Kurta dobiegł szcęk metalowej korby i plusk wody. Najchętniej podbiegłby do babci, żeby pomóc, gdyby nie jej zapewnienia, że w studniach kryją się topielce. I tylko czekają na dzieci takie jak on. A ty się nie boisz topielców, babciu, zapytał kiedyś. Odparła, że ona nie boi się niczego.

I teraz bez strachu wyciągnęła z ciemnego otworu pełne po brzegi wiadro.

– Chłopak – powtórzyła. – U Marii pod lasem też się chłopak urodził. I u Magdy. Po kolei, same chłopaki. Zły to znak, pewnie znowu wojna będzie...

– Niech mama przestanie! – Mutti objęła brzuch obronnym gestem i zaczęła się cofać, aż dotknęła plecami omszałych żerdzi płotu. – Nie dość już Wielkiej Wojny? Teraz musi być wreszcie pokój. Nawet nie dla nas. Dla nich – Kurt poczuł na sobie jej wzrok. Nigdy nie widział, by płakała, tymczasem błękitne oczy, jak lustrzane odbicie przypominające jego własne, lśniły od łez. – Proszę – szepnęła. – Niech mama tak nie mówi.

– Mówię, co widzę – babcia zamierzała zanieść wodę kurom, widać zmieniła jednak zdanie, bo odstawiała wiadro i podeszła do wnuka. Zanurzyła dłonie w jasnych jak len włosach i przez chwilę stali tak we troje: Mutti przy płocie i babka z Kurtem, gładząca go po włosach, jakby chciała go uspokoić, choć to raczej córka potrzebowała takiego gestu.

Greta spojrzała i na nią.

– Zimą? – zapytała, a kiedy Ilse skinęła głową, dodała: – Dbaj o siebie.

Czekając na pierwszą scenę, Kurt żałował, że babcia nie siedzi obok, na sąsiednim krześle. Ciekawiło go, co by powiedziała o teatrze. Czy zechciałaby tu wrócić? Czy zmieniłaby zdanie, że mając swoją Warmię: ziemię i niebo, wodę i ciszę, sad i las, nie potrzebuje już żadnego Treudanku? Myślał nawet, czy by nie wysłać jej pocztówki, czarno-białej albo w sepii, na której pokazywano teatr wieczorową porą, rzęsiście oświetlony i z tłumem ludzi na schodach, gdy nagle ktoś szarpnął go za ramię.

– Przepraszam – wyjąkał, pewien, że tym razem Mutti nie wybaczy mu tego wiercenia i gdy wrócą do domu, porządnie wytarga go za uszy. – Już nie będę – szepnął ze skrucą, uścisk jednak nie zelżał. Kurt zerknął na mamę i zobaczył przerażone oczy i dłoń zaciśniętą na zaokrąglonym brzuchu.

– Kurt, zostań tutaj – ręka taty na ramieniu ciążyła mu jak ołów. – Herr Albrecht zabierze cię później do domu, dobrze? – sąsiad, który siedział dwa rzędy przed nimi, odwrócił się, by skinąć Kurtowi głową, a później...

Później zapadła ciemność, w której z cichym szelestem uniosła się kurtyna, a ze sceny popłynęło powitalne *Meine Damen und Herren!*. Publiczność śmiała się i klaskała, a Kurt robił to, co wszyscy wokół, choć nie wiedział, o czym był spektakl i gdy Herr Albrecht zapytał o wrażenia, nie potrafił skłecić ani jednego zdania.

– Nie podobało ci się? – zmartwił się sąsiad.

– Podobało – wydukał chłopiec.



Jak miał wytłumaczyć, że tylko ciałem był w teatrze, podczas gdy myślami nie odstępował mamy nawet na sekundę?

Rano gazety rozpisywały się o sukcesie nowego przedstawienia w Allenstein i podpaleniu Reichstagu w Berlinie, ale tata, który zabierał Kurta do szpitala, zrzucił dziennik ze stołu na podłogę, gdzie nikt nie śpieszył się, by go podnieść. Potrzebował miejsca na kwiaty, które kupił mamie.

– Masz brata – poklepał syna po ramieniu. W całym Allenstein nie znalazłby się nikt szczęśliwszy od nich.

A Berlin był przecież daleko.

## 1944

– Śpisz?

Księżycowi wreszcie udało się przedrzeć przez chmury i zalać światłem szpital polowy: wyostrzyć rysy twarzy i żelazne ramy łóżek, na których leżeli najciężej ranni. Pozostali spali na siennikach na podłodze albo drzemali na krzesłach na pałacowym korytarzu. Jeszcze kilka tygodni temu było tu rodowe gniazdo jakiejś pruskiej rodziny, która, słysząc nocami piekielny jazgot katuszy, organów Stalina, zabrała co najcenniejsze i uciekła na zachód. Po marmurowych posadzkach sali balowej kuśtykali inwalidzi, na długim stole w jadalni przeprowadzano operacje, a przy fortepianie hrabianki przysiadł chłopak bez lewej ręki, próbujący prawą grać Beethovena. Kurtowi ścisnęło się serce: nastoletni żołnierz był niewiele starszy od Hansa, który po Nowym Roku skończy dwanaście i Mutti powinna zabrać go do teatru, gdyby pozostali w Allenstein. Tymczasem od kilku miesięcy mieszkali u babci Grety, skąd przychodziły kartki pisane ładnym, lekko pochyłym pismem mamy i ledwie czytelnymi bazgrołami Hansa. Od miesiąca Kurt jednak nie dostał od nich nic. Ani słowa.

– Śpisz, Meissner? – powtórzył sąsiad z lewej i Kurt nie mógł dłużej go ignorować. Syknął z zimna, gdy stopy dotknęły lodowatej posadzki i chwycił za filiżankę z wodą. Właściwie nikt nie wiedział, kto pierwszy sięgnął po miśnieńską porcelanę z inicjałami

hrabiego. Kurt postukał palcem wskazującym w ściankę naczynia, cienką jak skorupki jajek, i nie oparł się wrażeniu, że na jego oczach coś się kończy. Mija bezpowrotnie, bo jeszcze dekadę temu sama myśl o szpitalu polowym, cuchnącym jodyną i krwią, usytuowanym w starym, pruskim pałacu, wydałaby mu się nonsensem.

Ale czy wszystko nie było nonsensem? Flagi ze swastykami sięgające ziemi, ludzie przeciwni Führerowi znikający z dnia na dzień, jakby ich nigdy nie było, dzieci w mundurach? Początkowo Kurt czytał o tym jedynie w gazetach i łudził się, że to szaleństwo nigdy nie dotrze na spokojną, senną Warmię. Tymczasem nawet tutejsza ziemia, poorana lejami po bombach, przypominała rozdartą, niezagaloną ranę, podobną do tych, które pokrywały ciało jego sąsiada. Kurt przytknął hrabiowską filiżankę do jego ust i patrzył, jak chłopak pije. W widmowym świetle jego spękane usta wydawały się fioletowe jak u trupa. Jakby już nie żył, choć lekarze nie przestawali walczyć o jego życie.

Niewiele brakowało, a Kurta też nie byłoby wśród żywych. Obudził się w absolutnej ciemności i choć mrużył powieki, otwierał je i zamykał, to nie widział nic oprócz ciemności. Przerażony dotknął twarzy, gdzie wyczuł coś miękkiego, a czyjaś dłoń uspokajająco musnęła jego rozdygotaną rękę.

– Jeszcze kilka dni i zdejmujemy bandażę – lekko zachrypnięty męski głos dotarł do niego razem z zapachem nikotyny. Raz jeszcze przesunął dłonią po opatrunkach, przełknął ślinę i rzucił w stronę, z której dobiegł go głos:

– Ale będę widział, tak?

Później wydało mu się to głupie, ale w tamtej chwili nie bał się, że nie zobaczy matki, Hansa ani babci, nie spojrzy na jezioro za jej chatą i czerwone dachy Allenstein. Najbardziej przerzała go myśl, że nie obejrzy już żadnej sztuki wystawianej na deskach Treudanku. Nikomu o tym nie mówił, ale widok teatru na pocztówce w sepii wciąż nosił w portfelu, wciśnięty między rodzinne zdjęcie i zmięty obrazek jakiegoś świętego od Greta. Zapewniał

babcię, że jako protestant nie modli się do świętych, ale ta jedynie wzruszyła ramionami, że jeśli mu to nie pomoże, to nie zaszkodzi. Dobra, kochana babcia, której bały się topielce – i która za nic w świecie nie chciała odwiedzić miasta. Ani na chrzciny Hansa, ani wtedy, gdy zapraszali ją do teatru. Greta musiała tak wrosnąć w swój kawałek ziemi, w podmokłą łąkę, przydomowy ogród i małe poletko, że nie ruszała się z niego dalej niż kilka kilometrów, na targ. O wyprawie do Allenstein czy Treudanku nawet nie chciała słyszeć. Może to i lepiej, stwierdził Kurt, gdy jesienią 1940 roku wybrali się na spektakl we czwórkę, pierwszy raz zabierając Hansa. Coś niedobrego działo się z teatrem i nie chodziło wcale o Hansa, który nie potrafił usiedzieć w miejscu, jak kiedyś jego brat, mimo syków Mutti i karcących spojrzeń ojca. To coś wisiało w powietrzu, ledwie wyczuwalne, a jednak stanowcze jak zapach rozkładu jesienią, jak pierwsza woń gnijących owoców, dymu z ogniska i butwiejących liści. Ten zapach zapowiadał zmiany, niechciane i nieodwracalne. Na schodach Kurt trzymał się blisko balustrady, uważając, by nie potrącili go mężczyźni w mundurach. Trupie czaszki z ich wysokich oficerskich czapek zdawały się posyłać mu szydercze uśmiechy, błyskawice na kołnierzach połyskiwały złowieszczo jak łuska węża. W foyer teatru nie wiadomo kiedy pojawiły się flagi ze swastykami. Zwoje czerwonego płótna, spadające do ziemi i zamiatające brzegiem płytki, zdawały się nie mieć końca. Spływały z jasnych ścian jak strużki świeżej krwi. Kurt odwrócił wzrok i napotkał oczy Mutti. Ona także nie chciała patrzeć. Kiedy chwycił jej dłoń, ta okazała się lodowata – i nie ogrzała się przez całą operę. Przedstawienie też było inne. Kurt wciąż miał w pamięci komedie, na których wybuchi śmiechem, i operetki, do których melodii aż chciało się ruszyć do tańca, nic więc dziwnego, że przez całą drogę do domu nucili melodie, a tata udawał, że prosi mamę do tańca już na schodach teatru.

Teraz, w kłębówisku esesmanów i volksdeutschów, wśród czarnych mundurów i skórzanych płaszczy, nikt nawet nie pomyślał o tańcu. Wagner, którego nazwisko kłuło w oczy na każdym afiszu,

brzmiał bezbłędnie w wykonaniu orkiestry, ale jego patos sprawiał, że Kurt całą operę przesiedział w bezruchu, spięty i sztywny jak struna. Co się stało z moim teatrem, pomyślał, wpatrując się w scenę, która z pozoru nic się nie zmieniła, ale chłopak czuł się przed nią wyjątkowo nieswojo. Co się stało z ludźmi, pytał sam siebie, patrząc, jak witają się wyciągniętym ramieniem i gromkim *Heil Hitler*. Ucichły plotki, sąsiedzkie żarty i życzenia miłego wieczoru, zamiast tego coraz głośniejsze stawały się dyskusje o polityce. Kurt słyszał je, choć tak bardzo nie chciał. Choć robił wszystko, by nie słyszeć, one i tak wdzierały się do jego umysłu.

Tak jak pytanie z sąsiedniego łóżka. Usta sąsiada poruszały się wolno, z wyraźnym trudem. Kurt więcej czytał z ruchu warg niż słyszał:

– Kto na ciebie czeka?

– Mutti. Brat. I babcia – o ojcu, którego jako weterana Wielkiej Wojny powołali wbrew jego woli, i od którego listy nie przychodziły od dawna, wołał nie wspominać. – Wyjechali na wieś, poza Allenstein. W miastach nie jest teraz bezpiecznie.

Zresztą gdzie jest bezpiecznie, pomyślał. Przez chwilę sądził, że sąsiad jedynie charczy, jednak chrapliwe dźwięki z jego gardła układały się w zdanie: „To jedź do nich”.

– Nie mogę – Kurt rozłożył ręce. – To dezercja. Zabiją mnie.

– I tak cię zabiją – księżyc wrócił za chmury i w ciemności białka sąsiada lśniły dziwnym błękitnawym blaskiem, jakby nie był człowiekiem, a raczej topielcem z warmińskiej studni, którym straszyla go Greta. – Nie słyszałeś, co się mówi? Leżymy na wszystkich frontach, a z nas zrobią mięso armatnie – zaniósł się ciężkim kaszlem i dokończył już jednym tchem. – Widać tysiącletnia Rzesza skończy się o wiele szybciej.

Tej nocy Kurt nie mógł zasnąć, a kiedy już zapadł w dziwny, męczący stan na granicy jawy i snu, widział siebie na scenie w teatrze. To musiało być Allenstein, to musiał być Treudank, wszędzie rozpoznalby to miejsce. Powędrował wzrokiem do środkowego rzędu, gdzie zazwyczaj siadali Meissnerowie, ale nie dostrzegł tam

nikogo. Zresztą jak okiem sięgnąć, na całej sali nie było ani jednego widza. Tylko żarówka u góry to migotała, to gasła, rzucając cień na opustoszałe rzędy, i Kurt poczuł się tak przeraźliwie samotny, jakby na świecie prócz niego nie było nikogo. Zapragnął znów być tamtym niesfornym dzieckiem, upominanym na widowni przez matkę, a gdy zerwał się nad ranem zły zimnym potem, wiedział już, że nie zostanie tu ani dnia dłużej.

## 1945

– To ty!

Hans siłą uderzenia prawie zwałił go z nóg i albo to młodszy z braci tak podrośł i zmężniał, albo to starszemu, na którym wiśiały skradzione cywilne ubrania, ostatnio zabrakło sił. Mutti wynurzyła się z chaty bezszelestnie jak kot i w milczeniu przesuwiała opuszkami palców po twarzy Kurta, czytając z blizn jak z alfabetu Braille’a całą jego wojenną odyseję. Na koniec padła mu w ramiona z cichym szlochem, podczas gdy Hans skakał wokół oszalały z radości, dopóki Greta, stojąca w progu z rękami na biodrach, nie huknęła, że czas do stołu, gdzie ustawiła talerz parujących jeszcze placków i choć słowem nie skomentowała powrotu wnuka, Kurt nie widział jej nigdy tak uśmiechniętej. Krzątała się po kuchni, jakby ubyło jej lat, co chwilę donosząc coś ze spiżarki, ale chłopak nie jadł, bo choć żołądek z głodu zacisnął mu się w ogromny supeł, najpierw chciał nasycić się ich widokiem. Obrazami całej trójki, która była mu najbliższa – i do której wracał myślami z lękiem, że już ich nie zobaczy. Liczył piegi na policzkach brata, zmarszczki w kącikach ust matki i ciemne plamy na dłoniach babki. Pachnieli chlebem, suszonymi jabłkami i dymem z kaflowego pieca; tym wszystkim, czym dla niego pachniał dom. Chciał im powiedzieć, jak bardzo ich kocha, ale zwyczajnie brakło mu słów. Może gdyby był aktorem, jak ci, których obserwował na scenie w Allenstein, deklamujący bez zajknięcia i bez pomyłki nawet najdłuższe teksty o życiu i miłości, łatwiej byłoby mu ubrać w zdania to, co czuł. Tymczasem był tylko dezterterem i jedyne, co

mógł, to ścisnąć mocno ciepłą i szorstką dłoń Grety, gdy usiadła wreszcie do stołu przy wtórze trzaskającego ognia, rozpalonego na świerkowych szyszkach. Spojrzała na niego pytająco spod makatek w polskim i niemieckim języku, które zaczęła wyszywać, gdy była jeszcze panną – ale nie cofnęła dłoni, stanowczej i silnej jak dłoń mężczyzny.

I tą dłonią popchnęła ich w kierunku piwnicy, kiedy dwa dni później po wsi gruchnęła plotka, że „idą Ruskie”. Greta jednym ruchem skopała z podłogi pasiasty, tkany chodnik, drugim zaś uniosła klapę, odsłaniając otwór głęboki i ciemny jak lisia nora. Od zimna, które z niego biło, zaczęła szczerkać zębami, gdy kolejno wypychała córkę i wnuków do środka.

– A ty? – Kurt zamiast zejść po skrzypiącej drabinie, wpatrywał się w pooraną zmarszczkami twarz babki. Greta zmrużyła oczy: szare i zimne, przypominały dziś skute lodem jezioro za oknem. Oparła dłonie na biodrach i rzuciła jak wtedy, gdy pytał ją, czy boi się topielców ze studni:

– Ja się niczego nie boję. Siedźta tam cicho jak myszy pod miotłą – położyła palec na ustach i stanowczym ruchem pchnęła Kurta w dół, po czym wróciła do ognia, nad którym bulgotała kasza na krupnik. Ostatnie słowa dobiegły ich już przez szpary w podłodze.  
– Jak będzie można wyjść, dam znać.

Przez te same szpary słyszeli rosyjskie pokrzykiwania i spokojny głos Grety. Mutti, skulona pod pierzyną, głośno szczerkała zębami, podczas gdy Hans zasłaniał uszy – i tylko Kurt nie przedstawiał nasłuchiwać tego, co działo się na górze. Babka miała już swoje lata, ale po tym, co słyszał w radiu i co głosiła propaganda Goebbelsa, chłopak wiedział, że przy Sowietach żadna zenszczina nie mogła czuć się bezpiecznie. *Frau ist Frau* mieli powtarzać, nie oszczędzając nawet staruszek i kilkuletnich dziewczynek. Kurt zacisnął dłonie na spróchniałym szczepku, nie czując nawet, jak tysiące drzazg, ostrych jak miniaturowe igielki, kaleczy mu skórę, gdy usłyszał szept brata. Hans dygotał jak w ataku febry. Oddychał głośno, a z ust wymykał mu się co chwilę żaloszny jęk:

- Zabiją nas.
- Cicho! – syknął Kurt. Zdawało mu się, że kroki na górze ustały, rozmowy przycichły. Bał się, że lada moment kłapa się uniesie, a w otworze zamajającą głowy w czapkach z czerwoną gwiazdą.
- Cicho, bo nas znajdują!

Lecz Hans nie słuchał. Zamienił się w kłębek nerwów, w rozdygotane, roztrzęsione ciało, z którego wydobywały się nieludzkie dźwięki prócz jednego zdania: znajdują nas, znajdują i zabijają. Kurt złowił w półmroku przerażony wzrok Mutti. Widział, jak szybko oddycha, bo co chwilę z jej ust unosiły się białe obłoczki pary. Przyciągnął do siebie brata i ścisnął jak imadłem. Zasłonił mu usta, a do ucha zaczął szeptać jak kiedyś, w dzieciństwie, gdy opowiadał mu bajki do snu:

– Nie znajdują nas, słyszysz? Nie zabijają. Wyjdziemy stąd. Wrócimy do domu, do Allenstein. Pójdziemy na spacer pod Rathaus i Tannenbergs-Denkmal i tata opowie nam, jak tam walczył – nerwowo przebiegał w myślach po uliczkach, którymi kluczył ledwie pół roku temu. Teraz tamte chwile wydawały mu się niesamowicie odległe, jakby minęły od nich lata, dekady, wieki. Przycisnął brata jeszcze mocniej. Zapomniał, gdzie jest, zapomniał o czerwonoarmistach i przejmującym zimnie, liczył się tylko jego własny gorączkowy szept, cichszy od oddechu. Był jak aktor na scenie, jak recytujący na deskach Treudanku, od którego występu i tego, co powie, zależy powodzenie spektaklu.

I od roli, jaką miał teraz do odegrania Kurt, zależało wszystko.

– A pamiętasz nasz teatr? – mała widownia, czyli Mutti i Hans, zgodnie skinęli głowami. – Treudank przy Hindenburg-Strasse? Pójdziemy tam znowu wszyscy, i tata z nami, bo przecież on wróci, niedługo wróci, zobaczysz, że wróci, i może babcia da się wreszcie namówić? Kupimy miejsca w pierwszym rzędzie, tam gdzie teraz siadają esesmani, albo wysoko, na balkonie, przecież zawsze chciałeś iść na balkon, ale Mutti bała się, że całe przedstawienie będziesz się kręcił i cały teatr, zamiast na scenę, będzie patrzył tylko na nas. I może przestaną grać tego okropnego

Wagnera i wróć jeszcze do naszych operetek? Tak, na pewno wróć, i my wrócimy...

– Kurt – palec wskazujący Mutti lekko szturchnął go w przedramię. – Słyszysz?

Nie słyszał nic – i to go zaniepokoiło. Powoli wspiał się na najniższy szczebel i lekko uniósł klapę. W kuchni nie zobaczył nikogo prócz Greta, która jakby nigdy nic dorzucała do ognia. Na ziemi topniał brudny śnieg, naniesiony na sowieckich walonkach.

– No, wyłaż – rzuciła tonem rozkazu babka i Kurt pomyślał, że byłby z niej niezły kapral. – Na razie poszli.

– I nic ci nie zrobili? – zaniepokoiła się Mutti.

– A co mieli zrobić? – Greta podniosła ze stołu pusty garnek.

– Tylko krupnik cały nam wyżarli, do diabła!

Nim nastała wiosna, piwniczka jeszcze kilka razy uratowała ich przed Sowietami. Greta, jak się przekonali, budziła strach i szacunek nie tylko we własnej rodzinie, ale też w każdym, kto przekroczył próg jej drewnianej chaty i przysiadł w kuchni pod makatkami z wyszytym pośrodku „Grüss Gott”. Nawet sowiecki kapitan, który kiedyś zajrzał do jej chałupy, cofnął się, gdy usłyszał potok polskich, niemieckich i mazurskich słów i zobaczył przysadzistą kobietę w fartuchu, z rękami spracowanymi jak u chłopca. – Nu, graždanka, my niesiemy rewolucję dla takich jak wy! – uśmiechnął się, na co babka odparła, żeby trzymał swoich ludzi z dala od jej chałupy, bo depczą wszystko, co wyrasta w ogródku. Kapitan chyba jej posłuchał, bo do wiosny Rosjanie nie zajrzeli już do chaty nad jeziorem, szybko zresztą ruszyli na zachód, gdzie większość padła w bitwach o Stettin czy Kolberg.

W tym czasie Kurt prawie nie spał. Spędzał noce przy matce, u której długie godziny w lodowato zimnej piwniczce zaowocowały kaszlem. Nie pomogły bańki stawiane przez Gretę ani leki od felczera, który był tu jedynym doktorem, odkąd miejscowego lekarza zabrano do armii: Mutti stawiała się coraz bledsza i cichsza, jak cień, aż Kurt zaczął się obawiać, że sama stanie się cieniem.



Był koniec kwietnia, gdy przywołała go do siebie. Hans i Greta spali, zza bielonej wapnem ściany dochodziły ich głośne, miarowe oddechy.

– Gdzie Hans? – oczy Mutti połyskiwały niezdrowym blaskiem.

– Nie słyszysz, jak chrapie? – Kurt zmusił się do uśmiechu, licząc, że zarazi nim i matkę. Ale na skupionej, poważnej twarzy nie drgnął żaden mięsień.

– Nie kłamałeś, prawda? – palce Mutti kurczowo wczepiły się w jego dłonie, jakby miały już nigdy nie puścić. – Rathaus, Treudank, Allenstein? Zabierzesz go tam tak, jak mówiłeś? Obiecuj, że to zrobisz. Że o niego zadbasz. On ma... tylko ciebie.

– Nieprawda! – wpił się paznokciami w przeguby jej rąk, zaraz jednak cofnął się ze skrucą, zawstydzony, że zadał jej ból. – Jesteś ty, ojciec, babcia Greta...

– Ona ma już swoje lata – zaprzeczyła Mutti. – Ojciec już nie wróci, a ja... Mnie już prawie nie ma. Obiecuj – powtórzyła.

Teraz to ona zadawała mu ból – i nie miał na myśli sposobu, w jaki ścisnęła mu palce, aż odpływała z nich krew. Nie chciał jeszcze jej żegnać, wierzył, że jego matka, Ilse Meissner, wciąż ma do odegrania rolę w teatrze życia, uśmiechnął się jednak (a ten uśmiech kosztował go więcej niż dezercja) – i wyszeptał:

– Obiecuję.

W dzień pogrzebu padało, co Greta uznała za dobrą wróżbę. Im więcej wody, tym większy spokój po śmierci, zapewniała, podczas gdy Kurt i Hans stali pochyli nad świeżym kopcem ziemi, pozwalając, by zimne strugi bezlitośnie siekły ich nieosłonięte twarze i dłonie. Zbyli milczeniem słowa o deszczu i wróżbie, tak samo jak przemilczeli dziwne zachowania babki zaraz po śmierci Mutti. Greta otworzyła na oścież okna, ustawiła na środku izby puste krzesło i zatrzymała wskazówki starego zegara.

– Okno jest na to, żeby dusza mogła wylecieć – mruczała, krzątając się przy zmarłej. – Krzesło, co by sobie spoczęła przed drogą, bo długa droga w zaświaty ją czeka. A zegar musi stać, co by

się dusza nie zaplątała pomiędzy wskazówkami i nie została na świecie. Zapamiętacie? – widać machinalne skinięcia wnuków jej nie przekonały, bo zaraz dodała. – Ech, wy! Będę musiała sama dopilnować, żeby po śmierci nie zostać na ziemi!

Powrót okazał się trudniejszy, niż przypuszczał Kurt. Rozstanie z babką, starą chatą, coraz mocniej zapadającą się w grunt, i świeżym grobem na małym ewangelickim cmentarzu w cieniu lasu kosztowały go więcej, niż sądził, a Allenstein, miasto, które opuścił rok temu, w niczym nie przypominało miasteczka jego dzieciństwa, małego *Vaterlandu* o czerwonych dachach, gdzie minęły jego najszczęśliwsze dni. Zresztą nie było już Allenstein. Olsztyn, który powstał w jego miejscu, na równi zdumiewał go i przerażał. Z dnia na dzień znikały podłużne tabliczki z nazwami ulic kończącymi się na *-strasse*, podobnie jak niemieckie nazwiska przy skrzynkach na listy. Wśród gruzowisk płynęła rzeka ludzi, wozów, toreb i tobołków, a przybysze, mówiący z dziwnym, śpiewnym akcentem, skakali sobie do gardeł, walcząc o znajdujące się w co lepszym stanie domy i kamienice. Tam, gdzie osiadali, zrywali posadzki, kafle z pieców i płytki z łazienek, a ziemię w ogrodach ryli własnymi rękami na głębokość pół metra. Zresztą nic dziwnego, skoro co kilka dni w mieście powtarzano plotki o wykopanym pod krzakiem róż czy jaśminu niemieckim skarbie. Do diabła więc z różami, teraz są nowe czasy, jak słyszał Kurt, pracując przy odgruzowywaniu centrum. Pora wypłenić zło do fundamentów i zaprowadzić w tym nazistowskim mieście polskie prawa! Dawna kamienica Meissnerów straszyla zburzonymi ścianami i zwisającym w rogu strzępem sufitu, patrząc na przechodniów wypalonymi oczodołami okien. Z daleka przypominała krzyczącą twarz i nikt póki co nie odważył się jej zająć. Nawet Kurt z bratem woleli zatrzymać się w piwnicy.

Nie było więc domu. Za to wciąż był teatr.

Ale czy na pewno? Kurt zaczął w to powątpiewać, ledwo przekroczył próg Treudanku. Z ośmiu liter wiszących nad wejściem zostały jedynie dwie. Większość krzeseł na widowni wyrwano,

oparcia połamano, a zdewastowane rekwizyty wały się pod nogami wśród zmiętych afiszy. Odłamki szkła chrzęściły pod nogami jak zmarznięty śnieg, gdy przekradał się znajomymi korytarzami niczym intruz, aż do momentu, gdy trafił na dwóch mężczyzn, którzy porządkowali garderobę. Na jego widok wstrzymali pracę i zawiesili ciekawski wzrok na szczupłym chłopaku opartym o framugę. Z papierosów wetkniętych w kąciki ust wędrowały ku niebu srebrne koła dymu.

– Zgubił pan coś?

Siebie zgubiłem, powinien im odpowiedzieć Kurt. Odkąd tu wrócił, nigdzie nie czuł się tak obco jak w rodzinnym mieście. Był Prusakiem, ale nie było już Prus, Niemcem, ale jego Allenstein przestał być niemiecki. Jak drzewo bez korzeni, ptak bez gniazda, zmięty afisz niesiony wiatrem Bóg wie gdzie, jak te, które fruwały po całym mieście. Wciąż zawieszony między przeszłością i przyszłością, tęsknotą za tym, co minęło, i lękiem przed tym, co nadchodzi. Między Olsztynem i Allenstein, między chęcią pozostania i nawoływaniem, by jak reszta Niemców opuścić Prusy Wschodnie, właściwie szukał tylko jednego. Odpowiedzi co dalej: z nim, z miastem, z tym miejscem.

Przyjrzał się mężczyznom, a w ich pracy dostrzegł jakąś nadzieję. Odgruzowywali teatr, jakby wierzyli w nowy początek. I w to, że tu nadal może zdarzyć się coś dobrego.

– Nie – zaprzeczył, mieszając słowa polskie i niemieckie. – Może panowie wiecie, co teraz tutaj będzie?

Robotnicy zerknęli na siebie i obaj zanieśli się śmiechem.

– A co ma być, chłopcze? Toż to miejsce stworzone na teatr!

– Teatr – potwierdził drugi. – I nikt już nie będzie mówił tu po niemiecku.

Ich słowa wróciły do niego jak echo, gdy w listopadowy wieczór zasiedli z Hansem na widowni na pierwszym powojennym spektaklu. *Moralność pani Dulskiej*, sylabizował powoli jak dziecko, które dopiero uczy się czytać – i Kurt faktycznie się uczył: zarówno

polskiego, jak i życia w nowych warunkach. Wszystko zresztą było inne, nowe, pierwsze jak w dzień stworzenia świata. Nowe nazwiska na afiszach i nowe rekwizyty, i nowa kurtyna, uszyta z jakichś skrawków, która jednak poszła do góry z nie mniejszym wdziękiem niż jej aksamitna poprzedniczka, gdy ze sceny zamiast *Meine Damen und Herren* popłynęło: „Witajcie”. Hans i Kurt wymienili spojrzenia: polski zabrzmiał tu po raz pierwszy, ale choć spodziewali się, że ugodzi ich to bardziej, to ból okazał się całkiem znośny. Nie było już co prawda ukochanych operetek czy napuszonego patetyzmem Wagnera, ale nie było też esesmanów, swastyk i rozmów o Führerze, a polskie przedstawienie, choć nie zrozumieli go do końca, rozbawiło ich nie raz. I wtedy Kurt pomyślał, że może sztuka nie ma narodowości, że wszystko jedno, kto i w jakim języku będzie tu teraz wystawiał. Ważne, żeby wystawiał, a teatr trwał, wbrew zmianom wódzów, państw i granic.

Przyglądając się biegającemu po scenie chłopakowi imieniem Zbyszko i próbując zrozumieć jak najwięcej z jego zdań, Kurt pomyślał, że może było tak zawsze. I być może tamten niemiecki teatr z lat trzydziestych, gdzie zabrali go rodzice, i ten późniejszy, ze swastykami w korytarzu, tylko mu się śnił.

Ważne, że dziewczyna oddająca mu po spektaklu płaszcz okazała się prawdziwa.

Anastazja od początku była temu przeciwna. Nie podobał jej się ani plan opuszczenia Lwowa, ani tułaczka, po której osiedli teraz w niemieckim mieście, czerwonym od cegły i zerwanych w pośpiechu flag ze swastykami. Nie czuła się dobrze ani w mieszkaniu, na którego drzwiach wciąż widniała tabliczka z niemieckimi imionami (czasem śniła, że ci Niemcy wracają), ani w ogromnym, pustym gmachu teatru, gdzie miała występować jej mama. Nastia nie lubiła chodzić ulicą 1 Maja, gdzie nie wszędzie ściągnięto tabliczki z dawną nazwą „Hindenburg-Strasse” – i gdzie, naprzeciw placu Trzech Krzyży, Niemcy postavili teatr. Nastię aż przechodziły ciarki na myśl o dawnym Platz-der-Drei-Kreuze, upamiętniającym

ofiary dżumy sprzed ponad dwustu lat – a było to pierwsze, co widziała, wychodząc z matką z pracy. Sam Treudank okazał się w kiepskim stanie. Czego nie zdołali ukraść Sowieci, zniszczono. Nie było kostiumów, dekoracji, papieru na afisze. Nastia wątpiła, by miało ją tu spotkać coś miłego. Dobrze, że chociaż miały pracę – ta pozwalała jej zająć myśli, zapomnieć na chwilę o Lwowie i dawnych koleżankach. Ale Lwów nie był już polski, tak samo jak Allenstein niemiecki i zamiast rozpamiętywać przeszłość, dziewczyna skupiła się na terażniejszości.

Prócz Nastii i jej matki do Olsztyna ściągali aktorzy z całej Polski. Jedni wymawiali znane jej nazwy, jak Białystok czy Drohobycz, inni całkiem obce, jak Wrocław czy Zielona Góra, wszyscy mieli jednak wspólny cel: wskrzesić dawny pruski teatr i zaszcześcić w nim polskiego ducha. Nastia z niedowierzaniem patrzyła, jak na listopadową premierę pożyczali ubrania dla aktorów; jak sami rozklejali plakaty, robili zbiórkę na szlafrok dla pani Dulskiej i szyli nową kurtynę z worków, które scenograf, pan Makojnik, ufarbował na czerwono, ale w dniu przedstawienia sprawiała wrażenie rdzawej. Dziewczyna wątpiła jednak, by ktokolwiek z widzów, którzy wypełnili salę do ostatniego miejsca, zwracał na to uwagę, gdy kotara się podniosła, a pan Młodnicki, reżyser, grający zarazem Zbyszka, krótko przywitał zebranych. Dziwnie musiały brzmieć polskie słowa w niemieckim teatrze, pomyślała Nastia, ale zaraz zastanowiła się, w jakim języku mówią teraz we Lwowie.

Po spektaklu brawom nie było końca, gdy pan Młodnicki, wzywany przez publikę, trzy razy wychodził na scenę. Anastazja chętnie popatrzyłaby jeszcze na jego uśmiech i blask dumy w oczach, gdyby pierwsi widzowie nie zaczęli opuszczać sali. Pomknęła więc do szatni, żeby podawać im kapelusze i ciepłe okrycia, bo zimny listopadowy wieczór już wdzierał się do środka przez niewprawione jeszcze okna. Jako pierwsi podeszli dwaj chłopcy: jeden starszy, z blizną nad okiem, drugi młodszy, z policzkami usianymi piegami jak ziarnami maku. Nastia nie zrozumiała, o czym mówią – raz, że

szeptali, dwa, że używali chyba niemieckiego – ale kiedy starszy spojrzał jej w oczy, prawie ugięły się pod nią kolana.

Wieczór 18 listopada 1945 zapamiętała nie ze względu na premierę *Moralności pani Dulskiej* i powojenne otwarcie polskiego już teatru. Zapadł jej w pamięć, bo tego wieczoru, z miękkim płaszczem Niemca w dłoniach, uwierzyła, że jednak może ją tu spotkać coś miłego.

## 1954

– Podaj mi szarą sukienkę. No tę z kołnierzem.

Greta czekała z wyciągniętą dłonią, toteż Kurt bez wahania zanurkował w dębowym kufrze z żelaznymi okuciami, w którym babka przechowywała jeszcze ślubną wyprawę: prześcieradła, poszewki i obrusy, każdy z literami M. H. – od Margarethe Hecker – w rogu. Odnalazł sukienkę dość szybko: śliski materiał wymykał się z rąk i połyskiwał w słońcu jak gadzia łuska. Kurtowi, który przywykł do widoku babki w przepastnych spódnicach i fartuchach, niełatwo było wyobrazić sobie Gretę w czymś takim.

A jednak babka promieniała, jakby miała przymierzyć suknię ślubną.

– To moja najlepsza – oświadczyła, wygładzając nieistniejące fałdy, raczej z przyzwyczajenia niż z konieczności. – Dasz mi ją do trumny – dodała zaraz dobrze znanym tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Czuje się babcia gorzej? – Kurt przeraził się nie na żarty, bo Greta pierwszy raz tak otwarcie przyznała przed nim to, co nieuniknione, a od czego on stale uciekał w myślach. – Może pojedziemy do lekarza w Olsztynie? Umówię babcię...

Czerwone plamy, które wystąpiły na policzki Grety, raczej nie wróżyły, by zbyt szybko miała opuścić wnuka.

– Do lekarza? Żadnych łapiduchów, *zum Teufel!* – zaklęła. – Ale Olsztyn? – zastanawiała się głośno. – Właściwie dlaczego nie? Zobaczę w końcu twoją Anastazję. I ten wasz teatr. Może warto, żeby człowiek trochę świata zwiedził przed śmiercią?

– Co babcia znów z tą śmiercią? – Kurt pokręcił głową. – W piątek grają Fredrę. Może być? Kupiłbym bilety jutro po pracy.

– Nigdy nie byłam na Fredrze – zamyśliła się Greta. – Nie byłam właściwie na niczym – uśmiechnęła się bezzębными ustami, ale Kurt dawno przestał namawiać ją na wizytę u dentysty. Babka chyba wolałaby, żeby w jej drzwiach stanął sam *Teufel* niż jakikolwiek lekarz. – Ale widać człowiek głupiej na starość. To kup te bilety, chłopcze.

Kurt, wychodząc, zostawił Gretę tak uśmiechniętą i pełną wigoru, jak nie widział jej od lat. Powinien cieszyć się razem z nią, ale jakiś głos w jego umyśle kazał mu martwić się o nią bardziej niż zazwyczaj.

Ciekawiło go, jak Grecie podobało się i przedstawienie, i sama bryła teatru, górująca nad ulicą 1 Maja, ale przez całą drogę zarówno pieszo, gdy pomagał jej zejść po schodach, jak i później, w jego samochodzie, gdy odwozili ją z Anastazją, nie powiedziała ani słowa. Kurt jednak na tyle dobrze znał matkę swojej matki, by wiedzieć, że nie wytrzymałaby zbyt długo w miejscu, które nie zdobyło jej akceptacji. Tymczasem jeszcze na schodach Greta zatrzymała się i w skupieniu przyjrzała fasadzie, która z roku na rok zarastała coraz bardziej dzikim winem, podobnym do tego, które bezkarnie opłatało jej malutką chatę. Przez cały spektakl siedziała zasłuchana, zapatrzona w scenę jak zahipnotyzowana. Nie śmiała się co prawda z widownią, ale uśmiechała, a kiedy aktorzy wyszli na scenę po ostatnim akcie, jako jedna z pierwszych zerwała się z miejsca, by zacząć bić brawo. Kurt z czułością patrzył na jej drobną, zasuszoną sylwetkę, podobną raczej do dziesięcioletniej dziewczynki niż tęgiej kobiety, której bali się i Sowietci, i topielce. Kiedy to się stało, myślał, kiedy zdążyła tak się zestarzeć, zmaleć, skurczyć? Wyrzucał sobie, że nie zauważył tego wcześniej i kiedy odprowadzał Gretę do jej chaty, obiecywał sobie, że będzie ją odwiedzał częściej.

– Przyjadę w poniedziałek – zapewnił po herbacie, na którą zostali jeszcze z Anastazją. Babka wyciągnęła dłoń i pogładziła

najpierw policzek wnuka, potem dziewczyny. Niby skinęła głową, ale wydawała się nieobecna. Może wciąż przeżywała w myślach przedstawienie, gdy kurtyna wędrowała w górę, a publiczność zrywała się z miejsca, by oklaskiwać obsadę? Kurt zauważył, że babka przez cały spektakl miała złożone dłonie, ściśnięte na podołku szarej, eleganckiej sukienki jak w czasie nabożeństwa i przypomniały mu się słowa Juliusza Osterwy, które gdzieś przeczytał, a może zacytowała mu Nastia, że teatr powstał dla tych, którym nie wystarcza kościół. Może Greta doświadczyła tu czegoś, co jemu jeszcze nie było dane? Tak, zdecydowanie musiał zabierać ją do olsztyńskiego teatru jak najczęściej.

– Nie czekajcie ze ślubem – babka raz jeszcze poklepała Nastię po policzku.

– Dlaczego mielibyśmy czekać? – zdziwiła się dziewczyna, ale Greta znów była myślami gdzieś daleko, bo wpatrywała się w małe kwadratowe okienko, jakby za cienką ścianą szkła widziała coś więcej niż lepką, gęstą ciemność, tak jak w teatrze zobaczyła pewnie więcej niż wnuk, mimo że ten chodził tam od lat.

– *Guten Nacht*, dzieci – nim zamknęła za nimi drzwi, pomachała im jeszcze w wąskiej szparze światła. – *Danke*, Johann – uśmiechnęła się do wnuka w sposób, jakiego dotąd u niej nie widział. – Jak dobrze, że zabrałeś mnie do Treudanku.

– Johann? – Nastia ścisnęła jego dłoń już przed Olsztynem. Miała długie i zgrabne palce jak u pianistki. – Kto to?

Nie miał odwagi przyznać przed nią, że Greta nazwała go imieniem męża, który nie żył od prawie pół wieku.

Musiał odwiedzić ją szybciej niż w poniedziałek.

Właściwie wiedział, zanim zobaczył ją na łóżku, nieruchomą i z twarzą białą jak prześcieradło, którym była przykryta pod samą brodę. Wiedział, zanim nacisnął klamkę i wiedział właściwie, jeszcze zanim wysiadł z samochodu zaparkowanego pod skrzypiącą, prawie spróchniałą furtką. Wystarczyło, że zobaczył otwarte na oścież wszystkie okna, w których zasłony wydymały



się na wietrze jak żagle na pobliskim jeziorze, a już był pewien, że przez te okna ulatuje dusza. I to właśnie przez nie wieczność wdzierą się do środka.

Pierwszym, co zobaczył w izbie, było puste krzesło, stojące naprzeciw łóżka. I tylko zegar wciąż tykał, czekając, aż Kurt zatrzyma wskazówki. Potem przysunął sobie krzesło i usiadł obok pustego. Z początku nawet bał się na nie spojrzeć, przekonany, że babka siedzi na nim, jak siedziała obok w teatrze, na swoim jedynym spektaklu.

Inny spektakl Greta właśnie się zakończył.

## 2025

– Nie wierć się!

Kurt obserwował, jak jasnowłosy chłopiec w rzędzie przed nim co chwila podrywa się z krzesła, rozgląda albo stuka łokciami o oparcie. Drobna blondynka, która zajęła miejsce obok, początkowo jedynie upominała go szeptem, teraz jednak miała minę tak groźną, jakby zamierzała wytargać go za uszy. Nim jednak to zrobiła, stary Meissner wychylił się ze swojego rzędu i szepnął jej prosto do ucha:

– Daj mu spokój – Kurt mrugnął porozumiewawczo do wnuczki. Joasia miała piegowate policzki Hansa, poza tym do złudzenia przypominała mu młodą Anastazję z lata 1945, gdy sprowadziła się do Olsztyna z matką. – Janek pierwszy raz jest w teatrze. Nic dziwnego, że nie może usiedzieć w miejscu, prawda?

Prawnuk pokiwał głową, a jego matka westchnęła.

– Zawsze stajesz po jego stronie – stwierdziła.

Kurt przypomniał sobie innego chłopca, który prawie wiek temu wiercił się na tej samej widowni, czekając na swój pierwszy spektakl. Kto wie, może w jakimś równoległym świecie, gdzie Olsztyn wciąż nosi nazwę Allenstein, robi to nadal?

– Może dlatego, że sam taki byłem? – posłał wnuczkę uśmiechem, ale ten zginął w ciemności, która zapadła na widowni w ciągu sekundy. Został tylko snop światła, który przeciął ukośnie powietrze,

żeby ostatecznie paść na scenę, gdzie na tle czerwonej kotary stanął mężczyzna w garniturze.

– Panie i panowie, drodzy goście – rozpoczął, żywo gestykulując. – Nim zaczniemy przedstawienie, chciałbym skierować do was kilka słów. Nasz olsztyński teatr obchodzi w tym roku szczególną, podwójną rocznicę: stu lat istnienia i osiemdziesięciu lat sceny polskiej.

Kurt czuł, jak stopniowo zapada się w miękkie oparcie. Sto lat, *mein Gott*, jak to możliwe? Raz jeszcze wsłuchał się w słowa mężczyzny na scenie, a kiedy upewnił się, że to nie pomyłka ani jego wyobraźnia, powtórzył to szeptem cichszym niż oddech: sto lat teatru! Wiek, przez który Treudank z niemieckiego stał się polski, a w 1953, po ośmiu latach od ponownego otwarcia i samodzielnych rządów w mieście, dołączył do niego jeszcze Teatr Kukłowy, Amatorski Teatr Głuchych i dziesiątki mniejszych i większych scen, rozsianych najpierw po olsztyńskich domach kultury, a później po placówkach całej Warmii i Mazur.

Sto lat! A to znaczyło, że i on, Kurt Meissner, miał dokładnie tyle. Ile się wydarzyło przez ten czas? Jak zmienił się świat, teatr i zasiadający na jego widowni? Kurt przebiegł wzrokiem po znajomych twarzach w dwóch najbliższych rzędach. Nie bez wzruszenia myślał, że to jego wnuki i prawnuki – i nie bez łez wspominał tych, których zdążyło już zabraknąć. Rodzice, Greta, Hans, Nastia i ich najstarsza córka, Dorota. Ale taka jest cena za długie życie, uświadomił sobie. Przekleństwo długowieczności. Sto lat to wystarczająco długo, by Treudank stał się polskim teatrem. Sto lat to wystarczająco, by stracić tylu bliskich. Kurt wiedział, że lada moment i jego zabraknie, ale nie czuł smutku. Jego miejsce zajmie ktoś inny, kto z równie głośnym biciem serca będzie czekał na moment, aż ze sceny padną pierwsze słowa. Ten ktoś będzie oglądał te same sztuki, śmiał się w tych samych momentach i wzruszał na jego ulubionych scenach. Bo przecież sztuka nie umrze z nim, ona nigdy nie umiera, lecz wciąż się powtarza, powraca w nowych przedstawieniach i interpretacjach, odradza jak dawny teatr z Allenstein.

Może na tym właśnie polega nieśmiertelność?

Kurt zacisnął dłonie, na których ostatniego roku przybyło ciemnych plam jak na spracowanych rękach babki Greta – i nagle dostrzegł ją tuż obok siebie. Siedziała po jego lewej stronie, w odświętnej szarej sukience, z dłońmi złożonymi jak do modlitwy, jak tamtego wieczora, gdy oglądała swoje pierwsze i ostatnie przedstawienie. W tłumie mignęła piegowata twarz Hansa, złote włosy Mutti i poważna twarz ojca. A kiedy poczuł ciepłe palce, długie i szczupłe jak u pianistki, zaciskające się na jego kciuku, nawet nie musiał odwracać się w prawo, by mieć pewność, że siedzi tam Nastia. Kurt chwycił jej dłonie, gotów prosić, by jeszcze go nie zabierała, by pozwoliła mu obejrzeć jeszcze ten jeden spektakl. No i okno, dodał w myślach Kurt Meissner. Czy na pewno zdążył poprosić rodzinę, żeby po wszystkim otworzyli okna, tak jak mówiła babka Greta?

Chwilę później kurtyna poszła w górę. Janek piszczał z zachwyty. *Eviva l'arte!* Przedstawienie dopiero się zaczynało.

PATRYCJA WYSOKIŃSKA

# Możesz z tego wyjść, ale to nie wyjdzie z ciebie<sup>60</sup>

OSOBY:

**ILONA FASTRYGA**, garderobiana

**MACIEJ SZPRAJSA**, montażysta

**SYLWIA GADKA**, edukatorka

**JAN MIOTECKI**, pracownik gospodarczy

**TOPNIK**, wysiedlony, przesiedlony i osiedlony

**GIENIA**, widmo Eugenii Śnieżko-Szafnaglowej

---

60 Utwór zdobył trzecią nagrodę w Ogólnopolskim Konkursie Literackim SZPRAJSA na tekst nawiązujący do Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie.

## SCENA 1.

**TOPNIK:** Moja historia rozpoczyna się w wagonie typu *Dresden*, z dobytkiem mieszczącym się w jednej walizce. Pamiętam, jak z jadącego pociągu patrzyliśmy przez otwarte drzwi na przesu-  
wające się krajobrazy, na błękit nieba i skąpane w słońcu bezkre-  
sne jeziora i rzeki, ciągnące się między pagórkami polne drogi  
z samotnymi drzewami, płynące chmury i pędzące gdzieś wiatry.  
Wszystko było niesamowite: głębiny wielkiej wody, dzikie, rozpa-  
lone słońcem ugory, tajemnicze podmokłe łąki. Zarówno pierwszy  
dzień, jak i wszystkie inne były zawsze słoneczne i pogodne. Tylko  
takie pamiętam. I gdy do nich wracam, coś jakby ściska w piersi.

## SCENA 2.

*Ciemność.*

**SYLWIA:** Kto tu?

**JAN:** Stój, wymień hasło!

**SYLWIA:** *Wielka afera – zagoi się do wesela.*

**JAN:** Sylwia?

**SYLWIA:** Ta sama.

**JAN:** Bardzo akuratnie stawiacie się na czas, pani Sylwio.

**SYLWIA:** Ledwo co była dwunasta. Stój! Kto idzie?

**MACIEK:** *Skromność – skarb dziewczęcia.*

**SYLWIA:** A zatem dobrej nocy.

**MACIEK:** Cześć!

**JAN:** Czyli zebrała się już cała nasza trupa?

**GIENIA:** Trupa trupa. *Śmierć na wszystko pomoże.*

**MACIEK:** Ilona? Bądź zdrowa. Czyli wszyscy są.

**JAN:** Może zapalimy światło?

**SYLWIA:** Nie! Gdybyśmy zapalili, wytropiłoby nas tłumy ciekawych  
i przed czasem zwąchanoby nasze zamysły.

**MACIEK:** To powiedz, o czym jest sztuka, potem odczytaj aktorów i przystąp do rzeczy.

**SYLWIA:** A więc nasza sztuka nosi tytuł: *Najżałośliwsza komedia o najokrutniejszej śmierci Warmii i Mazur. Tragikomedia kołduńska w jednym akcie.*

**GIENIA:** Miała być Zapolska.

**SYLWIA:** Zapolska? Wszyscy znają Zapolską. Musimy myśleć nie-szablonowo.

**MACIEK:** Ja zagram wszystko, jak chcecie. Mogę Zapolską, mogę Przedpolską, mogę...

**SYLWIA:** Nie, ty musisz zagrać Warmię.

**MACIEK:** A ta Warmia to kto? Kochanek czy tyran?

**SYLWIA:** Kochanek, który się walecznie z miłości zabija.

**MACIEK:** To trzeba będzie trochę łez, żeby dobrze rzecz przedstawić. Czytaj dalej.

**SYLWIA:** Zatem Maciej Szprajsa, montażysta – rola Warmii. Jan Miotecki, dział gospodarczy?

**JAN:** Jestem.

**SYLWIA:** Musisz się podjąć roli Mazur.

**JAN:** A cóż to za jeden ten Mazur? Czy jaki błędny rycerz?

**SYLWIA:** Nie, jest to pani, którą Warmia ma kochać.

**JAN:** Ja chyba nie pasuję do tej roli.

**SYLWIA:** Mniejsza o to, będziesz grał twoją rolę w masce.

**MACIEK:** Skoro w masce, to ja też ją mogę zagrać.

**SYLWIA:** Nie, nie, musisz być Warmią, a ty, Janek, Mazurami.

**GIENIA:** A jaką ja mam rolę?

**SYLWIA:** Ty będziesz matką Warmii.

**GIENIA:** Miałam grać Dulską.

**SYLWIA:** Ilona, mówiłam, że Dulskiej tu nie będzie.

**GIENIA:** Przecież to moja rola. Dlaczego miałabym jej nie zagrać?

**MACIEK:** Ja mogę zagrać Dulską.

**SYLWIA:** Ilona, jeśli nie chcesz grać roli matki Warmii, to będziesz grała rolę prusaka. A ja, Sylwia Gadka, zagram ojca Mazur. Myślę, że wszystko rozdzielone.

**GIENIA:** Jak zagrać rolę Prusaka?

**SYLWIA:** Musisz ją grać *ex tempore*.

**MACIEK:** To dajcie mi także rolę prusaka. Będę tak prusaczył, że się przelekną ludzkie serca, będę tak prusaczył, że sam dyrektor zawoła: niech jeszcze zaprusaczy!

**SYLWIA:** Nie możesz grać żadnej innej roli niż Warmia. To rola najwspanialsza.

**MACIEK:** Więc dobrze, w takim razie podejmuję się tej roli.

**JAN:** Czy możemy wreszcie zapalić to światło?!

**SYLWIA:** Drodzy, błagam was teraz i proszę, i wymagam, żebyście się swoich kwestii nauczyli do jutrzejszej nocy. Zejdziemy się znów i zrobimy próbę. Tylko proszę, nie zróbcie mi zawodu.

**MACIEK:** Przyjdziemy. Nie żałujcie trudu, nauczcie się doskonale. Bądźcie zdrowi!

**SYLWIA:** Miejsce zbioru: to samo.

**JAN:** Dość na tym. Baczość! Do jutra!

*Sylwia, Maciek i Jan wychodzą. Zapalają światło.*

### SCENA 3.

**GIENIA:** Prusaka? Czy prusaka? Co to w ogóle za słowo? Prusak. Jak je wypowiedzieć? Wypluć z obrzydzeniem? Wysyczyć? Czy powiedzieć zwyczajnie? Jak byłoby autentycznie? Ale jak ja go zagram jako Dulska? Pogardzać czy tępić? Czy Dulska mówi to z nienawiścią, z lękiem, czy jakby z przyzwyczajenia? Czego ona od niego chce? A może to jest to samo? Może tu nie ma żadnej różnicy? Może Dulska jest prusakiem... Prusakiem? Albo prusak... Prusak jest Dulską... Nie, ja nic nie rozumiem. To zadanie jest bez sensu.

**TOPNIK:** Musisz zdecydować, czy jesteś nośnikiem tekstu, czy współtwórcą znaczenia.

**GIENIA:** He?

**TOPNIK:** Gdzie jesteś?

**GIENIA:** Ja? No jak to *gdzie*? Na scenie.

**TOPNIK:** W Olsztynie. Tu *Prusak* to historia z sąsiedniego mieszkania, gdzie jedno pokolenie mówiło po niemiecku, drugie już musiało po polsku. Tu domy mają warstwy – pruskie fundamenty, niemieckie tynki ukryte na ścianach pod farbą i na nich polskie tapety. Nie sądzisz, że aktorka w tym teatrze też jest częścią tej historii?

**GIENIA:** Ja tam nie mam czasu myśleć...

**TOPNIK:** Prusak. Prusak. Może Dulska wcale nie rozumie tego słowa. Może po prostu powtarza, jak i ja powtarzam. Prusak. Prusak. A jeśli z przyzwyczajenia powtarza dawne podziały, to czy nie jest tym samym, co ja? Echem tekstu, które wciąż się niesie? Może ty nie grasz Dulskiej, tylko jesteś prusakiem w jej świecie?

**GIENIA:** Kim ty w ogóle jesteś, żeby mi tu... prusaczyć?

**TOPNIK:** Duchem pokutującym.

**GIENIA:** Gdzie leżysz?! To moja scena! Przpracowałam tu pół życia, a nawet i po-życia, a ciebie tu nigdy nie widziałam. Błoto się z ciebie leje. Co mi deski moczysz?!

**TOPNIK:** To nie twoja scena.

**GIENIA:** Teatr należy do tych, którzy do niego wracają.

**TOPNIK:** To dobrze, bo ja nigdy nie odszedłem. Teatr powinien mówić o mnie i mojej historii, o przesiedlonych, bo to nasz dom.

**GIENIA:** To teatr, a nie urząd meldunkowy.

**ILONA (za sceną):** Noż kurwa mać! Ja pierdolę!

**TOPNIK:** Człowiek? Cicho!

**GIENIA:** A niech cię zasuszy!

**TOPNIK:** Odwidmuj się!

*Topnik ukrywa się. Gienia też, ale jej nie wychodzi.*



## SCENA 4.

**ILONA:** Przegrzebałam pół magazynu i nic! Nie ma tego cholernego futra. Zawsze musi się coś zepsuć przed rocznicą. Kto tu tak naświnił? Gdzie są wszyscy? Halo! Czy my się znamy?

**GIENIA:** Nie sądzę.

**ILONA:** Ilona Fastryga, garderobiana.

**GIENIA:** Eugenia Śnieżko-Szafnagłowa, aktorka.

**ILONA:** Niemożliwe!

**GIENIA:** A jednak.

**ILONA:** Przecież pani nie żyje.

**GIENIA:** Niech mi pani o tym nie przypomina.

**ILONA:** Ale jak to się w ogóle stało, że pani tutaj jest i... do mnie mówi?

**GIENIA:** Niech mi pani lepiej powie, jak mnie pani dostrzegła? Jak poznała?

**ILONA:** Zaczynałam tutaj pracę, kiedy pani swoją kończyła. Patrzyłam, jak grywała pani role kobiet prostych, często o zwichniętym życiorysie, z którymi życie nie obeszło się najlepiej, zmuszając niekiedy do kłamstwa, nieprawości i występku. To było mi takie bliskie. Do dzisiaj mamy jeszcze pani kostiumy.

**GIENIA:** Niemożliwe!

**ILONA:** A jednak!

**GIENIA:** Nikt mnie w tym teatrze nie poznaje. Błąkam się tu od lat, otwieram drzwi, robię przeciągi, czasami coś zrzucę, światłami zamrugam, na kark chłodem chuchnę i co? I nic. Patrzą, a w ogóle nie widzą. Nawet moje monologi ich nie wzruszają.

**ILONA:** Ja panią widzę. I to... jaką żywą!

**GIENIA:** To naprawdę ożywcze, co pani mówi. Wydaje mi się, że jesteśmy do siebie bardzo podobne. Wypijmy bruderszaft.

**ILONA:** Nie mogę... szacunek dla pani mi nie pozwala.

**GIENIA:** Szanować to będziesz własne buty, a mnie mów Gienia.

**ILONA:** Ilona.

**GIENIA:** Ładne imię.

**ILONA:** Po babci.

**GIENIA:** To, Ilona, co ty tu w ogóle robisz o tej porze? Nie boisz się?

**ILONA:** Ja tu pracuję. W tym teatrze jest więcej duchów niż aktorów, nie ma się czego bać. Drugi dzień szukam futra, bo robimy potajemnie spektakl. Taki od nas dla nas, prosto z serca.

**GIENIA:** Ojej, to przepiękne.

**ILONA:** Sylwia, nasza teatralna edukatorka, wymyśliła scenariusz i koniecznie musi mieć tam takie długie futro, ale jak na złość nie mogę żadnego znaleźć w magazynach. Jakby wszystkie wyparowały, jakby je mole zeżarły. Ale... ty masz piękne futro.

**GIENIA:** Spektaklu jubileuszowego?

**ILONA:** Tak, na osiemdziesięcio- i stulecie. Może też z nami zagrasz?

**GIENIA:** Może. Pożyczyć ci futro?

**ILONA:** Mogłabyś?

**GIENIA:** Najpierw herbatka. Chodź, opowiem ci, jak grałam z Solskim i Ćwiklińską.

*Gienia wychodzi z Iloną pod ramię.*

## SCENA 5.

**TOPNIK:** Bracia opowiadali mi w zimowe wieczory o diabłach gnieźdzących się w mokradłach. Słysząc tam było szmery, pomruki, wyjące psy i iskry rozpędzonych karet. Nawet za dnia towarzyszył mi dreszcz. Kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, mokradła najwcześniej okrywał półmrok, a w różnych krzewiastych, podmokłych zakamarkach budziły się tajemnicze, nieczyste siły. Wtedy ogarniał mnie paniczny strach. Uciekałem przed pędzącymi ze wszystkich stron duchami i upiorami. Po przekroczeniu granicznego ruczaju lęk zaczynał opadać. Dopiero jak wszedłem na wzgórze, przychodziła ulga. Wszystko to było takie niesamowicie prawdziwe – aż w końcu przestało.

## SCENA 6.

*Wchodzą Jan i Maciek.*

**JAN:** Powiem ci w tajemnicy, tylko nie mów tego nikomu, ale czuję się niepewnie z tą rolą.

**MACIEK:** Nie ma się czego bać. To tylko trema.

**JAN:** To nie o to chodzi, że mam tremę, albo że ta rola jest zupełnie do mnie niedopasowana, albo że nie czuję się dobrze na scenie.

**MACIEK:** Wystarczy oddychać. Zobacz – wdech i wydech, wdech i...

**JAN:** To w ogóle nie to.

**MACIEK:** No to w czym problem?

**JAN:** Mam poczucie, że ten scenariusz brzmi jak moje życie.

**MACIEK:** I co w tym złego?

**JAN:** Czuję odpowiedzialność, rozumiesz? Taki ciężar, że wiesz, że scenografia to nie tylko drewno. Chodzi mi o to, że moje życie jest nie tylko moje, ale i moich przodków, że w moim ciele zakłętą są geny i dusze tych, którzy byli przede mną i ja dzisiaj mówię ich ustami. Jakby teatr sam zaczął przez nas odtwarzać nie tylko sztukę, ale i całą swoją historię. I tak sobie myślę, że to nie my mówimy, ale to ktoś lub coś mówi przez nas. Że to nie my próbujemy spektakl, ale to spektakl próbuje nas. I ja zacząłem rozumieć, że to wszystko jest większe niż my sami. Rozumiesz to, Maćku?

**MACIEK:** Janku, o czym ty do mnie rozmawiasz, nie rozumiem. Ale zobacz, jest Sylwia, może ona zrozumie.

**SYLWIA:** Cześć, chłopaki. Co zrozumie?

**MACIEK:** Że próbujemy zrozumieć, czy to my nie rozumiemy naszej sztuki, czy sztuka nie rozumie nas.

**SYLWIA:** No i to rozumiem! Gdzie Ilona?

**MACIEK:** Pewnie jeszcze ćwiczy swoją rolę.

**SYLWIA:** Dobra, to zaczynamy bez niej.

**MACIEK:** Ale, ale... Są rzeczy w tej tragikomedii Warmii i Mazur, które podobać się nie mogą. Warmia musi się własną zabić ręką. Takiego widoku nie zniosą Warmiacy.

**JAN:** Tak, to straszna sprawa. Może opuścimy to samobójstwo na końcu?

**MACIEK:** W żadnym wypadku. Sylwia, po prostu napisz mi prolog, w którym będzie napisane, że nikomu nie zrobimy krzywdy, i że Warmia nie zabił się naprawdę, a ja, Warmia, nie jestem Warmia, ale nazywam się Maciek i jestem montażystą.

**JAN:** Ale czy Prusaka nie złęką się Polacy?

**MACIEK:** Ta rzecz też wymaga namysłu. Wprowadzić prusaka między Polaków to rzecz najstraszniejsza, bo nie ma okropniejszego owada na całej Ziemi.

**JAN:** A więc trzeba, żeby drugi prolog zapowiedział, że to nie prusak... Prusak?

**SYLWIA:** To się da zrobić. Ale są jeszcze dwie trudności. Pierwsza, jak wprowadzić światło księżycy na scenę, bo oni spotykają się przy świetle księżycy.

**MACIEK:** Możesz nam świecić latarką.

**SYLWIA:** Musimy jeszcze mieć drzewo, bo Warmia i Mazury, jak powiada historia, przez szparę w starej jabłoni nad jeziorem rozmawiali.

**JAN:** Nigdy nam się nie uda wnieść jabłoni na scenę.

**MACIEK:** Musi ktoś z nas jabłoń przedstawić.

**SYLWIA:** To mamy plan. A teraz próbujmy. Warmio, zaczynaj.

**WARMIA:** Jak mury poniemieckie, co skrywają ślady –

**SYLWIA:** Nie, nie „poniemieckie”, zamiast tego „pełne zdrady”!

**WARMIA:** Jak mury pełne zdrady, co skrywają ślady –  
Jabłoniowym słojem pamięci układy.

Dla mnie twych słów echo znaczenia ma tyle,  
Lecz cicho! Słyszę wrzawę, zaczekaj tu chwilę,  
Zobaczę, skąd ta wrzawa i wracam niebawem.

*Warmia wychodzi.*

**MAZURY:** Czy na mnie teraz kolej?

**SYLWIA:** A na kogo? Warmia wyszedł i wróci za chwilę.

**MAZURY:** Warmio mój, oprószony śniegiem sadzie,  
Rumiane masz policzki jak jabłoni kwiecie,  
Choć granice się zmieniają, wciąż cię widzę w śladzie,  
Co zostawił czas na ścianach, na wodzie, na świetle.  
Przyjdę do ciebie, droga, tam, gdzie jezioro fala  
Szepcze o dawnych latach, gdyś ty jeszcze trwała.  
**SYLWIA:** To nie twoja kwestia! Wracaj, Warmio.

*Wchodzi Maciek, skołowany, z głową prusaka.*

**MAZURY:** Co zostawił czas na ścianach, na wodzie, na świetle.  
**WARMIA:** Gdybym był drzewem, jabłonią, byłbym tylko –  
**JAN:** Maciek, co się z tobą stało? Co ja widzę na tobie?  
**MACIEK:** Co widzisz? Widzisz siebie, czy nieprawda?  
**SYLWIA:** Ty jesteś jakiś przedzierzgnięty, Maciek! Co ty na siebie włożyłeś?!  
**JAN:** To nie kostium... to jakaś kłątwa!  
**MACIEK:** Nie kłątwa. Przebudzenie.

*Maciek śpiewa. Pojawia się Gienia na dźwięk jego głosu.*

**GIENIA:** Jakież to głos mnie budzi z dawnych lat uśpienia?

*Maciek śpiewa.*

**GIENIA:** O, śpiewaj dalej, zaklinaczu dźwięku,  
Twój głos w moim sercu rozbrzmiewa bez lęku.  
Jak twoja postać myśl mą rozpała!  
Twój czar mnie więzi, twój rytm zniewala.  
**JAN:** To duch-mściciel! Wiedziałem, że to się tak skończy!  
**SYLWIA:** O czym ty mówisz?! O matko, widmo!  
**JAN:** I na dodatek chce sprawiedliwości! To zemsta za naszą sztukę! W nogi!

*Sylvia i Jan uciekają.*

- MACIEK:** Rozum i miłość rzadko kroczą w parze,  
Szkoda, że nikt ich spleść nie może w darze.  
Lecz widzisz, i ja potrafię zażartować,  
Gdy tylko scena głoś mi... podarować.
- GIENIA:** Twój dowcip lśni niczym twa uroda,  
Lecz sceny nie opuścisz – to jest twoja droga!
- MACIEK:** Gdybym nie miał rozumu tyle, co chęci,  
Już by mnie dawno ktoś tu uwięził.
- GIENIA:** O, z tejże sceny nie chciej uciekać,  
Chcesz czy nie chcesz, tu musisz zaczekać!

*Maciek wychodzi, Gienia za nim.*

## SCENA 7.

**ILONA:** Słuchajcie, nie uwierzycie – mam futro! Pusto? Znowu się spóźniłam? A niech to... Znowu sama w ciemnym, dusznym teatrze. Kiedy zaczęłam tu pracę, widywałam dziwną postać snującą się po korytarzach. Mówili, że to młoda aktorka, która w latach czterdziestych popełniła tu samobójstwo. Pojawiała się przed premierami, jakby chciała wesprzeć aktorów w ich pracy. Od lat widuję tu Gienię. Prawdziwy człowiek z krwi i kości – nie wszyscy ją kochali, ale nikt nie mógł jej przeoczyć. Czasami zdarza mi się słyszeć echa dawnych przedstawień albo widzieć samoistnie otwierające się drzwi czy migoczące światła. Podobno Niemcy przed końcem II wojny światowej zakopali w podziemiach teatru skarb, ale ja wiem, że jedynym skarbem, jaki tu jest, jesteśmy my – pochowane po garderobach, kulisach i magazynach. Zawsze obecne, ale nigdy na widoku. Mężczyźni piszą role dla kobiet, a potem mówią im, że są za stare, za młode, za ciche, za głośne. Kiedy wskazywałyśmy, że traktują nas jak rekwizyty, kazali nam

nie przesadzać. Niektóre z nas zostały w tych korytarzach – ich palce wciąż dotykają tkanin, choć nikt ich nie widzi. Teatr nigdy nie należał do nas. Ale dziś, choć nie jestem aktorką, gram. I co? Ktoś mnie w końcu usłyszy? Garderoba to nie kulisy, tylko inna scena. Moja scena. I dziś na niej gram.

*Jan skrada się za Iloną.*

**ILONA:** Janek!

**JAN:** Nie każ mnie, ja tylko zostawiłem telefon! ... Ilona? A co ty tu robisz?

**ILONA:** Mam wreszcie to futro!

**JAN:** Ale jakie futro? Aaa, futro! Wiesz co, jednak go nie potrzebujemy.

**ILONA:** Dwa dni szukałam tego futra, a ty mi teraz mówisz, że jest niepotrzebne?

**JAN:** Słuchaj, ja w ogóle nie wiem, czy dojdzie do tego spektaklu.

**ILONA:** Ale o czym ty mówisz?!

**JAN:** Ten jubileusz wywołał z piekiel potworne siły, które chcą nas zniszczyć. Słuchaj, ja już muszę iść. Lepiej tu nie zostawaj sama. Na razie!

**ILONA:** Ale futro...

## SCENA 8.

**TOPNIK:** Dawno, dawno temu była sobie dziewczynka o imieniu Ilona. Choć była jeszcze mała, często zdarzało jej się nie słuchać rodziców. Chodziła swoimi drogami i za nic miała przestrogi mamy, żeby nie oddalać się od domu. Pewnego dnia Ilona pomyślała...

**ILONA:** Jestem już duża i mogę pójść sama na przechadzkę!

**TOPNIK:** Nikomu nic nie mówiąc, wybrała się nad jezioro. Tego

samego słonecznego poranka rodzina prusaków mieszkająca nad jeziorem postanowiła przed śniadaniem z okruszków wybrać się do miasta po nowe resztki ze stołów.

**TATA-PRUSAK (JAN):** Okruszki są jeszcze za świeże. Postarzęją się w tym czasie.

**TOPNIK:** ...Stwierdził tata-prusak i wybrali się całą trójką: mama-prusaczka, tata-prusak i synek-prusaczek. Tymczasem Ilona szła przez las, aż doszła do spowitej słońcem tafli wielkiego jeziora, u którego brzegu stała uroczą chatkę z czerwonej cegły. Wokół były murowane budynki gospodarcze, a na środku podwórza królowała wielka jabłoń, na której gnieździły się niezliczone wróbelki, jerzyki i jaskółki. Tuż obok znajdował się ogródek z kwiatami i dalej – piękny sad. Ilona zapukała do drzwi chatki, ale nikt nie odpowiedział. Ciekawska dziewczynka otworzyła drzwi i zajrzała do środka.

**ILONA:** Cóż, skoro nikogo nie ma, wejdę i rozejrzę się trochę. Nikt się przecież o tym nie dowie.

**TOPNIK:** Ilona znalazła się w dużej kuchni. Na stole stały trzy miski pełne zeschniętych okruszków.

**ILONA:** Jestem trochę głodna. Poczęstuję się okruszkami.

**TOPNIK:** Najpierw spróbowała okruszków z dużej miski, ale były zbyt słone. Potem ze średniej, ale były za słodkie. Potem z najmniejszej miski i okazały się w sam raz, więc Ilona zjadła wszystkie. Najedzona, postanowiła pójść do dużego pokoju i odpocząć. Tam przed piecem stały trzy fotele. Ilona usiadła na największym, ale był za twardy. Drugi, nieco mniejszy, był za miękki, a trzeci fotel był bardzo malutki. Kiedy Ilona usiadła na nim, fotelik zarwał się i dziewczynka upadła na podłogę.

**ILONA:** Ciekawe, kto mieszka w tym domku?

**TOPNIK:** ...Zastanawiała się Ilona. Pobieгла drewnianymi schodami na samą górę i znalazła się w sypialni, gdzie stały trzy łóżka. Dziewczynka położyła się na największym, ale było za wielkie i za twarde. Potem wypróbowała mniejsze łóżko, ale było za miękkie. Trzecie, najmniejsze łóżko było w sam raz. Ilona położyła się na



nim wygodnie i od razu zasnęła, bo była bardzo zmęczona. Tymczasem prusacza rodzina wróciła do domu z porannego spaceru.

**SYNEK-PRUSACZEK (MACIEK):** Ktoś zjadł moje okruszki!

**TOPNIK:** ... Zawołał synek-prusaczek i pobiegł do salonu.

**SYNEK-PRUSACZEK (MACIEK):** Ktoś połamał mój fotel!

**TOPNIK:** ... Krzyknął. Mama-prusaczka i tata-prusak, widząc cały bałagan, złapali się za głowy. A potem podążyli za synkiem do sypialni.

**SYNEK-PRUSACZEK (MACIEK):** Mamo! Tato! Ktoś śpi w moim łóżeczku!

**TOPNIK:** ... Wrzasnął mały prusaczek, bo bardzo się przestraszył. Wtedy Ilona otworzyła oczy. Zobaczyła nad sobą trzy pary karaczanich oczu i przerażona wyskoczyła z łóżka. Nie spodziewała się spotkać w domku prusaków. Dziewczynka czym prędzej opuściła chatkę i pobiegła drogą przez las. I biegła, biegła, biegła... biegła ile sił w nogach.

## SCENA 9.

**GIENIA:** Na scenie światłem błyszczysz, mój miły,  
W ramionach mych zapomnisz o chwili.  
Głowę twą lśniąca w pióra ustroję,  
Niech każdy reflektor podziwia nas dwoje!

**MACIEK:** Muszę do lustra zajrzeć czym prędzej,  
Bo mam pył, kurz na twarzy i wszędzie.  
A jestem montażystą w teatrze szacownym,  
Lecz czuję się prusakiem – upartym i skromnym!

**GIENIA:** Czy chciałbyś słuchać muzyki, mój drogi?

**MACIEK:** Gdy młot nie stuka, a wiertła nie grają,  
To nuty mi w uszach melodią się stają.

**GIENIA:** Powiedz, mój słodki, co byś chciał na obiad?

**MACIEK:** Okruszki z bufetu, herbatę w szkle,  
Dla prostych, jak ja, to jak ucztą we śnie.

- GIENIA:** Mam sprytną garderobianą, co czyni starania,  
Znajdzie ci przysmak bez wahania!
- MACIEK:** Czuję, że sen mnie wciąga jak cień  
I kurtyna opada na noc i dzień.
- GIENIA:** Śpij! Ja cię w moje owinę ramiona,  
A wy, cienie, zmykajcie w ustronia!  
Tak role w teatrze z rąk w ręce płyną,  
Lecz duchy sztuki na scenie nie giną.  
O, jak cię kocham! Szaleję za tobą!  
Choć świat zapomni, tu będziesz na nowo!

*Zasypiają.*

## SCENA 10.

**ILONA:** Moja głowa... Co się wydarzyło? Dlaczego jestem taka dziwnie zmachana? Gdzie ja jestem?

**TOPNIK:** Ostpreußen, Allenstein, Hindenburgstraße, Landestheater Südostpreußen „Der Treudank”.

**ILONA:** Co takiego?

**TOPNIK:** Lata dwudzieste. Ilona Remlein, młoda pracownica allensteinskiej mleczarni, siedzi pod śnieżnobiałym parasolem przed wejściem do Treudank-Keller. Słońce ogrzewa jej dłonie, które nerwowo obracają bilet na *Zbójców* Friedricha Schillera w Południowo-Wschodniopruskim Teatrze Krajowym w Allenstein, ówczesnym Olsztynie. Mrużąc oczy, Ilona podnosi głowę i spogląda przez kratkowy płotek owinięty winobluszczem. Trzech mężczyzn przechodzi chodnikiem, głośno rozmawiając po niemiecku. Drzewa przy Hindenburgstraße rzucają krótkie cienie na wybrukowany podjazd. Jest upalnie. Winobluszcz wygrzewa się na części fasady teatru. Czterokrotnie powtórzony, pisany pochyłym pismem napis *Die Räuber* na białych szyldach razi w oczy. W olbrzymich oknach powyżej szyldów pootwierano lufciki, próbując zrobić przewiew.

*Wchodzi Jan jako Max Worgitzki.*

**WORGITZKI (JAN):** O, jest pani wcześniej.

**ILONA:** Panie prezesie.

**WORGITZKI (JAN):** Bardzo dobrze. Cieszę się, że pani zależy.

**ILONA:** Ja nie wiem, czy to jest dobry pomysł, żebym została aktorką. Gdzie ja z mleczarni do teatru?

**WORGITZKI (JAN):** Do odważnych świat należy. Gdzie chęć, tam i droga.

*Wchodzi Maciek jako Friedrich von Strom.*

**VON STROM (MACIEK):** Max!

**WORGITZKI (JAN):** Friedrich! Pani Remlein, to jest pan dyrektor Friedrich von Strom, który zarządza naszym wspaniałym teatrem. A to Ilona Remlein.

**VON STROM (MACIEK):** Miło mi. A więc to pani marzy o tym, by znaleźć się w zespole teatru?

**ILONA:** Ja, prawdę mówiąc...

**WORGITZKI (JAN):** Tak, to nasza młoda adeptka aktorstwa. Trochę nieśmiała, ale szybko się uczy. I od dziada pradziada stąd.

**VON STROM (MACIEK):** A, to świetnie. Piękny teatr, prawda? Gdyby nie starania pana Worgitzkiego, nie moglibyśmy go dzisiaj podziwiać.

**WORGITZKI (JAN):** To dar wdzięczności dla takich ludzi jak pani za wierność okazaną niemieckiej ojczyźnie podczas plebiscytu.

**ILONA:** Jest śliczny.

**VON STROM (MACIEK):** Widzi pani, to nie tylko teatr, to cała kulturalna warownia niemieckości. Treudank-Gaststätten obejmuje teatr, piwiarnię Treudank-Keller, w której właśnie siedzimy, oraz dwukondygnacyjną restaurację i ogród restauracyjno-koncertowy Treudankgarten.

**WORGITZKI (JAN):** A wie pani, co było w tym miejscu zanim powstał teatr? Łoża masonska.

**ILONA:** Niemożliwe!

**VON STROM (MACIEK):** Czy pan Worgitzki chwalił się pani, jak przyczynił się do powstania teatru?

**WORGITZKI (JAN):** Daj spokój, Friedrich. To była długa droga.

**ILONA:** Ależ to bardzo ciekawe.

**WORGITZKI (JAN):** Dobrze, ale gdybym przynudzał, proszę mrugnąć dwa razy. Musieliśmy dobrze przygotować grunt pod budowę. W 1922 roku utworzyliśmy spółkę Landestheater Südostpreußen GmbH, której udziałowcami były samorządy, organizacje społeczne i osoby prywatne. Musieliśmy także utrzyć nosa Gustavowi Kornegemu, właścicielowi hotelu Deutsches Haus, odbierając prawo organizowania przedstawień. Potem skłoniliśmy magistrat do przekazania nam parceli na budowę, aż wreszcie w 1924 roku architekt August Feddersen przedstawił swoją koncepcję gmachu... Dlaczego pani w ogóle nie mruga?

**ILONA:** Przepraszam. Zamyśliłam się.

**VON STROM (MACIEK):** Planujemy w teatrze wystawienie dramatu pana Worgitzkiego pod tytułem *Hercus Monte*. Myślę, że to panią bardzo zaciekawi, jest o powstaniu pruskim przeciwko Krzyżakom.

**WORGITZKI (JAN):** To naprawdę bardzo miłe, Friedrich.

**VON STROM (MACIEK):** Przyznam, Max, że tak naprawdę jestem miłośnikiem twoich publikacji dokumentacyjnych o tematyce plebiscytowej: *Der Kampf um Deutschlands Grenzen, Die Geschichte der Abstimmung in Ostpreußen...*

**WORGITZKI (JAN):** To, na czym tak naprawdę mi zależy, to aby jasno przeciwstawić się polonizacji i propagować niemieckość. Chciałem, by w Allenstein został zbudowany teatr, aby stał się on bastionem i jednocześnie krzewicielem niemieckiej kultury na wschodniopruskiej wyspie otoczonej morzem polactwa. I cieszę się, że chce być pani częścią tej wizji. Zapewniam panią, nigdy ze sceny w Allenstein nie zabrzmi słowo polskie.

## SCENA 11.

- TOPNIK:** Bądź, jak przed laty, niech obłęd uleci,  
Jak rosa na liściach, gdy świt je oświeci,  
Niech twoje oczy znów blaskiem zabłysną,  
Niech czary przepadną, rozwieją się mglisto.  
Zbudź się, Gieniu, z długiego uśpienia!
- GIENIA:** Ach, Topniku, jak straszne marzenia!  
Śniło mi się, że kochałam robaka...
- TOPNIK:** To twój kochanek.
- GIENIA:** Co za żenada!  
Powiedz mi, Topniku, jakże się to stało?  
Jak się nim teraz duszą brzydzę całą!
- TOPNIK:** Cicho! Niech spadnie to marne złudzenie,  
Niech scenie przywróci się dawne brzmienie.  
Teraz, Gieniu, niech twoja muzyka  
Na śpiących tu spłynie jak cisza mistyka,  
Nie do snu, lecz w śmierć ich zanurzy głęboko.
- GIENIA:** A my, Topniku, ulećmy wysoko!  
Opowiesz mi w locie, jak wśród śmiertelnych igraszkę się stałam,  
Na scenie, co nigdy niczego nie dała.  
Co to? Czemu nie lecimy?
- TOPNIK:** Nie wiem. Może jeszcze nie ma godziny?
- GIENIA:** Czekał, wiem, jest jeszcze Ilona!  
Muszę ją znaleźć, nim na wieki skonam!

*Gienia wybiega, zostawiając Topnika.*

**TOPNIK:** Ilona? Czas idzie i godzina, a człowieka nie ma.

## SCENA 12.

**MACIEK:** Przedziwne miałem widzenie – sen niepojęty. Zdawało mi się, że jestem... no właśnie, lecz zgadnąć tego nikt nie zdoła! Miałem coś wielkiego, lecz co – nie powiem, bo kto by odgadł, byłby... Nie, oko tego nie wysłyszy, ucho nie wywidzi, język nie wyczuje, ręka nie wypowie, a serce nie odgadnie, co mi się śniło tej nocy na jawie!

Sylwzię Gadkę namówię śmiało,

By balladę z tego skleila całą.

Nazwiemy ją *Sen Prusaka*, rzecz jasna,

Zaśpiewam ją wszystkim, gdy pora nasta.

## SCENA 13.

**SYLWIA:** Czy Maciek wrócił?

**JAN:** Ani słychu o nim. Bez wątpienia leży gdzieś nawiedzony. Jeśli nie wróci, krucho z naszą sztuką.

**SYLWIA:** Bez niego wszystko przepadło, bo nie ma w całym Olsztynie drugiego człowieka, co by mógł przedstawić Warmię. Bez niego nici z naszej premiery. Co za wstyd! Ciagle to samo! Człowiek chce coś zrobić, wypruwa sobie flaki i co? I nic! Zupełnie nic! I w imię czego? W imię cudzego niedbalstwa? W imię wiecznych braków i wiecznego „jakoś to będzie”? Przecież ja już nie mam siły! Ja to wszystko rzucę! Koniec pracy, koniec sztuki, koniec końców wyjdzie mi to na dobre! Trzymaj mnie, bo zaraz to wszystko rozwalę! Ach! Niech się samo gra, skoro wszystkim jest wszystko jedno!

**GIENIA:** Opanuj się, dziewczyno! Nie jesteś pensjonarką w sklepie z rękawiczkami!

**SYLWIA:** Odpieprz się ode mnie! Ty niewydarzony duchu! Myślisz, że możesz się po prostu pojawiać i nas tu bezczelnie nawiedzać?! Kim ty w ogóle jesteś, co?! Zniszczyłaś mi premierę! Zniszczyłaś mi marzenia! Zniszczyłaś mi życie! Odpieprz się od nas raz na zawsze!

**GIENIA:** Och!

*Gienia wybiega.*

**JAN:** No świetnie. Obraziłaś widmo. Teraz na pewno się na nas zemści!

**SYLWIA:** Co? Duchu, nie obrażaj się! Ja to naprawdę wykrzyczałam? Strasznie mi głupio. Błagam, my musimy zrobić tę premierę! Przepraszam! Poczekaj!

*Sylwia wybiega za Gienią.*

**JAN:** Idę spisać testament.

*Wchodzi Maciek.*

**JAN:** Maciek?! Ty żyjesz?!

**MACIEK:** Gdzie moje serduszka?

**JAN:** O szczęśliwa gadzino!

**MACIEK:** Mógłbym ci cuda opowiedzieć, ale nie pytaj, co to za cuda, bo jeśli ci powiem słówko, nie jestem montażystą. O mnie ani słowa. Publiczność przyszła. Gdzie dziewczyny?

**JAN:** Walczą z duchami.

**MACIEK:** Dziwne hobby. Chodź, zaraz je znajdziemy!

*Wychodzą.*

## **SCENA 14.**

**GIENIA:** Ilona! Ilona! Już się bałam, że cię straciłam! Jakaś egzaltowana pensjonarka rzucała się po całej scenie! Co za czasy nastały! Żeby tacy ludzie na scenie!

**ILONA:** Gienia! Weź mnie nie przenikaj, jesteś lodowata. Co się stało?

**GIENIA:** Przepraszam, ciągle zapominam o swoim upiornym stanie. Musisz mi pomóc!

**ILONA:** Ale w czym?

**GIENIA:** Ja chcę na emeryturę. Mam dosyć straszenia. Chcę polecieć gdzieś, gdzie są okna, gdzie widać niebo, bo inaczej oszaleję. I będę szaleć tu jak przeciag.

**ILONA:** Gienia, spokojnie. Ale jak to zrobić? Nie możemy chyba napisać wniosku?

**GIENIA:** Ja muszę zagrać Dulską.

**ILONA:** Ale widzowie i tak cię nie zobaczą.

**GIENIA:** To nie dla nich. To dla mnie. Ty zagrasz ze mną.

**ILONA:** Ja nie umiem grać.

**GIENIA:** Bzdura. Masz, weź to futro.

**ILONA:** Ale ja jestem tylko garderobianą...

**GIENIA:** A kto powiedział, że musisz być tylko garderobianą? Dalej, mów jak Juliasiewiczowa.

**ILONA:** Nie znam tekstu.

**GIENIA:** To na nic. Zostanę tu na zawsze. Będę się błąkać. Sama nie wiem za czym...

**ILONA:** Jesteś pewna, że to jest twoja niezłatwiona sprawa? Ty już przecież wiele razy grałaś Dulską. To musi być coś innego. Czy jest jakaś rola, której nie zdążyłaś zagrać?

**GIENIA:** Zagrałam już wszystko. Wszystko, rozumiesz, Ilona? Ja tu zostanę na wieki!

**ILONA:** Spróbuj sobie przypomnieć, na pewno jest coś, czego ci się nie udało zagrać.

**GIENIA:** Nie, na pewno nie. Zaraz... *Zbrodnia i kara!* Nie zdążyłam zagrać lichwiarki w adaptacji scenicznej *Zbrodni i kary* Dostojewskiego. Teraz sobie przypominam, że na początku września 1981 roku odwiedził mnie w szpitalu ówczesny dyrektor teatru Krzysztof Rościszewski, strasznie namawiał, więc zgodziłam się przyjąć rolę. Ale potem mi się zmarło i jakoś tak od tego czasu się tu snuję.

**ILONA:** Może gdybyś zagrała tę rolę, to mogłabyś wreszcie odejść na wieczną emeryturę?



**GIENIA:** Tak myślisz? Tylko że sama tego nie zagram.

**SYLWIA:** Ja ci pomogę.

*Wchodzi Sylwia.*

**GIENIA:** Ty?

**SYLWIA:** Znam tę powieść na pamięć. A to, co wykrzyczałam, to naprawdę było niechcący.

**GIENIA:** Chcesz to zagrać ze mną?

**SYLWIA:** Nie gniewasz się? Głupio się zachowałam. Za dużo emocji.

**GIENIA:** A ty na mnie? Poniosło mnie z tą pensjonarką.

**SYLWIA:** To byłby zaszczyt.

**ILONA:** Weźcie to jako kostiumy.

*Ilona rozdaje Gieni i Sylwii fragmenty kostiumów.*

## SCENA 15.

*Gienia jako Lichwiarka uchyla drzwi, dostrzega za nimi Sylwię jako Raskolnikowa. Sylwia łapie za klamkę i pociąga drzwi ku sobie. Wchodzi do środka. Gienia odskakuje, chce coś powiedzieć, ale tylko wytrzeszcza oczy.*

**RASKOLNIKOW (SYLWIA):** Dobry wieczór pani. Przyniosłem pani... fancik... ale lepiej chodźmy dalej, do światła...

*Sylwia odchodzi na bok. Gienia drepcze za nią.*

**LIChWIARKA (GIENIA):** Na Boga! Czego pan chcesz? Co pan sobie życzy?

**RASKOLNIKOW (SYLWIA):** Ależ, droga pani, znajomy... Raskolnikow... przyniosłem fancik, o którym pani wspominałem onegdaj...

*Sylwia wyciąga fant. Gienia patrzy podejrzliwie, wręcz drwiąco. Milczą.*

**RASKOLNIKOW (SYLWIA):** Cóż się pani tak patrzy, jakbyś mnie pani nie poznała? Chcesz pani, to pani bierz, a nie, to pójdę do kogo innego, nie mam czasu.

**LICHWIARKA (GIENIA):** Ale co pana tak przypiliło... co to jest?

**RASKOLNIKOW (SYLWIA):** Srebrna papierośnica: przecież mówiłem zeszłym razem.

*Gienia wyciąga rękę.*

**LICHWIARKA (GIENIA):** Lecz coś pan taki blady? O! i ręce drżą panu! Kapałeś się pan, czy co?

**RASKOLNIKOW (SYLWIA):** Gorączka. Mimo woli można zblednąć, gdy nie ma co jeść.

*Gienia bierze fant, waży go w rękę.*

**LICHWIARKA (GIENIA):** Co to takiego?

**RASKOLNIKOW (SYLWIA):** Przedmiot... papierośnica... srebrna... niech pani obejrzy.

**LICHWIARKA (GIENIA):** Jakoś mi się nie zdaje, może i nie srebrna?... A to zawinał.

*Gienia próbuje rozwinąć sznurek, odwraca się do światła. Sylwia wyciąga spod futra topór, gdy nagle jakby zakręciło jej się w głowie.*

**LICHWIARKA (GIENIA):** Ale kto tu poradzi!

*Gienia odwraca się, a Sylwia spuszcza topór na jej głowę. Gienia krzyczy słabo. Przysiada na podłogę, wyrzucając ręce w stronę głowy. W jednej jest jeszcze „fant”. Sylwia uderza jeszcze raz, Gienia pada. Sylwia nachyla się nad nią. Twarz Gieni zastyga w grymasie. Pozostali patrzą po sobie. Nagle Gienia się podnosi.*

**GIENIA:** To na nic, Ilona, to na nic! Zostanę tu na zawsze! To wszystko na nic!

*Gienia ucieka z płaczem.*

## SCENA 16.

**TOPNIK:** No i co ty zrobiłaś, Ilona?

**ILONA:** A co miałam zrobić?

**TOPNIK:** Koło miejsca, gdzie mieszkałem, była spalona, opustoszała, samotna zagroda. Bałem się tam chodzić, nawet za dnia. Pod koniec wojny, gdy Armia Czerwona była już blisko, gospodarz – hitlerowski fanatyk – zastrzelił żonę i córki, spalił zagrodę wraz z inwentarzem, a potem popełnił samobójstwo. Długo jeszcze ziemia pamiętała ich kroki. Często też jako dziecko bawiłem się na poniemieckim cmentarzu. Był na wzgórzu, z widokiem na jezioro. Raz znalazłem tam wykopanego kościotrupa. Straszny widok.

**ILONA:** Boisz się duchów?

**TOPNIK:** Nie boję się duchów, Ilona. Boję się, że pewnego dnia nikt już nie będzie o nich pamiętał.

**ILONA:** A kto pamięta o tobie?

**TOPNIK:** To nie ma znaczenia. Urodziłem się wtedy, kiedy się nie urodziłem, prawdopodobnie pół roku wcześniej, kilka kilometrów na wschód od Wilna. Mama miała francuską krew, ojciec pochodził z Poznania, a jego dziadek był Bawarczykiem. Ale kim by nie byli – zawsze czułem się dumny ze swej polskości.

**ILONA:** A ty byś podpisał?

**TOPNIK:** Co?

**ILONA:** Że jesteś jednym z tych, co zostają? Czy wyjechałbyś?

**TOPNIK:** Nie wszyscy mogli wybierać. Mazurzy musieli zdecydować: zostać i udawać, że zapomnieli, kim są albo wyjechać i nigdy nie wrócić.

**ILONA:** A my? My możemy wybrać?

**TOPNIK:** Nikt tu nie zostaje na zawsze.

**ILONA:** To znaczy, że to wszystko nie ma znaczenia? To, że próbujemy, gramy, montujemy, edukujemy, tworzymy i budujemy ten teatr?

**TOPNIK:** To znaczy, że jeśli nie będziemy pamiętać, to ktoś kiedyś powie to samo o nas.

**ILONA:** A może my już jesteśmy tylko cieniami?

**TOPNIK:** Niektórzy dostają role. Inni je sobie biorą.

**ILONA:** Boję się, że przyjdzie dzień, gdy nie będzie tu nikogo, kto chciałby je zagrać.

**TOPNIK:** A może my nie gramy? Może tylko powtarzamy cudze kwestie, a scena była zajęta na długo przed nami?

**ILONA:** Co masz na myśli?

**TOPNIK:** Wiesz, że jezioro to idealne miejsce na zakończenie historii? Woda tam jest głęboka, czysta. Kiedy tam pływam, zawsze zastanawiam się... jak to jest, po prostu dać się ponieść? Nie walczyć. Nie wybierać. Nie grać.

**ILONA:** Nie rozumiem.

**TOPNIK:** Nie musisz. Wystarczy, że tam pójdziesz. Na chwilę. Zobaczysz, jakie to uczucie – być częścią wody, nie zostawiać śladów.

**ILONA:** Brzmisz, jakbyś mówił o sobie.

**TOPNIK:** Może. Chodź, opowiem ci, jak skończyła się bajka o Ilonie i rodzinie Prusaków. A potem pójdziemy nad jezioro. Zobaczysz, że woda wszystko zapomina.

**ILONA:** Zostaw mnie! Nie wciągaj! Nie teraz. Mam najpierw coś do skończenia!

*Ilona wybiega.*

## SCENA 17.

*Wchodzi Sylwia jako Prolog.*

### **PROLOG (SYLWIA):**

Jeśli nasz spektakl wyda się chybiony,  
Nie gniewajcie się, bo był przeznaczony  
Nie do zachwytu i nie dla poklasku,  
Lecz aby pokazać cię dawnych blasków.  
Opowieść, co wnet przed wami się stanie,  
Ma miłość, przeszkody, smutne rozstanie.  
Gdy prawda zniknie za pluszem kurtyny –  
Dojrzyście, jak los zaigrał z niewinnych.  
Ten oto Warmia, jeśli chcecie wiedzieć,  
A to Mazury – mogę wam powiedzieć.  
Ta dama jest drzewem – nie byle jakim –  
Skrywa sekrety wśród jabłek z robakiem.  
Gdy dwójka kochanków w jej cieniu stała,  
Nadzieję szeptali, co przyszłość zabrała.  
Kiedy księżyc nad wodą odbił ich twarze,  
Przysięgli miłości wieczyste ołtarze.  
Lecz prusak w mroku ich los odmienił,  
Gdy Mazury przysiadła na kupie kamieni.  
Spłoszona prusakiem, umknęła szybkim krokiem,  
A prusak rzucone futro pomazał odwłokiem.  
Czerwienią splamił włosie, jedwab i wełnę,  
Zostawiając ślad – znak zguby niepewnej.  
Warmia, w rozpacz, w pierś ostrze zanurzył,  
A Mazury za nim – och, ból w sercu wtórzył.  
Jabłoń, księżyc, prusak, los dawnych krain,  
Każdy wam resztę historii odprawi.

**TOPNIK:** Dziwno by mi było, gdyby prusak przemówił.

**GIENIA:** A cóż w tym dziwnego, mój królu, gdy Prusaków w teatrze  
było tu wielu?

*Wchodzi Ilona jako Jabłoń.*

**JABŁOŃ (ILONA):**

Jabłonią zostałam na scenie, o panie,  
Choć w życiu mym było mi inne zadanie.  
Szumem mych liści kochanków skrywałam,  
Lecz czasu zatrzymać nigdy nie zdołałam.  
Patrzcie na pęknięcia, na sęki i blizny,  
W nich cała pamięć i losy ojczyzny.  
Oto i kamień, oto i mech,  
Dowód, że czas tu odcisnął swój pech.  
Cień mój ich łączył, a los ich rozdzielił,  
To czas korzenie me wykopieł.

**GIENIA:** To najrozumniesze drzewo, jakie słyszałam.

**TOPNIK:** Warmia zbliża się do jabłoni, słuchajmy!

*Wchodzi Maciek jako Warmia.*

**WARMIA (MACIEK):**

O nocy czarna, w mgły owinięta,  
Gdzie słońce nie sięga, tam twa potęga.  
O nocy ciemna, co światło pochłaniasz,  
Gdzie słońce nie sięga, tam cień zostawiasz.  
O nocy, co kryjesz sekrety i zdrady,  
Czy ujrzę w tobie choć cień mej ballady?  
O, jabłoni, strażniczko wspomnień, co dzielisz te  
ziemie,  
Czy w twoich liściach ukryte me brzemię?  
Czy pozwolisz mi przez twą szczelinę  
Zobaczyć mych marzeń świetlistą krainę?

*Jabłoń unosi gałęzie.*

Dzięki ci, drzewo, że świat mi odsłaniasz,  
Lecz biada mi – tu tylko cisza się kłania!  
Brak tu mego szczęścia kształtnych brył,  
Niech twoje owoce rozsypią się w pył!

*Wchodzi Jan jako Mazury.*

**MAZURY (JAN):**

O, jabłoni, w twoim cieniu stałam,  
Wiśniowymi ustami twe liście grzałam,  
Pod nimi on szeptał miłosną prośbę,  
Lecz dziś twe owoce są szare i mroźne.

**WARMIA (MACIEK):** Czy to twój głos? Czy echo, co znika?

Gdzie jesteś, Mazury? Serce me pika!

**MAZURY (JAN):** To ty, Warmio? Czy mam w to wierzyć?

**WARMIA (MACIEK):** Twój wierny Jonagold chce twą sławę szerzyć.

**MAZURY (JAN):** A ja, twa Lobo, wierna po kres,

Dopóki śmierć nie rozłączy nas też.

**WARMIA (MACIEK):** Pocałuj mnie, kochana, przez liści splot cichy.

**MAZURY (JAN):** Ach, nie twe usta – lecz wiatr i pył lichy!

**WARMIA (MACIEK):** Czy przy grobie chcesz na mnie czekać?

**MAZURY (JAN):** Lecę na śmierć lub na życie, nie będę zwlekać!

*Wychodzą: Jabłoń, Warmia i Mazury. Wchodzi Ilona jako Prusak.*

**PRUSAK (ILONA):**

Wy, co lękacie się cienia i nocy,  
Gdy coś wam mignie pod nogą, jak z procy,  
Wy, co w trwodze drżycie,  
Gdy coś wam przez izbę wędruje skrycie,  
Posłuchajcie mnie, jam cień tej ziemi,  
Na ceglach i desce mój się pancierz mieni.  
To ja, Prusak, w ścianach ukryty,  
W domach pradawnych, w bruku wyryty.

**TOPNIK:** Co za osobliwa i sumienna bestia!

**GIENIA:** Jeszcze nie widziałam prusaka takiego!

**TOPNIK:** A teraz niech los dokończy swą księgę, a my słuchajmy, co dalej się dzieje.

*Wchodzi Jan jako Mazury.*

**MAZURY (JAN):** To stary grób... lecz gdzie mój ukochany?

**PRUSAK (ILONA):** Och!

*Mazury ucieka, gubiąc futro, wchodzi Warmia.*

**WARMIA (MACIEK):**

Dzięki, księżycu, co świecisz nade mną,  
Dzięki, że blask twój pozwala mi jedną  
Ostatnią chwilę jej twarz dostrzec w oddali,  
Okrągłą niczym ty, księżycu, na nieba stali,  
I dotknąć pestek, miąższu jej ciała,  
By w nocnej ciszy jej dusza nie czekała.  
Lecz co to? Futro krwią splamione!  
Czemuż je me oczy mgłą zasłonię  
Widzą? O, jabłuszko, me życie,  
Toż to soków twych wypicie!

*Warmia wbija miecz w serce.*

Niech nożyce przeznaczenia  
Przetną mego życia tchnienia,  
Niechaj wszystko się zamyka,  
Niechaj świat mnie nie dotyka!  
Niech się losu sploty przetną,  
Niech mnie drzewa zgniętą!  
Gińcie, gwiazdy, gińcie, dni,  
Bo ja ginę – phi! phi! phi!



*Warmia umiera. Wchodzi Mazury.*

**MAZURY (JAN):**

Czy śpisz, kochaneczku?  
Co? Umarłeś, szampioneczku?  
Warmio, odpowiedz mi słowem!  
Czy śmierć odebrała ci mowę?  
O nocy! On nie żyje!  
Ziemia jego soki pije.  
Niechaj stal mnie też przebije,  
Niechaj i mnie zeżrą w ziemi wije!

*Mazury wbija miecz i umiera.*

**GIENIA:** I oto finał tej wielkiej historii o miłości, co runęła wśród ruin!

**TOPNIK:** Utopili się w zapomnieniu.

**GIENIA:** Przepraszam, coś mi wpadło do oka.

*Gienia odchodzi na bok. Do Gieni podchodzi Prusak.*

**PRUSAK:** Nie smuć się.

**GIENIA:** Chyba utknęłam tu na zawsze.

**PRUSAK:** Ja ci pomogę.

**GIENIA:** Wiesz, że ja nadal nie wiem, jak cię zagrać?

**PRUSAK:** Prosto, z serca.

**GIENIA:** Kiedy tu przyjechałam, myślałam, że tworzę coś nowego. Że jestem pierwsza. Ale wszystko już tu było. Tylko inaczej. Byli ludzie, których nigdy nie poznałam. Głosy, które nie wybrzmiały na tej scenie. Ściany, które nie chciały mówić w moim języku. Byłeś ty. Tylko wtedy jeszcze nie wiedziałam, że jesteś.

**PRUSAK:** Ja zawsze byłem. Patrzyłem, jak wynosili tych, co tu żyli. Patrzyłem, jak inni ich miejsce zajęli. Patrzyłem, jak ściany zmieniały nazwiska. Patrzyłem... aż przestali mnie widzieć. Myślałem, że jeśli się dostosuję, zostanę. Byłem cichy, nie prosiłem,

nie mówiłem. Ale kto milczy, ten nie istnieje. Kto nie ma głosu, temu nikt nie odpowie.

**GIENIA:** Więc mów teraz.

**PRUSAK:** Kiedy obudziłem się pewnego ranka, coś się we mnie zmieniło. Chciałem zniknąć. Wtopić się w ściany, w kurz, w zapomniane afisze. Ale kto pamięć zgubi w kurzu, ten już nie znajdzie drogi do domu. Myślałem: może jeśli pośpię dłużej, zapomnę. Ale zrozumiałem, że choć ja z tego wyjdę, to to nie wyjdzie ze mnie. Nie da się zapomnieć. Można co najwyżej przetrwać. Więc przetrwałem – w tapetach, w ścianach, w deskach sceny. Przeżyłem teatr, który tu stał, i ten, który po nim przyszedł. Byłem pod butami wszystkich tych, którzy przyszli po tamtych. I dalej jestem. Bo ja niczego nie gram. Ja pamiętam.

**GIENIA:** Byliśmy tu bez pieniędzy, bez sceny, bez widowni. Ale wiedzieliśmy, że musimy grać. Przysłali po mnie z teatru. Ministerstwo. Jeśli nie zagramy, nie będzie funduszy. Więc wystawiliśmy *Dulską*. Ja miałam grać główną rolę. Ja?! Całą drogę do teatru płakałam.

**PRUSAK:** A jednak zagrałaś.

**GIENIA:** Oczywiście, że zagrałam. Bo nie można milczeć, kiedy scena jest gotowa. To była pierwsza premiera w języku polskim w tym mieście. Sala pełna, brawa za brawami. Myślałam wtedy, że wygraliśmy. Ale dziś wiem, że tu nie było wojny do wygrania. Tylko teatr, który należało grać.

**PRUSAK:** A ja myślałem, że jeśli będę cicho, zostawią mnie w spokoju. Że jeśli będę pracował, pozwolą mi zostać. Byłem narzędziem, trybikiem, przemykającym po kątach cieniem. A potem zrozumiałem: nie muszą cię wyrzucać, wystarczy, że przestaną cię widzieć.

**GIENIA:** A jednak jesteś.

**PRUSAK:** Bo ktoś mnie wreszcie usłyszał.

**GIENIA:** Trafiłam na tę scenę i zostałam tu do końca życia. A nawet dłużej.

**PRUSAK:** To znaczy, że nadal możemy grać.

**GIENIA:** Niemożliwe... Robię się przezroczysta. Znikam! Emerytura! Prusaku, dziękuję.

*Gienia znika.*

**PRUSAK:** Nie ma za co. Nie ma cię. A jednak jesteś. Niektórych ról nie da się już zagrać, ale wciąż można je pamiętać.

# Der Tрудank<sup>61</sup>

*Skryte i bojaźliwe milczenie... Leży ono na tej ziemi wszędy,  
kiedy Smętek przeszedł.*

Melchior Wańkowicz, *Na tropach Smętka*

## 1920

– Wicher dujo jak lichy – mówi do siebie Józef Sztybel.

Szepcze, ale Barbeczka jak zwykle słyszy. Takie to żonine moce.

– Nie godoj tak, bo jakie złe wywołasz.

Józef nie odpowiada, nie ma po co. W odróżnieniu od połowicy nie wierzy w gusła. On jest człowiek poważny, światowy. Regularnie bywa w Allenstein, a nawet w raz zawitał do Warszawy.

---

61 Utwór został wyróżniony w Ogólnopolskim Konkursie Literackim SZPRAJSA na tekst nawiązujący do Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie.

W wyobraźni często stawia siebie na równi z burmistrzami dużych miast. Bycie sołtysem to dokładnie taka sama odpowiedzialność, ba, nawet większa! Duże miasto w końcu opływa w dostatki. Nie to co skromna mazurska wieś, gdzie czasem chłodno i głodno, zwłaszcza na przednówku. I jeszcze te ostatnie wojny! Józef w pewnym momencie stracił rachubę, kto przeciw komu i gdzie te granice, o które wszyscy tak zabiegają. Długo myślał też, za kim stanąć w plebiscycie, w którego sprawie wszyscy ostatnio agituja. Nawet Francuzi w tej sprawie przyjechały, ponoć uczciwości głosowania doglądać. Dlatego Józef uznał, że to poważna sprawa. I podjął decyzję godną człowieka światowego. Wie, że okoliczni sołtysowie nie są tak decyzyjni i mocni. Większość jeszcze się waha. Ale nie on. Nazwisko Szybel zobowiązuje.

Na zewnątrz zaczyna padać. Nie, nie padać – lać. Jak zwykle o tej porze wraz z wiatrem przybywa letnia burza. Na grzmoty i błyskawice nie trzeba długo czekać. Dobrze, że Barbeczka schowała pranie przed zmrokiem.

Nagle rozlega się pukanie. Głośne, słychać mimo zawieruchy. Barbeczka patrzy to w kierunku drzwi, to w kierunku komory, gdzie śpią dzieci. W jej oczach widać niepokój.

Pukanie rozlega się ponownie, jeszcze bardziej natarczywie.

– Kogo niesie o tej porze?

– Gość w dom, Bóg w dom – odpowiada Józef, jak na światowego człowieka przystało.

Otwiera drzwi.

W progu stoi mężczyzna odziany w czarne palto. Z ronda kapełusza spływają strugi deszczu.

– Wybaczcie, że nachodzę, gospodarzu. Automobil mi utknął w błocie. Wpuściecie?

– Wchodźta – mówi Józef, w skrytości ducha zadowolony z obecności gościa. To miła odmiana móc wieczorem pomówić z kimś innym niż z żoną, która i tak przeważnie woli słuchać. Zwłaszcza że gość wydaje się na poziomie. Ma automobil! Może to jeden z Francuzów? Chociaż chyba nie – za dobrze mówi po polsku.

Może to ziemianin albo nawet arystokrata?

– Dziękuję – mówi gość z wyraźną ulgą. Wyciąga dłoń na powitanie. – Jestem Klemens Czernik.

– Józef Sztybel. A to moja żona, Barbara.

– Kłaniam się szanownej pani.

Bez mokrego płaszcza i kapelusza Klemens Czernik wygląda jeszcze bardziej elegancko i dostatnio. Ma garnitur szyty na miarę i okulary, które zdają się pochłaniać kominkowe światło. Józef puchnie z dumy. Taki gość! Będzie o czym mówić w karczmie.

– Wódeczki?

– Z chęcią.

Barbeczka przynosi dwie szklanki, butelkę siwuchy i kiszzone ogórki, obficie oklejone koprem i płatkami czosnku. Krzątania jest sztywna i pełna napięcia. Józef wyczuwa, że żona nie podziela entuzjazmu względem nocnego gościa. Ale co ona tam wie?

– Co tam słyhać w wielkim świecie? – zagają Józef.

– Poza ofensywą bolszewików? Chyba nic ciekawego.

– Pan nie na froncie?

– Walczę innymi metodami.

Józef przez chwilę duma nad dziwną odpowiedzią.

– Zdrowie! – przerywa ciszę.

– Zdrowie.

Piją, częstują się przekąskami. Józefa cieszy, że gościowi wyraźnie smakuje prosta strawa. Nic dziwnego. Barbeczka kisi ogórki jak mało kto.

– No i jest jeszcze plebiscyt – mówi w końcu pan Czernik jakby nigdy nic.

– Ano.

– Słyszałem po wsiach, że cieszyacie się miem w okolicy.

Józef prawie eksploduje z dumy. Elegancki gość o nim słyszał!

Czernik wydaje się jednocześnie arystokratyczny i swojski. Jak bóg, ale nie odległy bóg w niebiosach, tylko taki tutejszy, przyjazny bożek. Ktoś, kto odwiedza lokalnego sołtysa, by poklepać go po plecach i powiedzieć: „Brawo, panie Sztybel. Robicie tu

świetną robotę”. Józef ma wrażenie, że jego sny o wielkości właśnie się ziszczają. Pod palającym spojrzeniem wszystko wydaje się możliwe.

– Jak będziecie głosować? – pyta nagle Klemens Czernik. Jego ton jest swobodny, poufały.

Józef tylko na to czekał. Jest dumy ze swojej decyzji.

– Za Polską – mówi.

Nagle coś się zmienia. W izbie robi się jakby chłodniej. Barbeczka wydaje z siebie cichy pisk.

– Zła odpowiedź.

Kominek gaśnie. W ślad za nim idą lampy oliwne. W izbie nagle robi się zimno i strasznie. Józef jest pewien, że w innych miejscach na ziemi właśnie zaszło słońce. Co innego może wyjaśnić wszechogarniający mrok, który właśnie wlał się do jego serca?

Tylko oczy Klemensa Czernika nadal płoną. Ale nie jest to przyjazny płomień.

## 1925

Adalbert Skowronek budzi się nagle, przez jeden najkrótszy moment nie wie, gdzie jest. Ale to przecież jego sypialnia, dom w Allenstein. Gdzie indziej mógłby być?

*Alenstein? Olsztyn?*

Rytmiczne tykanie rodzowego zegara jednocześnie uziemia i budzi uzasadniony niepokój. Jest późno, dochodzi dziewiąta. Adalbert znowu zaspał.

Ostatnio co noc śni niespokojne sny, z których nie pamięta nic. Odpływa ze zmęczenia dopiero nad ranem, budzi się późno. Na szczęście dzisiaj środa i w teatrze najpewniej nikt tego nie zauważy. „Panowie dyrektorzy”, Ernst Theiling i Max jeszcze nie wrócili z Berlina, a August Feddersen ma głęboko w poważaniu wszystkich i wszystko, poza swoją artystyczną wizją. Aktualnie to on – architekt – gra w olsztyńskim teatrze pierwszoplanową rolę. Miną tygodnie, nim to się zmieni i nowa władza – wraz z Adalbertem – wreszcie przejmie stery. O ile wszystko pójdzie dobrze.

*Dlaczego miałoby nie pójść? Dlaczego? Warum?*

Adalbert zastaje Lottę w trakcie śniadania. Kiedyś miała zwyczaj na niego czekać. Ale to było kiedyś.

– Dzień dobry – siostra wita go po polsku, nie podnosząc oczu znad gazety.

– Dzień dobry.

Adalbert dostrzega, że Lotta czyta londyński dziennik sprzed tygodnia. Zawsze zazdrościł jej talentu do języków. Po chwili pojawia się Magretka i pyta, co podać na ciepło i czy jeszcze kawy. Służąca serwuje jajecznicę i natychmiast znika niczym duch. W jadalni znów zapada cisza, przerywana jedynie szelestem angielskiej gazety.

– Pamiętasz, jaki dziś dzień? – pyta znienacka Lotta.

– Nie. Wybacz, mam dużo na głowie.

– Nie wątpię.

Jedzą w milczeniu.

– Urodziny Krystjana – mówi w końcu Lotta, nadal nie patrząc w stronę brata.

Adalbert nie odpowiada od razu. Nie chce by, w jego głosie znać było afekt.

– Idziesz do niego?

– Naturalnie – papierowa bariera nie tłumi nacisku w głosie Lotty. – Ty też powinienes.

– Wiesz, że to nie jest dobry pomysł. Pamiętasz, co było ostatnio?

– Pamiętam – mówi Lotta obojętnie. – Dlatego tym bardziej powinienes iść.

– Zwyzywał mnie od Niemców! Nazwał sprzedawczykiem!

– Miał trochę racji, nie sądzisz?

Adalbert nie wie, co odpowiedzieć. Ostatnio to częste.

– Nie rozumiem, dlaczego nadal się z nim zadajesz – odbija w końcu piłeczkę. – Zerwał zaręczyny, a ty nadal do niego chodzisz. Czekasz jak Penelopa! Zrozum, że jemu się nie poprawi. A nawet jeśli i tak jest tu skończony!

– Jeżeli obawiasz się o moją reputację, możesz być spokojny. Zawsze są przy nas pielęgniarka lub doktor Lorenc.



– Wiesz, że nie o to chodzi.

Historia Lotty i Krystjana Wilczyńskiego – dawniej Christiana Wolfe – owiana jest tajemnicą. Uciekli razem na wieś w 1920 roku. Gdy wrócili, wszystko było nie tak. Nie tylko nie tak jak dawniej. „Nie tak” w każdym możliwym znaczeniu.

– Lotta, mów do mnie... Co się wtedy wydarzyło?

Siostra wreszcie odkłada gazetę i patrzy w oczy Adalberta.

– Tego właśnie próbuję się dowiedzieć.

## 1920

– Nareszcie! Ależ ziąb! – Lotta rozciera ręce, zrzucając z ramion resztki śniegu. Adalbert pomaga jej zdjąć płaszcz.

– Jakie tu dziś tłumy.

Rzeczywiście kawiarnia jest przepelniona. Na szczęście Christian już jest. Zajął nawet najlepszy stolik, tuż przy kominku.

– Ileż można na was czekać? – przyjaciel wstaje, całuje dłonie Lotty, wita Adalberta pewnym uściskiem. Zgodnie z *savoir-vivre*, w końcu wszyscy są już dorośli.

– Pani matka miała obiekcje – tłumaczy Adalbert. – Nie chciała puścić Lotty po zmroku.

– Nawet z bratem jako przyzwoitką?

– Wiesz, jak jest.

– Wiem! Dlatego koniec tej żalosalnej godki, dziś świętujemy! Kelner!...

Na stolik wjeżdżają sekt, grzybki, słonina i butelka wódki.

– Na bogato – zauważa Lotta.

– Bez obaw, ja stawiam! – mówi Christian.

– Jaka to okazja? – pyta Adalbert. – Przecież urodziny miałeś pół roku temu.

– Jak to jaka? Ratyfikowali Traktat! Nie ma odwrotu! Po stu dwudziestu trzech latach Polska wraca na mapy.

– Na razie pewne są chyba tylko Wielkopolska i Pomorze Gdańskie – mówi Lotta bez entuzjazmu.

- Lepszy rydz niż nic – Adalbert sięga po grzybka w zalewie.
- Nie o takie granice walczyliśmy – marudzi Christian.
- wy walczyliście? – pyta Lotta kpiąco.

Panowie patrzą po sobie, bez słowa i na szybko klecą wspólny front. To konieczne. Dyskusja z Lottą jeden na jeden to nie jest równa walka.

- Byliśmy za młodzi, by nas powołano – tłumaczy Christian.

To, po czyjej stronie mieliby zostać powołani, zostaje taktycznie przemilczane.

- I słabego zdrowia – dodaje Adalbert. – Mnie nie pozwoliły oczy, a Christian ma słabe płuca.

- Krystjan! – poprawia. – Ile razy mam powtarzać?
- No tak, bo przecież teraz jesteś Polak!
- A ty nie?
- Ja jestem tutejszy, Mazur!
- Teraz to już chyba za jedno.
- Zależy, jak pójdzie plebiscyt – mruczy Adalbert.
- A jak ma pójść? – oburza się Christian. – Dobrze pójdzie!
- Nie byłabym tego taka pewna – mówi Lotta.
- Wszyscy, których znam, będą głosować za Polską!
- Masz na myśli bywalców kawiarni w Allenstein? Nie chcę cię rozczarować, mój miły, ale ty i twoi koledzy to nie jest próbka reprezentatywna z mazurskiej populacji.
- Że co?

- Lotta ostatnio czyta dużo zachodnich ekonomów – tłumaczy Adalbert.

- Chcę tylko powiedzieć, że plebiscyt rozstrzygnie się na wsiach. I nic jeszcze nie jest przesądzone.

Wszyscy milkną.

- To co? Po jednym?
- Nareszcie gadasz.
- Za Niepodległą!

**1925**

Drzwi gabinetu otwierają się gwałtownie. Do środka wpada zaspiany Max Worgitzki, otoczony zapachem mokrej farby. Choć już przekroczył czterdziestkę, wręcz kipi młodzieńczym entuzjazmem. Adalbert często łapie się na tym, że myśli o nieoficjalnym przełożonym jako o rówieśniku, choć dzieli ich dobre kilkanaście lat. Mają ze sobą wiele wspólnego. Obaj Mazurzy, obaj z bogatych rodzin. Obaj poeci i publicyści. Co ich dzieli? W domu Maxa mówiło się wyłącznie po niemiecku. U Adalberta przeważnie po polsku. Teraz nie ma to już jednak znaczenia. Sztuka ponad podziałami. Najważniejszy jest teatr.

– *Guten Morgen!*

– *Guten Morgen.*

Adalbert spodziewał się powrotu przełożonego nie wcześniej niż po południu. Widocznie uruchomiono nowe połączenia z Berlina lub podróż automobilem z Warszawy przebiegła wyjątkowo sprawnie. Chyba nie tylko podróż.

– Jak poszło?

To pytanie retoryczne.

– Wyśmienicie! Zaakceptowali zarząd i aktorów... I to bez dyskusji!

Adalbert jakoś nie potrafi wykrzesać z siebie podobnego entuzjazmu. Może to problemy ze snem, może Lotta, a może coś innego?... Zna Maxa nie od dziś. Wie, że za przerysowaną ekspresją kryje się coś jeszcze.

– Ernst będzie dyrektorem, ty kierownikiem artystycznym! W twoim wieku? To sukces bez precedensu! – Max energicznie poklepuje Adalberta po plecach. – Nie cieszysz się?

– Cieszę... Ale wyczuwam, że jest jakieś „ale”.

– Czy zawsze musi być jakieś „ale”?

Po wahaniu w głosie Maxa znać, że jest. Adalbert milczy. To zawsze działa.

– Nie chcę Szekspira na premierę.

– Dlaczego? Szekspir jest zawsze na czasie. Poza tym jest... neutralny.

– Właśnie dlatego – mówi Max. – Mamy wystawić Goethego. To już postanowione.

Adalbert milczy.

– Nie chmurz się tak. To małe ustępstwo względem tego, co mamy szansę tutaj zbudować! Pierwszy teatr w Allenstein, wyobrażasz sobie? To jest skok cywilizacyjny dla tutejszej kultury!

– Niemieckiej kultury.

– Zespół składa się niemal wyłącznie z Mazurów, tak jak chciałeś.

– Co z tego, jeśli mają grać po niemiecku?

– A po jakiemu mają grać? Po mazursku? Przecież w gwarze nikt nie pisze sztuk! Poza tym *Faust* to jest znakomity tekst. Klasyka.

Adalbert przez chwilę waży jego słowa. Nagle dociera do niego ironia sytuacji. Zaczyna się śmiać.

– Co cię tak bawi? – pyta Max, nieco zbity z pantałyku.

– *Faust*! A, to dobre! Nie rozumiesz?

– Obawiam się, że nie.

– Doktor Faustus sprzedaje duszę diabłu w zamian za młodość, miłość i wszelkie sukcesy.

– No i?...

– My dostaliśmy teatr. Reszta fabuły się zgadza.

## 1920

Kawiarnia świeci pustkami. Może dlatego, że leje, a może dlatego, że większość stałych bywalców nie ma czego świętować? Adalbert i Krystjan siedzą w milczeniu, żaden z nich nie tyka wódki, a tym bardziej zakąsek.

– Dwa procent! – Krystjan w końcu przerywa ciszę. – Na trzy-sta siedemdziesiąt jeden tysięcy siedemset piętnaście głosów w olsztyńskim okręgu zaledwie siedem tysięcy dziewięćset osiemdziesiąt było za Polską!

– No słabo.

– Słabo? Toż to klęska!

Adalbert nie odpowiada. Wie, że wybuchy Krystjana najlepiej przeczekać.

– Dlaczego nic nie mówisz?!

– Co mam mówić?

– Przecież ty jesteś Polak bardziej niż ja!

– Mówilem sto razy, że identyfikuję się jako Mazur. Poza tym nie wiedziałem, że przynależność narodową można stopniować.

– Wiesz, o czym mówię!

– Wiem, że odkąd odkryłeś swoje korzenie jak Kętrzyński, walczysz o tę swoją polskość, jakby nic innego nie miało znaczenia. To się chyba nazywa gorliwość neofity.

– Dziwisz mi się? – oburza się Krystjan.

– Dziwić się nie dziwię. Ale to bywa męczące.

– Gdzie twój patriotyzm?

Adalbert patrzy na przyjaciela z ukosa.

– Przypominam, że przed plebiscytem pracowałem tak samo ciężko jak ty. Razem kwestowaliśmy, organizowaliśmy wiece. Ale jest, jak jest i musimy się z tym pogodzić. Już nic nie da się zrobić.

– Możemy zaskarżyć wynik!

– Uczciwie przegraliśmy.

– Jestem innego zdania! – sarka Krystjan. – Niemcy przy każdej okazji rozprawiali, że Polska to państwo sezonowe!...

– W obliczu ofensywy bolszewickiej to miało dużo sensu.

– A karty do głosowania? Wybór był: Polska czy Prusy Wschodnie. Nie: Rzesza Niemiecka! Prusy Wschodnie! Idę o zakład, że połowa chłopów nie pojmowała, za czym głosuje.

– Nie rób z chłopstwa idiotów – Adalbert wzdycha. – Przez takie gadki prości ludzie ciągną do bolszewików. Może nasza kampania powinna była być bardziej egalitarna?

– Może bym się z tobą zgodził, gdyby wynik był bardziej wyrównany. Ale dwa procent!? Za tym stoi coś więcej, mówię ci!

– Niby co?

Krystjan jest blady i poci się jak mysz. Trudno orzec, czy gorączkuje przez wynik plebiscytu, czy to suchoty znowu dają mu się we znaki.

– Nie wiem, ale się dowiem!

– Jak?

– Rozpytam po wsiach.

– Jak tam sobie chcesz. Na twoim miejscu zająłbym się Lottą, zamiast jechać Bóg wie gdzie.

– Narzeczona nie zając, nie ucieknie.

– Może powinna?

Krystjan przez chwilę miota się po pomieszczeniu. Ewidentnie chce powiedzieć coś jeszcze, ale krąży wokół tematu, chodząc w tę i z powrotem, niechętnie i mało pewnie jak kot po śniegu.

– Lotta jedzie ze mną – mówi w końcu.

Adalbert podrywa się z miejsca.

– To wykluczone!

– Sama się zaoferowała.

– I co z tego?! Powinieneś być mądrzejszy. Bolszewicy nadal mogą kryć się po lasach!

– Nie dramatyzuj. Lotta umie zadbać o siebie.

– Wiem!

Milczą długo. Adalbert w końcu dochodzi do wniosku, że dyskusja jest bezcelowa. Mógłby próbować przekonać Krystjana, ale nie siostrę, jeśli ta już podjęła decyzję.

– Wracajcie szybko – mówi.

## 1925

Adalbert wpada do biura i rozgląda się wokoło. Stara się nie ulec panice. Idzie mu miernie.

– Czy to prawda?

– Prawda.

Max jest zaskakująco spokojny, zważywszy na okoliczności.

– Pytałeś wszystkich?

– Wszystkich.

- No i?
- Nikt nie wie, gdzie on jest. Jak kamień w wodę... - Max teatralnie rozkłada ręce.
- Tydzień przed premierą zgubiliśmy głównego aktora?!
- Może się znajdzie. Pewnie pije.
- Pije?
- Jak oni wszyscy. Było brać tutejszych na aktorów? A mówiłem, żeby w kluczowej roli obsadzić Ernsta!
- Jekub jest najporządniejszy w zespole. Pierwsze słyszę, żeby pił.
- Może właśnie zaczął?
- Dlaczego jesteś taki spokojny?!
- Max uśmiecha się tajemniczo.
- A co, jeśli tak miało być? - mówi z właściwym sobie entuzjazmem. - Wczoraj przyszedł tu taki jeden. Rozpytywał o ciebie.
- Co to ma do rzeczy?
- To zawodowy aktor i pasuje do roli. Lepiej niż Jekub, prawdę mówiąc.
- Adalbert zatrzymuje się w pół ruchu.
- Myślisz o zastępstwie?
- A masz lepszy pomysł?
- Adalbert przez chwilę waży słowa Maxa.
- Gdzie jest ten aktor?
- Zatrzymał się w Zajeździe.
- Poślij po niego.

Aktor przybywa niezwłocznie. Zupełnie jakby Parki, Norny lub inne tkaczki losu ukrywały go w zanadrzu specjalnie na tę okazję. Adalbert nie wierzy w opatrność. Jednak na widok aktora zaczyna poważnie rozważać, czy czasem nie zmienić zdania w tej materii.

Max nie przesadzał, aktor rzeczywiście ma właściwą prezencję. Wysoki, smukły, koło czterdziestki, z burzą czarnych włosów poprzetykanych siwizną i ciemnymi oczami, pasuje do roli jak ulał. Uśmiecha się na powitanie. Plastyczna twarz magicznie przybiera rysy ni to wesołego chochlika, ni to uwodzicielskiego inkuba. Adalbert jest pewien, że damy będą miały o czym mówić jeszcze

wiele miesięcy po premierze. Może rzeczywiście tak miało być i pozorne nieszczęście prowadzi do wielkiego sukcesu?

– *Guten Tag. Ich heisse Klemens Czernik* – mówi bez akcentu. Ładny, głęboki głos pobrzmiewa tajemnicą i zapowiedzią przygody... lub niebezpieczeństwa. Adalbert ma ciarki.

– Ponoć chce pan u nas grać? – pyta.

– To się zgadza.

– Poszczęściło się panu. Akurat jest wakat. Zniknął nam Mefistofeles.

– Diabły tak mają, że znikają.

Adalbert nie wie, jak to rozumieć. Nie komentuje.

– Co z tekstem? Zdąży pan przed piątkiem?

– Znam Goethego na pamięć.

– Jesteś pan Niemiec?

– Nie Niemiec, ale też nie Polak. Tutejszy.

– Tutejszy aktor? Jak to możliwe, że się nie znamy?

– Pan jest młody, a mnie w ostatnich latach zajmowały inne sprawy.

– Mianowicie?

– Polityka.

Adalbert nie jest zaskoczony. Wyobraża sobie aktora w trakcie agitacji wyborczych. Po czyjej był stronie? Zapewne po tej, która płaciła więcej.

– Nie będziemy mówić o polityce – ucina Adalbert. – Sprawdzmy, jak radzi pan sobie z tekstem.

– To ja już panów zostawię – mówi Max, wyraźnie zadowolony, że jego pomysł się przyjął.

Wychodzi. Przez chwilę Adalbert i Klemens Czernik mierzą się wzrokiem. Nie będzie z tego przyjaźni, ale może chociaż udana współpraca? Adalbert i co do tego ma wątpliwości. Aktor – choć kulturalny i uprzejmy – napawa go dziwnym niepokojem. Zupełnie jak *déjà vu* albo zapomniane słowo na końcu języka. Sensacja jest subtelna, nienazwana i ledwo namacalna... Ale jest. Lotta nazwałaby to intuicją. Adalbert nie wierzy w intuicję.



- Która scena? – pyta aktor rzeczowo.
- Rozmowa Mefistofelesa z Bogiem. Ja będę Bogiem.
- Jakie to trafne!
- Słucham?
- Czyż kierownik artystyczny nie jest Bogiem w teatrze?  
*Nie tutaj* – z goryczą myśli Adalbert.
- Czy pan ze mnie kpi? – pyta głośno.
- Gdzieżbym śmiał!
- Pełna napięcia cisza.
- Może pan zaczynać – mówi w końcu Adalbert.
- Naturalnie.
- Klemens Czernik prostuje się i zaczyna recytować:

*Panie, władnący dniem i mrokiem  
 raczyłeś zejść przed nieba próg –  
 patrzysz laskawym na mnie okiem –  
 przeto tu stoję w gronie Twoich sług.  
 Nie umiem splatać słów górnio i grzecznie  
 – niechże niebiańska szydzi ze mnie brać –  
 rozśmieszyłbym cię patosem bezsprzecznie,  
 gdybyś się, Panie, nie oduczył śmiać<sup>62</sup>.*

*Kiedy ostatnio się śmiałem?* – myśli tymczasem Adalbert. Nie jest pewien dokładnej cezury, ale na pewno było to przed feralnym wyjazdem Krystjana i Lotty. *À propos* siostry, aktor właśnie zaczyna jej ulubiony fragment *Fausta*. Ten na temat ludzi i ich losu:

*Ten mały bożek ziemi w życia błędnym kole  
 pcha swój ciężar w jednakim, upartym mozoł;*  
*rzekłeś: złudę światła mu dam, niechaj go krzepi.*  
 – *wierzaj, Panie, bez tego byłoby mu lepiej* –

---

62 Fragmenty *Fausta* Johanna Wolfganga von Goethego w tłumaczeniu Emila Zegadłowicza.

*rozumem złudę nazwał, spaczył ten dar Boży –  
w rezultacie jak zwierzę żyje, bodaj gorzej.*

Czernik jest dobry, naprawdę dobry. Gra, jakby urodził się do tej roli. W jego postawie widać mefistofeliczną drwinę, a jednocześnie coś na kształt współczucia. W głosie pobrzmiewa ukryty wyrzut wobec Boga, odległego sprawcy ludzkiej niedoli. Kto tu jest zły, kto dobry? Kto gnębi ludzkość, a kto pragnie jej ulżyć?

Po chwili czas na wypowiedź Boga. Adalbert nie musi zaglądać do tekstu:

*Oskarżać jeno umiesz, nic więcej, Mefiście,  
Pełne niesnaski są twe słowa.*

Aktor nie odpowiada od razu. Patrzy na Adalberta badawczo.

– Proszę wybaczyć śmiałość, ale to zabrzmiało, jakby już kiedyś toczył pan tę rozmowę.

– Prowadziłem wcześniejsze przesłuchania. Herr Worgitzki chyba mówił, że to zastępstwo.

– Nie mam na myśli sceny.

Adalbert nie jest pewien, w którym momencie role się odwróciły. Może od początku to nie on przesłuchiwał aktora, a aktor jego? Gdyby Czernik powiedział, że jednak nie chce roli, Adalbert najpewniej rzuciłby mu się do stóp. Obaj to wiedzą.

– Tak mogło być – niechętnie przyznaje Adalbert. – Moja siostra lubuje się w filozofiach wschodu i często porównuje ten fragment do myśli buddyjskiej, którą ceni wyżej niż naszą chrześcijańską filozofię. Miewaliśmy dysputy na ten temat.

– Pana siostra musi być intrygującą kobietą.

– Owszem, jest, ale mam wątpliwości, czy to powód do radości. Lotta mogłaby mówić godzinami o tym, że świat to ułuda, a nie-świadomi ludzie, którzy weń wierzą, są przyczyną wszelkiego nieszczęścia.

– Czyli całe zło to wszystko ludzie? Nie wąż-kusiciel?

- Lotta nie wierzy w siły nieczyste.
- A pan? W co pan wierzy?
- Chodzę do kościoła.
- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

To już coś więcej niż próba sił. Co, jeśli odmówi dalszej gry i nie odpowie lub skłamie? Adalbert woli tego nie sprawdzać.

- Wierzę w słowa Szekspira – mówi szczerze.
  - Które konkretnie?
  - Piekło jest puste, a wszystkie diabły są tutaj.
- Klemens Czernik tylko się uśmiecha.

## 1920

Sanie wjeżdżają na dziedziniec w stylu, który dotąd Adalbert widywał jedynie na obrazach Chełmońskiego. Spienione konie wodzą wokoło nabiegłymi krwią oczami, woźnica wygląda tylko odrobinę lepiej. W całym towarzystwie jedna jedyna osoba wydaje się spokojna, metodycznie wydaje polecenia reszcie kompanii.

- Lotta! – podbiega do siostry, lecz ta nie daje się uściskać.
- Potem.
- Jesteś cała i zdrowa?
- Ja tak.

Lotta odwraca się w kierunku służby, wskazuje coś, co Adalbert wziął za naręcze koców. Dopiero po chwili dociera do niego, na co – lub raczej: na kogo – patrzy.

- Jezu, Krystjan!...

- Pomodlisz się później – ucina Lotta. – Źle z nim. Każ Magretce grzać wodę i dzwoń po doktora Lorenca.

- Co się stało!?

Lotta nie odpowiada.

Doktor Lorenc przybywa niezwłocznie i na ponad godzinę zamyka się z chorym. Lotta nalega, żeby zostać przy narzeczonym. Nikt nie ma czelności się jej sprzeciwić. Adalbert czeka w salonie. Co jakiś czas mija go Magretka w drodze po wrzątek. Służka jest

załękniona, nic nie mówi, a Adalbert jej nie zaczepia. Co się wydarzyło? Czy to wilki, czy kula bolszewickiego marudera?

Dla Adalberta to nie ma znaczenia. To było do przewidzenia. Szczęśliwie, że Lotcie nic nie jest. Czy aby na pewno?

W końcu drzwi otwierają się, wychodzi doktor, a za nim Lotta i służąca.

– Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy – mówi Herr Lorenc zmęczonym głosem. – Reszta w rękach Boga.

– Dziękuję – odpowiada Lotta. Dla Adalberta jest jasne, że ma na myśli lekarza, a nie Stwórcę.

Doktor kłania się, wychodzi.

– Co mu jest? – pyta Adalbert.

Lotta odpowiada niechętnie, z ociąganiem.

– Rana postrzałowa głowy. Szczęśliwie, powierzchowna. Wyżyje, jeżeli obrzęk mózgu ustąpi.

– Strzelano do was?!...

– Nie!...

Adalbert nie potrafi już powstrzymać gniewu. Załamuje ręce, chodź po pokoju w tę i z powrotem.

– Naraził cię! Nigdy mu tego nie wybaczę!

– Pojechałam z własnej woli. Odsuść.

– Co się stało? – drugi raz tej nocy pyta Adalbert.

– Nie wiem!

Pod powierzchnią spokoju buzuje zimna furia. Lotta rzadko okazuje emocje. Adalbert nie jest pewien, co bardziej wyprowadziło ją z równowagi: stan narzeczonego czy niedobór informacji. Lotta zapewne też tego nie wie. Gniew to nie jest coś, co w ludzkim umyśle układa się w ładnych szufladach. Gdy nadchodzi, nikt nie wie, czy jest zły za to, czy za tamto. Często pierwszą reakcją jest obrać za cel to, co jest najbliższe. Podsyty bezradnością gniew Lotty znajduje ujście. Dziewczyna odwraca się w kierunku Adalberta, krzyczy oskarżycielsko:

– To wszystko przez te wasze abstrakcyjne dążenia! Naród! Język! Tożsamość! Dlaczego nie możemy być po prostu obywatelami

świata? Albo świadomością, która doświadcza? Mazur! Niemiec! Polak! Wszędzie tylko: ja, mnie, moje!...

– Majaczysz!

– Ja majacze? Czy ty wiesz w ogóle, co znaczy to słowo?!

Lotta śmieje się gorzko.

– Co cię tak bawi?

– Nigdy nie byłam tak przytomna jak teraz. To wy życie ułudą!

Obaj!

Tym razem Adalbert jej nie przerywa. Jest jasne, że Lotta jednak coś wie.

– Zatrzymaliśmy się w Passenheim – mówi. – U trzech sióstr Tycównien, które pracują na tamtejszej plebanii. Krystjan określił ich dom jako „ostoję polskości”. Przez Passenheim biegł ponoć kiedyś gościniec prosto do Warszawy, ale nie wiem, czy to prawda. On dużo jeździł po okolicy i rozpytywał, ja czasem zabierałam się z nim, ale częściej zostawałam, żeby pisać.

– Pisać?

– Siostry Tycówny miały nieskończony zasób lokalnych opowieści o *Wildniss*, kłobukach, łaumach, diable z Passenheimu, co paradował w krzyżackim płaszczu, niesławnym Smętku i innych demonach. To bezdzietne stare panny i pomyślałam, że dobrze by było, żeby ktoś te ich historie spisał dla potomnych. Także ja tropiłam mitologiczne diabły, a Krystjan ludzkie. Szybko się okazało, że przed plebiscytem Niemcy nie zawsze poczynali sobie uczciwie. Rozbijali polskie wiece, zdarzały się pobicia, a łapówki były na porządku dziennym. Francuzi albo tego nie widzieli, albo przymykali oko.

– Czyli Krystjan miał rację!

– Miał. Ale to jeszcze nie wszystko.

– Tuż przed plebiscytem kilku propolskich sołtysów i działaczy pomarło w tajemniczych okolicznościach. Niektórzy razem z całymi rodzinami. Lekarze przeważnie stwierdzali zapalenie płuc, gruźlicę lub zaccadzenie. Krystjan uznał to za podejrzaną, że w takim nateżeniu, krótko przed plebiscytem i przy dobrej pogodzie. Niektórzy świadkowie twierdzili też, że wiele ciał znaleziono nie

w łózkach, a w izbie i z twarzami wykrzywionymi w wyrazie prze-  
rażenia. Któregoś dnia Krystjan powiedział, że ma trop. Mogłam  
z nim wtedy jechać, ale właśnie kończyłam rozdział.

Lotta na chwilę przerywa, zaciska dłonie na fałdzie spódnicy.  
Materiał trzeszczy pod białymi palcami.

– Wrócił w środku nocy, byłam już w łóżku – mówi mechanicz-  
nie. – Słyszałam, jak krząta się przez chwilę na dole, mówił nawet  
z jedną z siostr. Nic podejrzanego, nic! On często po powrocie ro-  
bił jeszcze notatki. Znowu odpłynęłam w sen. Obudził mnie strzał.  
Znalazłam go na dole, całego we krwi. Resztę historii już znasz.

– Jesteś pewna, że wrócił sam?

– Tak. Anna Tycówna to potwierdziła.

– Krystjan i samobójstwo? To do niego zupełnie niepodobne.

– Wiem.

Oboje milczą. W końcu Lotta daje się przytulić.

## 1925

Adalbert obserwuje sytuację zza kulis. Sala pęka w szwach. Może  
to plakaty z nowym Mefistofešem, które Max zamówił na ostat-  
nią chwilę, wywarły pożądany efekt? A może Mazurzy rzeczywi-  
ście łakną kultury, obojętnie z czyich rąk i w jakim języku?

– Dobra robota, chłopcze! – Max energicznie poklepuje Adalber-  
ta po plecach. – Ależ sukces!

– To się okaże.

– Jesteś zbyt skromny! Hola, któż to tam, obok twojej siostry?  
Czy to przypadkiem nie Christian Wolfe?

Adalbert czuje, jak oblewa go zimny pot.

*Co on tu robi?*

Krystjan nie wygląda na suchotnika, który otarł się o samobój-  
czą śmierć. Cała jego postawa emanuje wigorem. Tylko oczy nadal  
ma gorączkowe.

– No dobrze, koty za płoty. Czas na mnie – mówi Max Worgitzki  
i wychodzi na scenę. – *Sehr geehrte Damen und Herren, ich heisse*

*Sie herzlich willkommen in unserem Theater. Es ist mir eine grosse Ehre, Sie heute Abend zu unserer Aufführung begrüßen zu dürfen...*

Mówi o historii regionu, o Zakonie Krzyżackim, który jako pierwszy cywilizował tutejszych pogan. Mówi o bogatym wspólnym dziedzictwie kulturowym Niemców i Mazurów. Wreszcie dochodzi do historii najnowszej, o której Adalbert najchętniej by zapomniał. Zwłaszcza w dzisiejszych okolicznościach. Z niepokojem patrzy w kierunku Krystjana. Mimo że Max nawiązuje do wszystkich drażliwych tematów, twarz dawnego przyjaciela pozostaje spokojna. Co dzieje się pod powierzchnią? Co myślała Lotta, zabierając go tu dzisiaj?

– Wynik plebiscytu 1920 okazał się dla nas wszystkich niezmiernie miłym zaskoczeniem – mówi Max z właściwym sobie entuzjazmem. – Mam na myśli zarówno nas, mazurskich patriotów, jak i naszych przyjaciół w Berlinie. Z tej okazji oddajemy wam, drodzy krajanie, ten oto teatr o nazwie „Der Treudank” – „W po-dzięcie za wierność”!

Rozlegają się gromkie brawa. Krystjan nie klaszcze. Max schodzi za kulisy, kurtyna idzie w górę. Przedstawienie czas zacząć.

Od pierwszego aktu wszystko udaje się wyśmienicie. Aktorzy grają jak natchnieni. Adalbert ma wrażenie, że ogólny poziom podniósł się, odkąd Klemens Czernik dołączył do zespołu. Aktorzy chcą do niego równać, kochają się w nim wszystkie aktorki. Adalbert ma wrażenie, że tylko on nie pała ciepłymi uczuciami do nowego Mefistofelesa. Reakcja publiczności jedynie utwierdza go w tym przekonaniu. Emocje szczytują, gdy tylko Czernik pojawia się na scenie. O dziwo, nawet sceptyczna Lotta jest w niego wpatrzona jak w obrazek. Tylko jeden widz zdaje się nie ulegać czarowi.

Krystjan wpatruje się w Czernika z dziwną intensywnością, ale w jego gorączkowych oczach nie ma cienia zachwytu. To wzrok rewolwerowca, myśliwego, poławiacza węży.

Adalbert nie wie, co na ten temat myśleć, a nie ma jak zapytać. Decyzją Maxa sztuka wystawiana jest bez przerwy. Wreszcie

cichnie echo ostatnich słów Fausta i Mefistofelesa, rozlega się szloch uwiecznionej Małgorzaty. Koniec.

Brawa prawie ogłuszają. Zespół aktorski po kolei wstępuje na scenę, lecą kwiaty. Spośród aktorów ostatni wychodzi Mefistofeles, owacjom nie ma końca. Po chwili na scenę wychodzi też Ernst Theiling.

– Ty też idź – mówi Max do Adalberta. – Reżyser też powinien wyjść.

Adalbert niechętnie dołącza do zespołu. Brawa są głośne, ale daleko cichsze od tych, które wieńczyły wyjście Czernika. Adalbert szuka wzrokiem Lotty. Oczy siostry są pełne dumy. To najcenniejsza nagroda.

Nagle Adalbert zauważa jakiś ruch. Krystjan sięga za pazuchę. Oczy przyjaciela są przekrwione, a tuż przed nimi materializuje się... rewolwer. Odgłos wystrzału ledwo przebija się ponad owacjami.

– Giń, diable!

Brutalna siła ciska Adalbertem o świeżo polakierowane deski sceny. Ktoś krzyczy, ktoś przebiega mu po plecach, gwałtownie wyciskając powietrze z płuc. Ból w klatce prawie odbiera dech. O dziwo, robi się coraz ciszej.

Zapada ciemność.

## 1920

Adalbert przychodzi do szpitala po raz pierwszy, odkąd Krystjan odzyskał przytomność. Choć może byłoby lepiej, gdyby nadal leżał w śpiączce? Nie, nie można tak myśleć o chorym. Ale czy stanem zdrowia można wytłumaczyć wszystko, nawet najbardziej podłe zachowania? Adalbert przypomina sobie łyzy Lotty i znowu ogarnia go gniew. Na szczęście ani pielęgniarka, ani doktor Lorenc tego nie zauważają.

Krystjan jest na sali sam. Jego głowę nadal oplata ciasny bandaż. Jest wychudzony i blady, nagle zanosi się kaszlem. Lotta ma teorię, że to suchoty uratowały mu życie tamtej nocy. Że miał atak dokładnie w momencie, gdy naciskał spust i dlatego kula jedynie musnęła kość.



– Jakie czasy, taki Werter – mówi Adalbert na powitanie. Ukrywanie emocji za sarkazmem to rodzinna tradycja.

– Też cię kocham.

Milczą.

– Nie o miłość do mnie się tu rozchodzi. Co z Lottą?

– Dobrze wiesz co.

– A zatem to prawda?

– Tak, zerwałem zaręczyny. Tak będzie lepiej dla wszystkich.

Adalbert zaciska dłonie w pięści.

– Gdybyś był w ciut lepszym stanie, to bym cię wyzwał!

– To wyzwij. I tak mi wszystko jedno.

Tego już za wiele.

– Może tobie! Ale nie nam. Co się z tobą dzieje, do wszystkich diabłów!?

Krystjan zanosi się histerycznym śmiechem, który niemal natychmiast przechodzi w suchotniczy atak. Z przekrwionych oczu lecą łzy, zanosi się szlochem.

– Trafiłeś, Bercik! Trafiłeś!

– O czym ty mówisz?!

– O diablach. Plebiscyt to diabelska robota!

Teraz Adalbert jest już pewien, że ma przed sobą szaleńca. Doktor Lorenc między wierszami mówił, że to nie choroba ciała, ale ducha. Adalbert nie chciał mu wierzyć. Do teraz.

– Po wsiach szeptano, że tego, co za Polską, bierze lichy – mówi Krystjan, zaskakująco przytomnym głosem.

– Niemcy wiedzą, że mazurskie chłopstwo jest zabobonne.

– Różnymi rzeczami można chłopą straszyć, ale żeby lichem? Jest dwudziesty wiek! Paru działaczy pomarło w niewyjaśnionych okolicznościach.

– Jak to na wsi. Na wsi ludzie mrą.

– Nie całymi rodzinami!...

Krystjan znów zanosi się kaszlem. Widać, że jest słaby. Szepcze. Adalbert musi się nachylić, żeby go zrozumieć.

- Widziałem go.
- Kogo?
- Diabła.
- Gorączkujesz.
- Wysłuchaj mnie, błagam – głos Krystjana jest coraz bardziej ochrypły, w kącie ust pojawia się różowa, spieniona ślina.
- Skrzywdziłeś moją siostrę.
- Żeby ją chronić! On wie, że ja wiem. Nie rozumiesz?

Adalbert nie rozumie. Mimo to jest ciekaw, co będzie dalej. Krystjan ewidentnie jest szalony. Może zerwanie zaręczyn to rzeczywiście lepsze wyjście? Adalbert bardzo chce w to wierzyć, dlatego słucha dalej.

- On tu był... Był od dawna, kto wie, jak długo – rzeźni Krystjan.
- Początkowo pomagał Niemcom w konwencjonalnych działaniach. Najpierw utrudniał wiece argumentami przeciw Polsce. Później widywano go w bojówkach. Przystojny, ciemnowłosy. Wszyscy go zapamiętywali, a jednocześnie nikt nie potrafił opisać, jak dokładnie wyglądał.
- To mogło być wiele różnych osób – wtrąca Adalbert sceptycznie.
- Początkowo też tak myślałem. Ale później ruszyłem jego tropem.
- Lotta o niczym takim nie wspominała.
- Nie powiedziałem jej. Byłem pewien, że on jest niebezpieczny, że to berliński szpieg. Dopiero gdy poznałem go osobiście, zrozumiałem prawdę.

Teoria o szpiegu wydaje się Adalbertowi wysoce prawdopodobna. Plebiscyt to była ważna sprawa dla obu stron. Nic dziwnego, że Niemcy poza bojownikami zaangażowali także bardziej subtelnych agentów.

- No dobrze – mówi spokojnie Adalbert. – Ale skąd pomysł, że to diabeł?

Krystjan znów zaczyna się śmiać. Głośno kaszle. Na poduszkę pada kilka kropel krwi. Do sali wpada doktor Lorenc, w końcu zaalarmowany hałasem.

- Siostró, morfina! Herr Skowronek, proszę już iść.
- Jeszcze moment... – prosi Adalbert, ale pielęgniarka już delikatnie wypycha go z sali. – Skąd pomysł, że to diabeł?
- Krystjan w końcu łapie oddech.
- On się z tym specjalnie nie kryje!...
- Histeryczny śmiech cichnie. Krystjan zapada w narkotyczny sen.

## 1925

Adalbert budzi się powoli. W pierwszej chwili jest pewien, że znowu zasnął. Ale nie, przecież nie słysząc zegara, a każdy oddech sprawia ból. Otwiera oczy. Biały sufit, siermiężne lampy. To szpital.

– Adi! – Lotta podrywa się z pobliskiego fotela. – Dzięki Bogu!

Jednak czasem pamięta o Stwórcy. *À propos* wspomnień: Adalberta nagle zalewa fala obrazów z teatru.

– Co się stało? Czy zostałem postrzelony?

– Nie. Ktoś jedynie popchnął cię w panice.

– Dlaczego Krystjan strzelał?...

– Nie ty byłeś celem.

Adalbert domyśla się, co będzie dalej.

– Najwyraźniej chciał zabić twojego nowego aktora – mówi Lotta.

– Mogłam się tego domyślać! Gdy pokazałam mu plakat z Mefistofešem, nagle zapragnął iść na spektakl! Powinna być przewidzieć, że coś tu nie gra! Nie wiem, co w niego wstąpiło. Zdawało się, że jest z nim lepiej.

Na salę wchodzi doktor Lorenc.

– Jak się pan czuje?

– Boli mnie w klatce.

– Ma pan połamane żebra. To nic takiego.

– Co z Krystjanem?

W oczach Lotty pojawiają się łzy. Doktor Lorenc przejmuje stery konwersacji:

– Na sali był niemiecki oficer. Miał pistolet.

Doktor nie musi mówić nic więcej. Wszystko jest jasne.

– A Klemens Czernik? Co z nim?

– Cały i zdrowy. Kula nawet go nie musnęła. Bóg nad nim czuwał. Adalbert ma co do tego poważne wątpliwości.

– Czy mogę już zabrać brata do domu? – pyta Lotta.

– Wolałbym, żeby Herr Skowronek został do rana na obserwacji.

– W takim razie ja również zostanę.

– Zapewniam, że nie ma takiej potrzeby. Proszę wracać do domu i się wyspać.

– Idź – mówi Adalbert.

– Odprowadzę panią – po chwili wahania oferuje się doktor.

– Nie ma takiej potrzeby.

Lekarz nieudolnie kryje rozczarowanie. Jak to możliwe, że Adalbert wcześniej nie zauważył, jak Herr Lorenc patrzy na Lotę? Może ta historia jeszcze znajdzie szczęśliwe zakończenie? Kto jak kto, ale jego wspianała siostra z pewnością na nie zasługuje.

– Będę spokojniejszy, jak wrócisz z doktorem – mówi Adalbert. Lotta ustępuje, choć z ociąganiem.

– Niech tak będzie. Rano po ciebie przyjadę. Proszę o niego dbać – zwraca się do pielęgniarki.

Po lekkiej kolacji i środkach przeciwbólowych Adalbert zapada w sen.

Budzi się nagle, tknięty dziwnym uczuciem. Tym razem dochodzi do siebie szybko i od razu wie, gdzie jest. Szpital. Środek nocy. Księżyc jest wysoko.

W fotelu, który wcześniej zajmowała Lotta, siedzi teraz ktoś inny.  
*Ktoś czy coś?*

Blade światło odbija się w okularach, które przez moment przypominają oczy drapieźnika przyczajonego w ciemności. Mimo bólu Adalbert podrywa się z miejsca.

– Spokojnie, nic panu nie zrobię – mówi znajomy, głęboki głos.

– Przyszedłem porozmawiać.

– Czernik?

– We własnej osobie.

– Co pan tu robi? Już dawno po godzinach odwiedzin.

– Pański kolega chciał mnie zgładzić.

– Nie mam z tym nic wspólnego! Proszę stąd wyjść!

Tym razem aktor nie mówi nic. Zabłąkana chmura przysłania światło księżyca. Okulary nie przestają świecić. Adalberta ogarnia niepojęta groza.

– Doktorze! Siostrze! – krzyczy.

– Nie drzyj się pan. Nikt nie usłyszy. Należycie o to zadbałem.

Nagle Adalbert przypomina sobie słowa Krystjana sprzed pięciu laty.

„On specjalnie się z tym nie kryje”.

Diabelska teoria, dawniej szalona, teraz – wśród ciemności i grozy – wydaje się całkowicie prawdopodobna.

– Tyś jest Mefistofeles – szepcze Adalbert słabym głosem.

Klemens Czernik nieoczekiwanie wybucha śmiechem.

– Potraktuję to jako komplement. Mefistofelem jestem tylko fabularnie.

– Ktoś ty?!

– Takiś pan Mazur i nie wiesz?

Ostatni kawałek układanki trafia na miejsce. Siostry Tycówny i ich bajania. Pisanie Lotty. Żeromski i jego *Wiatr od morza*. Słowa Krystjana: „On tu był... Był od dawna, kto wie, jak długo”.

Diabeł nie przybył z piekła.

Był na Mazurach przez cały czas.

– Smutek – szepcze Adalbert. – Diabeł z mazurskich legend.

– Brawo!

– Czego chcesz?

– Tego, co zwykle. Czasem zła, czasem dobra, zależy, z której strony patrzeć.

– Sprzyjasz Niemcom!

– Nie zawsze.

– Plebiscyt... to twoja sprawka.

– Owszem.

– Ale dlaczego?!

– Żebyście nie mieli za łatwo. Kto ma za łatwo, ten niechętnie część należną czartom oddaje. Kiedyś byłem jedynym bóstwem

na tym terenie. Ale czasy się zmieniły. Wyrosła – jak to się mówi po waszemu – konkurencja.

– Bóg?

– Jaki tam Bóg! Postęp, mamona, banki, automobile – to wasze nowe bożki. A ja się łatwo nie poddam, o nie! Co moje, to moje. Mazurska dusza należy się mnie, Smętkowi, jak psu zupa. I nie patrz pan na mnie z takim oburzeniem! Wy ludzie też chcecie być ważni, mieć wpływ na świat, na siebie nawzajem. A gdy ktoś bliski prze staje w was wierzyć, próbujecie go kontrolować. Brzmi znajomo?

Adalbert milczy przez chwilę. W końcu dociera do niego, do czego diabeł pije.

– Nie próbuję kontrolować Lotty!

– A kto ją pcha w ramiona doktora, gdy poprzedni ukochany jeszcze porządnie nie ostygł?

Milczą przez chwilę.

– Nie frasuj się pan – mówi w końcu Czernik-Smętek pojednawczym tonem. – Każdy chce być ważny i kochany. Człek czy diabeł, to bez znaczenia. Pragniemy mieć coś swojego na tym ziemskim padole. Czy to złe? Nie wiem. Czy niskie? Na pewno. Ale każdy tak czyni, zatem dlaczego ja – diabeł – miałbym czynić inaczej? Jest tak, jak rzekł pański Szekspir: piekło na ziemi, w nas. Rzeczą anielską jest odpuszczając, lekko ulatywać w dal. Lecz my, diabły i ludzie, szarpiemy życie pazurami. Taka już nasza natura.

– Musi być inna droga.

– Owszem, jest. Ale taka, której nikt nie wybiera. Zawsze można odpuścić, odejść, dać się zapomnieć. Nie walczyć o siebie, o naród, płynąć przez życie lekko, bez oporu przyjmować, co niesie los. Potrafisz pan tak?

– Nie wiem. Myślę, że mógłbym spróbować.

Czernik zaczyna się śmiać.

– Uwierzę, jak zobaczę. Każdego człowieka prędzej czy później ogarnia słabość, która ponownie pcha go w kołowrót życia, w pogoni za ułudą szczęścia, wyobrażonym sukcesem. Tak właśnie ro dzą się diabelskie pakt.

– Nie będę się z tobą układał!  
 – Zakład? Złoto przeciw orzechom, że kiedyś pan ulegniesz i zechcesz paktować.

Adalbert chce utrzyć diabłu nosa. I odzyskać kontrolę, chociaż odrobinę kontroli.

– Przyjmuję!

– Znakomicie! – Czernik zaciera ręce. – Oto rodzi się mazurski Faust! Zatem spotkamy się w innym czasie. Gdy będziesz pan gotów ulec i uznać porażkę. Kto wie, może nawet wypijemy razem butelkę sekta jak najlepsi kompani?

– Nie spoufalaj się ze mną, diable. Nie jesteśmy sprzymierzeńcami.

– Nie jesteśmy – przyznaje diabeł skwapliwie. – Ale jeszcze możemy być.

– Nigdy!

– Nigdy nie mów nigdy, zwłaszcza kiedy rozmawiasz z diabłem.

– Odejdź!

– Zgodnie z życzeniem – Czernik rusza w kierunku drzwi. – Ale pamiętaj, że gdybyś mnie jednak potrzebował, wystarczy zawołać. Nie będę daleko.

## Epilog 1937

Pogrzeb Maxa Worgitzkiego jest ponurym wydarzeniem. Nie tylko dlatego, że to pogrzeb. Żałobników jest mało, a ci, co przyszli, są tu *pro forma*. Na stypie atmosfera jest równie ciężka, goście myślą o reportażu, ale nikt nic nie mówi z uwagi na pamięć o zmarłym. Adalbert zostaje na tyle długo, by nie urazić wdowy, a później czym prędzej wraca do siebie.

Dom jest pusty. Magretka zostawiła mu gulasz na piecu i poszła bawić wnuki. Adalbert nie jest głodny, ale otwiera butelkę wina, choć i tak trochę wypił na stypie. Ostatnio sięga po kieliszek co wieczór. Ma prawo, zważywszy na sytuację. Tak to sobie tłumaczy.

Wszystko jest nie tak. Teatr świeci pustkami. Na przedstawienia chodzą praktycznie tylko Niemcy, a ich też nie ma wielu. Od 1929 „tutejszych” *Kernpreussen* systematycznie ubywa, a nowo

przybyli hitlerowcy niespecjalnie interesują się kulturą. Może dlatego, że najlepsi aktorzy zrezygnowali, a poziom spadł?

Faktem jest, że „polscy” Mazurzy z Allenstein – w tym artyści i bywalcy kawiarni – odwrócili się od teatru. A wszystko przez reportaż Melchiora Wańkowicza, który prezentuje Maxa, Adalberta i im podobnych jako germańskich ciemieńców. Adalbert czytał książkę i niechętnie przyznaje, że jest dobra, wyważona i w wielu punktach zgodna z prawdą. Nic dziwnego, że w Polsce jest na nią szal. W Rzeszy to oczywiście pozycja zakazana, ale nie ma takiej cenzury i takich granic, które zatrzymałyby kolportaż poczytnej książki w artystycznych kręgach. Adalbert wyjmuje swój egzemplarz z szuflady.

– *Na tropach Smętka* – czyta tytuł, już chyba po raz setny.

Tym razem jednak nieświadomie robi to na głos.

– Pan wzywał?

Adalbert aż podskakuje na dźwięk głębokiego głosu. Odwraca się gwałtownie. Przez chwilę jest w szoku. Wyparł do podświadomości wydarzenia sprzed dwunastu laty. Tłumaczył sobie spotkanie z diabłem jako majaki po środkach przeciwbólowych. Ale to jednak wydarzyło się naprawdę.

Teraz Klemens Czernik – a raczej Smętek – stoi przed nim w pełnej okazałości. Ma na sobie luźny garnitur szyty według współczesnej mody, ale poza tym nic się nie zmienił od tamtej feralnej nocy. Dlaczego miałby?

– Czy jesteś tu naprawdę, czy tylko w mojej głowie? – pyta Adalbert strwożony.

– A czy jest jakaś różnica?

Diabeł podnosi książkę Wańkowicza z blatu. Uśmiech się pod nosem.

– *Na tropach Smętka*? Jak miło.

– Tropił ciebie, a znalazł nas – ponuro stwierdza Adalbert.

– Mnie też znalazł.

– Słucham?



– Mieliśmy przyjemność z panem Wańkowiczem. Myślisz, że skąd ten tytuł?

– Nie ma o tym wzmianki w reportażu.

– A ty chwaliłeś się spotkaniem w szpitalu?

– Ludzie już nie wierzą w diabły.

– Na szczęście diabły wierzą w was!

Na to Adalbert nie ma odpowiedzi.

– Poza tym – ciągnie Smętek – nawet gdy spotka się dużego diabła, łatwiej i bezpieczniej piętnować te mniejsze i bardziej znajome.

– Nie jesteśmy diabłami!

– Zależy, z której strony patrzeć.

– Ty też pomagasz Niemcom!

Smętek wzdycha, kręci głową z politowaniem.

– Kiedy wreszcie zrozumiesz, że Niemcy w ogóle mnie nie obchodzą. Nie o nich tu idzie. Interesują mnie tylko mazurskie dusze. Te z krwi i te z wyboru. To na nie wpływam, je pragnę kształtować. A nie ma rozwoju bez przeciwności!

Smętek bierze kieliszek i polewa sobie wina, które wcześniej stworzył Adalbert. Wącha.

– Fui! Ależ sikacz. Od razu znać, że cienko przędzisz. Na szczęście wzięłem obiecanego sekta.

– Szampan z piekła? Czy aby nie za ciepły?

– Nie ma takiego miejsca jak piekło. Sekt jest ze sklepu w Warszawie.

– Tak daleko się zapuszczasz?

– Jeśli mam sprawy do załatwienia, to owszem.

Adalbert zastanawia się, po co mazurski diabeł był w polskiej stolicy. Sekt leje się do pucharków. Adalbert nie pije, choć zapach i złote bąbelki wyglądają kusząco. Smętek ma rację co do wina. Ostatnio Adalbert idzie raczej w ilość niż w jakość.

– Co tam u Lotty? – zagaja diabeł jakby nigdy nic.

– Nie wiem. Wyjechała do Ameryki.

– Z doktorem?

– A gdzie tam.

Smętek się uśmiecha. Czyżby nawet diabeł dobrze życzył Lotcie? Ta myśl nieco ociepla atmosferę. Poza tym Adalbert jest ostatnio samotny. Tak bardzo samotny.

– Smętek... Zawsze nurtowało mnie to imię. Dlaczego tak cię zwą?

– A nie widać, że smętny niczym Jezus w przydrożnej kapliczce? Tak samo jesteście zafrasowani. I z podobnych powodów.

– Chodzi o kondycję ludzkich dusz?

– Ty to powiedziałaś! – Diabeł unosi kieliszek w geście toastu.

– Nie chciałem tak szybko przechodzić do interesów, ale skoro nalegasz...

– Miło, że wpadłeś w odwiedziny, ale nadal nie mam zamiaru z tobą paktować.

– Nie?

– Nie.

Smętek wydaje się zadowolony z tej odpowiedzi.

– Wypijmy za to. Za niewzruszonego mazurskiego Fausta!

Tym razem Adalbert unosi kieliszek. Pije.

Chwila wydaje się podniosła, odświętna. Czyżby to już? Czy to najwyższy punkt jego życia? Czy za kilka, może kilkanaście lat będzie z rozrzwinięciem wspominał moment, gdy wygrał zakład i wznosił toast z diabłem? Ta myśl napawa go jednocześnie spokojem i rozpaczą. Rozpacz jest silniejsza. Adalbert czuje, jak coś w nim pęka.

– Ludzie, dla których tworzyliśmy teatr, teraz nas nienawidzą! – krzyczy. – *Der Treudank*! Gdzie teraz ta wierność? Co za ironia!

– Ja tej ironii nie widzę – mówi diabeł.

– Nie?

– Wystarczy spojrzeć szerzej. Z innego punktu. Nie ma jednej wierności. Wierność zawsze jest względem czegoś. Można być wiernym krajowi lub duszy narodu. To nie zawsze jest to samo. Wreszcie można być wiernym sztuce. Lub sobie.

Adalbert nie jest w nastroju na diabelskie filozofowanie.

– To nie tak miało być. Chcieliśmy z Maxem zbudować tu coś wspaniałego, wielkiego – teatr dla pokoleń!

- I udało się wam – mówi diabeł zaskakująco ciepłym głosem.
  - Nie! Chcę na mojej scenie usłyszeć aktorów grających po polsku.
  - To będzie trudne – głos Smętka jest pełen współczucia.
  - Zwłaszcza teraz. Hitlerowcy nie są szczęśliwi z powodu reportażu, szykują represje. Ale przecież zawsze możesz jechać do Polski i pracować w tamtejszym teatrze.
  - Tu jest mój dom. Chcę, żeby tu była Polska.
- Twarz Smętka zmienia się w ułamku sekundy. Wyraz współczucia zostaje zastąpiony przez lisi triumf.
- Czyli jednak czegoś pragniesz! – szepcze diabeł. – Nareszcie rozmawiamy!
  - Chcę, żeby tu była Polska! – krzyczy Adalbert. – Tu, na Mazurach! Smętek uśmiecha się diabłu, złowieszczo.
  - Jaką cenę jesteś gotów zapłacić?
  - Każdą.
  - Zobaczymy, co da się zrobić.

*(luty 2025)*

MAŁGORZATA CHOJNACKA

# Mój pamiętnik, Allenstein 1925<sup>63</sup>

## 20 stycznia 1925

Dziś po raz pierwszy otwieram ten zeszyt. Przed chwilą zakleiłam na tekturowej okładce dostojny gotycki napis „Tagebuch”. Na nowej naklejce kredkami napisałam po polsku: „Pamiętnik Erna Walpuska rok 1925” i teraz powtarzam ten napis atramentem w środku moich zapisków, bo ten kolorowy na okładce pewnie się zetrze

---

63 Utwór został wyróżniony w Ogólnopolskim Konkursie Literackim SZPRAJSA na tekst nawiązujący do Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie.

na dnie szuflady z łyżwami. Pamiętnik będę tam chowała, bo wszystkie najważniejsze myśli zawsze przychodzą mi do głowy, gdy wchodzę zimą na zamrożone jezioro Beldany. Na łyżwach nauczyłam się jeździć, gdy miałam dziesięć lat, czyli prawie siedem lat temu. Szuflada z łyżwami jest tylko moja i nikt tu nie zagląda.

Minęły święta i zaraz po nich musieliśmy jechać do Allenstein na pogrzeb. Zmarł wuj Leopold, mąż cioci Klary. Wszystkich to bardzo przejęło. Ciotka Klara, młodsza siostra mojej matki, została z trójką dzieci, dobrze prosperującą piekarnią i jakimiś długami wujka, o których zawsze przy stole mówiło się ściszym głosem.

Na pogrzebie było dużo ludzi. Pracownicy piekarni należącej do wujka i cioci przyszli ze swoimi rodzinami. Poznaliśmy się, idąc ulicą. Każdy, kto niósł kwiaty, szedł w stronę cmentarza św. Józefa. Przed otwartą na oścież bramą cmentarza stały trzy samochody. Były duże i lśniące. I na pewno bardzo drogie. Gdy przechodziliśmy koło nich, prawie równocześnie otworzyły się drzwi i z każdego auta wysiadł jeden mężczyzna. Byłam ciekawa, jak wyglądają bogaci znajomi wujka Leopolda, ale nie wypadało mi się odwrócić. Męczyła mnie ciekawość podczas całej ceremonii. Po wyjściu z pogrzebu dowiedziałam się, kto przyjechał tymi samochodami. Szłam pod rękę ze starszą panią, która okazała się sąsiadką cioci i знаła tu wszystkich. Mężczyźni w surdutach podeszli do najbliższej rodziny. Starsza pani, czując moje zainteresowanie, zaczęła opisywać osoby składające kondolencje.

– Ten łysy grubas, który teraz zakłada melonik to właściciel młyna. On miał dziwne interesy z twoim wujem, podobno bardzo się lubili. Tego drugiego, co się z tym pierwszym chwilę temu pożegnał – to nie znam.

– A ten trzeci? – zapytałam.

– To Niemiec. August Feddersen. Jest architektem. Zbudował młyny i spichlerze, więc tutejsi *Mehlmenschen* mają go za swojego. Do niedawna to był porządny człowiek. Wybudował nawet katolicki kościół. Ale teraz będzie pracował nad tym teatrem, który ma być postawiony ku chwale Niemców i tylko dla Niemców. Ten

teatr powstanie przy ulicy Hindenburga, czyli blisko nas, niedaleko piekarni.

Przyjrzałam się uważniej tej postaci. Zapamiętałam. August Feddersen. Podobało mi się to nazwisko. Wcale nie takie niemieckie. Architekt miał łagodne spojrzenie, spoglądał w niebo, jakby nikogo tu nie chciał zauważyć i ocenić. Nie pasował do niemieckich nauczycieli, którzy w szkole przeszywali mnie wzrokiem, gdy mówili: *Komm zu mir, Walpuska, antworte, Walpuska, lesen Sie Walpuska*. Moje nazwisko „Walpuska” wymawiali tak, jakby chcieli coś wypłuć z ust, pozbyć się czegoś ze swojego życia, z tej szkoły, z tej części świata. Jedynie Herr Gärtner nie szukał powodu do zaczepki, gdy wiedział, że ktoś poza szkołą mówi i pisze po polsku. Powiedział mi nawet: *Du rezitierst Goethe gut!* To było wtedy, gdy po raz pierwszy odważyłam się i przy całej klasie wyrecytowałam przygotowany w domu wiersz *Kennst du das Land, wo die Zitronen blühen*. Nigdy nie byłam w teatrze i wyobrażałam go sobie jak najlepiej. Ze sceną, światłami i tajemniczymi dekoracjami. Słyszając o planach budowy nowego gmachu w mieście, chciałam podpytać starszą panią, ale ona zmieniła temat.

– Biedna wdowa. Z trójką małych dzieci. Pan Leopold był bardzo zaradny. Biedna wdowa! Jak ona sobie sama poradzi z tym interesem? Pewnie odsprzeda go Niemcom, oby takim porządnym jak ci, co byli tu dzisiaj na pogrzebie. Choć różnie bywa. Niemiec katolik potrafi polskie dziecko do chrztu nieść, a potem, jak trzeba – to na całą rodzinę złoży skargę w niemieckim urzędzie. Biedna pani Klara. A ty pewnie jesteś córką jej siostry?

– Tak, nazywam się Walpuska.

– Bardzo urosłaś, widziałam cię na fotografii u pani Klary. A jak masz na imię?

– Erna.

Starsza pani spuściła lekko głowę i dwukrotnie wymamrotała „Erna Walpuska, Erna Walpuska”, jakby sprawdzając, czy imię pasuje do nazwiska. Po chwili podniosła głowę i po raz pierwszy uważnie mi się przyjrzała.

– Erna. Ładne imię. No, to do zobaczenia!

Starsza pani poprawiła sobie kapelusz i nagle w tłumie żałobników dostrzegła ciekawsze towarzystwo. Odnalazłam rodziców i razem pojechaliśmy tramwajem na Bahnhof.

## 17 lutego 1925

Dziś przyszedł list od ciotki Klary. Po pogrzebie męża wyjechała z dziećmi na wieś. Napisała do mojej mamy:

*Droga Siostro! Nie wiem, co mam począć. Piekarnię zamknęłam na miesiąc. Pracownikom powiedziałam, że ponownie otworzy ją od marca. Straszili mnie, że kupujący mogą w tym czasie szukać innych piekarni. Leopold z pewnością poradziłby sobie z takim problemem. Ja muszę uczyć się wszystkiego od początku. Piszę także do Erny. Porozmawiaj z nią i zapytaj, czy mogłaby się choć na rok przeprowadzić do mnie. Zapewnię jej utrzymanie. Mówiłaś, że ona chce się uczyć dalej. Mogłabym jej w tym pomóc. Dla mnie najważniejsze, aby moje dzieci miały opiekunkę. Taką właśnie jak Erna. Z niecierpliwością czekam na Waszą odpowiedź.*

*Twoja siostra Klara*

Długo rozmawiałam z rodzicami. Za miesiąc kończę siedemnaście lat i wcześniej lub później życie przeniesie mnie na inne miejsce. Mama najpierw mnie namawiała na wyjazd do swojej siostry, podkreślając jej zalety. W końcu jednak, gdy powiedziała, że „ona nie przytuli cię tak jak ja”, rozplakała się i wyszła z pokoju. Rozmowa z ojcem była dłuższa. Był do niej przygotowany. Po raz pierwszy poczułam dumę z tego, że jestem Mazurką. Zrozumiałam, że przynależę do wyjątkowego miejsca. Nie chciałam nigdzie stąd wyjeżdżać. Od dziecka wiosenny powiew wiatru znad jeziora wprawia mnie w dobry nastrój, a zimą nie boję się wchodzić na pierwszy lód przy brzegu. To był miły fragment rozmowy z moim ojcem, który w poczuciu spełnionego obowiązku

skręcił sobie papierosa, sięgając do puszki z lepszym tytoniem, używanym wyłącznie w czasie świąt. Wydmuchując ostatnią porcję dymu tuż nad moją głową i energicznie gniotąc niedopałek w popielniczkę, ojciec podjął temat mojego wyjścia za mąż. Nieoczekiwanie wyraził pod moim adresem komplement.

– Cieszę się, że umiesz obserwować mężczyzn. Na pogrzebie Leopolda widziałem, że twoją uwagę zwróciły piękne samochody i eleganckie stroje.

Poczułam się bardzo zawstydzona. Może od dymu papierosowego, a może z powodu bezsilności popłynęły mi z oczu łzy. Ojciec to dostrzegł i nagle zrobiło mu się mnie żal. Przetarł czoło ręką, jakby chciał sięgnąć do głowy po jakąś głębszą myśl.

– Wyjedziesz do dużego miasta. Na pewno poznasz nowych ludzi. Umiesz obserwować i wyciągać wnioski. Nie ulegaj pierwszemu wrażeniu.

Ojciec chyba chciał coś jeszcze ważnego dorzucić, skręcając kolejnego papierosa, ale do pokoju wkroczyła matka i otwierając wszystkie okna, dorzuciła kilka wspomnień ze swojego dzieciństwa. Szybko opowiadała o zdarzeniach, w których nie sprawdziła się jej młodsza siostra Klara.

– A ta gapa wlecze się za mną i ryczy na całą wieś. Mówię: Klaro, uspokój się natychmiast! A ona ryczy i po drodze opowiada, że przeze mnie wypadła z łódki do jeziora. Ledwo ją wyciągnęłam. Taka gruba była w dzieciństwie. I wyszła za piekarza, żeby mieć świeże bułki na śniadanie. Taka jest Klara. Chcę, żebyście to wszyscy wiedzieli.

Ojciec schował resztkę tytoniu na święta. Mama po wyjściu ojca zamknęła okna i też wyszła, zostawiając mnie samą z listem od cioci Klary. Nikt mnie nie zapytał, czy chcę się przeprowadzić do niej na swego rodzaju służbę. Chciałam. Ciekawiło mnie to, jak przy tej samej ulicy, gdzie jest piekarnia i dom ciotki, będzie powstawał teatr.



## 12 kwietnia 1925 roku

Od dwóch tygodni mieszkam u mojej ciotki Klary w Allenstein przy ulicy Hindenburga. W czasie, kiedy ciocia zarządza pracą piekarni, zajmuję się jej trójką dzieci. Najstarsza jest Irma, ma już osiem lat i trzeba ją zaprowadzać do szkoły. Jej młodsza siostra Ewa jest bardzo żywa, trzeba na nią stale uważać. Nie wiem, jaka to choroba, ale jest bardzo wrażliwa na zapachy i dźwięki. Najmłodszy Martin jest mądrym chłopcem, ciągle mnie o coś pyta. Na niektóre pytania nie mam odpowiedzi, choć staram się dużo czytać. W domu jest sporo książek pisanych w języku polskim i niemieckim. W kuchni na stole zawsze leży „Gazeta Olsztyńska”. Przynosi ją sąsiadka, starsza pani, którą poznałam na pogrzebie wujka Leopolda. Wszyscy na nią mówią „pani Starościna”, pewnie dlatego, że jest w starszym wieku albo z jakiegoś innego powodu.

Mieszkanie jest duże i przestronne. Ma kilka pokoi. Zaraz przy wejściu, tuż obok kuchni, znajduje się mały pokój. I ten właśnie mi przydzielono. Po wujku Leopoldzie pozostał duży szezlong, na którym kładł się spać po powrocie z piekarni, nie chcąc w nocy budzić żony i dzieci.

## 12 maja 1925 roku

Dziś na spacerze z dziećmi po raz pierwszy zobaczyłam budowę Treudank-Theater. Sąsiadka, pani Starościna, mówiła mi, że ten teatr od początku kłuje w oczy. I niektórzy odwracają od niego głowy, żeby ten niemiecki blask ich nie oślepił. Zaryzykowałam. Na dłużej zatrzymałam się przy placu budowy. Dzień był prawdziwie słoneczny. I rzeczywiście, wszystkie szpadle w rękach robotników odbijały światło. Dużo błota wokół. Wśród kręcących się mężczyzn na placu budowy dostrzegłam znajomą twarz. To był architekt August Feddersen. Przyglądał się wszystkiemu bardzo uważnie. Co jakiś czas z wielkiej skórzanej torby przewieszanej przez ramię wyjmował i rozkładał papierowe dokumenty. Wokół niego stało zawsze kilku pracowników. Ale tylko on pod szyją miał

nieskazitelnie biały kołnierzyk. I pewnie blask tego kołnierzyka miała na myśli pani Starościna. Mnie on jednak nie kłuł w oczy. W pewnej chwili Martin zapytał:

– Dlaczego tak długo tu stoimy?

– Popatrzcie, tu będzie teatr! – przypomniałam sobie o towarzyszącym mi młodszym kuzynostwie.

– Kukiełkowy? – zapytał Martin.

– Nie, nie kukiełkowy. Taki prawdziwy. Ludzki.

Niespodziewanie Ewa potknęła się o coś i zaczęła głośno płakać. Wieczorem długo z nią rozmawiałam, czytałam bajki, a nawet pozwoliłam jej pokolorować ilustracje w mojej książeczce do nabożeństwa. Wszystko po to, aby się nie wygadała, że chodzimy oglądać miejsce, w którym ma powstać teatr.

## 18 maja 1925

Dziś jest niedziela. Irma, Ewa i Martin zostali w domu z ciotką Klarą. Ja mogłam wyjść sama na spacer. Oczywiście pierwsze co zrobiłam, to poszłam zobaczyć, czy zdjęto już deski z reprezentacyjnych schodów prowadzących do teatru. Nikogo na placu budowy nie było. Stałam i wyobrażałam sobie, jak piękne panie będą wchodziły tymi schodami na premierę spektaklu. Podeszłam nawet do pierwszego stopnia i stanęłam na nim. Moje buty zaczęły się zatapiać w jeszcze niewyschniętym cemencie. Z lewej strony widziałam szybko zmierzającego do mnie stróża z laską w dłoni. Uciekłam w ostatniej chwili. Słyszałam za sobą krzyki stróża:

– Co panienka tutaj robi? Tu nie wolno wchodzić!

Nie zatrzymałam się, tylko biegłam przed siebie. Dobiegłam do skrzyżowania ulic. Zatrzymałam się, aby złapać oddech. Z radością pomyślałam, że chociaż nie miałam takiego zamiaru, odcisk moich butów pozostanie na zawsze na pierwszym stopniu teatru.

## 25 maja 1925

Dziś bardzo się przestraszyłam. Po południu niespodziewanie do naszego domu przyszedł *Polizeimeister*. Chciał rozmawiać z ciotką

Klarą. Ciotka zaprosiła go do salonu. Po drodze, idąc długim korytarzem, przez drzwi mojego pokoiku słyszałam jak *Polizeimeister* skomentował dużą przestrzeń mieszkania:

– *Schöne Wohnung.*

Szybko wyobraziłam sobie reakcję cioci Klary. Od śmierci wujka drżała o to, aby z jakiegoś powodu nie utracić mieszkania w reprezentacyjnej części miasta. Przyłożyłam ucho bliżej drzwi. *Polizeimeister* musiał dostrzec bladą twarz ciotki, więc szybko wyjaśnił, w jakim celu przyszedł.

– *Sie kommen im Auftrag des Theaters.*

Usłyszałam jeszcze westchnienie ulgi i natychmiast odskoczyłam od drzwi. A więc to tak. Wszystko się wydało. Nic mnie nie uratuje, już jest po mnie. Stróż na budowie na pewno mnie rozpoznał i zgłosił na policji dewastację rewiowych schodów przed teatrem. Ich wygładzenie może kosztować roczny dochód z piekarni. Ciotka zbankrutuje, a ja pójdę do więzienia. Zaczęłam płakać, ale na tyle cicho, aby usłyszeć, kiedy policyjny gość opuści nasz dom. Długo czekałam. Moje myśli krążyły najpierw wokół tego, co będę robiła w więzieniu, a potem czym się zajmę, jak odzyskam wolność. W chwili kiedy już wiedziałam, jaką książkę zabiorę ze sobą do aresztu i jaką sama napiszę po wyjściu z więzienia, usłyszałam pożegnalną wymianę zdań na korytarzu. Ciotka była podekscytowana. Nawet bardzo zadowolona. *Polizeimeister* życzył jej dobrego wieczoru i spokojnej nocy. I też chyba był zadowolony. Spisek! – pomyślałam w pierwszej chwili. Nie tylko Niemcy, ale własna rodzina chce się pozbyć dziewczyny, która bez pozwolenia pozostawia ślady swoich butów na schodach teatru. Na szczęście ta myśl trwała bardzo krótko. Ciotka zapukała do mojego pokoju i z radosnym uśmiechem zaczęła mi zdawać sprawę, w jakim celu przyszedł *Polizeimeister*. W ręce trzymała wydrukowany ozdobny kartonik.

– Erno, wyobraź sobie co za niespodzianka! Otrzymałam zaproszenie na uroczystą premierę do nowego teatru. Mam cztery miesiące, aby uszyć sobie odpowiednią kreację. Otwarcie teatru planowane jest pod koniec września. Na zaproszeniu już jest podany

numer krzesła teatralnego. Zobacz, kochanie! Będzie można zajrzeć nawet za kulisy!

Zerknęłam na zaproszenie. Rzeczywiście był podany numer miejsca *Theaterbalkon Rong Mitte 160*, a nawet tytuł przedstawienia: *Faust* J.W. Goethe. Gdy się temu przyglądałam, ciotka dostrzegła w moich oczach ślady niedawnego płaczu.

– Nie martw się, Erno, wszystko ci opowiem, jak wrócę z tej premiery. *Polizeimeister* mówił, żeby goście z miasta, a zwłaszcza kobiety, przyszli w nowoczesnej, prostej garderobie, bo będzie dodatkowa kontrola przy wejściu do teatru. Tak było w lipcu na otwarciu budynku, a to za sprawą tego, że wstęgę przecinali: pruski minister kultury, prezydent rejencji olsztyńskiej i sam nadburmistrz. Podobnie może być na pierwszym przedstawieniu 29 września. Dostojnicy przyjdą z żonami, więc muszę jakoś wyglądać. Szkoda, że Leopold tego nie doczekał... Widzę, że też jest ci przykro z tego powodu.

– Tak, ciociu – potwierdziłam, bo chyba tylko tego ode mnie oczekiwała.

Ciocia Klara przytuliła mnie do siebie. Poczułam zapach jej włosów. Był taki sam miły i ciepły jak zapach jej siostry, mojej mamy. Zatemskniłam do domu, do wszystkich przytułeni z dzieciństwa. I rozplakałam się na dobre.

– Och, Erno, kochanie, nie wiedziałam, że tak tęsknisz za wujkiem Leopoldem. Nie płacz, proszę. Wytrzymaj nos. Wujek teraz na pewno jest w niebie... Chociaż nie wiem, czy tam jest.

Głębokie zastanowienie się nad pośmiertnym losem wujka wzbudziło moją ciekawość. Spojrzałam na ciotkę Klarę. Zaczęła mówić, ale z trudem znajdowała odpowiednie słowa.

– Wiesz... to co mówił ten policjant o Leopoldzie i teatrze bardzo mnie zaskoczyło...

Przez moment poczułam się zazdrosna. Mojego śladu butów na schodach nikt nie zauważył, a tu proszę – wuj Leopold znaczył więcej.

– Oprócz tego zaproszenia do teatru ten policjant przyniósł także kopertę, a w niej pięć tysięcy marek. Wyobrażasz sobie, kochanie,

co to znaczy? To jest pięć rocznych pensji moich pracowników! Tylko nikomu tego nie mów. Ratusz wysłał do mnie tego sierżanta policji, aby on mi przekazał to zaproszenie i kopertę, bo to bardzo poufna sprawa.

Widziałam, że ciocia walczy ze sobą, czy mi to powiedzieć, czy nie. Wreszcie wzięła oddech i powiedziała to, co ją naprawdę w tej całej sprawie najbardziej zadziwiło.

– Tyle lat byliśmy razem. Leopold nie mówił mi wszystkiego. Wiem, że był dobrym człowiekiem, dbał o nas. Ubierał się zawsze elegancko. Czasami gdzieś wychodził i nie mówił dokąd. Trudno, żebym nie podejrzewała różnych rzeczy. Po powrocie jego smoking był zawsze przesiąknięty zapachem cygar. To mnie uspokajało. Kobiety nie palą cygar, chociaż w dzisiejszych czasach wszystko możliwe.

– Może chodził do miejskiego hotelu na przedstawienia teatralne?

– Może tak, może nie. Pieniądze, które mi dziś przekazano, są honorowym zwrotem za korzystne odstąpienie działki budowlanej. Chodzi o to miejsce, na którym trwa budowa teatru. Nie wiedziałam, że mój mąż miał jakiś udział albo chociażby związek z tą sprawą. *Polizeimeister* wytłumaczył mi, że takie informacje przekazuje się po śmierci albo wcale. No i właśnie dzisiaj, trzy kwadranse temu, dowiedziałam się, no nie wiem, czy mogę ci to powiedzieć, żeby nie wyszły z tego jakieś kłopoty. Może zamiast się zwierzać, pójdę zobaczyć, co porabia Martin, też pewnie słyszał, że ktoś do nas przyszedł.

Ciocia wstała z krzesła, ale jakoś tak wolno, jakby liczyła, że jednak zaprotestuję.

– Ciociu, powiedz! – poprosiłam jak najbardziej czule, bo nie wyobrażałam sobie urwania tej rozmowy bez wyjaśnienia tajemnicy.

– No dobrze, powiem – ponownie usiadła na krześle. – Od dziś już wiem, że mój Leopold był masonem. Nie wiem, czy z tego powodu mam się cieszyć, czy martwić. Ja jestem tylko siostrą twojej mamy, a on był bratem dla wielu ludzi, których nawet nie znam. Czuję się jakoś źle z tym faktem. Teraz rozumiem, skąd tyle

problemów miałam z miejscem pochówku. *Polizeimeister* dał mi do zrozumienia, że podobną kopertę, tylko ze znacznie mniejszą kwotą, wręczył komu trzeba w kościele i także jakimś dłużnikowi Leopolda. No cóż... Erno. Pora spać. Zazdroszczę ci tego, że nie masz takich problemów.

Nagle poczułam, że mogę to powiedzieć. Teraz albo nigdy.

– A ja cioci zazdroszczę tego zaproszenia na premierę! – wypaliłam.

Tak rozpoczęła się najpiękniejsza chwila w moim życiu. Ciotka spojrzała na mnie bardzo czule.

– Erno, poważnie mówisz? Chciałabyś pójść do teatru? Ależ to świetny pomysł! Pójdiesz w moim zastępstwie. Ja tam się będę czuła nieswojo. A ty, jeśli możesz i masz ochotę, potraktuj to zaproszenie, jakby było dla ciebie. Zresztą sam *Polizeimeister* mówił, że może pójść na premierę ktoś z moich najbliższych. Irma jest za mała, a ty w sam raz. Uszyjemy ci odpowiednią sukienkę i kupimy do tego ładne buciki.

Na słowo „buciki” odruchowo przymknęłam oczy.

– Ależ Erno, nie martw się. Na wszystko mamy pieniądze. Tylko błagam, nie mów nikomu skąd. To są prawdziwe kulisy tego teatru. I nam, zwykłym ludziom, nic do tego.

Położyłam się spać. Ale przedtem zaproszenie położyłam w takim miejscu, że ani powódź, ani pożar nie będą go mogły zniszczyć. Nie mogłam zasnąć. Przypomniała mi się pewna rozmowa rodziców podczas kolacji. Mama mówiła, że kiedyś podczas spaceru w Allenstein wuj zatrzymał się przy Zamku Kapituły Warmińskiej i zaczął tak pięknie opowiadać o Mikołaju Koperniku, że aż się przechodnie zatrzymywali. Opowiadał, że ten wielki astronom był także znawcą ziemi. Dostrzegał życie chłopów, tak jak dostrzegał istnienie innych planet. Gdy pełnił władzę w Allenstein, przekazał chłopom opustoszałe pola po walkach krzyżackich. Chłopi mogli na tych polach samodzielnie gospodarować, a Kopernik podarował im nowoczesne narzędzia pracy po to, żeby czuli się wyzwoleni. Mama była zaskoczona tym występowaniem swojego szwagra na tle zamku. Zapytała, skąd zna takie historie. Wuj odpowiedział, że

historię zna „od deski do deski”. Gdy mama to wszystko opowiadała, tata, nie zważając na moją obecność przy stole, powiedział, że być może Leopold jest wolnomularzem, ale lepiej o tym nie wiedzieć. Mama zapytała, kto to taki „wolnomularz”. Tata powiedział: „inaczej mason”. Na słowo „mason” mama się szybko przeżegnała i wygoniła mnie do łóżka.

### **3 sierpnia 1925**

Do uroczystej premiery pozostało sześć tygodni. Bardzo się denerwuję. Ciocia prosiła, żeby o tym nie mówić sąsiadce, bo „nas w mieście zjedzą”. Ten teatr jest antypolski. Szczycą się nim zaborcy, tryumfują. A ja wierzę, że to wszystko kiedyś minie i bez specjalnego zaproszenia będę mogła chodzić do teatru. Ciocia Klara powiedziała krawcowej, że sukienka będzie mi potrzebna na spotkanie z narzeczoną. Byłam zła. Jestem pewna, że w ten sposób miałam się dowiedzieć, że już jest czas, abym miała jakiegoś narzeczonego. A ja kocham teatr. I może tam kogoś spotkam, kogo szczerze pokocham? Nie będę pytała, czy jest Polakiem, Niemcem, czy Żydem. Jak będzie kochał teatr, to na pewno się jakoś dogadamy.

### **1 września 1925**

Moja miłość do teatru jest platoniczna. Nigdy w nim nie byłam, a już go pokochałam. W niemieckich gazetach drukują zdjęcia wnętrza nowego budynku. Sala teatralna, scena, a nawet restauracja – wszystko wydaje mi się bardzo przemyślane i gotowe na przyjęcie aktorów i widzów. Dziś odebrałyśmy sukienkę na premierę. Jest piękna. Postanowiłam, że od dziś zawsze 1 września będę się cieszyć z tego, co świat przyniesie. I wierzę, że przynajmniej w ten pierwszy wrześniowy dzień do końca mojego życia nie stanie się nic złego.

### **29 września 1925**

Nie spałam całą noc. Kilka razy wstawałam, żeby zerknąć na wiszącą sukienkę i jeszcze raz sprawdzić zawartość torebki:

tekturowe zaproszenie na premierę, dwie chusteczki, trzy monety i mały flakonik perfum, który pożyczyła mi ciocia Klara. Początkowo włożyłam do torebki list od rodziców. Mama pisze w nim, że się cieszy, że zobaczę przedstawienie teatralne, a tato – wprost przeciwnie, że to nieroztropne i że jestem jak mała mysz, którą nęci kawałek sera w przygotowanej pułapce. Odpisałam grzecznie, że postaram się tak skonsumować sztukę, aby nie popaść w niewolę serca i nadal pamiętać, kim jestem. Ostatecznie zabrałam list rodziców ze sobą do teatru, ale tak go ułożyłam w torebce, żeby słowa mamy leżały na wierzchu i w razie potrzeby będę mogła je sobie jeszcze raz poczytać:

*Kochana Erno, tak bardzo mnie wzruszyłaś, gdy pisałaś, że chleb zawsze pochodzi z dobrej mąki, niezależnie od tego, na którym polu rośnie zboże i w którym młynie mieli się ziarno. Przekonałaś mnie, że Twoja obecność w teatrze wybudowanym przez Niemców dla Niemców nie odbierze ci radości z zobaczenia sztuki napisanej przez wybitnego poetę Goethego. Jego poezję recytuje się w Polsce bardzo często i po polsku. Kupiłam Ci książkę z dziełami Goethego, Schillera, Mickiewicza i Słowackiego – w jednym tomie. Ta książka czeka na Ciebie w domu.*

*Całuję Cię, zawsze Cię kochająca  
Mama*

Nie wiadomo, kiedy nadeszło popołudnie. Ubrałam się w nową sukienkę, założyłam mój stary płaszcz, szkoda, że zdejmę go dopiero w teatrze. Podobno są tam szatnie, a przy nich ogromne lustra. Tego dnia wiatr był już jesienny, a pokonanie trasy z domu do teatru, nawet szybkim krokiem, trwa ponad kwadrans. Wyszliśmy razem z ciocią i dziećmi. Wszyscy chcieli mnie odprowadzić. A po przedstawieniu byłam umówiona tylko z samą ciocią i jej pracownikiem Mateuszem, poproszonym do towarzystwa, tak dla bezpieczeństwa nocnego spaceru. Przed teatrem wielki tłum ludzi i taki ożywiony gwar. Wszyscy mówili po niemiecku. Dużo



świateł i tyle pięknych pań ubranych w eleganckie wieczorowe stroje. Na ich tle moja sukienka była taka zwyczajna. Nie miałam futra ani kapelusza. Na szczęście nikt na mnie nie zwracał uwagi. Każdy tutaj znał kogoś innego i rozdawał uśmiechy tak, aby nikt ze znajomych i ważnych osób nie pominąć. Ciocia już poszła. Najdłużej oglądała się za mną moja cioteczna siostra Irma. Nie uśmiechała się jak zawsze. Może poczuła się zdradzona. Z nią nie rozmawiałam, a przecież ma aż osiem lat. Pewnie w szkole słyszała o tym, dlaczego powstał ten teatr i kto jest z niego dumny. Zatrzymałam się, żeby dostrzec nad wysokimi oknami napis „Der Treudank”, a potem szybko zerknęłam w dół, na pierwszy stopień schodów, bo na nim pozostał ślad moich butów. Schody zostały obłożone pięknym piaskowcem, ale mój ślad tam jest. Mój podpis. I tylko ja o tym wiem. I to nie jest diabelski cyrograf, tylko jakaś dobra dla wszystkich umowa na przyszłość. Potem już było jak we śnie. Muzyka, gra aktorek i aktorów. Budzące niepokój duże i ciemne dekoracje, rozjaśniane zmieniającym się światłem. To trochę tak, jakbym stała na zamrożonej tafli jeziora. Bałam się, ale jeszcze bardziej byłam ciekawa. Czekałam na obrót sceny, o którym pisano w gazetach. Świat może się zmienić w ciągu tak krótkiego czasu. Tłum widzów cicho odbierał tekst sztuki Goethego. Chwilami podnosiłam wzrok, aby przez moment nie patrzeć na scenę, która mnie coraz bardziej wciągała. Bałam się także tego, gdy na suficie dostrzegłam wiszący żyrandol. Wydawał mi się lekko drżeć, gdy po słowach dialogu znowu zabrzmiała muzyka z kanału orkiestrowego. Fragmenty taneczne też były ostre, specjalnie podświetleni tancerze rzucali ogromne cienie na całą dekorację. Zaczęłam rozumieć, że ten dramat nie ma mnie ukoić, uspić łagodnym kołysaniem słów i muzyki. Poczułam, że ta sztuka mówi do mnie coś ważnego, coś, o czym się nie mówi na co dzień ani w piekarni, ani w szkole. Nie dlatego, że nikt tego nie rozumie, tylko właśnie dlatego, że są myśli, które poza teatrem rozprasza wiatr, przegania kolory ze snów i stawia nas przed prawdziwym lustrem życia, nie takim kryształowym jak w szatni teatru.

Do końca spektaklu byłam głęboko zaśluchana. Będę pamiętać to przedstawienie. I moje największe marzenie, żeby kiedyś usłyszeć z tej sceny język polski. Ono na pewno się spełni.

*PRZEMYSŁAW GRZESIŃSKI*

# Panzer- Faust<sup>64</sup>

**OSOBY:**

**PIERWSZA**

**DRUGA**

**TRZECIA**

**FRIEDA**

**PIERWSZA:** Frieda...

**DRUGA:** Frieda...

**TRZECIA:** Frieda...

---

64 Utwór został wyróżniony w Ogólnopolskim Konkursie Literackim SZPRAJSA na tekst nawiązujący do Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie.

**PIERWSZA:** Obudź się...

**DRUGA:** Obudź się już...

**TRZECIA:** Nie śpij... Zobacz, co dla ciebie mamy...

**DRUGA:** Zobacz, co dla ciebie uszyliśmy...

**PIERWSZA:** Włókno lotosu, nie jakieś tam byle co.

**TRZECIA:** Nie, nie byle jaka nić. Specjalna. Najlepsza.

**PIERWSZA:** Halka jak marzenie.

**DRUGA:** Haleczka jak malowanie.

**PIERWSZA:** Długo wybierałyśmy nici.

**TRZECIA:** Długo szyłyśmy.

**DRUGA:** Długo dopasowywałyśmy.

**PIERWSZA:** Specjalnie dla ciebie.

**TRZECIA:** Dla nikogo innego. Wyjątkowe nici dla wyjątkowej Friedy.

**PIERWSZA:** Daj spokój. Nie śpij już.

**DRUGA:** Obudź się.

**TRZECIA:** Obudź się już.

**FRIEDA:** Gdzie... Gdzie ja jestem?

**DRUGA:** Jak to gdzie? Tutaj.

**FRIEDA:** Kto? Kto tu jest?

**TRZECIA:** Jak to kto?

**PIERWSZA:** My.

**TRZECIA:** Zobacz. Zobacz, co mamy dla ciebie.

**DRUGA:** Zobacz, co dla ciebie uszyliśmy.

**PIERWSZA:** I jak? Podoba ci się?

**TRZECIA:** Przymierzysz?

**PIERWSZA:** Och! Jaka ty jesteś piękna. Jaka ona piękna.

**DRUGA:** Daj dotknąć. Taka... gładka.

**PIERWSZA:** Taka... jędrna.

**TRZECIA:** Taka nie taka jak my.

**PIERWSZA:** Nie, nie taka. Inna taka.

**TRZECIA:** Inna.

**DRUGA:** Odsuń się. Uczeszę ją.

**PIERWSZA:** Ja... ja potrzymam ci grzebień.

**TRZECIA:** A ja... ja podam wstążki.

**PIERWSZA:** Umaluję ją!

**DRUGA:** Umalujesz!

**TRZECIA:** To ja, ja podam ci puder i pędzelek.

**DRUGA:** A ja... Ja podam gąbkę.

**PIERWSZA:** I jak?

**TRZECIA:** Jeszcze wisiorek. Pamiętaj o wisiorku z kamieni.

**PIERWSZA:** Pamiętam, pamiętam.

**DRUGA:** Och!

**TRZECIA:** Ach!

**PIERWSZA:** Och!

**DRUGA:** A zatem, Friedo, opowiadaj.

**FRIEDA:** Opowiadać? O czym?

**DRUGA:** Tak pięknie wyglądasz, że musisz nam coś opowiedzieć.

**TRZECIA:** Tak, tak, koniecznie. Prosimy.

**DRUGA:** Prosimy. Starych i brzydkich nikt nie słucha, ale ciebie...

**PIERWSZA:** Zamieniamy się w słuch.

**FRIEDA:** Kiedy ja... Naprawdę nie wiem. Nie mam nic do powiedzenia.

**PIERWSZA:** Taka piękna i taka skromna.

**DRUGA:** To idzie w parze, moja kochana.

**TRZECIA:** Dlatego my w trójkę. Nie do pary takie.

**PIERWSZA:** No, dalej.

**DRUGA:** Nie ponagłaj jej. Widzisz przecież, że dopiero co wstała. A ty już byś wszystko chciała. Więcej cierpliwości, moja droga. A może ona jest spragniona? Pomyślałaś o tym?

**PIERWSZA:** Nie. Nie pomyślałam. Wybaczysz mi, Friedo? Wybaczysz, że nie pomyślałam o tym, że chcesz pić? Ale ja tak bardzo, tak bardzo już czekam na twoją opowieść.

**FRIEDA:** Czy to pracownia krawiecka?

**PIERWSZA:** Widzisz? Poznaje!

**FRIEDA:** Pracownia krawiecka w Der Treudank.

**PIERWSZA:** Poznaje!

**DRUGA:** Ani przez chwilę w nią nie wątpiłam.

**TRZECIA:** A co ty się tak na mnie patrzysz? Ja też. Ja też w nią nie

wątpiłam.

**PIERWSZA:** Napij się jeszcze. Jeszcze się napij.

**DRUGA:** Pracownia krawiecka...

**FRIEDA:** Tak. Teatralna. W Allenstein. Ale ja, ja tu byłam tak dawno temu. I tylko raz. Kiedy to było? Nie pamiętam.

**PIERWSZA:** Przypomnisz sobie.

**TRZECIA:** Jesteś taka śliczna.

**FRIEDA:** Burczy mi w brzuchu.

**DRUGA:** Słyszałyście?! Ona jest głodna!

**TRZECIA:** Głodna!

**DRUGA:** Właśnie!

**TRZECIA:** A my ją ubieramy, malujemy, wypytujemy. Kiedy ona głodna!

**DRUGA:** Na pusty żołądek ma mówić? Przepraszamy!

**TRZECIA:** Przepraszamy, Friedo!

**PIERWSZA:** Już, już się tym zajmujemy.

**TRZECIA:** Może...

**DRUGA:** Może...

**PIERWSZA:** Może...

**DRUGA:** Może ciasto!

**PIERWSZA:** Właśnie!

**DRUGA:** Upieczmy jej ciasto!

**PIERWSZA:** Upieczmy ci ciasto!

**TRZECIA:** Chcesz?

**DRUGA:** Pewnie, że chce, głodna jest. Nie słyszałaś?

**TRZECIA:** Słyszałam.

**DRUGA:** To co się głupio pytasz?

**TRZECIA:** Sama jesteś głupia.

**DRUGA:** A ty nie lepsza, ale gorsza. Głupia! Głupia!

**PIERWSZA:** Przestańcie! Frieda na was patrzy! No już. Podajcie sobie ręce na zgodę i przeproście się.

**TRZECIA:** Przepraszam.

**DRUGA:** Ja też przepraszam.

**PIERWSZA:** Pomożesz mi upiec ciasto dla Friedy?

**DRUGA:** Tak. Tak. Pomogę.

**TRZECIA:** I ja też. Ja też pomogę.

**PIERWSZA, DRUGA, TRZECIA:**

„Backe, backe Kuchen, Der Bäcker hat gerufen. Wer will guten Kuchen backen, der muss haben sieben Sachen: Eier und Schmalz, Zucker und Salz, Milch und Mehl, Safran macht den Kuchen gehl! Schieb, schieb in den Ofen, rein<sup>65</sup>”.

**PIERWSZA:** I gotowe!

**DRUGA:** Smakuje ci?

**FRIEDA:** Tak. Jest pyszne. A wy takie dobre dla mnie. To ciasto, to ciasto przypomina mi to z restauracji w leśnym dworku Neu-Wadang Karla i Hermanna Oschinskich. Niedaleko wsi Waąg. Tutaj, niedaleko. Wiecie, gdzie to jest?

**DRUGA:** Wiemy.

**TRZECIA:** Wiemy, wiemy.

**FRIEDA:** Dużo wtedy żartowaliśmy. Na tarasie w Neu-Wadang. Z Benno Böhm, Gretą, Albertem. Z innymi nauczycielami z naszego żeńskiego gimnazjum Luisenschule. I to ciasto drożdżowe. Takie jak teraz. Podobno, podobno, aby spróbować tego drożdżowego ciasta, ludzie przyjeżdżali aż z Breslau. Ale i lokalizacja dworku była piękna. Jeziora, czyste powietrze, lasy jodłowe...

**DRUGA:** Friedo...

**TRZECIA:** Nie przerywaj jej! Przecież mówi.

**DRUGA:** Friedo... Dlaczego przyjechałaś do Olszyna?

**FRIEDA:** Dlaczego przyjechałam? Dlaczego przyjechałam? Właściwie to nie do końca był mój wybór. To był wybór pruskiej administracji. Wcześniej żyłam w Kassel, gdzie mieszkalam u siostry Elsy i jej męża. Po ukończeniu Akademii Sztuk Pięknych w Kassel szukałam pracy. Artystka, malarka, portrecistka, czyli ja – Frieda Strohmberg, do usług.

---

65 „Upiecz, upiecz ciasto, zawołaj Piekarz. Kto chce upiec dobre ciasto, musi mieć siedem rzeczy: jajka i smalec, cukier i sól, mleko i mąkę, szafran sprawi, że ciasto będzie żółte! Wsuń, wsuń do pieca”.

**DRUGA:** Brawo!

**TRZECIA:** Brawo!

**FRIEDA:** I chociaż nie powiem, że nie miałam zleceń, bo miałam, i to całkiem sporo... Ale... Życie portrecistki, nawet docenianej, nie jest usłane różami... Dlatego zdecydowałam się zrobić kurs pedagogiczny, by móc uczyć w gimnazjum. Zawsze lubiłam dzieci. Miałam dobry kontakt z młodzieżą, więc...

**DRUGA:** Zostałaś nauczycielką.

**TRZECIA:** Nie podpowiadaj jej.

**DRUGA:** Nie podpowiadam.

**TRZECIA:** Podpowiadasz. Tak się nie liczy. Głupia.

**FRIEDA:** Zostałam urzędnikiem państwowym. I jako urzędnik państwowy Rzeszy Niemieckiej zostałam skierowana na wolną posadę do Prus Wschodnich – do gimnazjum w Allenstein. To był październik 1910 roku.

**PIERWSZA:** I jak, podobało ci się miasto?

**FRIEDA:** Urodziłam się w Schweinfurcie nad Menem, a kształciłam w Monachium, Brukseli i Kessel, więc... Allenstein nie proponował w 1910 wielu atrakcji kulturalnych... Ale byłam młoda.

**DRUGA:** Młoda...

**PIERWSZA:** My też... Też byliśmy młode...

**TRZECIA:** Co, co było dalej? Opowiadaj, Friedo. Opowiadaj, co było dalej, opowiadaj, co było wcześniej. Jesteśmy takie ciekawe.

**DRUGA:** Bardzo ciekawe.

**TRZECIA:** Takie wygłodniałe. Takie głodne twojej opowieści.

**PIERWSZA:** Jesteś jak to ciasto drożdżowe.

**DRUGA:** Taka wyrośnięta, pachnąca.

**PIERWSZA:** Taka świeża. Taka smaczna.

**DRUGA:** Opowiadaj...

**FRIEDA:** Kiedy... Nie wiem o czym... Mieszkałam w Allenstein przy Langgasse. Pracowałam w szkole. Udzielałam lekcji rysunku. Wiodłam zwykłe życie. Malowałam. A 8 lipca 1920 roku kupiłam sobie różową sukienkę w piwonie, bo w niedzielę 11 lipca był ważny dzień. Gorący poranek, słońce, delikatny wiatr. A my z Benno



Böhmem poszliśmy do urn głosować w plebiscycie. Cały kraj był poruszony. Całe Niemcy.

**DRUGA:** Plebiscyt o przynależności Warmii i Mazur?

**FRIEDA:** Tak. Wielka akcja dyplomatyczna. Burmistrz Georg Zülch dwoił się i troił już kilka miesięcy wcześniej, żeby Allenstein przypadł właśnie Niemcom. Polacy też mieli swoją akcję, ale to właśnie nam przypadły wówczas te tereny. Wszyscy byli tacy poruszeni. Dostawałam całe naręcza kwiatów. A w cztery lata później, w październiku 1924 roku, August Feddersen, architekt, miał gotowy plan całego kompleksu. Treudank-Gaststätten. I tak powstał cały kompleks budynków – w tym teatr. Der Treudank – podarunek dla mieszkańców, którzy wybrali przynależność do Rzeszy Niemieckiej. Czułam się wtedy dumna. Dumna i szczęśliwa. Czułam się...

**DRUGA:** Niemką?

**PIERWSZA:** Jeszcze wtedy była pani Niemką.

**FRIEDA:** Jeszcze wtedy?

**DRUGA:** Co było potem?

**FRIEDA:** Potem? Żyłam. Mieszkalam, tworzyłam. Moje obrazy trafiały na wystawy sklepowe, a później odbyła się pierwsza premiera. Pięćset sześćdziesiąt sześć osób na widowni.

**TRZECIA:** *Faust*.

**FRIEDA:** *Faust* Goethego. Moje prace trafiły do foyer teatru. To była ważna premiera. Nie tylko dlatego, że pierwsza. Zrobiona z rozmachem. Bankietem. Pięknymi strojami. Ernstowi Theilingowi gratulowano roli Fausta, a mnie wystawy obrazów. Czułam się ważna. No i oczywiście sam spektakl. Sam temat. Faust – filozof aspirujący do ważnej roli. Podobnie jak Allenstein. Faust – poszukujący kamienia filozoficznego, wiedzy, Faust, który zawiera układ z Mefistofelem i w zamian za realizację swoich życzeń oddaje duszę.

**DRUGA:** A później wyjechałaś.

**FRIEDA:** Tak. W 1927 roku do Berlina. Poznałam Alberta i wkrótce zostałam panią Jacoby. Żoną pana stomatologa.

**TRZECIA:** Wtedy jeszcze była pani Niemką.

**FRIEDA:** Słucham?

**DRUGA:** Mów dalej, Frido.

**FRIEDA:** Chodziliśmy na długie spacery. Bardzo lubimy chodzić na długie spacery. Ja i mój mąż.

**PIERWSZA:** Lubimy chodzić?

**FRIEDA:** Tak? Lubimy chodzić na długie spacery. To takie zaskakujące?

**PIERWSZA:** Bardzo.

**DRUGA:** Niestety bardzo.

**FRIEDA:** Jesteśmy małżeństwem, nie mamy dzieci. Może nie jest to wielka romantyczna miłość, ale na pewno się cenimy i spędzamy ze sobą sporo wolnego czasu.

**TRZECIA:** Nie wierzę.

**PIERWSZA:** To chcesz nam powiedzieć? Że chodzicie razem na spacery? Teraz?

**FRIEDA:** No, nie w tej chwili, ale tak.

**PIERWSZA:** I co jeszcze robicie razem. Teraz?

**FRIEDA:** Rozmawiamy.

**TRZECIA:** Rozmawiacie.

**DRUGA:** Rozmawiają.

**PIERWSZA:** Patrz. Rozmawiają.

**DRUGA:** A o czym? O czym, Friedo, rozmawiacie?

**FRIEDA:** Na przykład o Hercie Berlin.

**DRUGA:** O klubie piłkarskim. O sporcie. Ona interesuje się teraz sportem.

**TRZECIA:** Ja też! Kupiłam sobie koszulkę Realu Madryt. Chcecie pooglądać?

**DRUGA:** Koniecznie.

**PIERWSZA:** O Hercie Berlin.

**FRIEDA:** Mój mąż się interesuje. Byliśmy razem na stadionie.

**DRUGA:** Byliście razem w czasie przeszłym?

**FRIEDA:** I pójdziemy w czasie przyszłym.

*Cisza.*

**PIERWSZA:** Czy wtedy pani już zrozumiała?

**FRIEDA:** Co takiego?

**DRUGA:** Że nie jest pani prawdziwą Niemką.

**FRIEDA:** Słucham?

**TRZECIA:** Głucha jesteś, szmato?

*Maszyny do szycia jako maszyny do pisania.*

**PIERWSZA:** Nazwisko?

**FRIEDA:** Słucham?

**PIERWSZA:** Przypierdol jej.

**FRIEDA:** Nie!

**PIERWSZA:** Nazwisko?

**FRIEDA:** Strohmberg.

**PIERWSZA:** Imię?

**FRIEDA:** Frieda.

**PIERWSZA:** Urodzona?

**FRIEDA:** Schweinfurt nad Menem.

**PIERWSZA:** Ojciec?

**FRIEDA:** Karol Strohmberg.

**PIERWSZA:** Matka?

**FRIEDA:** Amelia, z domu Silberman.

**PIERWSZA:** Właśnie.

**FRIEDA:** Właśnie?

**PIERWSZA:** Nie było pytania.

**FRIEDA:** Nie?

**PIERWSZA:** Kim był ojciec?

**FRIEDA:** Bankierem.

**PIERWSZA:** Nie.

**FRIEDA:** Był bankierem.

**PIERWSZA:** Nie.

**DRUGA:** A matka?

**FRIEDA:** Matka? Matka zajmowała się domem. Co wy, co wy

robicie? Dlaczego? Dlaczego tak się zachowujecie? Nie podoba mi się to wszystko. To ma być zabawa? Nic z tego nie rozumiem.

**PIERWSZA:** Bum!

**FRIEDA:** Co to?

**PIERWSZA:** Bum! Bum!

**DRUGA:** Wystrzały!

**PIERWSZA:** To panzerfaust. Niemiecki granatnik przeciwpancerny. Bum! Bum!

**TRZECIA:** Chować się! Strzelają z panzerfausta!

**DRUGA:** Panzerfaust! *Achtung!* Bum! Bum!

**PIERWSZA:** Pakuj się!

**DRUGA:** Dalej, pakuj! Na co czekasz?

**TRZECIA:** Szybciej! Bo nie zdążysz!

**FRIEDA:** Już! Już! Pakuję! Gdzie ja jadę? Gdzie mam jechać?

**DRUGA:** Do Berlina. Do swojego męża.

**TRZECIA:** Będiesz chodzić do restauracji.

**PIERWSZA:** I na długie spacery.

**DRUGA:** I mecze Herthy Berlin. Tylko się pośpiesz.

**TRZECIA:** Bo ci pociąg odjedzie.

**FRIEDA:** Dobrze. Odjadę. Już. Wsiadam. Ale...

**TRZECIA:** Nie ma żadnego ale. Wsiadaj.

**FRIEDA:** Tu taki tłok.

**TRZECIA:** Wsiadaj, bo tu zostaniesz. Z nami.

**DRUGA:** Chcesz z nami?

**FRIEDA:** Nie!

**DRUGA:** Więc wsiadaj.

**FRIEDA:** Ale...

**TRZECIA:** Nie ma żadnego ale.

**FRIEDA:** Tu śmierdzi. Tu nie ma przedziałów. Jest tłok. Dlaczego tu taki tłok?

**TRZECIA:** Wsiadasz czy zostajesz?

**FRIEDA:** Nie ma innego pociągu?

**PIERWSZA:** Nie ma.

**FRIEDA:** Wsiadam.

**DRUGA:** Dobrze. Zamykaj.

**FRIEDA:** Ten pociąg. On powinien tu skręcać. Widziałam tabliczkę na Berlin. Nie jedziemy do Berlina.

**TRZECIA:** Nie przejmuj się.

**PIERWSZA:** Nie martw się. To długo nie potrwa.

**FRIEDA:** Co długo nie potrwa? Ta podróż? Już tyle trwa.

**PIERWSZA:** Później. Później będzie już szybciotko! Ziuuuu.

**FRIEDA:** Ziu?

**DRUGA:** Ziuuuuuu!

**TRZECIA:** Ziuuu!

**PIERWSZA:** Ziuuuu!

**TRZECIA:** Ziuuuuu!

**PIERWSZA:** Ziuuuuuu!

**FRIEDA:** Ja wiem. Ja wiem, co to znaczy. Wiem, co znaczy. Wiem, co znaczy ziuu. Wypuśćcie mnie. Wypuśćcie. Ja chcę stąd wysiąść. Chcę stąd wysiąść!

**PIERWSZA:** Kim był twój ojciec?

**FRIEDA:** Żydem!

**PIERWSZA:** Kim była matka?

**FRIEDA:** Żydówką!

**PIERWSZA:** Kim jesteś?

**FRIEDA:** Żydówką!

**PIERWSZA:** Czy już zrozumiałaś?

**FRIEDA:** Tak! Nie jestem prawdziwą Niemką! Wypuśćcie mnie.

**PIERWSZA:** Jedziesz dalej.

**DRUGA:** Jedziesz na mecz wyjazdowy.

**TRZECIA:** Hertha Berlin kontra Majdanek.

**FRIEDA:** Nie chcę. Błagam. Nie chcę. Ja. Ja chcę gdziekolwiek. Chcę do Belgii.

**TRZECIA:** Zatrzymaj pociąg. Zatrzymaj, mówię.

**PIERWSZA:** Czemu do Belgii?

**FRIEDA:** Nie wiem. Gdziekolwiek.

**PIERWSZA:** Gdziekolwiek, ale do Belgii.

**FRIEDA:** Tak. Do Belgii. Bo, bo się dało.

**TRZECIA:** Kiedyś? W przeszłości?

**FRIEDA:** Tak.

**TRZECIA:** Kiedy?

**FRIEDA:** Skończyły się spacery po Berlinie. Przyszli oni. Oni powiedzieli, że to my jesteśmy oni. I mamy się wynosić. Jeszcze zdążyliśmy. Wyjechaliśmy do Belgii. W 1936 roku.

**TRZECIA:** Więc nie chodzisz już na mecze Herthy Berlin?

**FRIEDA:** Nie.

**TRZECIA:** I nie pójdziesz w przyszłym tygodniu?

**FRIEDA:** Nie.

**TRZECIA:** Bo za słabo grają?

**DRUGA:** Mogłaś sobie darować.

**TRZECIA:** Mogłam. Ale nie chciałam.

**FRIEDA:** Nie, nie dlatego, że Hertha Berlin słabo grała.

**PIERWSZA:** Co było dalej?

**FRIEDA:** Byliśmy coraz bardziej oni, a oni byli coraz bardziej my. W Belgii i na całym świecie. I przyszli też do Belgii. Chcieliśmy uciekać do Francji.

**DRUGA:** Ale?

**FRIEDA:** Ale się nie udało. Albert zginął pierwszy. W maju 1940 roku, około godziny dziesiątej rano. Ja zginęłam kilka minut po nim. Bombardowanie. Wielkie, ciężkie głazy bomb.

**DRUGA:** Tak się zastanawiam.

**PIERWSZA:** Nad czym?

**DRUGA:** Obok dworca są bardzo dobre zapiekanki. Myślicie, że mają z dowozem? Że dowiozą nam do teatru?

**FRIEDA:** Czy już? Czy mogę wsiąść?

**PIERWSZA:** Frido, skarbenku... Naprawdę myślisz, że to, że zginęłaś w 1940 roku, w jakikolwiek sposób cię uratuje? Że to już koniec?

**DRUGA:** Jedzie pociąg z daleka...

**TRZECIA:** Na nikogo nie czeka...

**PIERWSZA:** Konduktorze łaskawy...

**PIERWSZA, DRUGA, TRZECIA:** Byle nie do Warszawy...

**FRIEDA:** Nie!

**PIERWSZA, DRUGA, TRZECIA:** Byle nie do Warszawy!

**FRIEDA:** Nie!

**PIERWSZA, DRUGA, TRZECIA:** Byle nie do Warszawy!

**FRIEDA:** Wypuście mnie! Błagam! Przecież ja nie żyję! Ja już zginęłam! Nie macie prawa! Nie macie! Zostawcie mnie!

**PIERWSZA, DRUGA, TRZECIA:** Byle nie do Warszawy!

**DRUGA:** Pociąg! Staaaać! Patrzcie, co znalazłam!

**PIERWSZA:** Czapka! Czerwonoarmisty!

**TRZECIA:** Masz tego więcej?

**DRUGA:** No nie, ta pracownia to jest jakaś skarbnica. Medal spod Lenino.

**PIERWSZA:** Pokaż. Autentyk.

**TRZECIA:** Ci to muszą mieć budżet!

**PIERWSZA:** Daj mi też ten mundur.

**FRIEDA:** Wypuście mnie.

**PIERWSZA:** Gramofon!

*(Katusza)*

**DRUGA:** Jak zabawa, to zabawa!

**FRIEDA:** Zostawcie mnie! Ja nie żyję, do kurwy nędzy, już zginęłam!

**PIERWSZA:** A nam to nie przeszkadza!

**DRUGA:** Wyzwolimy cię!

**TRZECIA:** A potem cały pociąg!

**PIERWSZA:** A potem cały świat!

*Pauza.*

**TRZECIA:** Głowa mnie boli.

**PIERWSZA:** Mnie też.

**DRUGA:** Nic dziwnego. Wojna się skończyła.

**TRZECIA:** Wyzwolenie!

**PIERWSZA:** Nie krzycz tak. Głowa pęka. Powachluj. Plakatem? Pierwsza premiera powojenna: *Moralność pani Dulskiej*.

**DRUGA:** O czym to było?

**PIERWSZA:** O kołtunach na głowie. A ja właśnie na te kołtuny na głowie coś mam. „Finezja”.

**DRUGA:** Jaka finezja?

**PIERWSZA:** Szampon „Finezja”.

**DRUGA:** Szampon. Rzeczywiście.

**PIERWSZA:** Pierwszy szampon PRL. Lata 60-te, XX wiek.

**TRZECIA:** Kłasyka znaczy.

**PIERWSZA:** Jeszcze jaka.

**DRUGA:** I co z tym szamponem?

**PIERWSZA:** Pomyślałam, że mogłybyśmy umyć Friedzie włosy. Ma kołtun. Kołtun. I trochę już przeszła. Należy jej się trochę luksusu.

**DRUGA:** Zapytam ją, czy chce?

**TRZECIA:** Mamy taki szampon dla ciebie. Umyć ci włosy?

**DRUGA:** I co?

**TRZECIA:** Chyba się pogniewała.

**DRUGA:** Na kogo?

**TRZECIA:** Nie wiem. Nic nie mówi.

**DRUGA:** To może umyjmy jej te włosy.

**PIERWSZA:** Ładnie się pieni.

**DRUGA:** Nawet ładnie, rzeczywiście.

**PIERWSZA:** Podaj wodę. Nie za gorącą, ostudź ją trochę. Grzebień. I jak?

**TRZECIA:** No, mogło być lepiej.

**PIERWSZA:** Ale mogło być też gorzej. Słuchaj, ja ci nic nie poradzę. Dziewczynę wypieprzył pluton Armii Radzieckiej, ty się ciesz z tego, co jest. I tak nie jest źle.

**DRUGA:** Tylko halka się podarła.

**PIERWSZA:** Rzeczywiście.

**TRZECIA:** Halo.

**PIERWSZA:** Frieda.

**DRUGA:** I co?

**PIERWSZA:** Gówno co. Nic nie mówi.

**DRUGA:** Słyszę, że nie mówi.

**PIERWSZA:** To co się pytasz?



**DRUGA:** Pytam, bo pytam, nie czepiaj się.

**TRZECIA:** Uciszczone się! Frieda nie dokończyła swojej opowieści. Musimy jej pomóc.

**DRUGA:** A co my innego robimy przez cały czas?

**TRZECIA:** Napiżmy jej tekst.

**DRUGA:** Jaki tekst?

**TRZECIA:** Taki, który ją uruchomi. Coś optymistycznego. Na miarę naszych czasów.

**DRUGA:** Na miarę naszych czasów, ty siebie słyszysz?

**TRZECIA:** Przypierdolę jej zaraz.

**DRUGA:** No już dobrze. Zgrywam się przeciw. Już się tak nie denerwuj.

**PIERWSZA:** Mam. Wiem. Ten szampon to jest przeznaczenie.

**TRZECIA:** Zabierz stąd tę wariatkę.

**PIERWSZA:** To jest nic przeznaczenia. Frieda – premiera niemiec-ka *Fausta* – burza włosów, namiętność, piękno, pożądanie. Frieda – *Moralność pani Dulskiej* – Armia Radziecka i kołtun na łbie. I teraz – Frieda – kobieta naturalna, silna, wyzwolona. Kobieta, która używa szamponu dla kobiet, stworzonego przez kobiety, opracowanego przez kobiety, wymyślonego przez kobiety...

**TRZECIA:** Chyba najpierw wymyślonego, potem opracowanego, a potem stworzonego, co?

**PIERWSZA:** Będzie się teraz koleżanka czepiać każdego słówka, tak? Kierowniczką się znalazła.

Posłuchajcie:

Ten szampon wybawi cię z grzechów przeszłości

Czy jesteś na diecie, czy nie musisz już pościć.

Brunhilda kłania się nisko.

**DRUGA:** Dziesięć na dziesięć w skali krindż miesiąca.

**PIERWSZA:** Tak? To proszę. Spróbuj ty.

**DRUGA:** Może dębowy, a może sosnowy,

A może wykorzystasz nasz szampon brzożowy?

Bartel kłania się nisko.

**PIERWSZA:** Brzozowy? To chyba można wypić zamiast małpki?

**TRZECIA:** Cicho. Teraz ja.

Szampon jak marzenie, jak z raju westchnienie  
wywołuje radość i cebulek drżenie.

Stosuj o poranku, stosuj także w nocy,

Będziesz wystrzałowa jak kamyczek z procy.

Gustebalda kłania się nisko.

**FRIEDA:** Kamyczek.

**DRUGA:** Odezwała się.

**FRIEDA:** Kamyczek. Kamień. Kamień filozoficzny. Kamień na kamieniu nie zostanie. Kurhan.

Wiem, kim jesteście.

Wiem, kim jesteście naprawdę, baby.

Baby pruskie.

Kamienne posągi znajdowane na Warmii i Mazurach od czasów średniowiecza.

**TRZECIA:** Nasza historia nie ma początku.

**DRUGA:** Nie ma końca.

**PIERWSZA:** Tkamy sobie.

**TRZECIA:** Nasza historia jest wspólna i oddzielna jednocześnie.

**PIERWSZA:** Pruska baba to charakter. Nie zostajesz nią po śmierci. Lecz przy narodzinach. Może po śmierci zamienisz się w kamień. Ale śmierć nie jest końcem. Opowieść trwa dalej. Twoje kamienne ciało obrasta bluszcz. Twoje kamienne ciało obmywa deszcz. Twoje kamienne ciało jest przenoszone.

**DRUGA:** Wystawiane na widok publiczny jak w mauzoleum.

**PIERWSZA:** Żyjesz dalej. Czy swoim życiem?

**TRZECIA:** Lubimy to miejsce.

**PIERWSZA:** Rupieciarnio nasza.

**DRUGA:** Graciarnio nasza.

**PIERWSZA, DRUGA, TRZECIA:**

Rekwizytornio nasza.

Pracownio krawiecka nasza.

**PIERWSZA:** Jesteśmy takie wspólne, jesteśmy takie samotne.

**DRUGA:** Zostaniesz z nami, Friedo.

**TRZECIA:** Babo pruska.

**FRIEDA:** Tak sobie myślę, że... tak gadacie te smutne kawałki, bo...  
bo brakuje wam jednej do brydża.

**DRUGA:** Będzie do nas pasować.

**PIERWSZA:** Zawsze pasowała.

# Premiera<sup>66</sup>

**Sz**edł spiesznym krokiem w stronę teatru<sup>67</sup>, którego budynek majaczył w oddali w ciemnościach i lekkim deszczu. Aby się nie przewrócić, musiał uważać na zniszczonym chodniku pełnym dziur i słabo oświetlonym przez nie-liczne latarnie. Wszędzie po drodze mijał wypalone ruiny, gdzie-niegdzie widać było tylko jakieś ślady odbudowy, a bardziej nawet – prowizorycznych napraw, robionych domowymi sposobami za

---

66 Utwór został wyróżniony w Ogólnopolskim Konkursie Literackim SZPRAJSA na tekst nawiązujący do Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie.

67 Premiera *Moralności pani Dulskiej* Gabrieli Zapolskiej rzeczywiście miała miejsce w olsztyńskim teatrze 18 listopada 1945 roku. Wszystkie postacie i wydarzenia zawarte w opowiadaniu i z nim związane zostały jednak wymyślone przez autora.

pomocą sklepanych desek, cegieł i papy. Powstawały w ten sposób małe mieszkania, w których gnieździł się ludźmi. Przyjeżdżali tutaj albo zmuszeni ze Wschodu, albo tacy, którzy szukali lepszego miejsca do powojennego życia. Nie wiedzieli, gdzie jadać. Miasto Allenstein kojarzyło się być może niektórym z ładną niemiecką zabudową, w której było bardzo dużo budynków z czerwonej cegły, ale to, co zastali, szybko zmieniło ich wyobrażenia. Niemal cała starówka spalona, wiele domów na pozostałych ulicach też doszczętnie zrujnowanych. Wszędzie straszyły kikuty wypalonych budynków. Jak dowiedział się od swojej gospodyni, Warmiaczki, pani Holke, dzieło Sowietów, którzy krótko po wkroczeniu podpalili miasto. Niedawno, kiedy nabrała do niego zaufania, opowiadała mu, co się tutaj działo w styczniu i lutym, kilka miesięcy wcześniej, nim przyjechał z Warszawy. Postępowanie radzieckich żołnierzy wobec cywilów jeżyło włos na głowie; gwałcili masowo kobiety, również dwunastolatki, w jakimś klasztorze nawet siostry zakonne, które później zabili, kradli na potęgę, demolowali i niszczyli to, co chcieli. Przypominało mu to wszystko, z czym się zetknął i o czym słyszał, gdy po zwolnieniu z obozu przebywał kilka tygodni na Pomorzu.

Dotarł do wysokich schodów i ruszył na górę. Raz jeszcze spojrział na wielki napis, który widział już wczoraj, kiedy szedł na próbę generalną: „Moralność pani Dulskiej. Premjera”. Otworzył jedno z wejściowych drzwi i znalazł się w foyer, w którym spotkał Halińskiego, woźnego teatru. Mężczyzna był odświętnie ubrany i dopisywał mu humor.

– Chyba wszyscy są już w teatrze – powiedział Haliński. – I pani Śmietanko, reżyser, pan dyrektor, młode panienki, pani Rajkowska i pani Beata, brakowało tylko naszego Zbyszka. No ale jest. Odnalazł się – żartując, uśmiechnął się do Andrzeja i dodał: – Idzie pan do garderoby, żeby przeciwzyć jeszcze rolę?

– A tak, panie Haliński – odpowiedział Andrzej. – Chciałem jeszcze powtórzyć wszystkie kwestie, aby, nie daj Boże, w takim dniu się nie położyć... Bo by była kłapa...

– Pan się tak nie przejmuj, panie Andrzeju. Mamy przecież suflera, w razie czego pomoże.

– Oby nie musiał, mam nadzieję, że dobrze pamiętam tekst – zachnął się Andrzej.

Duma nie pozwalała mu okazać niepewności i dławiącej go od rana tremy.

Garderoba była pusta. Dzielił ją z Karczewskim, który grał Dulskiego i przyjechał tu z Grodna. Starszy aktor był już po sześćdziesiątce, miał bogate doświadczenia sceniczne, a chyba jeszcze bogatsze z kobietami, bo nadal uważał się za teatralnego Casanovę. Wisiał jego płaszcz, więc pewnie wałęsał się gdzieś po teatrze. Andrzej usiadł przy dużym biurku, nad którym wisiało stare pęknięte lustro. Przyjrzał się dokładnie swojej twarzy. Pomyślał żartobliwie, że jest trochę za świeża jak na kogoś, kto spędził noc na hulankach z kokotami. Usłyszał pukanie do drzwi.

– Proszę – powiedział głośno.

Do garderoby weszła Beata. Była już ubrana w bluzkę i spódnice z epoki.

Uśmiechnął się szeroko do dziewczyny i powiedział:

– A ja myślałem, że będę dziś pierwszy w teatrze.

– Akurat. Chciałbyś – zażartowała. – Jestem tu już od godziny. Nie mogę się doczekać.

– Masz tremę? – zapytał, uśmiechając się.

– No pewnie, a ty?

– Jasne.

– Wczoraj na generalnej byłeś naprawdę dobry. Reżyser cię chwalił, więc nie masz się czym przejmować. Wystarczy tylko to dzisiaj powtórzyć.

– Łatwo powiedzieć – roześmiał się i dodał ironicznie: – Gorzej zrobić... No ale miejmy nadzieję, że się uda.

– Na pewno – powiedziała. – Muszę ci coś jeszcze powiedzieć – spojrzała na niego uważnie.

– Tak?

– Otóż... – Urwała, bo usłyszeli głośne pukanie i zaraz zza uchylonych drzwi wyjrzała głowa uśmiechniętego Halińskiego.

– Dobrze trafiłem, gdzie szukać naszej Hanki. Pani Beatko, reżyser panią prosi...

– Dobrze, idę. Porozmawiamy później, po premierze – powiedziała do Andrzeja, odchodząc.

Wyszli. Został sam. Z kieszeni starego wojskowego płaszcza wyjął paczkę papierosów. Wyłuskał jednego i zapalił. Po chwili jednak zgasił go o zniszczony blat biurka. Nie smakował mu, zapewne przez ten nastrój nerwowego podniecenia, coraz mocniejszej, im bliżej spektaklu, tremy. Otworzył plecak, z którego wyjął stare wydanie *Moralności pani Dulskiej*. Kupił je w czasie okupacji w Warszawie na pchlim targu. Pamiętał nawet sprzedawcę. Był wysokim, niezwykle chudym mężczyzną, który się jąkał. Nosił też okulary w grubych oprawkach. Miał jeszcze wiele innych książek, głównie z polskiej literatury romantycznej. Ale on wybrał sztukę Zapolskiej, tak jakby przeczuwał, że kiedyś mu się przyda. Miał swój egzemplarz, wszystko w całości, a nie na jakichś pojedynczych, luźnych, przepisanych na maszynie kartkach. Otworzył książkę. Wszystkie swoje kwestie podkreślił wcześniej ołówkiem, a na marginesach porobił szczegółowe notatki na podstawie uwag reżysera na próbach oraz własnych przemyśleń dotyczących Zbyszka. Najpierw przez kilka minut ćwiczył opanowanie tekstu, czytał początek kwestii, a później dalszą ich część kończył w myślach. Pamięć działała bez zarzutu. Później przez długą chwilę myślał jeszcze o swojej postaci, ale niczego specjalnie nie potrafił już do niej dodać, bowiem praktycznie była gotowa od kilkunastu dni. Spojrzał na zegarek. Do rozpoczęcia pozostała jeszcze dobra godzina, ale on wchodził i tak dopiero w piątej scenie. Pomyślał o Beacie, która pierwsza zacznie przechodzić chrzest w tym teatrze. Beata... Choć poznał się trzy miesiące temu, miał wrażenie, że znają się od lat. To nie było niczym złym, wprost przeciwnie, kiedy przebywali ze sobą, nigdy nie nudzili się. Mieli podobne podejście do życia i teatru, w ogóle interesowała ich sztuka, czytali te same książki,

uwielbiali podobne przedwojenne filmy. Lubili swoje towarzystwo. Ta bliskość wydawała mu się czymś najlepszym, co spotkało go przez te wszystkie ostatnie lata. Początkowo, gdy przyjechał do tego miasta, był – zapewne jak większość przybyszów – rozczarowany tym, co zastał. Nielatwo mu było tutaj się odnaleźć. Czuł się obco, nie miał tu nikogo...

Podróż z Warszawy zaczęła się późnym popołudniem. Była wiosna, połowa maja. Właśnie przekwitały bzy. Najpierw czekali kilka godzin na pociąg, a kiedy nadjechał, był tak przepełniony, że Andrzej musiał spędzić podróż wraz z innymi ludźmi na dachu. Na szczęście gdy wyjeżdżali, było ciepło, a wieczór i noc nie okazały się bardzo chłodne. Pociąg przystawał kilka razy, za każdym razem co najmniej na godzinę, coś chyba się tam psuło w parowozie, w końcu około północy dotarli do Olsztyna. Pierwszym, na co zwrócił uwagę, gdy wysiadł na peronie naprzeciw zrujnowanego dworca, była tablica z przekreślonym napisem „Allenstein” i wypisaną czerwonymi koślawymi literami nazwą „Olsztyn”. Przeczekał noc w ruinach spalonego dworca. Nawet się krótko zdrzemnął, bo nie musiał pilnować dobytku. Wszystko, co miał, mieściło się w małej walizce, którą położył sobie na kolana. Rankiem, kiedy wyszło słońce, ruszył do miasta. Obok budynku dworca napotkał mogiły. Na niektórych były drewniane krzyże. Pomyślał, że są to zapewne ofiary zimowego frontu, który przetoczył się niedawno przez miasto. Na długiej ulicy, której nazwy nie potrafił odczytać ze zniszczonej tablicy, zobaczył siedzibę PUR-u. Wszedł do jednej z nielicznych ocalałych kamienic. W korytarzu śmierdzącym kocim moczem stała kolejka podobnych do niego ludzi: młodzi, starsi, wszyscy z jakimiś walizkami i tobołkami. Zagadnęła jedną z kobiet:

- Długo się czeka?
- To zależy... Jak wchodzi rodziny, to schodzi dłużej. A pan sam?
- Sam – potwierdził.
- To tak jak i ja – powiedziała cicho głosem, w którym czuć było



zmęczenie i rezygnację. Tak, jakby wszystko było jej już obojętne, jakby wszystko się kończyło, a przecież nie miała więcej niż czterdzieści kilka lat.

– Pan młody, to sobie jakoś poradzi... Ale ja? Zaczynać wszystko od nowa...

– E tam, niech pani tak nie mówi, jeszcze wiele przed szanowną panią – powiedział, uśmiechając się, aby dodać jej otuchy.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo drzwi otworzyły się gwałtownie i z urzędu wyszło małżeństwo z małym dzieckiem. Żona była chuda i wysoka, mąż niski i gruby. Dziecko, które ojciec niósł na rękach, puciołowate. Teraz była kolej kobiety. Weszła do środka, zamykając za sobą starannie drzwi. Wyszła po piętnastu minutach z wyraźnie pogodniejszą miną. Podeszła i pokazała mu jakieś urzędowe pismo pisane na maszynie, na którym znajdowała się czerwona pieczętka.

– Dostałam skierowanie na przydział pokoju – powiedziała. – To może jakoś się ułożyć...

– Na pewno – odpowiedział.

– Do widzenia – uśmiechnęła się.

Po godzinie przyszedł jego kolej. Wszedł do środka. Pomieszczenie było małe, naprzeciwko wejścia, pod oknem, stało duże biurko, przy którym siedział mężczyzna w okularach; wyglądał na skrupulatnego urzędnika. Po jego prawej stronie znajdowało się drugie biurko z maszyną do pisania, za którym siedziała młoda dziewczyna. Mężczyzna zapytał go o imię i nazwisko oraz dane rodziców i poprzednie miejsce zamieszkania. Podał informacje, a urzędnik zanotował je w jakiejś grubej księdze.

– O, pan z Warszawy, ze stolicy... I do takiego małego miasta pan przyjechał? – zdziwił się i przyjrzał mu się uważnie.

– Stolica zrujnowana, rodzice nie żyją – odpowiedział. – Nie mam tam już nikogo.

– Pana zawód? – zapytał mężczyzna.

– Studiowałem aktorstwo – odpowiedział po dłuższej chwili.

- Ciekawe. Przed wojną? Trochę chyba pan za młody...
- Nie, to było w okupację. Uczęszczałem do konspiracyjnego Państwowego Instytutu Sztuki Teatralnej.
- Czyli jest pan aktorem?
- No, w pewnym sensie można tak powiedzieć. Nie dokończyłem nauki, bo wybuchło powstanie...
- Piszemy zatem: aktor – zdecydował mężczyzna, zamoczył pióro w kałamarzu i wpisał do księgi.
- No to gdzie my pana skierujemy? – zapytał sam siebie. Spojrzał w jakieś papiery obok księgi i rzekł głośno po chwili: – Zakwaterujemy u obywatelki Anne Holke, Zwycięstwa 4/21, była Kleeberger-Straße. To niedaleko. Trzeba pójść jakieś trzysta metrów prosto, a potem skrócić w lewo.
- Słyszając to, dziewczyna zaczęła pisać na maszynie i po chwili wyjęła z niej kartkę ze skierowaniem. Podała mężczyźnie w okularach, który przystawił pieczętkę i złożył podpis. Wziął skierowanie i wyszedł na ulicę.

To była druga próba w tym tygodniu. Kiedy wszedł do sali widowiskowej, od razu zwrócił uwagę na tę dziewczynę. Rzucała się w oczy. Miała ciemne niedługie włosy, wielkie brązowe oczy, piękne usta i zgrabny nos. Była średniego wzrostu. Dyrektor Balicki wziął go poufale pod ramię i poprowadził w jej kierunku.

- A to, młodzieńcze, pańska sceniczna partnerka, pani Beata, bo pani Gawrońska niestety złamała nogę i to tak nieszczęśliwie, że będzie unieruchomiona dwa miesiące. A my nie możemy na nikogo czekać. Nasza premiera przecież wkrótce.

- Miło mi – powiedział, podając jej dłoń. – Andrzej Korzyński.

- Beata Tomicka – uśmiechnęła się. Jej dłoń była delikatna, niemal krucha.

- Koleżanka grała w wileńskim teatrze rozrywkowym w roku czterdziestym i czterdziestym pierwszym. Ma już pewne doświadczenia... A kolega Andrzej – skierował wzrok na niego – był studentem tajnego PIST-u i też próbował swoich sił w konspiracyjnym teatrze.

Zaczęła się próba. Dziewczyna była naprawdę utalentowana. Grała lekko, a równocześnie przekonująco. On też starał się wypaść jak najlepiej. Pod koniec reżyser Janicki pochwalił cały zespół, szeroko uśmiechnął się do Beaty i Andrzeja i powiedział:

– Byliście oboje naprawdę dobrzy, oby tak dalej...

Kiedy wychodzili z teatru, na dworze zapadał już zmierzch. Był co prawda dopiero koniec sierpnia, jeszcze ciepło, choć wietrznie, ale dni już krótsze.

– Pani mieszka daleko? – zapytał.

– Na Kwiatowej. Jakiś kilometr stąd. Nie aż tak daleko...

Chociaż było to w przeciwnym kierunku, niż miał iść, zaproponował:

– Jeśli pani pozwoli, to ją odprowadzę. Już późno, różni się teraz kręć po ulicach.

– Będzie mi bezpiecznie – powiedziała, uśmiechając się. – I bardzo miło – dodała zaraz.

Odtąd po każdej próbie odprowadzał ją do domu. Zaczęli się też spotykać w dni, w których ich nie było. Najczęściej czekał na nią przy Wysokiej Bramie. Później szli na spacer, nieraz na herbatę i ciastko. Dużo rozmawiali o próbach, teatrze, aktorach, sztuce. Ich poglądy na te sprawy były bardzo podobne. Na drugim spotkaniu pocałowali się po raz pierwszy. Później zaprosiła go do domu, aby poznał jej matkę. Denerwował się bardzo, gdy szedł do nich z pierwszą wizytą. Okazało się jednak, że zupełnie niepotrzebnie. Matka, chociaż dobiegała pięćdziesiątki, była nadal piękną kobietą. Teraz rozumiał, po kim Beata odziedziczyła urodę. Wręczył obu kobietom po małym bukietcie, które kupił od ulicznej kwiaciarki. Niewielkie mieszkanie, w którym się znalazł, okazało się zadbane i przytulne. Czuł w nim kobiecą rękę. Nie przypominało w niczym jego ascetycznego lokum u pani Holke, które w myślach nazywał często „pustelnią”. Na środku pokoju stał stół przykryty białym świeżym obrusem, zastawiony smakołykami, których nie widział już dawno: jajka w majonezie, ser, sałatka kartoflana, ciasto drożdżowe. Wszystkie te wspaniałości nadszarpnęły zapewne ich domowy budżet.

Czuł się trochę zażenowany, że gościli go z takim przepychem.

- Pan, jak wspominała Beata, też gra w teatrze. Lubi pan to?
- zapytała Helena, matka aktorki.
- Tak. Bardzo. Od dzieciństwa chciałem występować na scenie
- odpowiedział.
- To tak jak Beata. Poza teatrem często świata nie widzi. Ale pracuje też przy dzieciach w przedszkolu.
- Ja też pracuję - powiedział. - Z czegoś trzeba żyć.
- A gdzie? - zapytała Helena.
- Mamo, nie wypytuj tak gościa - Beata roześmiała się głośno.
- W „Harmonii”. Jestem kelnerem. Ale mam nadzieję, że to tymczasowe zajęcie.
- Może po premierze dostaniemy angaże - powiedziała Beata.
- Dyrektor coś ostatnio o tym wspominał. Zależy, jak wypadnie ten nasz debiut. W końcu to zawodowy teatr. Jest tutaj potrzebny.
- Widziałam, przechodziłam tam niedawno - powiedziała matka Beaty. - Budynek całkiem, całkiem... Dostojny. Dobrze, że ocalał, chociaż zniszczony.
- Już go trochę remontują - powiedział.
- No tak. Słyszałam, że przed wojną i w ostatnich latach był tam teatr... Rzecz jasna niemiecki.
- Tak - potwierdził. Powstał jako podziękowanie dla miejscowej ludności, która w większości w czasie plebiscytu opowiedziała się za Niemcami.
- No cóż, czasy się zmieniają - powiedziała Beata. - Teraz tu jest Polska.
- Polska? Może kiedyś będzie - odezwała się ironicznie Helena.
- Na razie to kupa ruin...
- Beata ma rację - powiedział. - Tu potrzebna jest polska kultura. Teatr, kino, muzyka...
- Ale to powoli, rozpedził się pan - uśmiechnęła się Helena.
- Najpierw ludzie muszą mieć gdzie mieszkać i pracować.
- Mamo, teraz też potrzebna jest kultura, teatr, tutaj przecież dopiero zaczyna się Polska. Ludzie muszą czuć się z tą ziemią

związani... I muszą też mieć zwyczajnie trochę rozrywki.

– Tak... Jakby tych ludzi, jak nas, nie wygnali ze swojego na obce – to by nie musieli się do nowego przyzwyczajać – powiedziała Helena.

– Mamo, nic na to nie poradzimy – rzekła Beata. – Życie płynie dalej.

– Dalej... Trudno tak się przyzwyczaić do tych ruin. Wy jesteście młodzi, to się przyzwyczajacie, ale ja... – urwała.

– Pani jest też jeszcze młoda – powiedział.

– Dziękuję za komplement. To miłe, młody człowieku, ale nie zgodzę się z tym.

– Oj mam... – Beata pogroziła jej żartobliwie palcem.

Rozmawiali jeszcze później o życiu w Olsztynie, trudnościach w zdobywaniu żywności, dachu nad głową, pracy. Helena opowiedziała mu historię ich podróży z Wilna, przy której jego podróż z Warszawy okazała się niemal komfortowa. Później uznał, że wypada się już pożegnać. Ucałował dłoń Heleny. Beata odprowadziła go przed kamienicę. Pocałowała go w policzek na pożegnanie i powiedziała:

– Do zobaczenia na jutrzejszej próbie.

Jednego z ciepłych dni wrześnieowych rankiem wybrali się piechotą do Kortowa. Ktoś z teatru opowiadał z ożywieniem o pięknie tego miejsca i postanowili je zobaczyć. Droga wśród ruin zajęła im prawie dwie godziny, ale było warto. Jezioro zachwyciło ich kolorem wody i położeniem. Dzień był gorący, więc zeszli tuż nad wodę, aby się ochłodzić po marszu. Siedzieli później na zniszczonym pomoście, przytuleni do siebie i podziwiali okolicę. Wszędzie panowała jeszcze poranna cisza, przerywana z rzadka tylko odgłosem krów z pobliskich gospodarstw. Czuć było zapach tataraku i rozgrzanych desek pomostu.

– Kocham cię – powiedział w pewnej chwili.

Czuł, jak zadrżała. Spojrzała mu w twarz brązowymi oczyma ze strachem:

– Jesteś tego pewien?

– Tak. Niczego nie byłem tak pewien przez ostatnie lata, jak właśnie tego – powiedział i pocałował ją w usta.

Oddała pocałunek. Siedzieli tak długą chwilę, milcząc, a potem poszli, trzymając się za ręce, do pobliskiego lasu. Weszli daleko w jego głąb i zatrzymali się na małej polanie. Usiedli na ciepłym od słońca mchu. Pachniało wokół rozgrzaną trawą i zeschniętymi od upału liśćmi. Zaczęli się całować i osunęli na miękki mech. Kiedy zaczął rozpinąć jej sukienkę, miał przez sekundę wrażenie, że chce go odepchnąć, ale zaraz podniosła się, opłótła rękoma jego szyję, pocałowała i pociągnęła ku ziemi.

Kiedy szli przez las, słońce stało już wysoko. Pogoda stawiała się męcząca, a oni nie chcieli wracać do miasta w środku dnia, w najgorszy skwar bez odrobiny cienia. W połowie drogi do jeziora skręcili w lewo, aby skrócić sobie trasę. Przed nimi rosły rozłożyste paprocie, które musieli rozgarniać, aby przejść dalej. W pewnej chwili Beata krzyknęła czymś przerażona.

– Spójrz tam – powiedziała, wskazując ręką.

Niedaleko drzewa, wśród paproci, leżały fragmenty ludzkich szkieletów. Po kościach i czaszkach chodziły pracowicie mrówki. Widać było resztki ubrań, wojskowych mundurów Wehrmachtu i brudnych, białych niegdyś fartuchów medycznych.

– Boże – powiedziała. – Co tu się musiało dziać zimą...

– To na pewno zrobili Sowieci – powiedział.

– Tak. Przecież Niemcy nie strzelaliby do swoich – potwierdziła. – Czerwonoarmiści są do tego zdolni. U nas w Wilnie też mordowali. Kradli, gwałcili i zabijali. Dzięki Bogu schroniliśmy się wtedy z matką u znajomych na wsi.

– Chodźmy już stąd – pociągnął ją za rękę.

Wyszli z lasu i znów ujrzeli jezioro. Przy kolejnym pomoście stał jakiś człowiek. Z daleka wydawało im się, że to dorosły mężczyzna, ale gdy podeszli bliżej, okazało się, że to młody, może szesnastoletni chłopak, wysoki i szczupły. Zaraz też zauważyli, że coś jest

z nim nie tak. Jego ruchy były dziwne, chaotyczne, wyglądał, jakby był pijany. Jednak po chwili, gdy zaczął mamrotać pod nosem po niemiecku, zrozumieli, że jest niedorozwinięty.

– *Russen* – mamrotał. – *Kranken Soldaten, kranken Leute* – trrrrrrr – zaczął naśladować serię z broni maszynowej. – *Kortau, Wald, Wald* – pokazał w stronę lasu.

– Co on mówi? – zapytała Beata.

– Coś o jakichś żołnierzach, chorych, zabijanych przez Armię Czerwoną. Chyba w lesie, nie wiem dokładnie, słabo znam niemiecki.

Chłopak przyjrzał im się uważnie i zapytał gestem rąk o papierosa.

– *Zigaretten, ja?*

Andrzej sięgnął do kieszeni marynarki.

– *Ja, ja... Danke* – chłopak uśmiechnął się.

Podał mu papierosa i ogień. Chłopak zaciągnął się dymem, zakrztusił i przez łzy znów się uśmiechnął. Zasalutował jak żołnierz, odwrócił się i poszedł, kołysząc się, przed siebie w kierunku pobliskiego gospodarstwa.

– Wariat – powiedział. – Ciekawe, jak przeżył, bo szkopy to się z takimi nie cackali. Pewnie rodzina go gdzieś w obejściu ukrywała... Może w stodole...

– Straszne – powiedziała. – A co on winien, że taki jest?

Szli później całą niemal drogę w milczeniu. Pogodne słoneczne południe stało się nagle dziwnie ciemne, słońce schowało się za chmury.

Coraz częściej bywał w mieszkaniu Beaty i jej matki. Helena za każdym razem namawiała go do kolejnych wizyt i zaczynała traktować niemal jak domownika. Zaglądał do nich, przynosząc paczki albo ciastka z niedawno otwartej cukierni. Rozmawiali o tym, co wydarzyło się w mieście, o próbach w teatrze, pracy. Matka Beaty znalazła ostatnio zajęcie w bibliotece miejskiej. Była z zawodu nauczycielką, więc zrobiono ją kierowniczką i organizatorką tej potrzebnej w mieście instytucji. Popołudniami nadal spotykał się z Beatą przy Wysokiej Bramie, a po próbach, jeśli kończyły się

wcześniej, chodzili do jego mieszkania. Początkowo trochę obawiał się reakcji „Frau Holke”, jak nazywał w myślach właścicielkę mieszkania, nie wiedział, czy spodoba się jej to, że odwiedza go kobieta, ale ona się w to nie wtrącała. Pożyczyła mu nawet na te spotkania gramofon, na którym słuchali przedwojennych niemieckich i amerykańskich szlagierów. Pili podłą gruzińską herbatę, którą dostał od szefa restauracji, palili papierosy i rozmawiali o próbach i kolegach z teatru. Raz próbowali tańczyć. Beata zdjęła pantofle i zobaczył, jak są sfatygowane. Tańczyła boso i nawet im to nieźle wychodziło. Kiedy skończyli, znów zerknął na pantofle, które stały przed łóżkiem. Zastanawiał się, jak ona może w nich chodzić. Pomyślał wtedy, że musi zdobyć dla niej jakieś porządne buty. Kiedy wyszła do toalety, zrobił miarkę z wąskiej listewki, którą znalazł w szufladzie stołu.

W pracy od kierownika usłyszał, że otworzyli sklep obuwniczy „Bata”. Podobno sprzedawano w nim solidne buty. Trzeba jednak było postać parę ładnych godzin w kolejce. Może nawet pół dnia. Szef dowiedział się od znajomego konwojenta, że towar będzie jutro rano. Andrzej nie wahał się. Zamienił się z kolegą na popołudnie i stanął po buty. Po sześciu godzinach dopiął swego. Wyszedł ze sklepu z parą eleganckich butów dla Beaty. Następnego dnia po próbie zaprosił ją do siebie jak zwykle na herbatę. Była zaskoczona, kiedy wręczył jej prezent.

– To dla mnie? – zapytała. – Z jakiej to okazji?

– Tak bez okazji... – powiedział cicho. – Otwórz.

Rozwiązała sznurek i rozwinęła szary pakowy papier. Westchnęła z zachwytem, ujrawszy buty:

– Boże, jakie piękne. Musiały kosztować majątek.

– Nieważne. Przymierz, mam nadzieję, że będą pasować.

Zdjęła zniszczone buty i wsunęła pantofle na wąskie stopy. Przyjrzała im się uważnie.

– Pasują jak ulał – powiedziała.

Przeszła się po pokoju.



– Bardzo wygodne... Ale ja nie wiem, czy mogę przyjąć tak drogi prezent.

– Przestań, nie były aż tak drogie. Musisz przecież mieć buty. Nie będziesz chyba wkrótce chodzić boso.

Objęła go i pocałowała, a potem powiedziała:

– Nie boisz się, że coś się między nami popsuje... Mówią, że jak chłopak daje buty dziewczynie, to...

– Dajmy sobie spokój z tymi głupimi przesadami. Wycierpieliśmy już wystarczająco dużo, żeby nie przejmować się takimi głupstwami – powiedział.

Podszedł do niej i pocałował w usta. Po chwili znaleźli się na jego wąskim i niewygodnym łóżku. Kiedy leżeli zmęczeni miłością i przytuleni do siebie, powiedziała:

– Boże, jak ja cię kocham, jak cię kocham... Jesteś dla mnie taki dobry i troskliwy...

Wszyscy czekali na swoją kolej za kulisami. Rolę inspicjenta przyjął reżyser. Stał z zegarkiem, ciągle patrząc na scenę i wszystkiego pilnował. Wskazywał palcem i mówił szeptem, kto ma przygotować się do wejścia na scenę. Andrzej wchodził w piątą scenie, ale się niecierpliwił, chciał, aby się już zaczęło. W końcu nadeszła jego kolej. Wszedł zmęczonym krokiem birbanta, który rankiem powraca z hulanek. Pierwsze słowo wypowiedział z lekkim drżeniem, ale później poszło już jak z płatka. Po prostu grał; wygłaszał swoje kwestie, ruszał się na scenie, wykonywał różne gesty. Kątem oka dostrzegł, że publiczność jest zadowolona, żywo reaguje śmiechem na to, co dzieje się na scenie. Pomyślał, że musi uważać, aby nie przeszarżować. W trakcie spektaklu widzieli się z Beatą za kulisami, ale nie mieli okazji zamienić więcej niż kilku słów. Widział jednak, że jest szczęśliwa; była w swoim żywiole, radosna, z wypiekami na twarzy, zadowolona. W końcu spektakl zakończył się. Publiczność wstała ze swoich miejsc, klaskała, wznosiła okrzyki zadowolenia i pochwał dla aktorów. Na scenę rzucano kwiaty i krzyczano: „Sto lat, sto lat...”. Po chwili opadła

przykrótka kurtyna, ale nie zrobiło się ciszej, widzowie domagali się zobaczenia aktorów. Kiedy znów odsłonięto artystów, złapali się za ręce i stanęli przed publicznością. W końcu kurtyna opadła i pierwsi widzowie zaczęli opuszczać salę. Za kulisami panowała familijna atmosfera, wszyscy rozmawiali głośno i Beata, stojąc obok Andrzeja, powiedziała mu cicho do ucha.

– Zostaniesz tatą. Jestem w ciąży. W piątek byłam u lekarza.

Przez chwilę milczał, a potem powiedział:

– To wspaniała wiadomość. Kocham cię.

– Boże, jak ja się bałam, jak to przyjmiesz...

– Niepotrzebnie – spojrzał w jej brązowe oczy i poczuł ogromną kłiwosć. Była taka delikatna i wrażliwa. Nie zważając na okoliczności, przytulił ją mocno.

– No a nasza Hanka i Zbyszko razem. Zupełnie inaczej niż u Zapolskiej – roześmiał się dyrektor.

– Zupełnie – potwierdziła Beata. Uśmiechnęła się zawstydzona do dyrektora, a potem do Andrzeja i powtórzyła po chwili:

– Zupełnie inaczej...

SZYMON JACHIMEK

# Setka Jaracza, czyli (prawie) sto sposobów na setne urodziny<sup>68</sup>

*Czytelniczki i Czytelnicy,*

*Widzki i Widzowie,*

*Miłośniczki i Miłośnicy Teatru,*

*Wszyscy jak jeden mąż (i jedna żona) – Szanowni i Czcigodni!*

*Niewiele jest w życiu sytuacji, do których nie pasowałby cytat*

---

68 Teatr zamówił ten scenariusz na obchody podwójnego jubileuszu: stu lat istnienia i osiemdziesięciu lat działalności sceny polskiej w Olsztynie. Premiera spektaklu *Setka Jaracza, czyli (prawie) sto sposobów na setne urodziny* w reżyserii Rafała Szumskiego odbyła się 28 grudnia 2024 roku na Scenie Dużej.

*z Wojciecha Młynarskiego. Ot, i teraz również pcha się pod palce: „Strasznie lubię cię, piosenko, tuż po twoich narodzinach // gdy cię le-dwo nuci cienko kompozytor znad pianina”.*

*Tak jak Mistrz Wojciech miał z tekstami piosenek, tak i ja mam ze sztukami teatralnymi. Absolutnie rozumiem wagę reżyserii, doceniam czary, które światłem i dźwiękiem rozbudowują świat zapisany w literkach, ale jednocześnie uwielbiam pierwsze próby i czytania performatywne. Wtedy zamysły autora tekstu wi-dać najwyraźniej, wtedy jeszcze czytane są (lubiane przeze mnie, choć coraz rzadziej w świecie stosowane) didaskalia, wtedy jeszcze istnieje tylko jeden twórca.*

*Czyli może powinienem iść w prozę...*

*Ale zanim pójdę, chciałbym zaprosić Państwa do przeczytania jednej z pierwszych wersji tekstu „Setka Jaracza, czyli (prawie) sto sposobów na setne urodziny”, napisanego jesienią 2024 roku. Ten tekst uległ później na próbach wielu przeobrażeniom, a efekt możecie zobaczyć w Teatrze. Zachęcam do porównania obu wersji, choćby dla dostrzeżenia ilości małych, średnich i dużych decyzji, które trzeba podjąć, przenosząc sztukę na scenę. Ale i liczby wariantów, które napotyka na swojej drodze autor, gdy siedzi nad tym Wordem i myśli, i myśli, i myśli...*

*W poniższym tekście znajduje się sporo kwestii, a nawet i scen, które ostatecznie nie znalazły się w spektaklu. Potraktujmy zatem ten zapis jako taki „writer’s cut”.*

Szymon Jachimek

(z nieocenioną pomocą Rafała Szumskiego i Wszystkich Świętych, a także informacjami zaczerpniętymi z książki Tadeusza Prusińskiego *Jest teatr w Olsztynie*, Olsztyn 2005)

## **SETKA JARACZA,**

**czyli**

**(prawie) sto sposobów na setne urodziny**

**wersja ósma, 20.11.2024**

### **SCENA 1 – PROJEKCJA**

*Na samym początku, niczym w kinie, pojawi się kilka zmyślonych reklam i zwiastunów spektakli, których premiera nigdy się nie odbędzie.*

*A może również takie coś:*

*Ujęcie na Teatr. Słuchać off.*

#### **OFF:**

Szanowne, Szanowni. Uprzejmie prosimy o nienagrywanie i nie-robienie zdjęć podczas spektaklu. Radujmy się naszym świętem bez telefonów. Szanujemy stulatkę. Kłaniam się nisko. Stefan Jaracz.

*Czołówka, która prezentuje producenta całości. Być może będzie to WARMIA BROS. Aż wreszcie tytuł: SETKA JARACZA, CZYLI (PRAWIE) STO SPOSOBÓW NA SETNE URODZINY.*

## SCENA 2

*Na ekranie pojawia się napis **SPOSÓB KLASYCZNY**.*

*Na scenie pojawiają się elegancko ubrani KONFERANSJER i KONFERANSJERKA z podkładkami w dłoni – gala, jak się patrzy.*

**KONFERANSJER:**

Dobry wieczór! W imieniu naszego Teatru witają Państwa niezwykle serdecznie: Katarzyna Kropidłowska...

*Brawa.*

**KONFERANSJERKA:**

... oraz Paweł Parczewski. A także... Grzegorz Gromek.

**GRZEGORZ GROMEK:**

Alicja Kochańska.

**ALICJA KOCHAŃSKA:**

Jarosław Borodziuk.

**JAROSŁAW BORODZIUK:**

Ewa Pałuska-Szozda.

**EWA PAŁUSKA-SZOZDA:**

Maciej Mydlak.

**MACIEJ MYDLAK:**

Małgorzata Rydzyńska.

**MAŁGORZATA RYDZYŃSKA:**

Krzysztof Plewako-Szczerbiński.

**KRZYSZTOF PLEWAKO-SZCZERBIŃSKI:**

Emilia Lewandowska.

**EMILIA LEWANDOWSKA:**

Radosław Hebal.

**RADOSŁAW HEBAL:**

Mikołaj Trynda.

**MIKOŁAJ TRYNDA:**

I wystarczy.

**KONFERANSJER:**

A witamy Państwa na *Setce Jaracza, czyli (prawie) stu sposobach na setne urodziny!*

**KONFERANSJERKA:**

Tak, to już sto lat, od kiedy w tym miejscu teatr działa, porusza, bawi, opowiada, wyjaśnia i pyta.

**KONFERANSJER:**

Ale to również osiemdziesiąt lat, od kiedy nasz Teatr stał się polskim teatrem.

**KONFERANSJERKA:**

Mamy podwójny jubileusz, więc i wieczór będzie wyjątkowy. Uro-  
nimy łezkę wzruszenia, potupujemy nóżką, powspominamy i po-  
śmiejemy się serdecznie. A jak dobrze pójdzie, to nawet pośpiewa-  
my. Tak jak powinno się bawić na urodzinach spędzanych w gronie  
bliskich nam osób.

**KONFERANSJER:**

Zanim przejdziemy do części artystycznej, podziękujmy instytuc-  
jom i firmom, bez których nasza działalność byłaby niemożliwa,

a przynajmniej bardzo utrudniona.

Prosimy zatem o tak zwany „mono-klask” po każdej wyczytanej nazwie.

**KONFERANSJERZY** (*po kolei*):

Samorząd Województwa Warmińsko-Mazurskiego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Spółem Olsztyn

Michelin Polska

Win-Cin

Alicja Starkiewicz, prezes Hotelu Star-Dadaj

**KONFERANSJER:**

Wszystkim wyżej wymienionym pięknie dziękujemy. Wielkie brawa.

*Wielkie brawa.*

**KONFERANSJERKA:**

Szanowni Państwo, nasz stulatek, Teatr im. Stefana Jaracza, jest w świetnej formie. Imponuje blaskiem w oku, niebanalnością spostrzeżeń i niegasnącym zainteresowaniem człowiekiem.

**KONFERANSJER:**

Cała historia zaczęła się niespełna sto pięć lat temu, kiedy w ówczesnym Allenstein Niemcy postanowili uczcić zwycięstwo w wojennym plebiscycie.

## SCENA 3

*Na scenę wpada czworo Niemców: HANS, LISBETH, JOHANN i ANNEMARIE.*

**ANNEMARIE:**

*Ja, schön. Guten Tag und auf Wiedersehen!*



*KONFERANSJERZY schodzą.*

*Na ekranie pojawia się napis: **SPOSÓB HISTORYCZNO-BIESIADNY.***

**HANS:**

*Meine Freunde.* Wybudujmy tu, w Allenstein, pamiątkę naszego zwycięstwa. Czekam na pomysły.

**ANNEMARIE:**

Pomnik konia! Z wielkim kopytem, które miażdży niedobitki słowiańskości!

**LISBETH:**

Cyrk na kółkach!... Bo życie na Warmii to jest cyrk na kółkach.

**JOHANN:**

W Allenstein mamy dużo jezior.

*Pauza.*

**LISBETH:**

Tak, kochanie?

**JOHANN:**

Ja bym między nimi zrobił przekopy, żeby powstało Morze Cesarza Wilhelma.

**HANS:**

To wszystko są doskonałe pomysły. Morze Cesarza Wilhelma? Sztos. Das Sztos. Ale gdyby tak... wybudować teatr?

**JOHANN:**

Może jednak morze...

**HANS:**

Teatr! Treudank-Theater! Teatr jako dar wdzięczności narodu niemieckiego! Tylko posłuchajcie...

## SCENA 4

*Wskakuje żwawa niemiecka muzyka ludowa. Taka, w której wszyscy tupią nóżką i uśmiechają się do kamery pełnym wąsem<sup>69</sup>. Z akordeonem, koniecznie. HANS śpiewa zawadiacko, w trakcie dołącza się reszta Niemców.*

**HANS (śpiewa):**

Teatr! Świątynia sztuki, izba cnót!  
Teatr! Tu każda chwila *ist sehr gut!*  
Teatr! Ma całą rzeszę, rzeszę zalet!  
Teatr! *Ist das Beste von allem!*

Żeby miasto było miastem,  
A nie jakąś dużą wsią,  
Żeby z horyzontów ciasnych  
Zrobić takie, że hoho!  
Żeby było dokąd chodzić,  
Gdy zapada w mieście zmrok,  
Trzeba tu postawić teatr,  
Trochę takie ludzkie zoo.

Teatr! Świątynia sztuki, izba cnót!

---

69 Referencja: YouTube – Zillertaler Haderlumpen, 1, 2 oder 3000 Jahre (choć ci akurat bez wąsa); Haindling, Bayern (*Des samma mia*) lub cała masa innych niemieckich piosenek ludowych.

**LISBETH:**

Stop! (*Muzyka się zatrzymuje*). „Ist bac nut”?!

**HANS:**

IZ-BA-CNÓT!

**LISBETH:**

*Ah, so...*

*Muzyka powraca.*

**HANS, LISBETH, ANNEMARIE i JOHANN (*śpiewają*):**

Teatr! Świątynia sztuki, izba cnót!

Teatr! Tu każda chwila *ist sehr gut*!

Teatr! Ma całą rzeszę, rzeszę zalet!

Teatr! *Ist das Beste von allem*!

Założ suknię, frak, koszulę

I odświeżne buty wzuj,

Zabierz żonę, męża, córę,

Na widowni siedź i czuj.

Kiedy spektakl minie metę,

Płyną brawa, płyną łzy,

Tutaj Johann Wolfgang Goethe,

Tam oglądasz właśnie ty!

**GÓRAL (*wpadając na scenę*):**

Stop! Biesiada bez nas?

**ANNEMARIE:**

To nasza niemiecka biesiada, bo to nasz niemiecki teatr.

**GÓRALKĄ:**

Jus niedługo, pieknuśka. Hehehe.

**ANNEMARIE:**

Ale teatr góralski to też nie będzie.

**GÓRAL:**

Tys prowda. Niwozne. Jadzieme!

*Śpiewają piosenkę zaaranżowaną na góralską.*

*Napis na ekranie: **SPOSÓB TYŻ BIESIODNY, ALE SPOD SAMIUŚKICH TATER.***

Teatr! Pikniejszy od samiuśkich hal!

Teatr! W nim pogzeb, słońce, disc i bal!

Teatr! Jak jasne niebo nad Tatrami!

Teatr! W łeb wali bardziej niz dynamit!

**HISZPANIE** (*znienacka wpadając na scenę*):

Stop! Teatr bez nas?!

**HANS:**

Bez was? A wy to kto?!

**HISZPANIE:**

Nikt nie spodziewa się hiszpańskiej inkwizycji.

**HANS:**

Co?

**HISZPANIE:**

Tylko że teraz podbijamy świat muzyką i tańcem, olé!

*Napis na ekranie: **SPOSÓB HISZPAŃSKO-INKWIZYCYJNY***

*Uno, dos, tres...*

Teatr! Świątynia sztuki, *por favor!*

**IRLANDCZYCY** (*jeszcze bardziej znieńacka, wpadając i od razu dołączając się do piosenki. Napis na ekranie: SPOSÓB CELTYCKI*):

*Theatre! Come on, start knocking on its door!  
... and everybody!*

**EVERYBODY:**

Teatr! La la la la la la la!

Teatr! La la la la la la la!

Teatr! La la la la la la la!

Teatr! La la la la la la la!

*Trwa zabawa. Aż nagle KTOŚ.*

**KTOŚ:**

Stop! Czekać! Wyobraźcie sobie, że Niemcy jednak nie zbudowali teatru. Jak wtedy wyglądałoby Wasze miasto?

**INNI:**

Nasze! Wasze! Nasze! Wasze! Ich! Ich?

## SCENA 5

*Gasną światła. Mroczna muzyka.*

*Być może na ekranie pojawiają się napisy: SPOSÓB NA ALTERNATYWNY WSZECHŚWIAT.*

**NARRATOR:**

Gdzieś w alternatywnej rzeczywistości polska reprezentacja świetnie gra w piłkę. Koty mają cztery ogony. A w Olsztynie nigdy nie powstał teatr.

**ŻONA:**

Mariusz. Co się stało?

**MAŻ:**

Muszę jechać w delegację.

**ŻONA:**

Przecież co tydzień jeździsz w delegację. Skąd smutek?

**MAŻ:**

Bo to jest delegacja do Olsztyna.

**ŻONA:**

Nie.

**MAŻ:**

Tak.

**ŻONA:**

Nie puszcze cię! W to gniazdo występku i degrengolady? Do miasta, w którym ludzie pozbawieni są dostępu do kultury, więc w ramach rozrywki wydłubują innym oczy?

**MAŻ:**

Daj mi się na ciebie napatrzeć, zanim wyjadę. Kto wie, czy to nie ostatni raz.

*Żegnają się. Na ekranie ciemne miasto, opustoszałe, przerażające. MAŻ stoi pośrodku sceny, rozgląda się dookoła.*

**RZEŹNICZKA:**

Zgubiłeś się, mały?

**MAŻ:**

Nie, nie, skądże. Ja... zwiedzam.

**RZEŹNICZKA:**

Hehehe. „Zwiedzam”. Zwiedzać to można Ostródę. Pokazać ci symbol naszego miasta?

**MAŻ:**

Zamek?

**RZEŹNICZKA:**

Zamek już dawno stał się pałacem tortur dla policjantów. Pokażę ci rzeźnię, w górę od ratusza. Wybudowaną jeszcze za Niemca. Chodź, mały.

**MAŻ:**

Tam, skąd przyjechałem, rzadko spotyka się kobiety-rzeźniczki.

**RZEŹNICZKA:**

Tutaj trudno spotkać inne. Nawet mamy w mieście Policealne Studium Rzeźnicze.

**MAŻ:**

A czy to prawda, że wieczorami nie za bardzo jest dokąd pójść?

**RZEŹNICZKA:**

Kłamstwo! Mamy kasyna, pijalnie spirytusu i ring do walki saren.

**MAŻ:**

Sarny walczą?

**RZEŹNICZKA:**

Te z Olsztyna tak.

**MAŻ:**

Nie wierzę. Chcę stąd uciec. Na pewno jest jakiś inny świat.

**GŁOS Z OFFU:**

Inny świat... Inny świat...

**MAŻ:**

Kto to powiedział? Kto to powiedział?

**GŁOS Z OFFU:**

Inny świat...

## SCENA 6

*Zmiana świata. Choć wciąż pozostajemy w ciemnościach. Tym razem bardziej onirycznych i ezoterycznych niż horrorowych. Wychodzą ludzie ze świecami, pośród których prym wiedzie SPIRYTYSTKA.*

*Napis na ekranie: **SPOSÓB EZOTERYCZNY.***

**SPIRYTYSTKA:**

Inny świat... Złączmy nasze dłonie i wyślijmy naszą energię za horyzont widzialnego, za granicę materialnego, do wiecznego bezczasu. Ukaż się nam, duchu! Ukaż się nam, duchu Stefana Jaracza. Czy jesteś z nami, Stefanie?

**NAPOLEON BONAPARTE:**

Jaki Stefan, co za Stefan? Ja tu jestem! Jestem ja!

**SPIRYTYSTKA:**

To znaczy?



**NAPOLEON BONAPARTE:**

Nie poznaje pani? Wielki głos, wielka męskość, wielka odwaga, wielkie wizje, wielki...

**SPIRYTYSTKA:**

Czyli mamy jasność. Pan Napoleon.

**NAPOLEON BONAPARTE:**

Zaprawdę, to ja. To co, powiedzieć coś o sobie? Zdradzić jakieś sekreciki?

**SPIRYTYSTKA:**

Nie trzeba. Wszystko już wiem. Pan się wbija na każdy seans! A dziś potrzebujemy porozmawiać ze Stefanem Jaraczem.

**STEFAN JARACZ:** *(pewny siebie, gwiazdorski):*

Jestem, Basiu.

**NAPOLEON BONAPARTE:**

*Merde.* To wy się znacie?

**STEFAN JARACZ:**

Po prostu patrzę w pani oczy i widzę, że ma pani na imię Basia. Barrrbara.

**SPIRYTYSTKA:**

Stefanie. Chcemy cię powiadomić, że zostałeś patronem teatru.

**STEFAN JARACZ:**

I czemu mnie to nie dziwi.

**SPIRYTYSTKA:**

Chcesz wiedzieć jakiego?

**STEFAN JARACZ:**

Narodowego.

**OSOBA Z KRĘGU:**

Nie.

**STEFAN JARACZ:**

Ale w Warszawie?

**SPIRYTYSTKA:**

Nie.

**STEFAN JARACZ:**

Kraków? Łódź? Lwów?

**OSOBA Z KRĘGU:**

To skomplikowane, Stefanku.

**NAPOLEON BONAPARTE:**

*Merde!* Jakie skomplikowane? Jaki Stefanku?

**SPIRYTYSTKA:**

Napi, spokojnie, spokojnie proszę!

**STEFAN JARACZ:**

Słyszysz, Napi, ty się tu nie napinaj, ty się lepiej napij. A ty, Baśka, mów: Poznań? Wiem! Gdynia! Młode, prężne miasto, jak ja!

**SPIRYTYSTKA:**

Olsztyn.

**STEFAN JARACZ:**

Olsztyn?! Nie wiedziałem, że tam jest teatr. Byłem kiedyś, wspinałem się z rodzicami, w ogóle uwielbiam Jurę, ale teatr?

**SPIRYTYSTKA:**

To jest inny Olsztyn. Na ziemiach odzyskanych.

**STEFAN JARACZ:**

...A nie można było czegoś bardziej w centrum?

**SPIRYTYSTKA:**

To jest w centrum! W samym środku... lasu, ha, ha.

**STEFAN JARACZ:**

To brzmi naprawdę... światowo.

*Znikąd pojawia się patriota lokalny. Znany wszystkim...*

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Nie wytrzymam. *Sorry*, masz coś do Warmii?

**WSZYSCY:**

O Warmio moja miła!

**SPIRYTYSTKA:**

Proszę państwa, stop!

**NAPOLEON BONAPARTE:**

*Excusez-moi*, to ja jestem w armii. O armio moja miła!

**SPIRYTYSTKA:**

Napi, nie przesadzaj! A pan to kto?

**NAPOLEON BONAPARTE:**

Boże, kolejny absztyfikant.

**SPIRYTYSTKA:**

Zaraz! Ten profil, te loki, te dłonie i przenikliwe spojrzenie! Przecież to duch Mikołaja Kopernika!

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Nie jestem duchem. Gdy wstrzymałem Słońce i ruszyłem Ziemię, to się zaczęło: procesy, oskarżenia, palenia na stosie... Więc gdy odkryłem możliwość podróżowania w czasie, nikomu już o tym nie powiedziałem. I tak sobie latam.

**SPIRYTYSTKA:**

I zawitał pan akurat do nas?

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Przede wszystkim do was. W życiu nie znoszę dwóch typów ludzi: płaskoziemców i tych, co im się spektakle w „Jaraczu” nie podobają. Ale że ty jesteś patronem największego Teatru Warmii i...

**WSZYSCY:**

O Warmio moja miła!

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Cisza! Ale że ty jesteś patronem największego Teatru... w regionie i masz to gdzieś?

**STEFAN JARACZ:**

No tak, bo nie wiem, jakiś prowincjonalny teatr gdzieś w lesie... Moje nazwisko nie powinno być symbolem jakiejś szmiry.

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Trzymajcie mnie, bo go zabiję.

**SPIRYTYSTKA:**

To może być trudne.

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Wzembrę odkurzac i wessę... wessam... Wciagnę!

**SPIRYTYSTKA:**

Nie sądzę.

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Cholera. Ale wiem. Lecisz ze mną.

**STEFAN JARACZ:**

Co tu się dzieje?

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Porwanie.

**SPIRYTYSKA:**

Nie da się porwać ducha.

**MIKOŁAJ KOPERNIK** *łapie JARACZA i ciągnie ze sobą:*

O, da się.

Pożegnaj się z państwem.

**STEFAN JARACZ:**

Do zobaczenia, Basiu.

*KOPERNIK Z JARACZEM znikają.*

**NAPOLEON BONAPARTE** *(do SPIRYTYSTKI):*

Widzisz? I poleciał. Tak to jest z artystami. Masz ochotę na cesarza?

## SCENA 7

KOPERNIK i JARACZ pojawiają się na scenie. Wraz z nimi DER SCHAUSPIELER<sup>70</sup>. A na ekranie napis: **SPOSÓB ARCHIWALNY 1.**

**DER SCHAUSPIELER:**

*Verweile doch! Du bist so schön!*

*Dann magst du mich in Fesseln schlagen,*

*Dann will ich gern zugrunde gehn!*

*Dann mag die Totenglocke schallen,*

*Dann bist du deines Dienstes frei,*

*Die Uhr mag stehn, der Zeiger fallen,*

*Es sei die Zeit für mich vorbei!*

*(Fragment Fausta Goethego:*

*I wtedy mógłbym rzec: trwaj chwilo,*

*o chwilo, jesteś piękna!*

*Czyńy dni moich czas przesila,*

*u wrót wieczności klękną.*

*W przeczuciu szczęścia, w radosnym zachwycie,*

*stanąłem oto już na życia szczycie! – tłum. Emil Zegadłowicz)*

**STEFAN JARACZ:**

Co to jest?

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Pierwsza premiera w twoim teatrze. 1925 rok, *Faust*. W głównej roli: Ernst Theiling.

**STEFAN JARACZ:**

Niemiecki teatr wybrał mnie na patrona? Nie wiedziałem, że tam też mnie uwielbiają.

---

70 To średnio uroczę niemieckie słowo oznacza aktora.

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Nie uwielbiają, baranie. Polacy przejęli miasto i teatr dwadzieścia lat później. Patrz.

## **SCENA 8**

*Na scenę wchodzi DYREKTOR STANISŁAW, którego ubiór sugeruje lata 40. ubiegłego wieku. Za nim, podobnie ubrana, czwórka AKTORÓW, acz ci, oprócz kostiumów z epoki, niosą jeszcze walizki, klatkę dla papugi, pierzyny itd.*

**DYREKTOR STANISŁAW:**

Mamy polski teatr. Tu, na prastarych ojczystych ziemiach, słowo Mickiewicza i Słowackiego zakwitnie niczym najpiękniejszy kwiat. Kwiat, choć delikatny, będzie orężem, który do białości wypali germańskie pozostałości kulturowe.

**AKTOR EDMUND:**

Ku chwale ojczyzny!

**AKTORKA MARIA:**

Panie dyrektorze. Zapewne zdaje sobie pan sprawę, iż kwiat, aby zakwitł, potrzebuje odpowiednich warunków.

**AKTORKA EUGENIA:**

Oraz entuzjazmu! Chęci życia! A tej nam nie brakuje.

**AKTOR ARTUR:**

No.

**DYREKTOR STANISŁAW:**

Szanowni państwo, posiadamy wszystko, czego potrzeba. A jeśli nie posiadamy, to będziemy posiadać.

**AKTORKA MARIA:**

Uściślijmy – posiadamy, czy dopiero będziemy?

**DYREKTOR STANISŁAW:**

W zdecydowanej większości posiadamy. Zapraszam. Oto – Teatr.

*Reakcje są, ekhm, zróżnicowane.*

**AKTOR ARTUR (ze zgrozą):**

O Jezus Maria.

**AKTORKA EUGENIA:**

Piękny.

**AKTOR EDMUND:**

Zrzućnowany jak Polska. Ale i on się odrodzi niczym Feniks z popiołów.

**AKTORKA MARIA:**

Jeszcze raz: co posiadamy?

**DYREKTOR STANISŁAW:**

Teatr.

**AKTORKA MARIA:**

I...

**DYREKTOR STANISŁAW:**

... I to jest najważniejsze. Proszę się rozgościć, czuć się jak u siebie. Bo jesteśmy u siebie.

**AKTOR ARTUR:**

W co ja, za przeproszeniem, wdepnąłem. Przecież ja mam talent. Sam pan Leon Schiller powiedział o mnie „no, no... ”.



**AKTORKA MARIA:**

To jest zrujnowany budynek, wszędzie wala się gruz i nazistowskie flagi, nie ma garderób, pracowni, repertuaru, pieniędzy.

**DYREKTOR STANISŁAW:**

Ale mamy kurtynę.

**AKTORKA MARIA:**

Z worków po ziemniakach.

*(do widowni)*

Fakt historyczny.

**AKTORKA EUGENIA:**

Ale jakie to będą piękne wspomnienia...

**AKTOR EDMUND:**

Ku chwale ojczyzny!

**AKTORKA MARIA:**

I jeszcze jedno: gdzie są nasze mieszkania?

**DYREKTOR STANISŁAW:**

Tu akurat mamy pewien problem...

**AKTORKA MARIA:**

Akurat TU mamy problem?!

**DYREKTOR STANISŁAW:**

Pracujemy nad tym. Za kilka dni wszystko powinno być gotowe. Tymczasowo zostaną umieszczeni państwo w hotelu.

**AKTOR ARTUR:**

Przecież Władysław, mój kolega, nie tak zdolny jak ja, ale jednak, został z tego hotelu wyrzucony. Teatr nie zapłacił za jego pobyt.

**AKTORKA MARIA:**

Arturze! Wychodzimy!

**DYREKTOR STANISŁAW:**

Dokąd?

**AKTORKA MARIA i AKTOR ARTUR:**

Na dworzec!

*AKTORKA MARIA, AKTOR ARTUR schodzą.*

**DYREKTOR STANISŁAW:**

Przecież ja bym dał, gdybym tylko miał...

**AKTORKA EUGENIA:**

Niech pan się nie martwi.

**AKTOR EDMUND:**

Żołnierze zrobili swoje, my zrobimy swoje.

**AKTORKA EUGENIA:**

Skrzyknjemy resztę aktorów i posprzątaamy Teatr.

**AKTOR EDMUND:**

... Bo zostali jeszcze jacyś aktorzy?

**DYREKTOR STANISŁAW:**

Wczoraj jacyś byli.

**AKTORKA EUGENIA:**

Panie dyrektorze.

*AKTORKA EUGENIA zaczyna śpiewać, co niechybnie prowadzi nas do kolejnej sceny.*

## SCENA 9

*Napis na ekranie: SPOSÓB SOCREALISTYCZNY.*

**AKTORKA EUGENIA, DYREKTOR STANISŁAW i AKTOR EDMUND**

*(i może jeszcze inni AKTORZY, którzy dołączą w trakcie piosenki):*

Budujemy nowy dom<sup>71</sup>  
Jeszcze jeden nowy dom  
Naszym przyszłym lepszym dniom  
Olsztynie

Każdą pracę z nami mnóż  
Każdą pracę z nami dziel  
Bo to jest nasz wspólny cel  
Olsztynie

Od piwnicy aż po dach  
Niech radośnie rośnie gmach  
Naszym snom i twoim snom  
Olsztynie

Niech się mury pną do góry  
Kiedy dłonie chętne są  
Budujemy teatralny nowy dom  
Wśród nas fachowców tu nie ma  
Lecz tylko chciej i tylko spójrz, jak rosną w krąg  
Kulisy, pracownie, widownia, scena  
Wspólne dzieło naszych rąk  
Rzym też nie powstał od razu  
Więc usuń z nami poniemiecki gruz

---

71 Piosenka *Budujemy nowy dom*, Olsztynie, sł. Wacław Stępień + Szymon Jachimek, muz. Zdzisław Gozdawa.

To dla nas, dla Warmii i Mazur  
Tak codziennie, tak bez tchu

Budujemy nowy dom  
Jeszcze jeden nowy dom  
Naszym przyszłym lepszym dniom  
Olsztynie

Niech się mury pną do góry  
Kiedy dłonie chętne są  
Budujemy teatralny nowy dom

*Na ekranie:*

**STEFAN JARACZ:**

Dziwna piosenka.

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Bo to były dziwne czasy. Chodź, lecimy dalej.

## SCENA 10

*Napis na ekranie: SPOSÓB NISKOBUDEŹETOWY.*

**KONFERANSJER:**

Szanowni Państwo. Oczywiście nasz Teatr znajduje się w dobrej sytuacji finansowej, nie możemy narzekać! Przesyłamy raz jeszcze ukłony wszystkim instytucjom, no i Państwu, wszak Państwo również jesteście naszymi mecenasami...

**KONFERANSJERKA:**

Ale nie jest to przywilej wszystkich instytucji kulturalnych. Dlatego chcielibyśmy zaprezentować, jak można świętować setne urodziny w sposób niskobudżetowy.

*Na scenę wychodzą zziębnięci INSTRUKTORZY DOMU KULTURY – szaliki, czapki, chuchanie w dłonie.*

**ZZIĘBNIĘTY INSTRUKTOR:**

Dobry wieczór, to już drugi rok bez ogrzewania w naszym domu kultury, ale zacytujmy Tadeusza Różewicza: od czego jest nadrealizm, metafizyka, poetyka snów.

**ZZIĘBNIĘTA INSTRUKTORKA:**

Możemy zacytować również Ewę Chodakowską. Uwaga, wszyscy wstajemy! Wszyscy wstajemy!

*Widzowie wstają. A niech tam.*

I maszerujemy w miejscu. A teraz podnosimy ręce wysoko do góry, jakbyśmy chcieli zerwać jabłka. Wysoko, wysoko! I kręcimy ramionami! Jednym do przodu, drugim do tyłu. I odwrotnie!

A teraz tupiemy prawą nogą, lewą nogą i klaszczemy! Proszę bardzo! Tup-tup-klask! Tup-tup-klask! Tup-tup-klask!

*Pojawia się rytm. Dokładnie taki jak przy We will rock you. To może od razu zaśpiewajmy.*

**ZZIĘBNIĘCI INSTRUKTORZY:**

To nie Fred Mercury  
Lecz ludzie kultury  
Zaśpiewają chórem  
Łapy w górę  
Niechaj wkoło brzmi pieśń

Choć chce nam się jeść  
Sztukę i rozrywkę co dzień będziemy nieść  
Wszyscy, wszyscy klaszczą!  
Wszyscy, wszyscy klaszczą!

Solo na gitarze! Ze względu na ograniczenia budżetowe gitarę będzie udawał pan Marian z księgowości!

*Pan Marian udaje. Robi ustami zgrabny riff aż do ostatniego refrenu.*

Wszyscy, wszyscy klaszczą!  
Wszyscy, wszyscy klaszczą!

**KONFERANSJER:**

Dziękujemy za aktywny udział. Usiądźmy. I pamiętajmy: jakby nie było źle, zawsze może być gorzej.

*Napis na ekranie: SPOSÓB JESZCZE BARDZIEJ NISKOBUŻETOWY.*

**JESZCZE BARDZIEJ ZZIĘBNIĘTY INSTRUKTOR:**

Dzień dobry. To już setny rok naszego domu kultury „Promyk”. I setny rok bez ogrzewania, bo nigdy nie zostało doprowadzone.

**JESZCZE BARDZIEJ ZZIĘBNIĘTA INSTRUKTORKA:**

Gdyby komuś coś przebiegło po nogach, nie bójcie się. To są bardzo kulturalne szczury. One biegają, żeby nie zamarznąć.

**JESZCZE BARDZIEJ ZZIĘBNIĘTY INSTRUKTOR:**

Już za chwilę nasza uroczysta urodzinowa gala. Rozpocniemy od występu grupy Kulawych Zajączków, potem grupa Martwych Lisków prowadzona przez panią Anetę pokaże spektakl *Sierotka Marysia i trzech krasnoludków* (wiadomo). Niestety pani Anecie wypadła akurat zmiana w fabryce opon, więc nie będzie jej z nami.

**JESZCZE BARDZIEJ ZZIĘBNIĘTA INSTRUKTORKA:**

Potem przejdziemy do licytacji nerki pani dyrektorki, z której dochód umożliwi nam opłacenie rachunków za prąd. To będą niezapomniane urodziny, cieszymy się, że jesteście z nami.

**KONFERANSJERKA:**

Na szczęście można również świętować w zupełnie inny sposób.

*Napis na ekranie: SPOSÓB NA BOGATO.*

**KONFERANSJER:**

Cieszymy się, że na jubileusz naszego Teatru udało się zapęłnić Stadion Narodowy. Już za chwilę najlepsze fragmenty spektakli z gościnnym udziałem Stinga i Taylor Swift, po czym obejrzymy mecz towarzyski Realu Madryt z naszymi technicznymi.

**KONFERANSJERKA:**

Za wszystkie atrakcje możecie płacić 1000-złotowymi banknotami z wizerunkiem Jaracza, a każdy pracownik Teatru otrzyma nowe porsche.

**KONFERANSJER I KONFERANSJERKA:**

Ech.

## **SCENA 11**

*Na scenę wpadają trzej KIBICE, nabuzowani, pełni energii, z szalikami Stomilu Olsztyn na szyjach. KIBIC 3 ma również bęben.*

**KIBIC 1:**

Dzień dobry! Ten jubileusz to tu?

**KONFERANSJER:**

Tak...

**KIBIC 3** (*rozgląda się dookoła, ewidentnie nigdy tu nie był*):  
Jaki czad.

**KIBIC 2** (*patrząc na widownię*):  
Ciekawe, czy te krzeselka da się wyrwać.

**KIBIC 1:**  
Patryk, skupienie. Sprawa jest taka: wasz teatr i nasz klub Stomil Olsztyn...

**KIBICE:**  
Hej, Stomil, goool!

**KIBIC 1:**  
... są równolatkami. Wy macie osiemdziesiąt lat i my mamy osiemdziesiąt lat, przed nami siódme niebo.

**KONFERANSJER:**  
My właściwie mamy sto lat, bo właśnie wtedy w ówczesnym Al-lenstein...

**KIBIC 3:**  
Te dwadzieścia lat niemieckiego, tfu, teatru, tej pruskiej szmaty, nas nie interesuje, jasne? Macie osiemdziesiąt i ani roku więcej!

**KIBIC 1:**  
Patryk, spokojnie.  
Chcemy świętować wasz jubileusz w sposób sportowy... Co jest to za napis?

*Na ekranie wciąż widnieje napis: **SPOSÓB NA BOGATO.***



Co jest to za napis?!

*Napis znika, pojawia się nowy: **SPOSÓB SPORTOWY.***

I o to chodzi. Z okazji waszych OSIEMDZIESIĄTYCH urodzin mamy prezent. Wiemy, że macie słabą oprawę. Bo my w naszym klubie Stomil Olsztyn...

**KIBICE:**

Hej, Stomil, goooool!

**KIBIC 1:**

Wiemy, że w meczu chodzi o oprawę.

**KIBIC 2:**

Dlatego nazywają nas oprawcami.

**KIBIC 1:**

I chcemy wam pokazać, jak to się robi. Z kim macie zgody, Patryk?

**KONFERANSJER:**

Co mamy?

**KIBIC 1:**

Kluby mają zgody i śmiertelnych wrogów. Z kim się trzymacie?

**KIBIC 2:**

Bo my na przykład mamy zgodę z ŁKS-em Łomża.

**KIBICE:**

ŁKS Łomża!

**KONFERANSJERKA:**

No to my się trzymamy z lalkami, to znaczy z Olsztyńskim Teatrem Lalek.

**KONFERANSJER:**

No i z Teatrem Sewruka w Elblągu.

**KIBIC 1:**

Niedobrze się składa. Mamy nie najlepsze zdanie o Elblągu.

**KIBICE 2 i 3 (*śpiewają*):**

Olimpia to stara...

**KIBIC 1:**

Patryk, kurwa, w teatrze jesteś.

**KIBIC 2:**

*Sorry.*

**KIBIC 1:**

Panowie, jedziemy z oprawą.

*Wyciągają zza pazuchy szaliki... Teatru Jaracza.*

**KIBICE (*śpiewają*, a KIBIC 3 gra też na bębnie<sup>72</sup>):**

Historia ta! (klask) (klask)

Tak długo trwa! (klask) (klask)

Jesteśmy z Tobą już od wielu lat! (klask) (klask)

Po życia kres! (klask) (klask)

Aż trwa ta więź! (klask) (klask)

Nic nie jest w stanie zniszczyć jej! (klask (klask)

---

72 Oryginał *Stomil ole!* <http://bit.ly/3ICDNaM>

Teatr ole! (klask) (klask)  
Stefan ole! (klask) (klask)  
Jaracz oleoleole! (klask) (klask)  
Teatr ole! (klask) (klask)  
Stefan ole! (klask) (klask)  
Jaracz oleoleole! (klask) (klask)

**KIBIC 3:**

Dobra, i wszyscy, cały stadion, łapy w górę! Śpiewamy!

**KIBICE** (*a może i widownia też*):

Teatr ole! (klask) (klask)  
Stefan ole! (klask) (klask)  
Jaracz oleoleole! (klask) (klask)

**KIBIC 1:**

Patryk, zmiana przyśpiewki, pozdrawiamy zgody:

**KIBICE:**

Hej OTL! OTL! OTL! OTL! OTL!  
Lalalala, lalalala, lalalala, lalala!  
Teatr Sewruka! W Elblągu Teatr Sewruka! Teatr  
Sewruuuka! W Elblągu Teatr Sewruuka!<sup>73</sup>

**KIBIC 1:**

Dobra, Patryk, odpalamy race!

*KIBICE wyjmują race zza pazuchy.*

**KONFERANSJER:**

Nie, panowie, nie możecie!

---

73 Na próbie czytanej pokażę, jak to się śpiewa.

**KIBIC 2:**

Jak nie możemy?

**KONFERANSJERKA:**

Teatr pójdzie z dymem.

**KIBIC 3:**

W końcu to JARACZ, hehehe.

**KONFERANSJER:**

Super, że wpadliście. Dziękujemy. Może w zamian zrobimy wam warsztaty z emisji głosu. Ale te race na zewnątrz, dobra?

**KIBIC 1:**

No dobra. To ten... (*Ściąga szalik i daje KONFERANSJERCIE*). Stomil i Jaracz na zawsze razem. Sto lat!

**KONFERANSJERKA:**

My już tyle mamy...

**KIBIC 2:**

Nie macie!

**KONFERANSJERKA:**

*Sorry*, jasne.

**KIBICE:**

Hej, Stomil, goool!

*KIBICE schodzą. (Byłoby cudownie, gdyby po każdym spektaklu, gdy widzowie wychodzą z teatru, przed budynkiem paliły się race, a KIBICE śpiewali kilka przyspiewek. Może da się otworzyć te duże okna nad wejściem i z nich racować i śpiewać?)*

**KONFERANSJER:**

To było dziwne. Zresztą cały nasz świat robi się coraz dziwniej-szy. Zalecamy lekarstwa: spacer po lesie, rozmowy z przyjaciółmi, a także, co oczywiste: książkę, teatr, sztukę.

## **SCENA 12**

*Na ekranie pojawia się napis: **SPOSÓB KOJĄCY**.*

**WOKALISTKA:**

Wypisujesz hasła w mojej dłoni<sup>74</sup>,  
Potem szczotką ślad flamastra drzesz.  
Mówisz, że nikogo się nie boisz,  
Że jak przyjdą do nas, to ich zjesz – cały Ty!

Liście z drzew spadają masłem na dół,  
Ty w tej samej kurtce szósty rok.  
Na koncertach krzyczysz: „Więcej czadu!”  
I czytając w wannie tracisz wzrok.

*Ref.:*

Jesteś lekiem na całe zło  
I nadzieją na przyszły rok.  
Jesteś gwiazdą w ciemności,  
Mistrzem świata w radości – oto cały Ty...  
Jesteś lekiem na całe zło  
I nadzieją na przyszły rok.  
Jesteś alfą, omegą, hymnem, kolędą,  
Oto cały Ty – nienazwany Ty...

---

74 Piosenka *Jesteś lekiem na całe zło* z repertuaru Krystyny Prońko, st. Bogdan Olewicz, muz. Marek Stefankiewicz.

Gdy głupota z biedą już mnie mają,  
Robisz małpę i mam w domu cyrk.  
W oczach ognie znów się zapalają  
I dla Ciebie tylko chcę znów żyć!

*Ref.:*

Jesteś lekiem na całe zło  
I nadzieją na przyszły rok.  
Jesteś gwiazdą w ciemności,  
Mistrzem świata w radości – oto cały Ty...  
Jesteś lekiem na całe zło  
I nadzieją na przyszły rok.  
Jesteś alfą, omegą, hymnem, kolędą,  
Oto cały Ty – nienazwany Ty...

## SCENA 13

*Na scenie pojawia się GASTON – ubrany w kostium z XVI wieku, acz do tego ma rękawice bokserskie.*

**GASTON** (czyta list):

„Mój ojciec umarł, przybądź, Gastonie,  
I rządz królestwem wraz z najdroższym przyjacielem”.  
Te słowa sprawiają, że przepełnia mnie rozkosz:  
Jaka większa błogość może spotkać Gastona,  
Niż żyć i być ulubieńcem króla?  
Przybywam, słodki książę, te twoje miłosne wersy  
Mogłyby zmusić mnie do przyptynięcia z Francji  
I jak Leander dyszący na piasku,  
Tak ty byś się uśmiechnął i wziął mnie w ramiona.  
Widok Londynu dla moich wygnanych oczu  
Jest jak Elizjum dla nowo przybyłej duszy.

**STEFAN JARACZ:**

Coś ci się źle wczytało?

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Czemu?

**STEFAN JARACZ:**

Jak on wygląda?

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

To jest *Edward II* Marlowe'a. Mamy 1970 rok, reżyseria Jan Błeszyński. Wrzucił aktorów na ring i tam kazał rozgrywać dramat z XVI wieku. Ludziom wybuchły głowy.

**STEFAN JARACZ:**

Naprawdę?

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Metaforycznie. Zjeździli kraj, dostali kupę nagród na festiwalach, absolutna legenda Teatru.

**STEFAN JARACZ:**

Jakieś to udziwnione.

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Ale świetne. Ale jeśli lubisz proste historie, mam coś w sam raz dla ciebie. Nie z twojego Teatru, ale śmiechu będzie co niemiara.

## SCENA 14

*Na scenie pojawia się napis: SPOSÓB NA KAROLA STRASBURGERA.*  
*Dżingiel Familiady.*

**KAROL STRASBURGER:**

Choć to nie początek spektaklu, to każda chwila jest dobra na zabawną anegdotkę. Zatem: przychodzi Pan Tadeusz do teatru na *Chłopów*, a tam *Dziady*. Dziękuję!

## SCENA 15

**KONFERANSJER:**

Szanowni Państwo. Nie przedstawiliśmy dotąd jednego z najbardziej podstawowych sposobów teatralnego świętowania, czyli stworzenia spektaklu. Oto krótki przegląd:

*I tutaj będą krótkie strzały, fragmenciki spektakli. Grane wciąż przez te same osoby, z szybkim montażem.*

*Napis na ekranie: SPOSÓB NA SPEKTAKL – WERSJA PODSTAWOWA.*

**CZEPIEC:**

Cóż tam, panie, w polityce?

Chińczyki trzymają się mocno!?

**DZIENNIKARZ:**

A, mój miły gospodarzu,  
mam przez cały dzień dosyć Chińczyków.

**CZEPIEC:**

Pan polityk!

**DZIENNIKARZ:**

Otóż właśnie polityków  
mam dość, po uszy, dzień cały.



**CZEPIEC:**

Kiedy to ciekawe sprawy.

**DZIENNIKARZ:**

A to czytaj, kto ciekawy;  
wiecie choć, gdzie Chiny leżą?

**CZEPIEC:**

No, daleko, kajsi gdzieś daleko;  
Chyba za Dywitami.

*Napis na ekranie: **SPOSÓB NA SPEKTAKL – WERSJA FARSOWA.***

*Różne osoby wychodzą przez drzwi, mijają się, nie zauważają, chodzą – normalnie kupa śmiechu.*

*Napis na ekranie: **SPOSÓB NA SPEKTAKL – WERSJA MUSICALOWA.***

**AKTORZY** (*śpiewają dynamicznie i radośnie*):

To jest nasze miejsce w Olsztynie!  
Skaczymy wyżej niż na trampolinie!  
Tutaj śmiech, tutaj łza,  
Z kumplem chodź, nie bierz psa!  
Teatr nigdy nie zginie!

*Napis na ekranie: **SPOSÓB NA SPEKTAKL – WERSJA WESTERNOWA.***

*Muzyka odpowiednia. Przez scenę przelatuje krzak.*

**AKTORKA 1:**

Ten teatr jest za mały na dwie wybitne aktorki.

**AKTORKA 2:**

To się świetnie składa, bo pani nie jest wybitna.

**AKTORKA 1:**

Wyzywam cię na pojedynek.

**AKTORKA 2:**

Jaka broń?

**AKTORKA 1:**

Wprawki.

*AKTORKI odchodzą na bok, rozgrzewają się, wreszcie AKTOR daje znać: start!*

**AKTORKA 1 i AKTORKA 2 (na wyścigi):**

Akt, ekt, ikt, okt, ukt, ykt, akt, pkt,  
atk, etk, itk, otk, utk, ytk, ątk, otk,  
Ank, enk, ink, onk, unk, ynk, ank, onk,  
akn, ekn, ikn, okn, ukn, ykn, akn, pkn.

*Napis na ekranie: SPOSÓB NA SPEKTAKL – WERSJA OFFOWA. GŁĘ-  
BOKO OFFOWA.*

*I tutaj można poszaleć. Rzeczy dziwne, niezrozumiałe, tarzanie się  
po podłodze, oblewanie się substancjami (pewnie nie), szalone świa-  
tła, ruch, rytm, pauza. Tekstowo może wyglądać to tak (ale może  
wyglądać też zupełnie inaczej):*

**PERFORMER:**

Stefan Stefan Stefan Stefan.

**PERFORMERKA 1:**

Przystanek: Teatr im. Stefana Jaracza w Olsztynie.  
Wysiadać!

**PERFORMERZY:**

Wysiadać. Wysiadać. Wysiadać. Wysiadywać.  
Kokokokokokokokoko!  
Kurniki nie istnieją. Zimna stal bezlitosnych kurzych ferm.  
My też przestajemy istnieć. Serca wypalone brakiem złudzeń.

Goń, choć nikt cię nie goni.  
Szukaj, choć wiesz, że nie znajdziesz.  
Trzeba oszaleć, by zachować rozum.  
Szalej. Alej. Balejaż. Bale. Szantaż. Sztafaż.

*Na scenę wchodzi KTOŚ i jest absolutnie zachwycony.*

**KONFERANSJER:**

Przepraszam, kim pan jest?

**KTOŚ:**

Jestem krytykiem z Instytutu Teatralnego. Z Warszawy. Genialne. Subwersywne. Zdekonstruowany język przenika do trzewi naszych chybottliwych tożsamości.

*Na ekranie (albo nie) pojawiają się MIKOŁAJ KOPERNIK i STEFAN JARACZ. Może już wcześniej, żeby przez chwilę się poprzyglądać.*

**STEFAN JARACZ:**

Co tu się dzieje?

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Eksperymenty. Ale to tylko taka impresja na jubileuszowym spektaklu, pana Teatr nigdy nie był aż tak alternatywny.

**STEFAN JARACZ:**

Całe szczęście.

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Owszem. Za to dobrych spektakli było mnóstwo. Na niektóre wracam, wracam i wracam po raz kolejny.

*MIKOŁAJ KOPERNIK schodzi z ekranu...*

## SCENA 16

... i pojawia się na scenie, by zaśpiewać. Na ekranie napis: **SPOSÓB  
KOPERNIKAŃSKO-WODECKI.**

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Co dzień nas gna<sup>75</sup>  
W nowe strony zadyszany czas  
Sto dat  
Sto spraw  
Wciąga nas  
Gna nas...  
I moje dni  
Wszechobecny pośpiech, czasu znak  
Naznaczył i...  
Może przez to tak  
Lubię,  
Lubię wracać tam, gdzie byłem już  
Pod ten balkon pełen pnących róż  
Na uliczki te, znajome tak  
Do znajomych drzwi  
Pukać, myśląc, czy  
Czy nie stanie w nich czasami  
Ta dziewczyna z warkoczami  
Lubię wracać w strony, które znam  
Po wspomnienia zostawione tam  
By się przejrzeć w nich, odnaleźć w nich  
Choćby nikły cień pierwszych serca drzeń  
Kilka nut i kilka wierszy z czasów  
Gdy kochałaś pierwszy raz

---

75 Piosenka *Lubię wracać tam, gdzie byłem* z repertuaru Zbigniewa Wodeckiego, sł. Wojciech Młynarski, muz. Zbigniew Wodecki.

*STEFAN JARACZ, który był Wielkim Aktorem nie lubił, gdy ktoś mu kradnie show. Zatem przejmuje drugą zwrotkę.*

**STEFAN JARACZ:**

W samym środku zdyszanego dnia  
Oglądasz się  
Tak, jak ja  
Jak ja  
Oglądasz się  
Tam, gdzie miłość zostawiłaś swą  
Ty jedna mnie  
Umiesz pojąć  
Bo  
Lubisz...

**RAZEM:**

Lubisz wracać tam, gdzie byłaś już  
Pod ten balkon pełen pnących róż  
Na uliczki te, znajome tak  
Do znajomych drzwi  
Pukać, myśląc, czy  
Czy nie stanie w nich czasami  
Tamten chłopak ze skrzypcami  
Lubisz wracać w strony, które znasz  
Do mej twarzy zwrócić twoją twarz  
By się przejrzeć w niej, odnaleźć w niej  
Choćby nikły cień pierwszych serca drzeń  
Kilka nut i kilka wierszy z czasów  
Gdy kochałaś pierwszy raz

## SCENA 17

*Napis na ekranie: SPOSÓB HISTORYCZNY.*

### TEATROŁOŻKA 1:

Szanowni państwo, przypatrujemy się z boku tym obchodom i odnosimy wrażenie, iż mało miejsca poświęca się historii naszego Teatru. Chciałybyśmy wypełnić tę lukę krótkim wykładem. Wiemy, iż prelekcja nie jest najbardziej atrakcyjną formą widowiska scenicznego, dlatego co jakiś czas zatańczymy.

*I rzeczywiście, leci wykład, ale w trakcie TEATROŁOŻKA 1 i TEATROŁOŻKA 2 robią piękne taneczne pas.*

### TEATROŁOŻKA 2:

Nasz teatr powstał w 1925 roku jako dar dla narodu niemieckiego w zamian za zwycięstwo w plebiscycie. Stąd też jego pierwotna nazwa: Der Treudank-Theater. Legenda głosi, że w latach trzydziestych przemawiał tutaj Adolf Hitler, twierdząc, że z tej sceny nigdy nie padnie ani jedno polskie słowo. Jak wiemy, nie była to jego jedyna pomyłka.

### TEATROŁOŻKA 1:

Po II wojnie światowej bardzo szybko wznowiono działalność teatru już jako Teatru Warmii i Mazur. W 1946 roku otrzymał on nową nazwę, pod którą znamy go do dzisiaj. W ciągu osiemdziesięciu lat placówką kierowało łącznie siedemnaścioro dyrektorów i chciałybym zwrócić Państwa uwagę na formę słowa „siedemnaście”.

### TEATROŁOŻKA 2:

Otóż jakoś tak się składa, że w naszym kraju rzadko kobieta zostaje dyrektorką teatru. A jednak w latach pięćdziesiątych „Jaraczem” kierowała Zofia Modrzewska, co więcej, był to bardzo dobry okres tej instytucji.

**STEFAN JARACZ:**

Przepraszam... Mną kierowała kobieta? Phi.

**TEATROŁOŻKA 1:**

Inną osobą, którą warto wymienić, jest oczywiście Aleksander Sewruk, kierujący naszym Teatrem przez dwanaście sezonów. Spod jego ręki wychodzili aktorzy znani później w całym kraju i decydujący o obliczu naszej sceny.

**TEATROŁOŻKA 2:**

W literaturze przedmiotu można się spotkać z określeniem Teatru Jaracza jako fabryki. Proszę sobie wyobrazić, że np. w sezonie 1964/1965 na wszystkich scenach pokazano siedemset cztery spektakle – średnio niemal dwa dziennie. Zresztą do dzisiaj nasz Teatr gra naprawdę często, ale na szczęście równie często chcecie Państwo tu przychodzić.

**TEATROŁOŻKA 1:**

W repertuarze zawsze znajdowało się miejsce na granie zarówno klasyki, jak i eksperymentów; znanych i uznanych dzieł, jak i premier. Forma naszego stulatka może tylko cieszyć. Jak i cieszy fakt, że bez wyjeżdżania z Olsztyna możemy zobaczyć na własne oczy losy Hamleta...

*Znienacka HAMLET pojawia się na scenie.*

**HAMLET:**

Dzień dobry.

**TEATROŁOŻKA 1:**

Julii...

**JULIA:**

Dzień dobry!

**TEATROŁOŻKA 2:**

Edka z *Tanga* Sławomira Mrożka...

**EDEK:**

Cześć.

**TEATROŁOŻKA 1:**

Antygony...

**ANTYGONA:**

Dzień dobry.

**TEATROŁOŻKA 2:**

I Chochoła z *Wesela*.

**CHOCHOŁ:**

Cześć.

**TEATROŁOŻKA 1:**

A pan to kto?

**HALABARDNIK:**

Halabardnik.

## **SCENA 18**

**HAMLET:**

Jesteśmy zaszczytzeni, że możemy występować tutaj, w sercu Warmii. Dziękujemy, że wciąż przypominacie nasze dzieje, choć już trochę lat minęło.



**EDEK:**

Dobra, nie ma to tamto, jedziemy z tematem: siema Olsztyn, jak się bawicie, zróbcie hałas!

*Widzowie robią hałas. Na ekranie pojawia się napis: **SPOSÓB KONCERTOWY.***

**ANTYGONA:**

Nazywamy się kapela Dramatis Personae i chcemy zaśpiewać wam piosenkę!

**CHOCHOŁ:**

Piosenkę o tym, że choć w teatrze ważnych rzeczy jest wiele...

**HAMLET:**

To najważniejszy jest Bohater.

**KAPELA ROCKOWA DRAMATIS PERSONAE** (*śpiewa polską wersję Holding out for a hero [I need a hero]*):

Czemu wcięło chłopów stąd i gdzie bogowie są<sup>76</sup>  
Gdzie Herkules sprawny gość co siłę ma jak dąb  
Gdzie jest rycerz biały i rumak pod nim gdzie  
Myśli te przez noc męczą mnie i o jednym tylko śnię  
Czadu!  
Chcę Bohatera  
Tak tego właśnie mi trzeba zanim skończy się noc  
Choć siłę by miał i był szybki jak wiatr który w polu  
by wywiał swą moc  
Chcę Bohatera  
Tak tego właśnie mi trzeba po nocy kres  
Ma zjawić się tu bo uwierzyć mu chcę

---

<sup>76</sup> Piosenka *Chcę bohatera* wg *Holding out for a hero* z repertuaru Bonnie Tyler, sł. Szymon Jachimek, muz. Jim Steinman, słowa oryginalne Dean Pitchford.

I ma stawiać się większy niż jest  
 Większy niż jest  
 Chwilę po północy  
 Dzikie myśli w głowie mam  
 Wciąż ma myśl dosięga nocy  
 Zimne podniebienie mam  
 Sprawia błyskawice i w powietrzu unosi się  
 Gdzie się ukrywa superman mój jak go tutaj chcę  
 Na połączeniu nieboskłonu i gór  
 I tam gdzie piorun fale tnie  
 Czuję że tam jest ktoś kto stale widzi mnie  
 I on już wchodzi na pnący bluszcz  
 I oto chodzi tu  
 On już jest czuję to  
 On już jest pragnę już  
 On już jest czuję go  
 Chcę go  
 Chcę Bohatera  
 Tak tego właśnie mi trzeba  
 Po nocy kres  
 On pojawi się tu bo uwierzyć mu chcę  
 I ma stawiać się większym niż jest  
 Byle siłę by miał  
 I był szybki jak wiatr który w polu by wywiał swą  
 moc  
 Tak pragnę tego

## SCENA 19

### KONFERANSJER:

Teatr bawi, uczy, ale czasem również porusza niewygodne tematy.  
 Burzy spokój. Zadaje pytania. Podważa ustalone prawdy.

### KONFERANSJERKA:

Ale czy podczas spektaklu jubileuszowego warto iść w kontrowersję? Myślimy, że nie. To jest czas radości i świętowania. Ewentualne spory, niezabliźnione rany, zostawiliśmy za kulisami i zaprosiliśmy na scenę dzieci z zaprzyjaźnionego kółka teatralnego. Bardzo prosimy o rześiste brawa.

*Na scenie pojawia się DZIEWCZYNIKA i CHŁOPIEC. Oczywiście nie muszą to być dzieci-dzieci, dorośli aktorzy jak najbardziej będą OK. Klimat akademii (przed)szkolnej. Napis na ekranie: **SPOSÓB GRZECZNY.***

### DZIEWCZYNIKA i CHŁOPIEC:

Jeśli babcia albo dziadek  
Mają dzisiaj urodziny,  
Oto szybkie przypomnienie,  
Czego wtedy nie mówimy.  
Nie mówimy: „proszę babci,  
Niech nam babcia ślicznie pachnie,  
Bo obecnie smród jak z kapci,  
Albo z męskiej szkolnej szatni”.  
Nie mówimy: „dziadku, znasz mnie,  
Wszak to ja, twe wnuczę małe!  
Nie poznajesz mnie, bo strasznie  
Się w tym roku zestarzałeś”.  
I czy głupek to, czy geniusz,  
Wie – i ty to wiesz, kolego –  
Gdy w teatrze jubileusz,  
Też nie mówi się wszystkiego.

*Napis na ekranie: do widniejącego wcześniej **SPOSÓB GRZECZNY** dołącza napis **ALE DZIECI NIEGRZECZNE.***

Że frekwencja bywa różna  
Milczmy, bo – tak między nami –

Trudno się spektaklom równać  
Z Netflixami i Maxami.  
I kolejną rzecz ustalmy,  
Nikt rzeć tego nie powinien:  
W Akademii Teatralnej  
Nikt nie marzy o Olsztynie.  
O West Endzie, o Broadway'u  
Łeż filmowym wyciskaczu  
Wszyscy marzą, owszem, ale  
Nikt nie marzy o Jaraczu.  
Może to przez te zarobki?  
(Bo to jednak budżetówka).  
Nocą, dniem sen śni się słodki:  
Gaża w euro, nie w złotychkach.  
I, powiedzmy sobie szczerze,  
Nic tak święta nie rozwala  
Niż mówienie – w dobrej wierze! –  
O aferach i skandalach.  
Że niełatwo w naszym kraju  
(Idzie kontrowersja spora),  
Czy to w grudniu, czy też w maju,  
O dobrego dyrektora.  
Tu o mobbing są zarzuty,  
Tam o przywłaszczanie kasy...  
Oby nowy miał mniej buty  
I pokazał więcej klasy.  
No i że spektakle miałkie  
Czasem okupują scenę.  
Niechaj będą... całkiem, całkiem!  
Niech złe pójda w zapomnienie!  
Choć ten wierszyk opowiada  
O tym, co przemilczeć warto,  
To na koniec, tak się składa,  
W stół walniemy inną kartą:

Świat pogrąża się w chaosie  
(Coraz trudniej na to patrzeć).  
Bądź nam łaskaw, drogi losie.  
Bądź oddechem nam, teatrze.

## SCENA 20

### **SPOSÓB ARCHIWALNY 3.**

#### **KURTYNA:**

Kurtyna jestem. Zostałem wybrany, bo jestem duży, szeroki i w związku z tym zasłaniam coś, co dzieje się z tyłu... Zresztą, wszyscy wiemy, na czym polega działanie kurtyny. Nie potrzebuję tego tłumaczyć. Ale nie tylko dlatego, nie tylko dlatego zostałem wybrany, że jestem duży i szeroki. Może to w ogóle nie dlatego. Dlaczego, zapyta ktoś. A gdy ten ktoś zapyta: dlaczego jesteś kurtyną?, wtedy odpowiem – bo uspokajam. Bowiem kurtyna ma za zadanie uspokajać. Wszyscy chyba słyszą, że mój głos ma brzmienie uspokajające. Jeżeli kogoś nie uspokajam, to znaczy, że jest jakimś cholernym neurotykiem. Ich to nic nie uspokoï, cha, cha. Powiecie, że to proste być kurtyną... Nic bardziej mylnego. Żeby być dobrą kurtyną, proszę państwa, trzeba mieć lata praktyki i talent, kochani, talent.

#### **STEFAN JARACZ:**

Zaraz. On rzeczywiście jest kurtyną?

#### **MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Fajne, nie?

#### **STEFAN JARACZ:**

No nie wiem.

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Co za maruda. To z *Podróży do wnętrza pokoju* Michała Walczaka w reżyserii Giovanni'ego Castellanos. Ta *Podróż* była jednym z dyplomów w Studium Sewruka, które świetnie sobie radzi do dzisiaj.

**STEFAN JARACZ:**

Co takiego?

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Policealne Studium Aktorskie im. Aleksandra Sewruka. Szkoła aktorska, znajdująca się przy twoim Teatrze.

**STEFAN JARACZ:**

A kto to niby był ten Sewruk? Jakiś wielki aktor? Reżyser? Wizjoner? Ktoś taki jak ja?

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

A co ty tak nagle dopytujesz?

**STEFAN JARACZ:**

Nie, nic.

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Aaa, taki z ciebie pies ogrodnika! Że zwisa mi bycie patronem Teatru w Olsztynie, ale gdy ktoś inny patronuje... To ja już wiem, co zrobię.

**STEFAN JARACZ:**

Dokąd idziesz?

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Cofam się w czasie. Do 1946 roku.

**STEFAN JARACZ:**

Beze mnie?!

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Trzymaj się, Stefanku.

## SCENA 21

**KONFERANSJERKA:**

A teraz zapraszamy serdecznie i uroczyście na pokaz mody Osiem najbardziej niezwykłych kostiumów teatralnych wygrzebanych z magazynu. Pozycja nr 8...

*Na ekranie napis: **SPOSÓB MODOWY.***

*Tu oczywiście trudno napisać tekst, jeśli nie wiadomo, co tam się kryje w magazynie. Ale jeśli znaleziska będą fajne, to można spróbować to zrobić.*

*Na koniec:*

**KONFERANSJERKA:**

A skoro jesteśmy przy modzie, to...

## SCENA 22

*Na ekranie pojawia się napis: **SPOSÓB FRANCUSKI.***

**NAPOLEON BONAPARTE:**

*Bonjour.* Wiecie państwo, że, jak głosi mój kamień, „3 lutego 1807 roku Napoleon przebywał w Olsztynie z zamiarem stoczenia bitwy z wojskami rosyjskimi”. Czego nie wiecie? Że to nie był

ostatni raz. Kopernik, ten diabeł, pokazał mi kilka spektakli waszego Teatru. I idziemy na Moskwę, zimno, cholera, Moskale strzelają, a ja sobie myślę... *Merde*, przecież mógłbym robić sztukę. No i krzyczę: chłopaki, wracamy, będziemy robić teatr w Olsztynie!

Ale powiem wam, trudno się wypłacać z bycia cesarzem. Gonili mnie, tłukli, ja już nie miałem tej motywacji. Ostatecznie coś tam podlubałem na Elbie, ale to tylko takie etiudki. Ale dogadałem się z Kopernikiem i do dziś sobie spaceruję... Mario?

*Wychodzi na scenę MARIA w sukni z XIX wieku.*

Chodź, przejdziemy się.

**MARIA:**

Znowu?

*Zaczyna się muzyka, znana z hitu Catherine Deneuve i Malcolma McLarena Paris Paris. NAPOLEON BONAPARTE melorecytuje, MARIA dośpiewuje.*

**NAPOLEON BONAPARTE:**

Olsztyn Olsztyn<sup>77</sup>

**MARIA:**

Jest zimno.

**NAPOLEON BONAPARTE:**

Olsztyn Olsztyn

Olsztyn Olsztyn

**MARIA:**

Jak zimno.

---

<sup>77</sup> Piosenka *Olsztyn Olsztyn* wg *Paris Paris* z repertuaru Malcolma McLarena, sł. Szymon Jachimek, muz. i słowa oryginalne Malcolm McLaren i David Mcneil.



**NAPOLEON BONAPARTE:**

Olsztyn Olsztyn  
Wiem, że chłód, wszak to wschód (*Feeling so close to my heart*).  
Po dwustu latach z hakiem idę nad Łyną.  
Przyznam, nieźle się ten gród rozwinął.  
Zamek ciągle stoi, wspinam się po schodach.  
Jak to mówią na Podlasiu – dla mnie się podoba.  
Rynek, starówka, uliczki, kamienice.  
Wozów bez koni tyle, że nawet nie policzę.  
Jak to cholera jeździ, już tonę w emocjach.  
Gdybym miał taki sprzęt, to bym pobił tych Rosjan.

**MARIA:**

Och mój, może już nie przejmuj się aż tak (*Oh babe just take my frozen itd.*).  
Patrz, ile knajpek, masz dziś na coś smak?  
Może się ogrzejmy.

**NAPOLEON i MARIA:**

Olsztyn Olsztyn  
Już cieplej.  
Olsztyn Olsztyn  
Olsztyn Olsztyn  
Ciut cieplej.  
Skoro tak, chodź na szlak.

**NAPOLEON:**

Tu jakaś brama, jeździ tramwaj, nie wiem dokąd.  
Ratusz, dalej Aura, potem hen fabryka opon.  
Po drodze jeszcze zerknąłem przez wielką lunetę,  
Gwiazda patrzy na gwiazdy, Maria szepcze *Je t'aime*.  
Wracamy parkiem i ta myśl przy każdym kroku,

Gdybym wtedy podbił Rosję, może teraz byłby spokój.  
Ale mieszkać w Olsztynie, to jedno mi się marzy.  
Pływać łódką, pójść do lasu i na mecz siatkarzy.

**KIBIC 1:**

I Stomilu!

**MARIA:**

Och mój, może rzeczywiście wrzucić na luz.  
Chodź, bo się zaraz spektakl zacznie już  
W Teatrze Jaracza.

**NAPOLEON I MARIA:**

Jaracz Jaracz  
Już ciepło.  
Jaracz Jaracz  
Jaracz Jaracz  
Tak ciepło.  
Jaracz Jaracz  
Warmii styl: luz i chill.

*I już wtedy od razu na scenę może wpaść HANS, znany z jednej z pierwszych scen, który zaprezentuje... Może tak: na ekranie pojawia się napis: **SPOSÓB FOLKLORYSTYCZNY**.*

## SCENA 23

**HANS:**

O, pan Napoleon, *guten Morgen*.

**NAPOLEON:**

Myślałem, że już was tu dawno nie ma.

**HANS:**

Wróciłem na chwilę. Bo! Pragnę czegoś państwa nauczyć. Ja wiem, że Niemcy nie kojarzą się państwu najlepiej. Ale my jednak mamy pewne osiągnięcia w dziedzinie kultury. Chciałbym, żebyście zaczęli z naszego dziedzictwa i świętowali jubileusz również w sposób folklorystyczny.

**NAPOLEON:**

Wagner?

**MARIA:**

Goethe?

**HANS:**

Jodłowanie.

Mało kto wie, że ludność mieszkająca na Warmii i Mazurach miała swój sposób jodłowania. Ale dziś go poznacie i zapamiętacie na zawsze.

*Jodłuje wraz z publicznością. Takie rzeczy.*

## SCENA 24

**KONFERANSJERKA:**

Szanowni, siłą rzeczy podczas naszego jubileuszu oglądamy się wstecz, ale chcemy też spojrzeć w przyszłość.

**KONFERANSJER:**

Dlatego poprosiliśmy sztuczną inteligencję o napisanie lekkiej, zabawnej scenki z okazji setnych urodzin naszego Teatru.

*Napis na ekranie: SPOSÓB PRZYSZŁOŚCIOWY.*

**KONFERANSJERKA:**

Na początku było słabo, więc napisaliśmy jej tak.

**KONFERANSJER:**

Kurczę, napisana przez ciebie scena nie została zaakceptowana. Jak się z tym czujesz?

**KONERANSJERKA:**

Na co ChatGPT odpowiedział następująco:

**CHAT GPT:**

Ach, teatr zawsze pełen jest wyzwań i niespodzianek – odrzucenie to część twórczego procesu! W teatrze każde „nie” to krok bliżej do spektakularnego „tak”. Mogę szybko coś zmienić lub stworzyć zupełnie nowy wariant!

**KONFERANSJER:**

Świetnie, to stwórz śmieszna, zaskakującą scenkę.

**KONFERANSJERKA:**

I stworzył. Zapraszamy państwa na próbę czytana sceny napisanej w całości przez sztuczną inteligencję.

**CHAT GPT:**

Duchy i Tajemnice Teatru Jaracza.

Trójka AKTORÓW przygotowuje się w garderobie do premiery. Starszy aktor zaczyna opowiadać historie o duchach i dziwnych przypadkach, które rzekomo wydarzyły się w teatrze.

**AKTOR STARSZY:**

*(ze zmarszczonym czołem)*

Młodzi, myślicie, że teatr to tylko gra? Ha! Nie znacie jego tajemnic.

Tu, w Olsztynie, w Jaraczu, teatr żyje nocą.

**AKTORKA POZA WIEKIEM:**

*(sceptycznie)*

No co ty, duchy? Co niby mieliby<sup>78</sup> robić duchy na Warmii?

**AKTOR MŁODSZY:**

*(poważnie, ale z błyskiem w oku)*

Na przykład kradną rekwizyty! Raz zniknęła mi szabla, a znalazła się w... tataraku na Jeziorze Ukiel. Widocznie duchy też potrzebują wakacji.

**AKTOR STARSZY:**

Ale to nic! Przed premierą zawsze jest chaos, bo duch samego Jaracza sprawdza, czy jesteśmy gotowi. Ktoś usłyszy szept, ktoś zobaczy cień...!

**AKTORKA POZA WIEKIEM:**

*(próbując zachować powagę)*

Czyli... to nie dyrektor? To Jaracz sprawdza, czy dobrze gramy?

**AKTOR MŁODSZY:**

*(radosnym szeptem)*

Oczywiście! A jak się nie spodobaś, pstryk! Gasną światła na scenie... albo, co gorsza, mikrofon cię zdradza i zaczynasz mówić z olsztyńskim akcentem!

**CHAT GPT:**

Wszyscy patrzą na siebie przestraszeni, po czym nagle wszyscy wybuchają śmiechem, choć ich niepokój pozostaje. Koniec.

---

78 Pisownia oryginalna. To prawdopodobnie element komizmu proponowanego przez ChatGPT. Ocenę śmieszności pozostawiam Sz. Czytelniczkom i Czytelnikom.

**KONFERANSJERKA:**

Czyli dramaturdzy jeszcze przez jakiś czas będą mieli robotę.  
Zwłaszcza, że poprosiliśmy go również o piosenkę.

**CHAT GPT:**

*[Zwrotka]*

Teatr Jaracza, tu czas zwalnia bieg,  
W starych kulisach przeszłość ma swe miejsce.  
Gdzie cienie dawnych ról unoszą się w tle,  
Każdy spektakl skrywa swe tajemnice.

*[Refren]*

Tu Warmia ożywa, a Olsztyn drży,  
W blasku reflektorów duch przeszłości lśni.  
W każdym zakątku echa dawnych scen,  
Tu sztuka się rodzi, tu sny płoną w dzień.

**KONFERANSJERKA:**

Może zostanemy przy piosenkach napisanych przez człowieka.  
I polegajmy na sobie.

## SCENA 25

*Napis na ekranie: SPOSÓB NA PROTEST-SONG.*

**AKTORZY (śpiewają):**

Chciałbym być sobą<sup>79</sup>  
Chciałbym być sobą wreszcie  
Chciałbym być sobą  
Chciałbym być sobą jeszcze  
Chciałbym być sobą  
Chciałbym być sobą wreszcie

---

79 Piosenka *Chcemy być sobą* z repertuaru Perfectu, sł. i muz. Zbigniew Hołdys.

Chciałbym być sobą  
Chciałbym być sobą jeszcze  
Jak co dzień rano bułkę maślaną  
Popijam kawą nad gazety plamą  
Nikt mi nie powie, wiem co mam robić  
Szkłanką o ścianę rzucam, chcę wychodzić  
Na klatce stoi cieć, co się boi  
Nawet odsłonić, miotłę ściska w dłoni  
Ortalion szary chwytam za bary  
I przerażonej twarzy krzyczę prosto w nos  
Chciałbym być sobą  
Chciałbym być sobą wreszcie  
Chciałbym być sobą  
Chciałbym być sobą jeszcze  
Chciałbym być sobą  
Chciałbym być sobą wreszcie  
Chciałbym być sobą  
Chciałbym być sobą jeszcze  
Trzymam się ściany niczym pijany  
Tłum wkoło tańczy tangiem opętany  
Stopy zmęczone depczą koronę  
Król balu zwleka, oczy ma szalone  
Magda w podzięcie chwytą me ręce  
I nie ma sprawy, ślicznie jej w sukience  
Po co się śpieszysz, po co się śpieszysz  
Przecież do końca życia mamy na to czas  
Aby być sobą  
Aby być sobą jeszcze  
Aby być sobą  
Aby być sobą wreszcie  
Chciałbym być sobą  
Chciałbym być sobą wreszcie  
Chciałbym być sobą  
Chciałbym być sobą jeszcze

## SCENA 26

**KONFERANSJER(KA) – KATARZYNA:**

Szanowni, Szanowne, czas nas goni, a w tytule spektaklu obiecaliśmy prawie sto sposobów. Zostało nam jakieś siedemdziesiąt pięć, zatem zwiększamy tempo.  
Sposób emocjonalny.

**AKTOR(KA) – EWA** (*wzruszony/a*):

O Boże, to już sto lat!

**KONFERANSJER(KA):**

Sposób niewypowiedziany.

**AKTOR(KA) – GOSIA** *milczy znacząco.*

**KONFERANSJER(KA):**

Sposób relatywistyczny.

**AKTOR(KA) – RADEK:**

Wszechświat istnieje trzynaście miliardów lat. Czy rzeczywiście setne urodziny to powód do świętowania?

**KONFERANSJER(KA):**

Sposób akrobatyczny.

**AKTOR – JAROSŁAW** *robi wybitne akrobatyczne coś i krzyczy:*  
*„VIVA TEATR!”*

**KONFERANSJER(KA):**

Sposób pandemiczny.

**AKTOR(KA) –** *prawdopodobnie z ekranu:*

Czekaj, nie mogę się połączyć.



**KONFERANSJER(KA):**

Sposób medyczny.

**AKTOR(KA) – EMILIA:**

100/80. Świetne ciśnienie, będzie pan długo żył.

**KONFERANSJER(KA):**

Sposób na podryw.

**AKTOR – MACIEJ:**

Hej, mała, przejdiesz się ze mną na jubileusz?

**KONFERANSJER(KA):**

Sposób na biblijnego Tomasza.

**AKTOR – GRZEGORZ:**

Nie wierzę, to już sto lat?!

**KONFERANSJER(KA):**

Sposób pandemiczny 2.

*AKTOR(KA) na ekranie coś mówi, ale nie słyszać dźwięku.*

**KONFERANSJER(KA):**

Sposób na Juliusza Cezara.

**AKTOR – KRZYSZTOF:**

Przybyłem, zobaczyłem, zaklaskałem.

**KONFERANSJER(KA):**

Sposób na Kartezjusza.

**AKTOR(KA) – PAWEŁ:**

Myślę, więc jestem widzem.

**KONFERANSJER(KA):**

Sposób na Makłowicza.

**AKTOR(KA) – JAROSŁAW:**

Fiu fiu fiu, przepyszny jubileusz.

**KONFERANSJER(KA):**

Sposób na armatę, czyli przerost formy nad treścią.

*Wyjeżdża armata, prawdopodobnie z Gosią Rydzyńską w środku.*

**AKTOR(KA) Z ARMATY – GOSIA:**

Niech żyje! Niech żyje!

**KONFERANSJER(KA):**

Sposób grecki, czyli trochę taki wywyższający się.

**AKTOR(KA) – EWA:**

Wasz teatr ma już sto lat, no niesamowite...

**KONFERANSJER(KA):**

Sposób na lizanie szafy.

*RADEK i KRZYSZTOF wnoszą szafę i liżą szafę. Może ktoś na pierwszym planie próbuje mówić jakiś poważny monolog?*

**KONFERANSJER(KA):**

Sposób limeryczny.

**AKTOR(KA) – ALICJA:**

Był sobie teatr w uroczym Olsztynie  
Który raz rzekł: „No nie, nie wytrzymię!  
Świat zalewa tandeta,  
Kicz i pusta podnieta”  
I od stu lat dzielnie stawia czoło popelinie.

**KONFERANSJER(KA):**

Sposób na wycieczkę szkolną.

**AKTOR(KA) – EWA:**

A po lewej Teatr Jaracza, który w tym roku obchodzi podwójny jubileusz.

**AKTOR(KA) – EMILIA:**

Proszę pani, a kiedy będzie obiad?

**KONFERANSJER(KA):**

Sposób pandemiczny 3.

**AKTOR(KA) – ALICJA (*w maseczce*):**

Jubileusz jubileuszem, ale zachowajmy dystans.

**KONFERANSJER(KA):**

Sposób matematyczny.

**AKTOR(KA) – MACIEJ:**

Sto lat to 36 524,2 doby.

**KONFERANSJER(KA):**

Sposób matematyczny inaczej.

**AKTOR(KA) – KRZYSZTOF:**

Mamy w tym roku jubileusz 100-lecia i 80-lecia. Czyli Teatr Jaracza ma 180 lat.

**KONFERANSJER(KA):**

Sposób harmonijny.

**AKTORZY** (*śpiewają podzieleni na głosy, w pięknie brzmiącej harmonii*):

Teatr Jaracza ma sto lat!

**KONFERANSJER(KA):**

Sposób zakulisowy.

*AKTORZY i KONFERANSJERZY zbiegają ze sceny.*

*Pustka.*

*Cisza.*

*Aż.*

## SCENA 27

**IRENA TELESZ-BURCZYK:**

Artur Oppman: *Stary aktor*

Bogaty w wspomnienia sukcesów,  
Ubogi na punkcie sakiewki,  
Swoją kącik ma aktor-emeryt  
W izdebce łaciarza Dratewki.  
Za młodu poezji i sławy  
ciernista znęciła go ścieżka,  
Był sztuki gorliwym czcicielem  
I... kątem pod strychem dziś mieszka.  
Zachwycał go geniusz Szyllera,  
Porwała potęgą Szekspira  
I spać mu nie dały postaci  
Romea, Hamleta i Lira.  
Ariele i Puki skrzydlate  
Sennemu szeptały bez końca:  
„Dla sztuki żyj, chłopcze! Dla sztuki!  
Do słońca dąż, chłopcze! Do słońca!...”

## II

I wierność poprzysiągł poezji,  
 I został... wędrownym aktorem...  
 Te tłumy, co w dzień nim gardziły,  
 Porywał i wstrząsał wieczorem.  
 Wśród zgrai artystów – dla chleba,  
 Na scenie naprędce skleconej,  
 On kochał i szalał, i konał,  
 W potężne kreacje wcielony.  
 Gdy wijąc się w kurczach śmiertelnych,  
 Nick wołał: „Uśmiechnij się, królu!...”

Dech w piersiach zamierał słuchaczom  
 I serca pękały im z bólu.

## III

Minęły sceniczne sukcesy,  
 Przebrzmiała baśń sławy złocista  
 W izdebce łacıarza Dratewki  
 Zamieszkał na starość artysta.  
 Los-figlarz i ciernie, i róże  
 Pod nogi mu sypał obficie –  
 Dziś aktor... nauczył się latać  
 I szewctwem zarabia na życie.

## IV

Przy chwiejnym światełku łójówki  
 On nieraz przesiedzi noc całą,  
 Z arcydzieł wielkiego Szekspira  
 Kreacją studiując wspaniałą.  
 Dratewka po mendlu kufelków  
 To mruknie, to chrapnie od ucha,  
 A Makbet spostrzega cień Banka,  
 A Hamlet szyderstwem wybucha!  
 Jak czarem, kolejno się zmienia

Podstrysze łaciarza prostacze:  
 Park... Cisza... Szept tęskny Romea...  
 Pustkowie... Pioruny... Lir płacze...  
 Szewc-aktor z orszakiem widziadeł  
 Odprawia nadziemskie wędrówki...  
 Wiatr z jękiem uderza w okienko...  
 Migoce światelko łojówki...

## VI

W ubogiej izdebce pod strychem  
 Dobiegło to życie do końca –  
 I skonał wędrowny artysta  
 Wołając: „Do słońca! Do słońca!...”

Tak z żalu pił majster Dratewka,  
 Aż dostał gorączki i chrypki –  
 Do butów zmarłego ostatnie  
 Na urząd dorobił przyszczyпки.  
 Za trumną aktora-tułacza  
 Szło czterech kolegów łaciarza,  
 Garść ziemi cisnęła do grobu  
 I... poszli do knajpy z cmentarza.  
 Po piątym kufelku bawara  
 Rzekł majster, ścierając łzę z powiek:  
 „To partacz był, panie, nie łaciarz!  
 Ot, szkoda! Zmarnował się człowiek!...”

## SCENA 28

*Taki klimat głupio byłoby zniszczyć frywolną piosenką. Zaśpiewajmy coś ku zadumie. Niechaj w tle polecą zdjęcia starych aktorów*

*ze starych spektakli, niech się lezka zakręci w oku, niech na scenie pojawi się KATARZYNA KROPIDŁOWSKA. A na ekranie napis: **SPOSÓB WZRUSZAJĄCY.***

**KATARZYNA KROPIDŁOWSKA** (*śpiewa znany hymn Piwnicy pod Baranami*):

Przychodzimy, odchodzimy<sup>80</sup>  
 leciuteńko na paluszkach  
 Szczotkujemy wycieramy  
 Buty nasze twarze nasze  
 Żeby śladów nie zostawić  
 Żeby śladów nie zostało  
 Miasta nasze domy nasze  
 Na uwięzi się kołyszą  
 Tuż nad ziemią ledwo ledwo  
 Jak wiatr mały to nie widać  
 A jak wielki wiatr się zdarzy  
 Wielka bieda puszczą cumy  
 Zatrzepocą się zatańczą  
 Miasta nasze domy nasze  
 I polecą w stratosferę  
 Przygarbionych w pustym polu  
 Bez oparcia bez osłony  
 Bez niteczki choćby coby  
 Przytwardzała nas do ziemi  
 Wiatr nas porwie i poniesie  
 Za kołnierze podniesione  
 Porozrzuca gdzieś w przestrzeni  
 Nam to nic przeczekamy  
 A jak skończy jak ucichnie  
 To wstaniemy otrzepiemy  
 klapy nasze rączki nasze

---

80 Piosenka *Przychodzimy, odchodzimy*, st. Janusz Jęczynek, muz. Zygmunt Konieczny.

Żeby śladu nie zostało  
Od początku zbudujemy  
Miasta nasze domy nasze  
Sprzęty nasze lampy nasze  
Żeby wiatr miał czym kołysać

## SCENA 29

*Na ekranie: SPOSÓB ARCHIWALNY 4. ROK 1946.*

*Na scenie stoi DYREKTOR STANISŁAW i jakiś oficjalnie ubrany pan – WOJEWODA.*

**DYREKTOR STANISŁAW:**

Szanowny Panie Wojewodo, chcemy z całym zespołem Teatru prosić Pana...

**WOJEWODA:**

O mieszkania.

**DYREKTOR STANISŁAW:**

Oczywiście, ale nie tylko. Otóż chcemy prosić o wyrażenie zgody, aby nasz Teatr zyskał patrona.

**WOJEWODA:**

Oczywiście. Myśli pan o kimś konkretnym?

**DYREKTOR STANISŁAW:**

Tak. Chciałbym zaproponować wybitnego aktora, wielką postać, pana...

*Nagle czas zwalnia. Zza kulis w zwolnionym tempie wybiega KOPERNIK.*



**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Nieeeeeeeeeeeeeeee!

*KOPERNIK dobiega do WOJEWODY i DYREKTORA, czas wraca do normalności.*

Nazywam się Mikołaj Kopernik i przybywam z przyszłości...

**WOJEWODA:**

Z przeszłości.

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Nie teraz. Nie popełniajcie tego błędu. Nie dawajcie patronatu bufonowi, zarozumialcowi, co to nigdy nie był na Warmii...

**WSZYSCY:**

O Warmio moja miła!

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

I nie jest jej w stanie docenić. Postawcie na naukowca, człowieka światowej sławy, ale i lokalnego patriotę. Postawcie na...

*Nagle czas zwalnia. Zza kulis w zwolnionym tempie wybiega JARACZ.*

**STEFAN JARACZ:**

Nieeeeeeeeeeeeeeee!

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Stefan?!

**DYREKTOR STANISŁAW:**

Jaracz?!

**STEFAN JARACZ:**

Przybywam z przyszłości...

**WOJEWODA:**

Nie komentuję.

**STEFAN JARACZ:**

... żeby naprawić swoje błędy. Mikołaju. Może rzeczywiście nie doceniałem olsztyńskiego Teatru. Błądziłem, ale ty wstrzymałeś moją pychę, a ruszyłeś serce. I chciałbym przeprosić ciebie, Teatr, Olsztyn i całą Warmię.

*I, znienacka, śpiewa.*

O Warmio moja miła<sup>81</sup>  
Rodzinna ziemio ma.  
Tyś mnie do snu tuliła,  
Miłością pierś ma drga.  
Zdradziecko byłaś wzięta,  
Bo chytry był nasz wróg.  
Niewoli srogie pęta  
Rozerwał dziś sam Bóg!

**WSZYSCY:**

My Warmii wierne dzieci  
Kochamy ten nasz kraj,  
Po latach burz, zamieci  
Zabłysnął szczęścia raj.  
Olsztyński zamek stary  
Krzyżactwa mieścił ród,  
Dziś polskie tam sztandary  
I odrodzenia cud.

---

81 Hymn *O Warmio moja miła*, sł. Maria Paruszevska, muz. Feliks Nowowiejski.

## SCENA 30

*Napis na ekranie: SPOSÓB WAZELINIARSKI.*

**KONFERANSJER(KA):**

Iiii wracamy do setnej Ceremonii rozdania Złotych Owacji, bardzo proszę o – siłą rzeczy – owację!

*Owacja!*

Za nami rozdanie nagród w kategoriach: „Najdziwniejszy śmiech na widowni”, „Najbardziej dyskretne skradanie się spóźnionego widza”, „Najgłośniejszy dźwięk telefonu na widowni” i „Najwięcej pieniędzy pozostawionych w kasie Teatru”. Czas na nagrodę główną.

*Fanfary.*

Nagrodę wręczy Alicja Kochańska!

Proszę o brawa.

**ALICJA:**

Szanowni Państwo. Mam zaszczyt i wielką przyjemność ogłosić, że nagroda dla najlepszej, najbardziej inteligentnej, błyskotliwej, wiernej i empatycznej publiczności wędruje – jak co roku – do widzów i widzek Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie!

*Fanfary.*

**KONFERANSJER(KA):**

Ach, ach! Któż by się spodziewał! Sytuacja jest krępująca, bo nie jesteśmy w stanie zaprosić wszystkich państwa tutaj na scenę. Czy istnieje możliwość, żeby wybrali państwo spośród siebie jakąś reprezentantkę? Albo reprezentanta?

*Pewnie nikt się nie zgłosi.*

To jest bardzo serio pytanie. Czy ktoś z państwa chciałby odebrać taką nagrodę?

*Jeśli ciągle nikt...*

Proszę o światło na widownię.

**KONFERANSJER(KA):** *wybiera kogoś spośród siedzących osób i zagaduje, może pan w czerwonej marynarce, pani w beżowym żakiecie itd. Prędkiej czy później się uda.*

Brawa dla ochotniczki/-ka!

*REPREZENTANT WIDOWNI wchodzi na scenę. KONFERANSJER(KA): wręcza mu dyplom. Ewentualnie statuetkę przedstawiającą widzów robiących standing ovation. Ale wiadomo, to są koszty.*

**AKTOR/KA:**

Bardzo dziękujemy, że jesteście państwo z nami. I dziękujemy, że pan się zgłosił. Proszę o kilka słów od serca.

*REPREZENTANT WIDOWNI mówi.*

**KONFERANSJER(KA):**

Dziękujemy bardzo, zapraszamy na widownię. A my dla wszystkich państwa mamy specjalną wiadomość od całego zespołu Teatru im. Stefana Jaracza w Olsztynie.

*Wychodzą WSZYSCY.*

**AKTORKI I AKTORZY TEATRU im. STEFANA JARACZA W OLSZYNIE**  
*(nie unisono, tylko pewnie każdy po kolei):*

**PAWEŁ:**

Szanowni, Szanowne. Drodzy, Drogie.

**KATARZYNA:**

Dziękujemy, że jesteście z nami w momentach dobrych i złych.

**KRZYSZTOF:**

Bo mało co w życiu jest tak smutne, jak aktor czekający bezskutecznie na widzów.

**EMILIA:**

Dziękujemy, że chwalicie i krytykujecie.

**EWA:**

Czasem nie mówicie zupełnie nic, ale wciąż przychodzicie. A to najważniejsze.

**ALICJA:**

Jesteście z nami od osiemdziesięciu lat. Oczywiście nie wszyscy.

**HANS (z niemieckim akcentem):**

Niektórzy od stu! *Schön!*

**RADOSŁAW:**

Wiemy, że jesteście zabiegani.

**MAŁGORZATA:**

Wiemy, że bilety potrafią zaboлеć waszych wewnętrznych księgowych.

**PAWEŁ:**

(Dlatego przypominamy o promocji pod nazwą „Popołudniówki” – na spektakle grane w niedziele możecie otrzymać zniżkę, szczegóły znajdziecie na stronie teatr.olsztyn.pl).

**MACIEJ:**

Wiemy, że każdy z was ma mnóstwo sposobów i pomysłów, co zrobić z czasem.

A mimo to – przychodzicie.

**IRENA:**

Jeszcze raz – dziękujemy. Bo bez was nic, co robimy, nie miałoby sensu.

**KATARZYNA:**

Żyjcie nam kolejnych osiemdziesiąt, sto, tysiąc lat.

**NAPOLEON BONAPARTE:**

O, siema Miki.

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Siema Napi. Widziałem cię ostatnio na Kołobrzeskiej, ale spieszyłem się na *Susan Sontag*.

**NAPOLEON BONAPARTE:**

Tego jeszcze nie widziałem. Fajne?

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Nie wszystko skumałem, ale fajne.

**STEFAN JARACZ:**

Dzień dobry, panie Napoleonie.

**NAPOLEON BONAPARTE:**

A to wy się we dwóch teraz po mieście bujacie?

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Stefan się naprawił. Idziemy mu naprawić pomnik. Żeby wreszcie się uśmiechnął, jak na swój teatr patrzy.

**STEFAN JARACZ:**

To przez te gołębie.

**NAPOLEON BONAPARTE:**

Idę z wami.

**MIKOŁAJ KOPERNIK:**

Do „Jaracza”?

**NAPOLEON BONAPARTE:**

Do „Jaracza”.

## SCENA 31

**WSZYSCY** (na melodię hitu *Tiny Turner*):

Szary dzień, zwykły dzień, dzień jak co dnia<sup>82</sup>  
W pracy siedz, kredyt płac, w deszczu prowadz psa  
Doskwiera ząb  
Jak nie upał, to cholerny ziąb  
Lecz w tunelu dni jasne światło lśni  
Bo w kieszeni twej pewien bilet tkwi  
Przychodzi czas  
Że myślisz widząc sceny blask:  
Po prostu *the best*  
Teatr najlepszy jest  
Ale gdyby nie nasz widz  
Nie byłoby dosłownie nic  
Więc dzięki wam, że  
Przychodzić wam się do nas chce

---

82 Piosenka *Po Prostu The Best* wg *The Best* z repertuaru Tiny Turner i Bonnie Tyler, sł. Szymon Jachimek, muz. Mike Chapman, tekst oryginalny Holly Knight.

Wymyślać z nami lepszy świat  
Jesteśmy razem od stu lat  
W jaką podróż dziś zabierzemy cię?  
Będzie *happy end* czy się skończy źle?  
Kiedy zjawiasz się ty, każdy z nas z całych sił  
Tańczy, śpiewa, gra  
Po prostu *the best*  
Teatr najlepszy jest  
Ale gdyby nie nasz widz  
Nie byłoby dosłownie nic  
Więc dzięki wam, że  
Przychodzić wam się do nas chce  
Wymyślać z nami lepszy świat  
Jesteśmy razem od stu lat  
Po prostu *the best*  
Spektakl kończy się, trwa huragan braw  
Pora zabrać płaszczy, wrócić do swych spraw  
Lecz jakoś lżej  
Jakoś nagle bardziej żyć się chce  
*You're simply the best.*

**KONIEC**



# BIOGRAMY AUTORÓW

**Włodzimierz Kowalewski** – pisarz, scenarzysta, autor słuchowisk, publicysta radiowy. Autor opowiadań i powieści, z których najgłośniejsza *Excentrycy* (2007) została przeniesiona na ekran przez J. Majewskiego („Srebrne Lwy” w Gdyni, 2015), a także wystawiona jako musical w Teatrze Muzycznym w Toruniu. Laureat nagród literackich i festiwalu „Dwa Teatry”.

**Joanna Bator** – jedna z najbardziej rozpoznawalnych polskich pisarek, z wykształcenia kulturoznawczyni i filozofka. Jej twórczość zdobyła uznanie zarówno w kraju, jak i za granicą. Powieść *Ciemno, prawie noc* otrzymała Literacką Nagrodę Nike (2013). Adaptację powieści *Gorzko, gorzko* wystawił Teatr im. Stefana Jaracza w Olsztynie.

**Zygmunt Miłoszewski** – powieściopisarz, scenarzysta, działacz społeczny. Autor dziesięciu powieści, w tym kryminałów, powieści przygodowych i literatury dla młodzieży. Jeden z najpopularniejszych polskich pisarzy w kraju i za granicą, tłumaczony na prawie dwadzieścia języków, ekranizowany, wielokrotnie nagradzany. Członek założyciel stowarzyszenia Unia Literacka. Warszawiak, Gdynianin, żeglarz.

**Ishbel Szatrawska** – dramatopisarka, powieściopisarka, absolwentka polonistyki uJ. Autorka m.in. powieści *Toń* i *Wyrok*, współadaptatorka *Krzyżaków* w reżyserii Jana Klaty. Nagradzana

i nominowana do wielu nagród literackich i teatralnych, stypendystka niemieckich i szwajcarskich fundacji. Urodzona w Olsztynie, od wielu lat mieszka w Krakowie.

**Joanna Kiewisz-Wojciechowska** – dziennikarka, reporterka, od 2007 roku korespondentka Polskiej Agencji Prasowej w Olsztynie. Autorka audioprzewodników po najciekawszych miejscach regionu, przewodniczka turystyczna. Mama Michała i Hanny, żona Rafała i poddana kota Straszka. Czytelniczka kryminałów, miłośniczka narracji Olgi Tokarczuk.

**Magdalena Laszczka** – antropolożka, etnografka i menadżerka kultury. Podwójna absolwentka uJ. Nagrodzona w konkursach Narodowego Instytutu Dziedzictwa i Narodowego Instytutu Kultury i Dziedzictwa Wsi za prace badawcze dotyczące dziedzictwa kulturowego. Laureatka ogólnopolskich konkursów literackich. Miłośniczka książek i historii.

**Patrycja Pelica** – ukończyła filologię polską na KUL i turystykę historyczną na UMCS. Laureatka kilku konkursów literackich (Pokolenie Solidarności, Międzynarodowy Konkurs im. Siegfrieda Lenza). Z zawodu pilotka wycieczek. Autorka sagi o polsko-niemieckiej rodzinie na Mazurach *Ritterowie* i *Spalonej za czary*. Pracuje nad thrillerem w słowiańskim klimacie.

**Patrycja Wysokińska** – reżyserka, dramaturżka, dramatopisarka i artystka intermedialna. Studiowała reżyserię w Akademii Teatralnej w Warszawie oraz ATW/CuP w Instytucie Teatrolologii Stosowanej w Gießen, a obecnie na Wydziale Sztuki Mediów w ASP w Warszawie. Tworzy projekty na pograniczu teatru, performansu i nowych mediów.

**Tamara Bińczak** – ekonomistka, projektantka i ekspertka do spraw zrównoważonego rozwoju, od lat związana z sektorem bankowym. Po pracy gra w RPG i pisze fantastykę, w której łączy filozofię, historię oraz mity i legendy Europy. Miłośniczka przyrody, najchętniej odpoczywa w górach lub wśród bagien.

**Małgorzata Chojnacka** – kulturoznawczyni, autorka nagradzanych projektów teatralnych oraz scenariuszy spektakli realizowanych na Zamku w Gołuchowie. Z pochodzenia Mazurka, przywiązana do tradycji i piękna tego wyjątkowego regionu Polski.

**Przemysław Grzesiński** – nauczyciel języka polskiego i historii z Zielonej Góry, pedagog, pedagog specjalny. Właściciel firmy szkoleniowej i edukacyjnej Eduforia. Przez dziesięć lat związany był z teatrami dramatycznymi w Kaliszu i Zielonej Górze jako główny specjalista do spraw literackich oraz dramaturg. Pisze doktorat z twórczości Jacka Kaczmarskiego.

**Zbigniew Modrzyński** – absolwent UAM w Poznaniu (polonistyka), UMK w Toruniu (studia podyplomowe z historii), doktor literaturoznawstwa (UAM). Nauczyciel w szkołach podstawowych i ponadpodstawowych, okazjonalnie wykładowca akademicki. Wyodróżniony w Konkursie im. Siegfrieda Lenza w Elku (2020) za opowiadanie *Rękawiczki*. Pisze opowiadania i krótkie sztuki teatralne.

**Szymon Jachimek** – dramaturg, improwizator, artysta kabaretowy. Teatr im. Stefana Jaracza w Olsztynie wystawił cztery jego sztuki: *Zespół Śmierci i Tańca*, *Jazda na zamek*, *Jeremi się ogarnia*. *LOL* i ostatnio *Setkę Jaracza, czyli (prawie) sto sposobów na setne urodziny*.

Redakcja: Ewa Jarzębowska  
Korekta: Mateusz Świątecki  
Opracowanie graficzne, skład: Marta Konarzewska

Copyright © by Teatr im. Stefana Jaracza w Olsztynie, 2025

Wydawca:  
Teatr im. Stefana Jaracza w Olsztynie  
ul. 1 Maja 4  
10-118 Olsztyn  
[www.teatr.olsztyn.pl](http://www.teatr.olsztyn.pl)  
Dyrektor: Paweł Dobrowolski

**TEATR**  
**WARMII**  
**I MAZUR**  
od 1925



Ministerstwo Kultury  
i Dziedzictwa Narodowego



Institucja Samorządu  
Województwa  
Warmińsko-Mazurskiego

